

GEORGE ORWELL

CÓRKA PROBOSZCZA

POWIEŚĆ
Przełożył Bohdan Drozdowski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1.

Gdy budzik na komodzie wybuchł jak nieznośna, mała mosiężna bomba, Dorota wyrwała się z głębin pogmatwanego, dręczącego snu i doszczętnie wyczerpana legła na plecach, patrząc w ciemność.

Budzik wydawał dokuczliwy, babski jazgot zdolny trwać - gdyby go nie wyłączyć - chyba z pięć minut. Dorota była obolała od stóp do głów, a podstępne, godne pogardy rozczulenie nad sobą, ogamiające ją zwykle w porze rannego wstawania sprawiło, że schowała głowę pod pledy, byle tylko odciąć od uszu nienawistny hałas. Walczyła jednak ze zmęczeniem i, wedle swego zwyczaju, wymyślała sobie ostro w drugiej osobie liczby mnogiej. No, Doroto, wstawajcież! Bez dosypiania, proszę! Księga Przysłów VI,9. Naraz uświadomiła sobie, że jeśli hałas potrwa jeszcze bodaj chwilę, zbudzi ojca; pospieszonym zrywem wyskoczyła z łóżka, zdjęła zegar z komody i wyłączyła dzwonek. Stał na komodzie, aby musiała wyjść z pościeli, by go uciszyć. Uklęka przy łóżku, nadal w ciemnościach i zmówiła *Ojcze nasz*, raczej w roztargnieniu, ponieważ jej stopom dokuczał ziąb.

Była dokładnie piąta trzydzieści, i - jak na sierpniowy poranek - chłód-nawo. Dorota (jedyne dziecko wielebnego Charlesa Hare, proboszcza parafii św. Athelstana w Knype Hill, hrabstwo Suffolk) włożyła znoszony flanelowy szlafrok i po omacku jąła schodzić na dół. W chłodzie poranka pachniało kurzem, pleśnią i smażoną flądą z wczorajszej kolacji, a z obu stron korytarza na pierwszym piętrze mogła słyszeć antyfony pochrapywać ojca i Ellen, dziewczyny do wszystkiego.

Ostrożnie, ponieważ stół kuchenny miał paskudny zwyczaj wystawiania w ciemności i walenia człowieka w kość udową, Dorota wymacywała drogę do kuchni, zapaliła świecę na okapie kominka i, ciągle obolała ze zmęczenia, uklęka by wygamać popioły z paleniska.

Piekielnie trudno było rozpalić ogień w kuchni. Komin był krzywy, przeto stale na wpół zatkany, a płomień, zanim się rozpałił, oczekiwał wsparcia łyżką nafty, niczym pijak porannego łyku ginu. Ustawiwszy czajnik, by zagotować dla ojca wodę do golenia, Dorota weszła na górę i pochyliła się nad wanną. Ellen chrapała nadal, ciężkim młodzieńczym chrapaniem. Była to dobra, pracowita służąca, kiedy już stała na nogach, ale należała do gatunku tych dziewcząt, których żaden diabeł ani wszyscy anieli nie potrafiliby podnieść z łóżka przed siódmą rano.

Dorota napełniała wannę tak wolno, jak to było możliwe - plusk zawsze, gdy zbyt gwałtownie odkręcała kran, budził ojca. Przez chwilę stała patrząc na ów bładny, nieapetyczny zbiornik wody. Całe jej ciało pokryła gęsia skórka. Nie cierpiała zimnych kąpielii i to był główny powód, dla którego od kwietnia do listopada zimne kąpiele brała dla zasady. Wkładając na próbę dłoń do lodowatej wody - straszliwie lodowatej - zanurzała ją stosując zwyczajowe namowy. No, dalej, Doroto! Włażcie! Nie strachajcie się, proszę! Wreszcie wchodziła do wanny zdecydowanie, siadała, pozwalała lodowatym pierścieniom wody opasywać ciało i zanurzała się cała, z wyjątkiem włosów, spiętych z tyłu głowy. Wynurzała się po chwili, prostując ciało chwytając powietrze i nie wypuszczała go tak długo, póki nie utrwaliła w pamięci przyniesionego w kieszeni szlafroka z postanowieniem odczytania „spisu czynności”. Siegnęła poń i, wychylając się przez brzeg wanny, po piersi w lodowatej wodzie, przeczytała w świetle świecy stojącej na krześle:

7 godz. Kom. Św.

Noworodek pani T? Muszę odwiedzić.

Śniadanie. Bekon. Muszę prosić ojca pieniądze. (P)

Spytać Ellen co do kuchni lek ojca nb. spytać o materiał na zasłonki u Solepipe'a.

Pani P prosi odwiedzić wycinki z „Daily Mail”. Angelica herbata dobra na reumatyzm pani L plaster na odciski.

Godz. 12. Próba Karola I. nb. zamówić 1/2 funta kleju i kubek farby aluminiowej.

Obiad (*przekreślony*) Lunch?

Roznieść Mag. Parafialny. Pani F winna 3 s 6 p.

4.30 Zw. matek herbata nie zapomnieć 2 1/2 jarda mat. na okna.

Kwiaty dla kościoła nb. skarbonka.

Kolacja. Jajecznicza.

Przepisać kazanie ojca. Co z taśmą maszynową?

Przerwać powój w grochu brzydki.

Dorota wyszła z wanny, wytarła się ręcznikiem niewiele większym od stołowej serwetki - nigdy nie mogli sobie w probostwie pozwolić na ręczniki przyzwoitych rozmiarów - uwolniła włosy, opadły na obojczyki dwoma ciężkimi pasmami. Miała je gęste, bujne, wyjątkowo jasne i chyba dlatego ojciec nie pozwolił ich skracać, tylko włosy bowiem były w niej piękne. Poza tym była dziewczyną średniego wzrostu, raczej szczupłą, choć silną i dobrze zbudowaną; jej słaby punkt stanowiła twarz - chuda, pospolita twarz blondynki o bladych oczach i nieco zbyt długim nosie; przyjrząwszy się bliżej można było dostrzec w kącikach oczu kurze łapki, usta zaś, gdy zasypiała, zdradzały zmęczenie. Nie była to jeszcze twarz starej panny, ale z pewnością mogła się w taką zmienić już za kilka lat. Mimo to obcy zwykle dawali jej o parę lat mniej, niż liczyła w istocie (nie miała jeszcze dwudziestu ośmiu) ze względu na niemal dziecięcą szczerłość oczu. Lewe przedramię pstrzyły malutkie czerwone cętki jak po ukłuciu owadów.

Dorota włożyła znów nocną koszulę i wyczyściła zęby - oczywiście czystą wodą: lepiej nie używać pasty przed Komunią Świętą. Jedno z dwojga - albo się pości, albo nie. Ci rzymscy katolicy mają słuszność, właściwie, więc - sięgnąwszy po nią zawahała się nagle i zatrzymała. Opuściła szczoteczkę. Wnętrznosci przeszył okropny ból, dotkliwy fizyczny ból.

Przypomniała sobie, z uczuciem wstrętu, z jakim człowiek o świecie przypomina sobie coś obrzydliwego - rachunek od Cargilla, nie zapłacony od siedmiu miesięcy. Ten okropny rachunek (może już wynosić dziewiętnaście albo i dwadzieścia funtów, a na zapłacenie go nie ma najmniejszej nadziei) stanowił jedną z głównych udrek jej życia. O każdej porze dnia czy nocy czyhał za rogiem sumienia, gotów na nią skoczyć i zadrzeć; a potem pojawiały się w pamięci pliki rachunków mniejszych, dodając się w sumę, o której nie miała odwagi nawet pomyśleć. Niemal bezwiednie zaczęła się modlić: „Proszę cię, Boże, spraw, żeby Cargill nie przysłał dziś znów swego rachunku”. Już w następnej chwili doszła do wniosku, że modlitwa była przyziemna i bluźniercza, poprosiła więc o wybaczenie. Potem włożyła szlafrok i zbiegła do kuchni, w nadziei wyrzucenia rachunku z pamięci.

Piec zgasał, jak zwykle. Dorota napełniła go ponownie, brudząc ręce popiołem, polała naftą i sterczała przed nim niespokojna aż do zagotowania czajnika. Ojciec żądał wody do golenia zawsze na szóstą piętnaście. Z siedmiominutowym opóźnieniem Dorota zaniósła miseczkę na górę i zapukała do ojcowych drzwi.

- Wejdz, wejdz - burknął stłumiony, zagniewany głos.

Pokój, zawieszony ciężkimi kotarami, był duszny, przesycony męskim zapachem. Proboszcz zapalił już świecę na szafce nocnej i leżał na boku,

patrząc na złoty zegarek, który właśnie wydobyl spod poduszki. Włosy miał białe i gęste niczym puch ostu. Jedno ciemne, świecące oko spojrzalo gniewnie, przez ramie, na Dorote.

- Dzień dobry, ojczcie.

- Chciałbym, Doroto - powiedzial Proboszcz niewyraźnie, głos jego zawsze brzmiał matowo i starczo dopóki nie włożył sztucznej szczęki - żebyś się starała wyciągać Ellen z łóżka zawsze o świcie. Albo sama bądź punktualniejsza.

- Przykro mi, ojczcie. Ogień pod kuchnią znowu zgasł.

- W porządku. Postaw to na toalecie. Postaw i podnieś zasłony.

Było już jasno, choć ranek posepny i chmurny. Dorota pobiegła do swego pokoju, ubrała się błyskawicznie, co uznawała za niezbędne w sześć z siedmiu poranków. Miała w pokoju jedynie malutkie kwadratowe lustro, ale nawet tego nie używała. Po prostu zawieszała na szyi złoty krzyżyk - zwyczajny złoty krzyżyk: żadnych krucyfiksów, proszę! - związała włosy w węzeł na tyle głowy, wpinała weń byle jak ileś szpilek, narzucała na siebie ubrania (szary sweter, wyszarzały tweedowy kostium, pończochy niezbyt do kostiumu pasujące i bardzo znoszone brązowe buty) w czasie niespełna trzech minut. Miała obowiązek posprzątać jadalnię i gabinet ojca przed kościołem, bezmyślnie odmawiając modlitwy przygotowujące do komunii świętej, co zajmowało jej nie mniej niż dwadzieścia minut.

Kiedy z drzwi frontowych wyprowadziła rower, ranek nadal był chmurny, a trawa nasiąknięta ciężką rosą. Poprzez mgielkę, jaka owijała wzgórze, kościół św. Athelstana zdawał się przyćmiony, niczym ołowiany sfinks, gdy jego jedyny dzwon wybijał żałobne bum! bum! bum! Tylko jeden z dzwonów był teraz w użyciu; pozostałych siedem zdjęto i skazano na milczenie już przed trzema laty; leżały w ciszy, zwolna krusząc własnym ciężarem podłogę dzwonnicy. Stojąc w mgie na dole, w oddali, można było słyszeć przykry dźwięk dzwonu z kościoła rzymskokatolickiego - było to coś odrażającego, taniego, mizernego, co Proboszcz od św. Athelstana zwykł porównywać do dzwonka ulicznego sprzedawcy bułek.

Dorota wsiała na rower i pochyliwszy się nad kierownicą, żwawo ruszyła pod górę. Garbek jej cienkiego nosa poróżowił od porannego chłodu. Niewidoczny w zachmurzonym niebie gwizdał nad głową bekas. O wczesnym świcie pieśń ma do ciebie doleci! Dorota oparła rower o bramę cmentarną, i spostrzegłszy, że dłonie ma ciągle szare od popiołu, uklękła między mogiłami i wyszorowała je do czysta o długie, mokre trawy. Dzwon umilkł, podskoczyła i ruszyła pędem do kościoła, zupełnie jak Progett, zakrystian w poszarpanej

sutannie i ogromnych butach robotnika, człapiący boczną nawą, by zająć miejsce przy bocznym ołtarzu.

W kościele panował przenikliwy chłód, zapach wosku i odwiecznego kurzu. Był to gmach obszerny, zbyt obszerny jak na liczbę wiernych, zrujnowany i w przeważającej części pusty. Trzy wąskie wysepki ław sterczały nagię do połowy nawy głównej, a poza nimi świeciły pustynie gołej kamiennej posadzki, na której kilka zatartych napisów zaznaczało miejsca starych grobowców. Dach nad prezbiterium wyraźnie obwisł; ustawione obok skarbonki na potrzeby kościoła dwa kawałki zrobaczywiałej stropowej belki wyjaśniały niemo, że stało się to za sprawą śmiertelnego wroga chrześcijaństwa: chrząszcza kołatka. Przez anemiczne szkła okien przedzierało się bladobarwne światło. W otwartych drzwiach południowych można było dostrzec wystrzępiony żalobny emblemat i gałązki lipy, szarzejące w bezsłonecznym powietrzu i kołyszące się niemrawo.

Do komunii, jak zwykle, przystąpiła jeszcze tylko jedna osoba - stara panna Mayfill, z The Grange.* Przystępowanie do komunii świętej było taką rzadkością, że Proboszcz nie mógł zwerbować żadnych chłopców do pomocy, wyjąwszy poranki niedzielne, kiedy chłopcy lubią pokazywać się wiernym w komeżkach i sutannach. Dorota weszła do ławy za panną Mayfill i, w pokucie za pewien wczorajszy grzech, odsunęła podnózek, by klęknąć na nagim kamieniu. Zaczęła się msza. Proboszcz, w sutannie i krótkiej lnianej komży, czytał modlitwy miękkim wyćwiczonym głosem, dość teraz wyraźnie, ponieważ miał już wszystkie zęby, ale zadziwiająco markotnie. W jego zgorzkniałej, postarzałej twarzy, bladej jak srebrna moneta, malował się wyraz rezerwy, niemal pogardy. „To jest ważny sakrament”, wydawał się mówić, „a moim obowiązkiem jest go wam udzielić. Ale pamiętajcie, że jestem tylko waszym księdzem. Jako istota ludzka nie lubię was i lekceważę.” Progett, zakrystian, człek czterdziestoletni, o kędzierzawych siwych włosach i czerwonym, znękanym obliczu, tkwił cierpliwie obok, bez zrozumienia, ale z szacunkiem, podzwaniając małym komunijnym dzwoneczkiem, który ginął w jego olbrzymich czerwonych dłoniach.

Dorota przycisnęła palce do oczu. Jeszcze się jej nie udało skupić myśli, prawdę powiedziawszy, co chwilę trapiło ją wspomnienie rachunku Cargilla. Znane na pamięć modlitwy przefruwały jakby mimochodem. Na chwilę podniosła głowę i oczy natychmiast poczęły błędzić. Najpierw w górę, ku bez-

* The Grange - wieloznaczne: stodoła, farma, spichlerz; tu: prześmiewcza nazwa domu panny Mayfill.

głowym na stropie aniołom, na szyjach których można było dostrzec jeszcze ślady pił purytańskich żołnierzy, potem znów na dół, na czarny, niby zapiekany w cieście pasztet wieprzowy, kapelusz i drżące smoliste kolczyki. Panna Mayfill miała na sobie długi, staroświecki płaszcz z małym karakułowym kołnierzem, który wydawał się zatłuszczony, zawsze ten sam, jak daleko Dorota mogła sięgnąć pamięcią. Był wykonany z materii wielce osobliwej, z czegoś w rodzaju satyny, ale znacznie gorszej, z wężykami czarnych oblamowań wędrującymi trudnym do wyśledzenia wzorem. Mogła to być nawet owa legendarna i przysłowiowa materia - czarna krepa. Panna Mayfill była bardzo stara, tak stara, że nikt nie pamiętał jej jako kogoś innego niż starą kobietę. Otaczał ją mdławny zapach - ulotny, eteryczny zapach dający się rozpoznać jako woda kolońska, naftalina i odór ginu.

Dorota wyciągnęła z kłapy żakietu długą szpilkę ze szklaną główką i ukradkiem, pod osłoną pleców panny Mayfill, wbiła czubek w przedramię. Jej ciało drgnęło w popłochu. Uczyniła z tego zasadę, kiedykolwiek przyłapywała się na nieuwadze podczas modlitwy, kłuła się w ramię dość głęboko, by wystąpiła krew. Była to swoista metoda narzucania sobie samodyscypliny, ochrona przed myślami bluźnierczymi i uchybiającymi czci.

Ze szpilką gotową do ukłucia potrafiła przez kilka chwil modlić się bardziej zbornie. Jej ojciec zwrócił, bez przychylności, jedno ciemne oko na żegnającą się raz po raz pannę Mayfill, praktyki tej nie znosił. Na dworze ćwierkał szpak. Dorotą wstrząsnęło odkrycie, że patrzy z dumą na zakładki ojcowej komży, którą sama uszyła przed dwoma laty. Zaciśnęła zęby i wbiła szpilkę w przedramię na głębokość jednej ósmej cala.

Uklękli znowu. Na spowiedź powszechną. Dorota odwołała swoje oczy - błędzące, niestety! ponownie, tym razem po witrażach okien z prawej, zaprojektowanych przez sir Warde Tooke'a, z tytułem A R A* w roku 1851, i przedstawiających św. Athelstana witanego u bram niebieskich przez Archanioła Gabriela z legionem aniołów podobnych do siebie jak krople wody oraz Księżca Małzonka - i wbiła szpilkę w inną część ramienia. Zaczęła medytować przytomniej nad znaczeniem każdej frazy modlitwy i to przywróciło jej umysłowi stan większej uwagi. Ale nawet teraz, gdy Progett poruszył dzwonczkiem, poczuła się zobowiązana do kolejnego użycia szpilki w połowie „Przeto z Aniołami i Archaniołami”, ponieważ nawiedziła ją, jak zawsze, paskudna pokusa wybuchnięcia śmiechem przy tym właśnie fragmencie. Działo się to ze względu na pewną opowieść usłyszaną kiedyś od ojca, o tym, jak to

* A R A (Associate of the Royal Academy) - członek-korespondent Akademii Królewskiej.

on, małym będąc chłopcem, służył księdzu przy ołtarzu, a dzwonek komunijny miał odkręcone serduszek, które zwisało za nisko; i ten ksiądz powiedział: "Przeto z Aniołami i Archaniołami, i z całą Niebiańską Asystą, chwalimy i wysławiamy Twoje dostojne Imię, zawsze Cię chwając i mówiąc, przykręć to, ty mała pękata głowo, przykręć-że to!"

Ody Proboszcz ukończył konsekrację, panna Mayfill z niezwykłym trudem i powolnością podjęła wysiłek powstania na nogi, jakby była rozmontowaną drewnianą zabawką zbierającą się po kawałku, wydzielając przy każdym poruszeniu potężny cuch naftaliny. Dawał się zarazem słyszeć dźwięk niezwykle skrzypiący - to przypuszczalnie skrzypiał jej gorset, ale był to dźwięk taki, jaki wydają zderzane ze sobą kości. Odnosiło się wrażenie, że jej czarny płaszcz okrywał jedynie suchy szkielet.

Dorota stała chwilę dłużej. Panna Mayfill poczęła wlec się ku ołtarzowi powolnymi, drobnymi kroczkami. Poruszała się z trudem, ale uważała za gorzką obrzę, gdy ktoś jej spieszył z pomocą. W tej sędziwej, bezkrwistej twarzy usta zdawały się zaskakująco duże, luźne i wilgotne. Dolna warga, obwisła ze starości, zaśliniona i wysunięta, odsłaniała plasterek gumy i rząd sztucznych zębów, żółtych jak klawisze starego fortepianu. Górną wargę lamował ciemny, wilgotny wąsik. Nie były to usta apetyczne, nie należały do rodzaju tych, jakie by się chciało widzieć pijące z naszej filizanki. Nagle, bezwiednie, jakby sam diabeł ją tam włożył, z ust Doroty wypłynęła się modlitwa: „O Boże, nie pozwól mi pić z kielicha po panie Mayfill!"

W następnej chwili, przerażona, zdała sobie sprawę z tego, co rzekła i wołałaby raczej rozgryźć język na dwie połowy, zanim wyrzekł owo śmiertelne bluźnierstwo u samych stóp ołtarza. Znowu z klapy żakietu wyjęła szpilkę i wbiła ją w ramię tak mocno, że z największym trudem powstrzymała okrzyk bólu. Po czym podeszła do ołtarza i uknęła potulnie po lewej stronie panny Mayfill, tak by być pewną, że kielich otrzyma po niej.

Kłęcząc, z pochyloną głową i dłońmi opartymi na kolanach, pograżyła się w modlitwie o przebaczenie, zanim ojciec zdążył dojść do niej z oplatkiem. Ale strumień myśli uległ załamaniu. Nagle próba modlitwy zdała się jej bezcelowa; wargi poruszały się, ale w modłach zabrakło serca i zrozumienia. Słyszała szurające buty Proggetta i czysty, niski głos ojca mruczący „bierzcie i jedzcie", widziała pod kolanami zdarty strzęp dywanu, czuła zapach kurzu, wody kolońskiej i naftaliny; nagle jakby została pozbawiona zdolności do myślenia o „Ciele i Krwi Chrystusa", dla którego tu przyszła. Myśl zapadła w śmiertelną próżnię. Odniosła wrażenie, że już nie potrafi się modlić. Zmagała się, zbierała myśli, powtarzała mechanicznie początkowe zdania modlitwy i

uznawała je za bezużyteczne, pozbawione znaczenia, niczym puste i martwe skorupy słów. Ojciec w kształtnej starczej dłoni trzymał przed nią opłatek. Trzymał go między kciukiem i palcem wskazującym, znużony, z pewnym niesmakiem, jakby to była łyżka lekarstwa. Patrzył na pannę Mayfill, która złamała się w pół, niczym kanciasta gaśienica, wśród licznych skrzypięć i znaków krzyża czynionych z taką dokładnością, że można by pomyśleć, iż sobie z przodu płaszcza wyszywa rzędy galonów. Dorota wahała się kilkanaście sekund i nie przyjęła opłatka. Nie śmiała go przyjąć. Byłoby lepiej, o wiele lepiej, gdyby zesza ze stopni ołtarza, niż przyjęła sakrament z takim rozgardiaszem w sercu!

I właśnie wtedy spojrzała w bok, przez otwarte drzwi południowe. Niespodziewana włócznia słonecznego światła przeszła chmury. Spadła w dół, poprzez liście lipy, tak że liściasta gałązka u wejścia załśniła przelotną, nieźrównaną zielenią, zieleńszą niż jadeit czy szmaragd, a nawet niż wody Atlantyku. Było to tak, jakby jakiś klejnot o niewyobrażalnym blasku załśnił na chwilę, wypełnił wejście zielonym światłem, a potem zgasł. Rzeka radości przepłynęła przez serce Doroty. Z przyczyn głębszych niż rozum, odzyskała rumieńce, spokój ducha, miłość do Boga, siłę wiary. Zmienacka, dzięki zieleni mogła się znowu modlić. O wy, wszystkie rośliny zielone na ziemi, chwalcie Pana! Zaczęła się modlić płomiennie, radośnie, dziękczynnie. Opłatek stopił się pod jej językiem. Wzięła z rak ojca kielich i bez wstępu skosztowała, z pewną nawet rozkoszą w tym małym akcie samoponizenia, mokrego odcisku warg panny Mayfill na jego srebrnym obrzeżu.

2.

Kościół św. Athelstana stał w najwyższym punkcie Knype Hill i gdyby ktoś postanowił wspiąć się na wieżę, miałby wgląd w okolicę w promieniu około dziesięciu mil. Nie dlatego, żeby było tam coś godnego oglądania, poza płaskim, tu i ówdzie zaledwie pofalowanym pejzażem wschodniej Anglii, nieznośnie nudnym latem, ale rehabilitowanym zimą przez dobrze znane kształty nagich wiaźów przypominających na tle ołowianego nieba wachlarze.

Bezpośrednio u stóp wzgórza leżało miasto, z ulicą Głową biegnącą na wschód i zachód, i dzielącą je na dwie nierówne części. Południowa część miasta była stara, wiejska i szacowna. Po stronie północnej stały budynki cukrowni Blifila-Gordona, a wzdłuż dróg wiodących ku nim, bałaganiarskie rzędy nędznych chałup z żółtej cegły, w większości zamieszkałych przez pracowników tej fabryki, którzy stanowili więcej niż połowę spośród dwu

tysięcy mieszkańców i byli co do jednego przybyszami, mieszczuchami i bezbożnikami.

Dwoma osiami, czy dwoma ogniskami, wokół których obracało się życie społeczne miasteczka były: Klub Konserwatystów Knype Hill (z pełnym wyszynkiem), z którego hakowatych okien, zawsze gdy bar był otwarty, wyglądały wielkie, zaróżowione oblicza miasteczkowej elity patrzące niczym pękate złote rybki spoza szyb akwarium; oraz, nieco poniżej ulicy Głównej, „Stara Herbaciarnia” - główne miejsce spotkań pań z Knype Hill. Być nieobecna w „Starej Herbaciarni” między dziesiątą i jedenastą każdego ranka, dla wypicia „porannej kawki” i spędzenia małej półgodzinki na wdzięcznej paplaninie narzeczem wyższej klasy średniej („Moja droga, miał dziewięć pików do asa z damą i wyobraź sobie, wyszedł w bez atu. Cóż znowu, moja droga, nie mówisz chyba poważnie, znowu płacisz za moją kawę? Och, ależ moja droga, to stanowczo zbyt z twojej strony uprzejme. Wobec tego jutro ja będę się wręcz domagać prawa zapłacenia za twoją. A spojrz teraz na drogiego małego Toto - siedzi i wygląda na mądrego małego człowieczka z małym czarnym dziobkiem, co się rusza w prawo i w lewo, a chciałby, ten rozkoszny kaczor, chciałby, chciałby, żeby mu mama dawała kostki cukru, mogłabym, mogła. Masz, Toto!”) znaczyłoby znaleźć się poza społecznością Knype Hill. Proboszcz, swoim kwaśnym stylem, nadał tym damom przydomek „kawowej brygady”. Tuż przy kolonii pozbawionych smaku willi zamieszkałych przez „kawową brygadę”, ale odcięty od niej przez obszerne grunta, sterczał The Grange, dom panny Mayfill. Był on cudaczną, wykończoną hurdyckami imitacją zamku z ciemnoczerwonej cegły, dziełem czyjegoś szaleństwa wzniesionym około roku 1870, szczęśliwie niemal ukrytym pomiędzy gęstymi zaroślami.

Probostwo stało w połowie drogi przez wzgórze, zwrócone frontonem do kościoła, a tyłem do ulicy Głównej. Był to dom nie z tej epoki, kłopotliwie obszerny, pokryty chronicznie odpadającym żółtym tynkiem. Nieco wcześniej Proboszcz dobudował z jednej strony przestronną cieplarnię, która zawsze domagała się naprawy. Mimo to Dorota używała jej jako pracowni. Ogród przyduszały obdarte z kory jodły i rozłożyste jesiony, ocinające frontowe pokoje. Uniemożliwiały one hodowlę jakichkolwiek kwiatów. Za domem leżał rozległy warzywnik. Progett mozolnie przekopywał go wiosną i jesienią. Dorota zajmowała się sianiem i pieleniem w takich wolnych chwilach, na jakie mogła sobie pozwolić; mimo to bywał zazwyczaj nieprzebytą dżunglą chwastów.

Dorota zeskoczyła z roweru u bramy, na której jakaś osoba urzędowa nakleiła plakat z nadrukiem »Głosuj na Blifila-Gordona i wyższe zarobki« (Trwały

właśnie wybory uzupełniające i pan Blifil-Gordon występował z ramienia konserwatystów). Otworzył frontowe drzwi Dorota ujrzała dwa listy leżące na wydeptanej kokosowej macie. Jeden pochodził od księdza dziekana, drugi był wymiętoszony, cienki - na oko od firmy Catkin i Palm, księżowskich krawców ojca. Niewątpliwie zawierał rachunek. Proboszcz przestrzegał stałej już praktyki zabierania korespondencji, która go interesowała i pozostawiania całej reszty. Dorota schylała się właśnie, by ją podnieść, kiedy ujrzała z upiornym przerażeniem kopertę bez adresu zwrotnego, przyklejoną do brzegu innego listu,

Był to rachunek - z pewnością był tam rachunek! Co więcej, ledwie rzuciła nań okiem, a już „wiedziała”, że ten okropny rachunek nadszedł od Cargilla, rzeźnika. Odniosła wrażenie, że tonie. Przez chwilę zaczęła się nawet modlić o to, żeby to nie był rachunek od Cargilla, żeby to by rachunek na trzy funty i dziewięć szylingów od Solepipe'a, bławatnika, albo rachunek od piekarza, albo z pralni - każdy, byle nie rachunek od Cargilla. Wreszcie, zapanowawszy nad strachem, oderwała kopertę od brzegu listu, rozdarła ją ruchem niemal konwulsyjnym.

„Do zapłacenia: funtów 21 szylingów 7 pensów 9”.

Zostało to napisane niewinnym pismem księgowego pana Cargilla. Ale niżej, grubymi literami, wyglądającymi jak oskarżenie, dodano i grubiańsko podkreślono: „Chciałbym uwiadomić sz. pana, że ten r-k jest niezapłacony od bardzo dawna. Będę zobowiązany za możliwie najszybszą jego realizację. S. Cargill”.

Dorota zbłądła o jeden odcień i stwierdziła, że nie ma ochoty na żadne śniadanie. Wrzuciła rachunek do kieszeni i weszła do jadalni. Był to niewielki ciemny pokój domagający się nowych tapet - podobnie jak każdy inny pokój w probostwie. Zdawał się urządzony z takim rozmachem, jakby go umeblowano antykami. Stały tu meble „dobre”, ale zużyte i nie do naprawienia, krzesła zżarte przez korniki tak, że można było na nich siadać tylko wtedy, kiedy się znało ich słabe strony. Na ścianach wisiały stare, ciemne, zdefasonowane staloryty, jeden - być może Van Dycka portret Karola I - prawdopodobnie miałby pewną wartość, gdyby nie został tak zniszczony przez wilgoc.

Proboszcz stał przed pustym paleniskiem, grzejąc się przy wymyślanym ogniu i czytał list, który nadszedł w długiej błękitnej kopercie. Miał na sobie nadal czarną satynową sutannę, stanowiącą wspaniałe dopełnienie jego bujnych białych włosów, bladej, urodziwej, bynajmniej nie uprzejmej twarzy. Kiedy Dorota weszła, odłożył list na bok, wydobyl swój złoty zegarek i przyjrzał mu się znacząco.

- Przykro mi, ojczy, że się nieco spóźniłam.

- Tak, Doroto, jesteś nieco spóźniona - powiedział Proboszcz, powtarzając jej słowo z delikatnym, ale zauważalnym naciskiem. - Spóźniłaś się o dwanaście minut, dla ścisłości. Nie myślisz, Doroto, że gdy ja wstaję kwadrans po szóstej, by celebrować Mszę świętą i wracam do domu wyjątkowo zmęczony i głodny, to byłoby lepiej, gdybyś potrafiła przyjść na śniadanie nawet nieco nie spóźniona?

Było jasne, że Proboszcz znajdował się w nastroju, jaki Dorota nazywała eufemistycznie „niezbyt przyjemnym”. Dysponował jednym z tych znużonych, opanowanych głosów, które nigdy nie są zdecydowanie gniewne i nigdy nigdzie nie ocierają się o dobry humor - jednym z tych głosów, które zdają się przy lada okazji mówić „doprawdy, nie rozumiem, o co robisz cały ten hałas!” Sprawiał wrażenie człowieka nieustannie cierpiącego wskutek głupoty i dokuźliwości innych ludzi.

- Przykro mi, ojcze! Po prostu musiałam iść na poszukiwanie pani Tawney. - (Pani Tawney była ową „panią T” ze „spisu czynności”) - Wczoraj w nocy urodziła dziecko, a jak wiesz, obiecała mi, że przyjdzie i weźmie ślub kościelny po jego urodzeniu. Ale oczywiście nie przyjdzie, jeśli będzie myśleć, że się nią w ogóle nie interesujemy. Wiesz jakie są te kobiety - nienawidzą kościelnych ślubów. Nigdy nie przyjdą, jeśli się do nich nie przymilać.

Proboszcz nawet nie chrząknął, ale ruszając ku nakrytemu do śniadania stołowi, wydał cichy pomruk niezadowolenia. Znaczyło to, że do obowiązków pani Tawney powinno należeć przyjście i wzięcie ślubu kościelnego bez przmyleń Doroty; po wtóre, że Dorota nie miała żadnego interesu w traceniu czasu na odwiedzanie tej miejskiej hołoty, zwłaszcza przed śniadaniem. Pani Tawney była żoną robotnika i żyła *in partibus infidelium*, na północ od ulicy Głównej. Proboszcz złożył dłonie na oparciu swego krzesła i bez słowa rzucił Dorocie spojrzenie „Czy teraz jesteśmy gotowi? Czy jeszcze dojdzie do jakichś spóźnień?”

- Myślę, że wszystko jest gotowe, ojcze - odparła Dorota. - Może gdybyś już tylko zwrócił się o łaskę...

- Benedictus benedicat - powiedział Proboszcz, podnosząc z talerza poczermiałą srebrną pokrywkę. Owa srebrna pokrywka, podobnie jak posrebrzana łyżka do marmelady, należała do rodzinnego dziedzictwa; noże i widelce, a także większość porcelany, pochodziły od Woolwortha.

- Znowu bekon, widzę - dodał Proboszcz, spostrzegłszy trzy przejrzyste plasterki poskręcane na kwadracikach przypieczonego chleba.

- Niestety, to wszystko, co mamy w domu - szepnęła Dorota.

Proboszcz ujął widelec między palec wskazujący i kciuk, i ruchem niezmiernie delikatnym, jakby grał w bierki, przewrócił jeden z plasterków.

- Wiem, oczywiście - rzekł - że bekon na śniadanie stanowi brytyjską instytucję niemal tak starą jaką rządy Parlamentu. Mimo to, czy nie sądzisz, że od czasu do czasu moglibyśmy zjeść coś innego, Doroto?

- Bekon jest teraz tak tani - powiedziała Dorota ze skrucą. - Nie kupić go zdaje się grzechem. Tylko pięć pensów za funt, a widziałam zupełnie nieźle wyglądający bekon już nawet po trzy pensy.

- Ach, duński, jak przypuszczam? Cóż za różnorodność duńskich najazdów mamy w tym kraju! Pierwszy z ogniem i mieczem, a teraz z tym odrażającym tanim bekonem. Ciekawe, czy to nie on ponosi winę za wzrost śmiertelności?

Poczuwszy się po tym dowcipie nieco lepiej, Proboszcz usiadł na krześle i spożył zupełnie przyzwoite śniadanie złożone z pogardzanego bekonu, podczas gdy Dorota (nie jadła tego ranka żadnego bekonu - w pokucie narzuconej sobie wczoraj za wypowiedzenie słowa „cholera” i za półgodzinne leniuchowanie po lunchu) przemyśliwała nad stosownym początkiem rozmowy.

Czekało ją zadanie niewypowiedziane wstrętne - żądanie pieniędzy. Wydobycie pieniędzy od ojca w najlepszym razie graniczyło z niemożliwością, a zdało się, że tego ranka Proboszcz miał zamiar być nawet bardziej „trudny” niż zazwyczaj. „Trudny” to był kolejny z jej eufemizmów. Otrzymał złe wiadomości, jak przypuszczam, myślała przygnębiona, patrząc na błękitną kopertę.

Prawdopodobnie żaden z ludzi, którzy kiedykolwiek rozmawiali z Proboszczem dłużej niż dziesięć minut, nie zaprzeczyłby, że to „trudny” rodzaj człowieka. Tajemnica jego niemal zawsze złego humoru tkwiła bowiem w tym, że sam stanowił anachronizm. Nigdy nie powinien się być rodzic w nowoczesnym świecie; cała tego świata atmosfera budziła w nim wstręt i doprowadzała do furii. Kilka wieków wcześniej, pisując wielogłosowe poematy albo zbierając skamieliny, podczas gdy wikarowie za czterdzieści funtów rocznie zarządzaliby jego parafią, czułby się prawdziwie w swoim żywiole. Nawet teraz, gdyby był człowiekiem bogatszym, mógłby odcinając od swojej świadomości cały ten wiek dwudziesty, znaleźć ukojenie. Ale ostatnio życie stało się wielce kosztowne; nie da się przeżyć za mniej niż dwa tysiące rocznie. Proboszcz, przytroczony przez własną biedę do wieku Lenina i „Daily Mail”, trwał w stanie chronicznego rozdrażnienia i było czymś naturalnym, że wyładowywał je na osobie mu najbliższej - to znaczy, zazwyczaj, na Dorocie.

Urodził się w roku 1871 jako młodszy syn młodszego syna baroneta i wstąpił w służbę kościołowi z niemodnego powodu, stanowiącego, że kościół jest

tradycyjnym miejscem pracy młodszych synów. Pierwszy wikariat odbył w dużej nędzarskiej parafii we wschodnim Londynie - było to miejsce koszmarnie, chulikańskie, wspominał je z obrzydzeniem. Już w tamtych latach klasy niższe (jak miał zwyczaj je nazywać) zdecydowanie wymykały się spod kontroli. Nieco lepiej wiodło mu się, gdy pełnił obowiązki wikarego w pewnym odległym miejscu w hrabstwie Kent (w Kent urodziła się Dorota), gdzie gruntownie sponiewieram wieśniacy ciągle jeszcze uchylali przed „plebanem” kapelusza. Właśnie wtedy się ożenił, jego małżeństwo było diabelnie nieszczęśliwe. Ponieważ duchownym nie wolno klócić się z żonami, ich nieszczęścia pozostają utajone, przez co dziesięciokrotnie gorsze. Do Knype Hill przybył w roku 1908, liczył wtedy lat trzydzieści siedem, z usposobieniem nieuleczalnie skwaśniałym, z charakterem, który sprawił, iż zraził do siebie wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci w całej parafii.

Stało się tak nie dlatego, że był złym księdzem, w roli zwykłego księdza. W czynnościach czysto duszpasterskich był skrupulatny, dokładny - przypuszczalnie zbyt dokładny jak na potrzeby Kościoła Ubogiego* wschodnio-an-gielskiej parafii. Msze odprawiał z doskonałym wyczuciem smaku, wygłaszał godne podziwu kazania i wstawał w niedogodnych godzinach porannych, by udzielać komunii świętej w każdą środę i piątek. Ale nigdy nie dotarło doń, że duchowny może mieć także pewne inne poważne obowiązki poza murami kościoła. Nie mogąc pozwolić sobie na wikarego, pozostawił całą brudną parafialną robotę swojej żonie, a po jej śmierci (zmarła w roku 1921) - Dorocie.

Ludzie mówili, obelżywie i kłamliwie, że gdyby to było możliwe, kazałby Dorocie wygłaszać kazania. „Klasy niższe” wyczuły natychmiast, jaki miał do nich stosunek. Gdyby był człowiekiem bogatym, prawdopodobnie lizałyby jego buty, zgodnie ze swoim zwyczajem; w tej wszakże sytuacji - jedynie go nienawidziły. Nie dbał o to, w gruncie rzeczy nie obchodziło go ich istnienie. W nie lepszych stosunkach pozostawał także z klasami wyższymi. Był skłócony z hrabiostwem, co do jednego, a szlachtą miejską, jako wnuk baroneta, gardził nie starając się tego ukrywać. W ciągu dwudziestu jeden lat udało mu się zredukować liczbę wiernych parafii św. Athelstana z sześciuset do nieco poniżej dwustu.

Stało się to nie tylko z przyczyn osobistych. Stało się tak również dlatego, że staromodny Anglikanizm Wysoki**, do którego Proboszcz Ignął wytrwale, był czymś, co irytowało wszystkie grupy parafian niemal jednakowo. W

* Kościół Ubogi (Low Church) - tradycyjnie protestancka odmiana kościoła angielskiego.

** Anglikanizm Wysoki (High Church) - jedna z odmian kościoła angielskiego, grupująca zwolenników obrzędowości i form zbliżonych do kościoła katolickiego.

naszych czasach duchowny, który pragnie utrzymać swoją kongregację, ma do wyboru tylko dwa sposoby. Albo musi to być anglikatolicyzm czysty i prosty - czy raczej czysty i nie prosty; albo musi być odważnie nowoczesny, o szerokich horyzontach i głosić kojące kazania zapewniające, że nie ma piekła i że wszystkie dobre religie są takie same. Proboszcz nie wybrał żadnego z tych sposobów. Z jednej strony miał w najgłębszej pogardzie ruch anglo-ka-tolicki. Przeszedł on nad jego głową bez wrażenia; „rzymska gorączka”, tak to właśnie określał. Z drugiej strony był zbyt „wysoki” dla starszych członków swej kongregacji. Od czasu do czasu straszył ich do nieprzytomności używając fatalnego słowa „katolicki” nie tylko w jego poświęconym miejscu w *Credo*, ale także z ambony. Oczywiście, parafia topniała z roku na rok, a pierwsi opuścili ją ludzie najlepsi. Lord Pochorne z Pochorne Court, który posiadał piątą część hrabstwa, pan Lewis, emerytowany kupiec branży skórzanej, sir Edward Huston z Crabtree Hali, a z drobnej szlachty posiadacze samochodów; wszyscy opuścili świętego Athelstana. Większość z nich jeździła w niedziele do Millborough, pięć mil dalej. Millborough - miasto o pięciu tysiącach mieszkańców miało dwa kościoły, można więc było wybrać jeden z nich: św. Edmunda lub św. Wedekinda. Kościół św. Edmunda był modernistyczny, ołtarz zdobił tekst wzięty z *Jerozolimy* Blake'a, zaś komunijne wino pito tam ze szklanych pucharów; anglikatolicki kościół św. Wedekinda znajdował się w stanie nieustającej wojny partyzanckiej z biskupem. Pan Cameron, sekretarz Klubu Konserwatystów Knype Hill, był nawróconym rzymskim katolikiem, a jego dzieci tkwiły w samym jądrze rzymskokatolickiego ruchu literackiego. Mówiono, że mają papugę, którą uczą *Extra ecclesiam nulla salus*. Skutek był taki, że nikt, o jakimkolwiek statusie, nie pozostawał wierny św. Athelstanowi, wyjąwszy pannę Mayfill z The Grange. Większa część pieniędzy panny Mayfill została ofiarowana kościołowi - tak twierdziła ona sama; nawiasem biorąc nigdy nie widziano, by kładła na tacę więcej niż sześć pensów, a wyglądało na to, że będzie żyć wiecznie.

Pierwszych dziesięć minut śniadania minęło w zupełnej ciszy. Dorota próbowała zebrać się na odwagę, by przemówić - oczywiście musiała znaleźć jakiś inny temat przed podniesieniem kwestii pieniędzy - ale ojciec nie był człowiekiem skłonny do mówienia o niczym. Czasem poddawał się prądom tak głębokich abstrakcji, że nie można było go skłonić nawet do słuchania; kiedy indziej bywał zbyt uważny, słuchał pilnie, po czym tonem raczej znużonym sumował, że nie warto było tego mówić. Grzecznościowe komunały - pogoda i temu podobne - zazwyczaj wprawiały go w sarkazm. Mimo to Dorota postanowiła zacząć od pogody.

- To dziwny rodzaj dnia, nieprawdaz? - powiedziała uświadamiając sobie poniewczasie pustotę tej uwagi.

- Co jest dziwne? - dociekał Proboszcz.

, - No, że rano było tak zimno i mgliście, a teraz wyszło słońce i zrobiło się całkiem ładnie.

- Czy w tym jest coś szczególnie dziwnego?

Nie wypadło to, rzecz jasna, dobrze. Musiał otrzymać złe wieści, pomyślała. Spróbowała raz jeszcze.

- Chciałabym, ojczu, żebyś wyszedł czasem i spojrzął na to, co się dzieje w ogrodzie za domem. Fasolka szparagowa pnie się tak wspaniale! Strąki są długie na stopę. Mam, oczywiście, zamiar zachować najlepsze z nich na dożynki. Pomyślałam sobie, że byłoby tak ładnie, gdybyśmy udekorowali ambonę festonami fasolki szparagowej i zawiesili wśród nich kilka pomidorów.

Było to faux pas. Proboszcz spojrzął znad talerza z wyrazem głębokiego niesmaku.

- Moja droga Doroto - rzekł ostro - czy to konieczne zawracać mi głowę dożynkami już teraz?

- Przykro mi, ojczu! - odparła Dorota w roztargnieniu. - Nie miałam zamiaru zawracać ci głowy. Po prostu pomyślałam..

- Czy przypuszczasz - ciągnął Proboszcz - że sprawi mi przyjemność wygłaszanie kazania wśród festonów szparagowej fasolki? Nie jestem zieleniarzem. Myśl o tym nie pozwala mi skończyć śniadania. Kiedyż odbywa się ta nieszczęsna impreza?

- We wrześniu, szesnastego, ojczu.

- To przecież prawie za miesiąc. Na litość boską, pozwól mi jeszcze przez chwilę o tym nie pamiętać! Myślę, że musimy raz w roku godzić się na ów cudaczný obrządek, by połaskotać próżność byle amatorskiego ogrodnika w parafii. Ale nie zaprzatajmy sobie głowy tym bardziej, niż to absolutnie konieczne.

Proboszcz, o czym Dorota powinna była pamiętać, darzył dożynki totalną odrazą. Utracił nawet wartościowego parafianina-pana Toagisa, gburowatego emerytowanego kupca warzywnego - za sprawą swego „nielubienia”, jak powiedział, widoku kościoła przybranego tak, że przypominał stragan. Pan Toagis, *anima naturaliter noncoformistica*, w czasie dożynek otrzymywał wyłączny przywilej dekorowania bocznego ołtarza na rodzaj Stonehenge*

* Stonehenge - pozostałości wielkiego zbiorowiska obrobionych głazów stojących na Salisbury Plain, Anglia. Ustawiono je przypuszczalnie ok. 1800-1400 lat p.n.e. Uważa się, że mogły w pewnych porach roku wyznaczać wschód i zachód słońca; że była to świątynia słońca albo obserwatorium.

skomponowanego z gigantycznych dyń. Poprzedniego lata udało mu się wyhodować doskonałą dynię-lewiatana, owoc płomiennie czerwony i tak olbrzymi, że trzeba było dwóch mężczyzn, żeby go podnieść. Ten monstrualny okaz umieszczono w prezbiterium, gdzie przyłoczył ołtarz i odebrał barwy wschodniemu oknu. Bez względu na to w jakiej stało się części kościoła, owa dynia, jak się to mówi, „waliła człowieka w oko”. Pan Toagis był w stanie euforii. Bez przerwy kręcił się wokół kościoła, niezdolny oderwać się od uwielbianej dyni, sprowadzał nawet sztafety przyjaciół, by ją podziwiali. Z wyrazu jego twarzy można było wnosić, że cytował wiersz Wordswortha o westminsterskim moście:

Nie masz na ziemi rzeczy równie świetnej:
Ubogi duchem ów, kto nie dostrzeże Jak
wzruszająco jest majestatyczny!

Dorota miała nawet po tym wszystkim pewne nadzieje zwabienia go do komunii świętej. Lecz Proboszcz spostrzegłszy dynię, popadł w straszny gniew i z miejsca „tę niesmaczną rzecz” kazał usunąć. Pan Toagis natychmiast „opuścił kaplicę”, po czym on sam i jego spadkobiercy zostali straceni dla kościoła na zawsze.

Dorota postanowiła uczynić jeszcze jedną, ostateczną próbę nawiązania rozmowy.

- Wykonujemy kostiumy do *Karola I* - powiedziała. (Dzieci ze szkółki niedzielnej miały w próbach sztukę zatytułowaną *Karol I* z zamiarem wystawienia jej na fundusz organowy) - Szkoda, że nie wybraliśmy czegoś troszeczkę lżejszego. Okropnie trudno wykonać zbroje, a obawiam się, że buty rybackie będą jeszcze trudniejsze. Myślę, że następnym razem naprawdę musimy wybrać jakąś sztukę rzymską albo grecką. Coś, do czego wystarczy ubrać się w togi.

To wydobyło z Proboszcza jedynie kolejne głucho chrząknięcie. Szkolne sztuki, pазary, dobroczynne wenty, charytatywne koncerty nie uchodziły w jego oczach za tak złe jak obchody dożynkowe, ale nawet nie udawał, że jest nimi zainteresowany. Stanowiły, jak zwykł mawiać, zło konieczne. W tej chwili Ellen, służąca, pchnięciem otworzyła drzwi i bezceremonialnie weszła do pokoju, trzymając przed brzuchem, w dużej spierzchniętej dłoni, swój workowaty fartuch. Była to dziewczyna wysoka, o krągłych ramionach, z mysimi włosami, obdarzona płaskim głosem i fatalną cerą, cierpiała bowiem na chroniczną egzemę. Jej oczy pomknęły lekko ku Proboszczowi,

ale zwróciła się do Doroty, zanadto bojąc się Proboszcza, aby zwracać się doń bezpośrednio.

- Proszę panienki - zaczęła.

- Słucham, Ellen?

- Proszę panienki - ciągnęła nadal wylękniona Ellen - w kuchni jest pan Porter i powiada spytaj proszę, czy Proboszcz nie mógłby przyjść i ochrzcić dziecka pani Porter? Bo oni myślą, że nie przeżyje dnia, a nie było jeszcze ochrzczone, panienko.

Dorota wstała.

- Siadaj - powiedział szybko Proboszcz, mając pełne usta.

- Co wedle nich jest temu dziecku? - spytała Dorota.

- Ano, panienko, ono czernieje. A miało paskudną biegunkę.

Proboszcz z trudem opróżnił jamę ustną. - Czy ja muszę wysłuchiwać tych obrzydliwych szczegółów właśnie przy śniadaniu? - zaproponował. Zwrócił się do Ellen: - Każ Porterowi wracać do roboty i powiedz mu, że będę u nich o dwunastej. Doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego te klasy niższe zawsze muszą wybierać pory posiłków, żeby komuś dokuczyć - dodał, rzucając siadającej Dorocie kolejne zirytowane spojrzenie.

Pan Porter był człowiekiem pracy, murarzem, mówiąc dokładniej. Proboszcz miał na chrzest poglądy zupełnie zdecydowane. Gdyby zaszła taka konieczność, przeszedłby piechotą dwadzieścia mil po śniegu, byle tylko ochrzcić umierające dziecko. Ale nie znosił, gdy Dorota proponowała mu opuszczenie stołu w czasie śniadania na wezwanie pospolitego murarza.

Więcej przy śniadaniu nie rozmawiano. Serce Doroty tonęło coraz głębiej. Żądanie pieniędzy zakrawało na szaleństwo, ponadto w sposób oczywisty było skazane na niepowodzenie. Skończywszy śniadanie Proboszcz wstał od stołu i począł nabijać fajkę tytoniem ze słoika stojącego na okapie kominka. Dorota powtórzyła krótką modlitwę o odwagę, po czym się ukuła. Naprzód, Doroto! Do licha z tym! Nie ma co się bać, z łaski swojej! Z trudem zapanowała nad głosem i rzekła:

- Ojczy...

- Czego? - spytał Proboszcz, zatrzymując w palcach zapalkę.

- Ojczy, jest coś, o co chcę cię zapytać. Coś ważnego.

Wyraz twarzy Proboszcza uległ zmianie. Natychmiast odgadł, co miała zamiar powiedzieć; a co ciekawsze, wyglądał teraz na mniej zirytowanego niż przedtem. Na jego twarzy osiadł kamienny spokój. Wyglądał jak sfinks, szczególnie teraz wyniosły i nieprzydatny.

- Właśnie, Doroto, wiem bardzo dobrze, co chcesz powiedzieć. Sądzę, że zamierzasz znowu prosić mnie o pieniądze. Mam rację?

- Tak, ojcze, ponieważ...

- W porządku, mogę ci oszczędzić kłopotów. Nie mam żadnych pieniędzy - absolutnie żadnych pieniędzy do następnego kwartału. Dostałaś swoje kieszonkowe i nie mogę ci dać ani poi pensa więcej. Nie zwracaj mi tym głowy.

- Ależ ojcze...

Serce Doroty opadło jeszcze niżej. Najgorszy, gdy przychodziła po pieniądze, był ten okropny, nieprzystępny spokój, z jakim się do niej odnosił. Nigdy nie był tak nieporuszony jak wówczas, gdy przypomiano mu, że jest zadłużony po uszy. Wyglądało na to, że nie rozumiał, iż kupcy żądają niekiedy zapłaty i że żaden dom nie może funkcjonować bez odpowiednich zasobów pieniędzy. Wydziałał Dorocie osiemnaście funtów miesięcznie na wszystkie domowe wydatki, łącznie z płacą Ellen, a przy tym był „wybredny” w jedzeniu i natychmiast zauważał każde obniżenie jego jakości. Skutek był taki, rzecz jasna, że dom tkwił w wiecznych długach. Ale Proboszcz nie poświęcał temu najmniejszej uwagi - w rzeczy samej, nawet chyba ich sobie nie uświadamiał. Kiedy stracił zainwestowane pieniądze, był głęboko poruszony; ale gdy chodziło o dług u byle kupca - cóż, tym się w ogóle nie trapił.

Znad fajki Proboszcza uniosło się ciche pyknięcie dymku. Patrzył uważnym okiem na staloryt Karola I i prawdopodobnie zapomniał już o żądaniu Doroty. Widząc go tak obojętnym, Dorota poczuła bolesny przyptyw desperacji i odzyskała odwagę. Powiedziała ostrzej niż przedtem:

- Ojcze, proszę, posłuchaj mnie! Muszę szybko dostać jakieś pieniądze! Po prostu muszę! Nie możemy dalej tak postępować. Jesteśmy winni niemal każdemu kupcowi w mieście. Doszło do tego, że w niektóre ranki nie potrafię zmusić się do wyjścia na ulicę, gdy pomyślę o tych wszystkich rachunkach, które na nas ciążyą. Czy wiesz, że zalegamy u Cargilla na prawie dwadzieścia cztery funty?

- I co z tego? - mruknął Proboszcz między dwoma pyknięciami.

- Ale ten rachunek rośnie od siedmiu miesięcy! Przysyła go raz za razem. Musimy go zapłacić! To nieuczciwe, kazać mu w ten sposób czekać na jego własne pieniądze!

- Nonsens, moje drogie dziecko! Ci ludzie liczą się z tym, że będą zmuszeni czekać na swoje pieniądze. Oni to lubią. To im w końcu przynosi zyski. Bóg jeden wie, ilem winien firmie Catkin i Palm - nawet nie mam odwagi

sprawdzić. Molestują mnie w każdej poczcie. Aleś chyba nie słyszała, żebym się skarżył, słyszałaś?

- Ależ ojcze, ja nie mogę patrzeć na to tak jak ty, nie mogę! To koszmarnie, stale tkwić w długach! Nawet, jeśli nie jest złe, jest obrzydliwe. Tak się wstydę! Kiedy wchodzę do jego sklepu, żeby zamówić mięso na pieczeń, Cargill mówi do mnie tak krótko i każe mi czekać tak długo, aż załatwi innych klientów, a wszystko przez stale rosnący rachunek. A przecież nie mogę przestać u niego zamawiać. Jestem pewna, że ściagałby nas, gdybym to zrobiła.

Proboszcz ściągnął brwi. - Co znowu! Chcesz powiedzieć, że ten facet zachował się wobec ciebie jak impertynent?

- Nie powiedziałam, że był impertynencki, ojcze. Ale nie możesz go winić za to, że złości się, kiedy mu nie płacą rachunków.

- Mogę go winić z największą pewnością! To jest po prostu odrażające jak ci ludzie mają czelność zachowywać się w dzisiejszych czasach - odrażające! I w tym cały sęk, rozumiesz. To jest to, na co jesteśmy stale narażeni w tym rozkoszonym stuleciu. To jest demokracja - postęp, jak to racza nazywać. Nie zamawiaj u tego faceta już nigdy. Powiedz mu natychmiast, że otwierasz rachunek gdzie indziej. To jest jedyny sposób traktowania tych ludzi.

- Ależ ojcze, to niczego nie załatwia. Czy rzeczywiście i naprawdę nie myślisz, że powinniśmy mu zapłacić? Czy na pewno nie możemy zdobyć jakichś pieniędzy? Nie mógłbyś sprzedać jakichś akcji albo czegoś innego?

- Moje drogie dziecko, nie mów mi o sprzedaży akcji! Otrzymałem właśnie najbardziej niepomysłne wiadomości od mego maklera. Donosi mi, że moje udziały w „Cynku Sumatry” spadły z siedmiu i czterech pensów do sześciu i pensa. Oznacza to stratę około sześćdziesięciu funtów. Każę mu sprzedać je natychmiast, zanim znowu spadną.

- A więc kiedy je sprzedasz, będziesz miał jakąś gotówkę, nieprawdaż? Nie myślisz, że byłoby lepiej pozbyć się długów raz na zawsze?

- Nonsens, nonsens - powiedział Proboszcz spokojnie, ponownie wkładając fajkę do ust. - Nie masz o tych sprawach żadnego pojęcia. Muszę to przeinwestować w coś bardziej obiecującego - to jedyny sposób na odzyskanie pieniędzy.

Wetknięwszy kciuk za pasek surduta spojrzął w ponurym roztargnieniu na staloryt. Makler polecał mu „Zjednoczenie Sztucznego Jedwabiu”. Tu - w „Cynku Sumatry”, w „Zjednoczeniu Sztucznego Jedwabiu” i w niezliczonej masie innych odległych i ledwie wyobraźalnych kompanii - tkwił główny powód kłopotów finansowych Proboszcza. Był nałogowym graczem. Oczywiście, nie myślał, że to spekulacja; było to jedynie całozyciowe

poszukiwanie „dobrej inwestycji”. Osiągnąwszy pełnoletność odziedziczył cztery tysiące funtów, które stopniowo topniały wskutek jego „inwestycji” do tysiąca dwustu. Co gorsza, udawało mu się co roku uciułać z trudem pięćdziesiąt funtów z żalonych przecież dochodów, kolejne pięćdziesiąt funtów, które w ten sam sposób przepadały. Fakt osobliwy, że wabik „dobrej inwestycji” pociąga o wiele silniej kler, niż jakąkolwiek inną klasę ludzi. Przypuszczalnie stanowi to nowoczesny ekwiwalent demonów w damskiej postaci, które miały zwyczaj nawiedzać anachoretów w mrokach średniowiecza.

- Kupię pięćset akcji „Zjednoczenia Sztucznego Jedwabiu” - zakończył Proboszcz.

Dorota powoli traciła nadzieję. Ojciec myślał teraz o „inwestycjach” (nic o tych „inwestycjach” nie wiedziała, wyjąwszy fakt, iż z fenomenalną regularnością były chybiane) i za chwilę kwestia długów sklepowych całkowicie umknie z jego pamięci. Uczyniła ostateczny wysiłek.

- Ojczy, załatwmy to, proszę. Nie myślisz, że mógłbyś dać mi jakieś dodatkowe pieniądze dość szybko? Może nie w tej chwili, ale w następnym miesiącu albo za dwa?

- Nie, moja droga, nie mogę. Około Bożego Narodzenia, być może - ale to bardzo mało prawdopodobne. Teraz jednak stanowczo nie. Nie mam nawet wolnego pensa.

- Ależ ojczy, to okropne uczucie, że nas nie stać na zapłacenie długów! To nas tak poniża! Ostatnio był tu pan Welwyn-Foster. - (Pan Welwyn-Foster był biskupem pomocniczym) - Pani Welwyn-Foster obchodziła miasto zadając wszystkim najbardziej osobiste pytania nas dotyczące - pytała jak spędzamy czas, ile mamy pieniędzy, ile ton węgla zużywamy rocznie, pytała o wszystko. Ona zawsze próbuje wtykać nos w nasze sprawy. Przypuszczam, że wykryła, iż jesteśmy fatalnie zadłużeni.

- Czy to na pewno nasze sprawy? Zupełnie nie rozumiem, co to może obchodzić panią Welwyn-Foster albo kogokolwiek innego.

- Ale ona to będzie wszędzie rozgłaszać - i do tego przesadzać! Wiesz, kto to jest pani Welwyn-Foster. W jakiegokolwiek pojawi się parafii - próbuje wysledzić coś niegodziwego w stylu bycia pastora, a potem każde słowo powtarza biskupowi. Nie chciałabym być wobec niej nieżyczliwa, ale ona naprawdę...

Zdawszy sobie sprawę, że pragnęła być nieżyczliwa, Dorota umilkła.

- To odpychająca niewiasta - zgodził się Proboszcz. - No ale co z tego? Kto kiedy słyszał o żonie biskupa, żeby nie była obrzydliwa?

- Ale ojciec, wydaje mi się, że nie potrafię cię przekonać, jak kiepsko stoją nasze sprawy! Po prostu nie mamy ani pensa na przeżycie następnego miesiąca. Nie wiem nawet skąd wziąć na mięso na dzisiejszy obiad.

- Na lunch, Doroto, na lunch! - poprawił Proboszcz z odcieniem irytacji.

- Chciałbym, żebyś się wyzbyła tego wstrętnego obyczaju klas niższych nazywanego południowego posiłku obiadem.

- No więc na lunch. Skąd mamy wziąć mięso? Nie śmiem prosić Cargilla o następną pieczeń.

- Idź do innego rzeźnika - jakże się on nazywa? Salter? - i nie przejmuj się Cargillem. On wie, że wcześniej czy później zostanie splecony. Na litość, nie wiem o co ten cały rwetes! Czyż nie wszyscy zalegają z pieniędzmi swoim kupcom? Pamiętam wyraźnie... - Proboszcz rozprostował nieco ramiona, wkładając znowu fajkę do ust, spojrzał w przestrzeń; jego głos począł brzmieć wspomnieniowo i stał się słyszalnie sympatyczniejszy

- ...pamiętam wyraźnie, że kiedy byłem w Orfordzie, mój ojciec jeszcze nie zapłacił jakichś swoich oxfordzkich rachunków sprzed trzydziestu lat. Tom - (Tom był stryjecznym bratem Proboszcza, baronetem) - był winien siedem tysięcy zanim doszedł do swoich pieniędzy. Sam mi o tym powiedział.

Ostatnia nadzieja Doroty zgasła. Kiedy ojciec zaczynał mówić o swoim stryjecznym bracie, Tomie i o tym, co się działo „kiedy byłem w Oxfordzie”, niczego już zeń nie dało się wyciągnąć. Znaczyło to, że umknął w wyimaginowaną złotą przeszłość, w której rzeczy tak wulgarne jak rachunki od rzeźnika po prostu nie istnieją. Zdarzały się długie okresy, kiedy sprawiał wrażenie jakby zupełnie zapomniał, że był jedynie dotkniętym biedą prowincjonalnym proboszczem - a nie młodym mężczyzną z zamożnego rodu, ze spadkiem do wzięcia. We wszystkich okolicznościach za najbardziej naturalny uważał arystokratyczny, rozrzutny styl życia. Rzecz jasna, kiedy nie bez upodobania bujał w świecie wyobraźni, Dorota musiała staczać boje z kupcami i sprawiać, by barani udziec starczał od niedzieli do środy. Wiedziała, że wszelki dalszy spór z ojcem był zupełnie bezprzedmiotowy. Mógłby się skończyć wyłącznie wprawieniem go w gniew. Wstała od stołu i zaczęła piętrzyć naczyńia na tacy.

- Jesteś zupełnie pewien, że nie możesz mi dać żadnych pieniędzy, ojciec - spytała po raz ostatni, już w drzwiach, trzymając tacę w dłoniach.

Wpatrzony w nieokreślony punkt przestrzeni, spowity kłębammi przyjemnego dymu, Proboszcz nie słyszał. Myślami był najpewniej w swoich złotych czasach Oxfordu. Dorota wyszła z pokoju roztrzęsiona nieomal do łez. Przygnębiona

kwestia długów raz jeszcze została odstawiona na półkę, jak bywała odstawiana już wcześniej, tysiące razy, bez nadziei na ostateczne jej rozwiązanie.

3.

Dorota zjeżdżała ze wzgórze na starym rowerze, z przyczepionym do kierownicy koszykiem, obmyślając sposób zagospodarowania trzech funtów, dziewięciu szylingów i czterech pensów - całego kapitału, jaki jej został od dnia płatności rachunków za miniony kwartał.

Układała spis rzeczy potrzebnych w kuchni. Ale czyż istnieje coś, co nie jest potrzebne w kuchni? Herbata, kawa, mydło, zapalki, świece, cukier, soczewica, drewno opałowe, soda, nafta do lampy, pasta do butów, margaryna, proszek do pieczenia - z tym wszystkim było naprawdę krucho. W dodatku co chwila wyskakiwała z zapomnienia jakaś sprawa, dopełniając przygnębienia. Na przykład rachunek z pralni, i to, że ubywało węgla, i sprawa ryby na piątek. Proboszcz przebierał w rybach. Mówiąc brutalnie, jadał tylko droższe gatunki: nie uznawał witlinków, dorszy, szprotów, rai, śledzi, nawet wędzonych.

Tymczasem jednak musiała zdecydować, co podać na dzisiejszy obiad - „lunch” (Dorota starała się być posłuszną ojcu i kiedy pamiętała, nazywała to lunchem. Z drugiej strony, nie można było uczciwie nazywać posiłku wieczornego inaczej niż „kolacją”; tak więc na plebani nie istniało coś takiego jak „obiad”). Najlepiej na dzisiejszy lunch usmażyć omlet, zdecydowała. Nie miała odwagi iść znowu do Cargilla. Choć, oczywiście, gdyby podać na lunch omlet, a na kolację jajecnicę, ojciec prawdopodobnie kręciłby nosem. Ostatnim razem, gdy jednego dnia jedli dwukrotnie jaja, spytał chłodno, „czy założyłaś fermę kurzą, Doroto?” Możliwe, że jutro dostanie dwa funty parówek z Internationalu, to by załatwiło problem mięsa na jeszcze jeden dzień.

Zaopatrzyć dom w ciągu trzydziestu dziewięciu następnym dni za trzy funty, dziewiętnaście szylingów i cztery pensy - myśl o tym wynurzyła się z wyobraźni wypełniając ją falą współczucia dla samej siebie, co zgaśniła niemal natychmiast. A cóż to, Doroto! Bez biadolonia, proszę! Wszystko się jakoś ułoży, jeżeli będziecie wierzyć w Boga. Mateusz VI, 25. Bóg cię zaopatrzy. Nie zechce? Dorota oderwała prawą dłoń od rączki kierownicy i jęła szukać szpilki ze szklaną główką, ale bluźniercza myśl zgasła. W tej chwili zauważyła ponurą, czerwoną gębę Proggetta, który gwałtownie, ale z szacunkiem pozdrowił ją z pobocza drogi.

Dorota zatrzymała się i zeszła z roweru.

- Przebaczcie panienko - powiedział Progett. - Chciałem z wami pogadać, panienko, osobno.

Dorota westchnęła w duchu. Kiedy Progett chciał mówić „osobno”, można było mieć całkowitą pewność, co leżało mu na wątrobie; miał jakąś niecierpiącą zwłoki wiadomość o stanie kościoła. Progett był pesymistą, człowiekiem trzeźwo myślącym i bardzo lojalnym kościelnym, swoistego zresztą rodzaju. Zbyt ciemny na umyśle, by mieć jakieś określone wierzenia religijne, wykazywał pobożność poprzez nieustanną troskę o stan kościelnych zabudowań. Uznał już dawno, że Kościół Chrystusowy stanowią konkretne ściany, dach, wieża św. Athelstana, Knype Hill.

Potrafił uwijać się wokół kościoła przez wszystkie godziny dnia, wypatrując posępnie pęknięcia kamienia w jednym miejscu, zżartej przez robactwo belki w drugim - a potem, oczywiście, przychodził gnębić Dorotę żadaniami napraw, które pochłonęłyby niemożliwe sumy pieniędzy.

- O co chodzi, panie Progett? - spytała Dorota.

- Ano, panienko to som... - wydał osobliwy, niedokończony dźwięk, nie żadne słowo, ale tchnienie słowa, które w ustach Progetta nie przybierało żadnego kształtu. Chyba zaczynało się na „d”. Progett należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy wiecznie stoją na krawędzi przekleństwa i którzy zawsze potrafią schwycić kłatwę w chwili, kiedy ta usiłuje przemknąć między zębami. - To ty dzwony, panienko, we wieży kościelny. Wciskają się w podłogę dzwonnicy tak, że byś się nielecho wzdygła na jeich widok. Zapadno, ani chybi, zaczem się obejrzymy. Byłem na dzwonnicy dziś rano i powiadam ci, zleciałem stamtąd szybcy, niżem właz, jagem obaczył, jak się pod niemi podłoga zapada.

Progett składał skargi na stan dzwonów nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie. Od trzech już lat stały na podłodze dzwonnicy, ponieważ koszt ich ponownego zawieszenia albo usunięcia obliczano na dwadzieścia pięć funtów, co było równie nierealne, jak gdyby wynosił dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Dzwony stanowiły niemal dokładnie takie zagrożenie, jakie rysował Progett. Było dość pewne, że jeśli nie w tym, czy w przyszłym roku, to kiedyś w niedługiej przyszłości spadną przez podłogę dzwonnicy do kruchty kościelnej. I, co Progett lubił podkreślać, stanie się to prawdopodobnie w niedzielę rano, właśnie w chwili, kiedy wierni przybywają do kościoła.

Dorota westchnęła ponownie. Te przekłete dzwony nigdy na długo nie opuszczały jej pamięci; bywało, że myśl o nich przedzierała się nawet do snów. Z kościołem zawsze bywały takie lub inne kłopoty. Jeżeli nie z dzwonnicy, to z dachem lub ścianami albo pękniętą ławą, za której naprawę

stolarz zażądał dziesięciu szylingów, albo trzeba było nabyć siedem śpiewników po półtora szylinga sztuka, albo zatkał się przewód kominowy, a za jego przeczyszczenie trzeba dać poi korony, albo stłukła się okienna szyba, albo wystrzępiły sutanny chóru chłopięcego. Nigdy na nic nie starczało pieniędzy. Od kiedy Proboszcz przed pięcioma laty wymógł nabycie nowych organów - stare, powiadał, przypominały mu krowę chorą na astmę - Fundusz Utrzymania Kościoła chronicznie chwiał się pod ich ciężarem.

- Nie wiem, co moglibyśmy zrobić - odezwała się w końcu Dorota. - Naprawdę nie wiem. Po prostu nie mamy żadnych pieniędzy. Nawet jeśli zarobimy tą szkolną sztuką, wszystko pójdzie na fundusz organowy. Ludzie od organów stają się prawdziwie uprzykrzeni z powodu swoich rachunków. Mówiłeś o tym z ojcem?

- Tak, panienko. Palcem nawet nie kiwnął. Dzwonnica wytrzymała pińćset lat, powiada, możemy zaufać, że wytrzyma jeszcze kilka.

To było zgodne z tradycją. Fakt, że kościół walił się w sposób widoczny na jego głowę, nie robił na Proboszczu żadnego wrażenia; po prostu ignorował to, jak ignorował wszystko, czym nie chciał, by go kłopotano.

- No więc, nie wiem, co możemy zrobić - powtórzyła, Dorota. - Oczywiście, za tydzień będzie wenta dobroczynna. Liczę, że panna Mayfill ofiaruje nam coś naprawdę ładnego na tę wentę. Wiem, że może sobie na to pozwolić. Ma tak dużo mebli i rzeczy, których nigdy nie używa. Byłam kiedyś w jej domu, widziałam przepiękny serwis porcelanowy do herbaty, roboty Lowe-stofta, odstawiony do szafy, a ona powiedziała mi, że nie używa go od ponad dwudziestu lat. Załóżmy, że da nam ten serwis! Można by za niego dostać funtów a funtów. Musimy się po prostu modlić, żeby się nam udała wenta, Progett. Modlę się, żeby nam przyniosła co najmniej pięć funtów. Jestem pewna, że jakoś te pieniądze zdobędziemy, jeśli się będziemy modlić o nie prawdziwie i szczerze.

- Tak, panienko - zgodził się Progett z szacunkiem i przeniósł spojrzenie w siną dal.

W tej chwili rozległ się klakson i wielki, lśniący, błękitny pojazd przejechał powoli drogą w dół, kierując się ku ulicy Głównej. Z okna wychylał ulizaną, czarną głowę pan Blifil-Gordon, właściciel cukrowni odziany w zupełnie niestosowny tweed Harrisa w kolorze piasku. Przejeżdżając - zamiast, jak zwykle, zignorować Dorotę - zajaśniał ku niej uśmiechem tak ciepłym, że niemal miłosnym. Był z nim jego najstarszy syn Ralph - albo, jak on sam i reszta rodziny, wymawiał - Walph, dwudziestoletni chłopiec hermafrodyta, oddany pisywaniu pod Eliota poematów w *vers libre*, oraz dwie córki Lorda

Poathorne'a. Uśmiechali się wszyscy, nawet córki Lorda Poathorne'a. Zdumiała to Dorotę, ponieważ od wielu lat żadne z tych ludzi nie raczyło zauważyć jej na ulicy.

– Pan Blifil-Gordon jest dziś nastrojony bardzo przyjaźnie - zauważyła.

- No, panienko. Łeb dam, że tak. Za tydzień wybory, to przez to. Do serca ich przyłoż, póki niepewni, czy beesz na nich głosować; potem zapomno, w następnym dniu, jak człeku wyglondasz.

- Ach, te wybory! - mruknęła Dorota. Wybory parlamentarne były tak odległe od codziennych kłopotów parafii, że się nimi zupełnie nie przejmowała - mając słabe, naprawdę, pojęcie o różnicach między liberałami, konserwatystami czy socjalistami i komunistami. - Dobrze, Progett - rzekła zapominając natychmiast o wyborach na rzecz czegoś znacznie ważniejszego - porozmawiam z ojcem i powiem mu jak niebezpieczne są te dzwony. Myślę, że najlepsze co możemy zrobić, to ogłosić składkę na same dzwony. Moglibyśmy bez trudu zebrać z pięć funtów. Albo nawet dziesięć! Nie myślisz, że gdybym poszła do panny Mayfill i poprosiła ją o zainaugurowanie składki pięcioma funtami, dałaby je nam?

- Uwierz mi, panienko, nie daj Bóg, żeby panna Mayfill cokolwiek o tem usłyszała. To by jom dobiło. Gdyby wiedziała, że ta wieża nie jes bezpieczna, nigdybyśmy już ji do kościoła nie zaciągu'.

- Do Ucha, masz chyba słusność.

- Nie, panienko. Z ni my nic nie wydusim; ty stary...

Upiorne „d” raz jeszcze wypsnęło się z ust Progettta. Z pewną teraz ulgą, po tym jak zdał swoją codwutygodniową relację w sprawie dzwonów, dotknął czapki i odszedł, podczas gdy Dorota ruszyła ku ulicy Głównej z bliźniaczym problemem: długów sklepowych i kosztów utrzymania kościoła - ścigającymi się w jej myślach niczym przemienne refreny przyśpiewek.

Wyblakłe jeszcze słońce, grające teraz w chowanego, jak w kwietniu, wśród wehnistych wysepek chmur, posłało ku ulicy Głównej ukośny promień, złocąc frontony strony pomocnej. Była to jedna z tych sennych staroświeckich ulic, jakie zdają się tak idealnie spokojne podczas przypadkowych wizyt i tak bardzo różne, kiedy się przy nich mieszka i ma za każdym oknem wroga lub wierzyciela. Jedynymi, zdecydowanie rzucającymi się w oczy, budynkami były „Stara Herbaciarnia” (z wbitymi w tynk niby-belkami, o oknach z butelkowego szkła i z odrażającym falistym dachem, jakie miewają chińskie świątynie) i nowa, wsparta na kolumnach poczta. Po około dwustu jardach ulica Główna rozszczepiała się tworząc mały ryneček ozdobiony pompą - teraz nieczynną -i dwiema kłodami. Po obu stronach pompy znajdowały się naczelną karczma

tego miasta - „Kompan i Butelka” oraz Klub Konserwatystów Knype Hill. Na końcu, panując nad ulicą, mieścił się przerażający sklep Cargilla.

Tuż za rogiem ulicy Dorota wjechała w przeraźliwy hałas wiwatów zmieszanych z dźwiękami pieśni *Rządź, Brytanio!*, granej na puzonie. Senna zazwyczaj ulica była czarna od ludzi, których coraz więcej śpieszyło ze wszystkich przecznic. Niewątpliwie odbywało się coś w rodzaju pochodu triumfalnego. W poprzek ulicy, od dachu „Kompana i Butelki” do dachu Klubu Konserwatystów, wisiała lina z niezliczoną ilością błękitnych chorągiewek, a na jej środku długi transparent z napisem »Blifil-Gordon i Imperium!*. Z szybkością pieszego zbliżał się ku niemu samochód Blifila-Gordona, uśmiechającego się szeroko raz ku jednej, to znowu ku drugiej stronie. Przed samochodem maszerował, poprzedzany przez przejętego gorliwością małego człowieczka grającego na puzonie, oddział Murzynów, niosący zespołowo inny transparent z napisem:

"Kto ustrzeże Brytanię przed czerwonymi?

BLIFIL-GORDON!

Kto znów napelni twój kufel piwem?

BLIFIL-GORDON!

BLIFIL-GORDON na zawsze!"

Z okna Klubu Konserwatystów powiewał olbrzymi sztandar brytyjski, nad którym lśniło entuzjazmem sześć szkarłatnych twarzy.

Dorota pedałowiała powoli w dół ulicy, zbyt zdenerwowana perspektywą przejazdu obok sklepu Cargilla (chcąc dotrzeć do Solepipe'a, musiała tamtędy przejechać), by się uważniej przyglądać pochodowi. Samochód Blifila-Gordona zatrzymał się na chwilę przed „Starą Herbaciarnią”. Naprzód, kawowa brygady! Połowa miejskich dam ruszyła hurmem, z salonowymi pieskami i koszykami w dłoniach, by stłoczyć się wokół samochodu niczym bachantki wokół wozu bożka wina. Bo tak już jest, że wybory dają jedyną szansę wymiany uśmiechów z hrabiostwem. Rozległy się pełne zapału krzyki niewieście: „Powodzenia, panie Blifil-Gordon! Drogi panie Blifil-Gordon! Mamy nadzieję, że pan wejdzie, panie Blifil-Gordon!” Hojność uśmiechów pana Blifila-Gordona była niewyczerpana, ale dozowana starannie. Dla pospólstwa miał uśmiech rozproszony, ogólny, nie zatrzymujący się na jednostkach; dla kawiarnianych pań i tych sześciu szkarłatnych patriotów z Klubu Konserwatystów miał po jednym uśmiechu dla każdego; najbardziej wyróżnianemu ze wszystkich, młodemu Walphowi, postać osobny gest dłoni i skrzekliwe „cheewio”!*

* Cheewio - okrzyk lub zawołanie w rodzaju naszego serwus lub tp.

Serce Doroty zamarło. Spostrzegła pana Cargilla stojącego z grupą sprzedawców na stopniach przed sklepem. Był to wysoki mężczyzna o złym spojrzeniu, w fartuchu w błękitne pasy, z chudą, jakby obitą głową, purpurową niby kawał wołowiny, co zbyt długo leżała na jego wystawie. Oczy Doroty tak zafascynowała ta złowieszcza figura, że nie patrzyła jak jedzie i zderzyła się z bardzo dużym, masywnym chłopem, który aż się cofnął z chodnika.

Masywny chłop uczynił obrót. - Wielkie nieba! To Dorota! - wykrzyknął.

- Ach, pan Warburton. Coś niebywałego! Wie pan, miałam przeczucie, że dziś pana spotkam!

- Klując się w palec, jak przypuszczam? - powiedział pan Warburton, jaśniejac całą wielką, różową twarzą Dickensowskiego Micawbera.* - Jakże się miewasz? Ale, na Jowisza! - dodał - po cóż ja o to pytam? Wyglądasz bardziej czarująco niż zwykle.

Uszczypnął nagi łokieć Doroty - po śniadaniu przebrała się w kraciastą sukienkę bez rękawów. Dorota cofnęła się spiesznie, by stanąć poza jego zasięgiem - nienawidziła być szczypaną czy w ogóle tarmoszoną - i odezwała się raczej surowo:

- Proszę mnie nie szczypać w łokieć. Nie lubię tego.

- Moja droga Doroto, a któż się może oprzeć łokciowi takiemu jak twój? To taki rodzaj łokcia, który się szczypie automatycznie. Odruch warunkowy, jeżeli mnie chwytasz.

- Kiedyż pan wrócił do Knype Hill? - spytała Dorota, wstawivszy rower pomiędzy siebie i pana Warburtona. - Nie widziałam pana już ponad dwa miesiące.

- Wróciłem przedwczoraj. Ale to tylko taka przelotna wizyta. Jutro znów znikam. Zabieram dzieci do Bretanii. Wiesz, te bękarty.

Fan Warburton wymówił słowo „bękarty”, które Dorocie sprawiało przykrość, z odcieniem naiwnej dumy. Stanowił on (i jego „bękarty” - miał ich troje) jeden z głównych skandali Knype Hill. Był człowiekiem o niezależnych dochodach, nazywał siebie malarzem - produkował co roku około pół tuzina średniej klasy pejzaży, przybył do Knype Hill przed dwoma laty i nabył jedną z nowych willi zbudowanych za plebanią. Tam mieszkał, albo raczej zatrzymywał się czasem, w jawnym konkubinacie z kobietą, którą nazywał gospodynią. Przed czterema miesiącami ta kobieta - była cudzoziemką, powiadano, że Hiszpanką - spowodowała nowy i jeszcze gorszy skandal nagle go opuszczając, a trójka jego dzieci przebywała teraz przy schorowanym od dawna

* Micawber - charakterystyczna postać z powieści Dickensa *Dawid Copperfield*.

kuzynie z Londynu. Pan Warbuiton prezentował się zdrowo; a chociaż był całkowicie łysy (dokładał niezwykłych starań, żeby to ukryć), wyglądał imponująco; tak dziarsko się zawsze nadymał, że wydawało się, iż jego zacnie pokazny brzuch jest rodzajem dodatku do torsu. Liczył sobie lat czterdzieści osiem, ale przyznawał się do czterdziestu czterech. Ludzie w mieście mówili, że to „prawdziwy stary zbój”; młode dziewczęta bały się go, nie bez powodu zresztą.

Pan Warburton położył, niby po ojcowsku, dłoń na ramieniu Doroty i przepychał ją poprzez tłum, mówiąc przez cały czas niemal bez przerwy. Samochód Blifila-Gordona, objechawszy pompę, zawracał, ciągle w towarzystwie grupy bachantek w średnim wieku. Spozrzegłszy je pan Warburton przerwał, by się lepiej przyjrzeć.

- Co znaczy ta odrażająca błazenada? - spytał.

- Ach, one - jakże to nazywają? - elekcjonują. Próbują nas nakłonić, żebyśmy na nich głosowali, jak sądzę.

- Próbują nas nakłonić, żebyśmy na nich głosowali! Dobry Boże! - mruczał pan Warburton, patrząc na ten triumfalny pochód. Podniósł dużą, zakończoną srebrną gałką laskę, którą nosił zawsze, i wycelował, dość zamaszycie, najpierw w jedną postać z pochodu, potem w drugą. - Spójrz na to! No tylko spójrz na to! Na te płaszczące się wiedźmy, na te głupawe idiotki szczerzące do nas zęby jak osioł na widok koszyka orzechów. Widziałas kiedy równie odrażający spektakl?

- Bądźże ostrożny - fuknęła Dorota. - Z pewnością ktoś cię usłyszysz.

- I dobrze! - powiedział pan Warburton, podnosząc natychmiast głos. - Pomyśleć, że ten marny kundel ma czelność myśleć, że robi nam przyjemność widokiem swoich sztucznych zębów! A to ubranie, w jakie się odział, toż to obraza sama w sobie. Nie ma tu kandydata socjalistów? Jeśli jest, będę z pewnością głosował na niego.

Kilkoro ludzi na chodniku odwróciło się i wytrzeszczyło oczy. Dorota dostrzegła drobnego pana Twissa, właściciela sklepu żelaznego, zasuszonego staruszka koloru wyprawionej skóry, który patrzył pilnie spoza koszyków z sitowia, uwieszonych w jego drzwiach, z nieukrywaną wrogością. Złowił słowo „socjalista” i notował sobie w pamięci pana Warburtona jako socjalistę, a Dorotę jako przyjaciółkę socjalistów.

- Muszę już iść, doprawdy - powiedziała Dorota pośpiesznie, czując, że byłoby lepiej, gdyby uciekła zanim pan Warburton palnie coś jeszcze bardziej nietaktownego. - Mam zawsze do zrobienia tyle zakupów. Muszę więc teraz powiedzieć panu: żegnam.

- Ach, nie, nie zrobisz tego! - rzucił pan Warburton wesoło. - Nie ma mowy! Pójdę z tobą.

Podczas gdy zjeżdżała rowerem w dół ulicy, on maszerował u jej boku, nadal mówiąc, z szeroką pierśią dumnie wysuniętą do przodu, z laseczką wetkniętą pod ramię. Miał opinię człowieka, którego niełatwo się pozbyć, i jakkolwiek zaliczała go do przyjaciół, pragnęła niekiedy, jako że on był miejscowym skandalistą, a ona córką Proboszcza, by na rozmowy z nią nie wybierał zawsze miejsc publicznych. Aliści w tym momencie czuła się nawet rada z jego asysty, bo wyraźnie ułatwiał jej przejście obok sklepu Cargilla - Cargill nadal sterczał w swoich drzwiach i patrzył na nią spode łba wielce wymownie.

-Miałem trochę szczęścia, spotykając cię dziś rano - ciągnął pan Warburton. - Szukałem cię, w rzeczy samej. Kto, jak sądzisz, przyjdzie do mnie dziś wieczór na kolację? Bewley, Ronald Bewley. Słyszałaś o nim, czywiście?

- Ronald Bewley? Nie, nie sądzę. Kto to jest?

- A do diabła! Ronald Bewley, powieściopisarz. Autor *Stawów rybnych i konkubin*. Z pewnością czytałaś *Stawy rybne i konkubiny*.

- Nie, obawiam się, że nie czytałam. Prawdę mówiąc nigdy o nim nie słyszałam.

- Moja droga Doroto! Ty się zaniedbujesz! Z pewnością powinnaś przeczytać *Stawy rybne i konkubiny*. To pieprzny kawałek, zapewniam cię - prawdziwa, wysokiej klasy pornografia. To właśnie ten gatunek, jakiego ci trzeba, żebyś przestała się karmić *Poradnikiem dla skautek*.

- Chciałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy! - powiedziała Dorota, uciekając spłoszonym wzrokiem, a natychmiast potem rzucając spojrzenie za siebie, ponieważ świdrowało ją oko Cargilla. - Gdzie mieszka pan Bewley? - spytała. - Nie tu z pewnością, nieprawdaż?

- Nie. Przyjeżdża na kolację z Ipswich i prawdopodobnie zostanie na noc. Dlatego cię właśnie szukałem. Pomyślałem, że byłoby ci miło go spotkać. Nie przyszlabyś wieczorem na kolację?

- Chyba nie mogłabym przyjść na kolację - powiedziała Dorota. - Muszę dopilnować kolacji ojca i tysiąca innych spraw. Nie będę wolna do ósmej albo nawet dłużej.

-W porządku, przyjdź więc po kolacji. Chciałabym, żebyś poznała Bewleya. To interesujący facet - bardzo *au fait*, ze wszystkim: skandalami z Blooms-bury i im podobnymi. Ubawisz się tym spotkaniem. Dobrze ci zrobi ucieczka z kościelnego kojca choćby na parę godzin.

Dorota wahała się. Kusilo ją. Prawdę powiedziawszy bardzo lubiła przypadkowe wizyty w domu pana Warburtona. Ale oczywiście były to bardzo przypadkowe wizyty - co najwyżej raz na trzy, cztery miesiące, nie wypadało, oczywiście, „zadawać się” z podobnym mężczyzną zbyt swobodnie. Nawet kiedy szła do jego domu, uprzednio starała się upewnić, że będzie tam jeszcze co najmniej jeden gość.

Przed dwoma laty, kiedy pan Warburton przybył po raz pierwszy do Knype Hill (pozował wtedy na wdowca z dwojgiem dzieci; jakkolwiek nieco później gospodyni urodziła w środku nocy trzecie), Dorota poznała go na jednej z „herbatek”, a potem doń telefonowała. Pan Warburton poczęstował ją wspaniałą herbatą, mówił rozkosznie o książkach, a po herbacie natychmiast usiadł obok na sofie i zaczął się do niej czulić gwałtownie, niegodziwie, wręcz brutalnie. Była to w istocie zniewaga. Dorota przeraziła się niemal do utraty przytomności, ale nie aż tak, by się nie opierać. Wyrwała się i znalazła schronienie po drugiej stronie sofy, błada, drżąca, prawie we łzach. Natomiast pan Warburton, pozbawiony uczucia wstydu, zdawał się nawet ubawiony.

- Ach, jak mogłeś, jak mogłeś? - zatkąła.

- Wygląda na to, że nie mogłem - odparł pan Warburton.

- Ach, ale jak mogłeś być tak grubiański?

- Ach, to? Spokojnie, moje dziecko, spokojnie. Zrozumiesz to, kiedy dojdiesz do mojego wieku.

Mimo tak złego początku zawiązał się pomiędzy nimi rodzaj przyjaźni, nawet do tego stopnia, że zaczęto o Dorocie mówić w związku z panem Warburtonem. W Knype Hill nie trzeba było wiele, żeby trafić na języki. Widywała go z rzadka i czyniła największe starania, by nigdy nie zostać z nim sam na sam, ale nawet wtedy znajdował okazje, by się do niej dorwać i poczulić. Tyle, że robił to już po dżentelmeńsku; pierwszy niedopuszczalny incydent nigdy się nie powtórzył. Potem, kiedy mu wybaczyła, pan Warburton wyjaśnił, że „zawsze tak próbował”, z każdą atrakcyjną kobietą, jaką spotkał.

- Nie obrywałeś za to po gębie? - Dorota nie potrafiła odmówić sobie tego pytania.

- Och, oczywiście. Ale, jak wiesz, odniosłem też sporo sukcesów.

Ludzie zastanawiali się czasem, dlaczego dziewczyna w rodzaju Doroty zadaje się, nawet przypadkowo, z człowiekiem w typie pana Warburtona; najwyraźniej jego wpływ na nią był wpływem, jaki bluźniercy i nicponie wywierają na pobożnisiów. To fakt, wystarczy się wokół rozejrzeć, by się przekonać, że pobożnisie i niemoralni dryfują ku sobie w sposób naturalny. Najlepsze sceny burdelowe w literaturze zostały napisane, bez wyjątku, przez

pobożnych wiernych albo pobożnych niewiernych. Oczywiście Dorota, urodzona w wieku dwudziestym, starała się wysłuchiwać bluźnieństw pana Warburtona tak spokojnie, jak to tylko możliwe; fatalnie jest pochlebiać grzesznikom dając im poznać, że nas szokują. Poza tym, szczerze go lubiła. Dokuczał jej i doprowadzał do rozpacz, a jednak brała odeń, nawet sobie z tego nie zdając sprawy, te rodzaje współczucia i zrozumienia, jakich nie mogła otrzymać gdzie indziej. Mimo wszystkich występków dawał się wyraźnie lubić, zaś tandetna błyskotliwość jego konwersacji - siedem razy precedzony Oskar Wilde - której z powodu całkowitego nieobycia nie potrafiła przejrzeć, szokując ją - zarazem fascynowała. Prawdopodobnie nie bez znaczenia okazała się w tym przypadku perspektywa spotkania sławnego pana Bewleya; choć oczywiście *Stawy rybne i konkubiny* pobrzmiwały jak ten rodzaj książek, których nie czytywała albo za ich przeczytanie musiała sobie narzucać surową pokutę. W Londynie, bez wątpienia, nie trzeba przechodzić na drugą stronę ulicy, żeby ujrzeć pięćdziesięciu powieściopisarzy, ale w miejscowościach takich jak Knype Hill rzeczy mają się inaczej.

- Jesteś pewien, że pan Bewley przyjedzie? - spytała.

- Dość pewien. Mam nadzieję, że przyjedzie także jego żona. Stuprocentowa przyzwoitka. Tego wieczoru żadnych numerów & la Tarquin czy Lukrecja.

- No dobrze - powiedziała wreszcie Dorota. - Bardzo dziękuję. Przyjdę około pół do dziewiątej, jak myślę.

- Świetnie. Gdyby ci się udało przyjść za dnia, byłoby jeszcze lepiej. Pamiętaj, że moją najbliższą sąsiadką jest pani Semprill. Możemy na nią liczyć, że stawi się na *qui vive* w każdej chwili po zachodzie słońca.

Pani Semprill była miasteczkową plotkarką, a właściwie najbardziej znaną spośród licznych miejscowych plotkarek. Otrzymałszy to, czego pragnął (nieustannie molestował Dorotę, żeby przychodziła do jego domu częściej), pan Warburton powiedział *au revoir* i oddalił się, pozwalając Dorocie dokonać reszty zakupów.

W na poły ciemnym sklepie Solepipe'a, gdy właśnie odchodziła od lady niosąc dwa i pół jarda materiału na zasłonę okienną, rozpoznała przy uchu niski, grobowy głos. To pani Semprill. Wiotka osoba około czterdziestki, o wychudzonej, ziemistej, zauważalnej twarzy, która dzięki ciemnym, lśniącym włosom i usadowionej w niej melancholii miała w sobie coś z portretów Van Dycka. Okopana przy oknie za stertami kretonów, śledziła rozmowę Doroty z panem Warburtonem. Kiedy się robiło coś, czego pani Semprill nie powinna widzieć, można było mieć pewność, że właśnie jest gdzieś w pobliżu. Posiadała zdolność materializowania się sposobem arabskich dżinów w każdym miejscu,

zawsze niepożądana. Żadna nieostrożność, nawet najmniejsza, nie umknęła przed jej wścibstwem. Pan Warburton zwykł mawiać, że przypomina mu cztery bestie Apokalipsy: „są jak pamiętasz, pełne oczu i nie odpoczywają ani dniem, ani nocą”.

-Doroto, najdroższa-mruczała pani Semprill zasmuconym, afektowanym głosem kogoś przekazującego złą wiadomość tak delikatnie, jak to możliwe. - Tak bardzo chciałabym z tobą porozmawiać. Mam ci coś po prostu okropnego do powiedzenia - coś, co cię naprawdę przerazi.

- Co mianowicie? - spytała Dorota z rezygnacją, dobrze wiedząc na co się zanosí; pani Semprill знаła tylko jeden temat rozmowy.

Wyszły ze sklepu i ruszyły w dół ulicy. Dorota pchała swój rower, pani Semprill dreptała u jej boku drobnym ptasim kroczeniem, zbliżając usta coraz bliżej i bliżej do ucha Doroty, jako że jej uwagi stawały się coraz intymniejsze.

- Być może zauważyłaś - zaczęła - tę dziewczynę, która siaduje na końcu ławy najbliższej kościelnych organów? Jest to dość przyjemna dziewczyna, ma rude włosy. Nie mam pojęcia jak się nazywa - ciągnęła pani Semprill, która znała w Knype Hill nazwiska i wszystkie imiona każdego mężczyzny, kobiety i dziecka.

- Molly Freeman-podpowiedziała Dorota.-Jest siostrzenicą Freemana, zieleniarza.

- Och, Molly Freeman? Czy to jej nazwisko? Często się zastanawiałam. No dobrze...

Delikatne, czerwone usta przysunęły się bliżej, żalobny głos utonął we wstrząśniętym sobą samym szepcie. Pani Semprill zaczęła sączyć strumyk ropiejących pomówień łączących Molly Freeman z sześcioma młodymi mężczyznami, pracującymi w cukrowni. Po kilku chwilach opowieść stała się tak skandaliczna, że Dorota, zarumieniona, cofnęła spieszenie ucho od szepczących warg pani Semprill. Zatrzymała rower.

- Nie chcę takich rzeczy słuchać! - powiedziała gwałtownie. - Wiem, że to nieprawda, co pani mówi o Molly Freeman. To nie może być prawda! To taka porządna dziewczyna, była jedną z moich najlepszych skautek, zawsze tak chętna do pomocy przy organizowaniu dobroczynnych went i we wszystkim. Jestem absolutnie pewna, że nie mogłaby robić takich rzeczy, o jakich pani opowiada.

- Ależ Doroto, najdroższa! Mówię jak było. Widziałam na własne oczy...

- Nic mnie to nie obchodzi! To nie jest w porządku, mówić takie rzeczy o innych ludziach. Nawet gdyby były prawdziwe, nie byłoby w porządku powtarzać je. I bez szukania dosyć jest zła na świecie.

- Szukania! - westchnęła pani Semprill. - Ależ, moja droga Doroto, to tak, jakby ktoś kiedyś chciał, czy potrzebował szukać! Kłopot w tym, że nie można nie dostrzegać tych wszystkich okropnych występków, jakie dzieją się w naszym mieście.

Pani Semprill była zawsze zdziwiona, gdy się ją oskarżało o wyszukiwanie tematów na skandal. „Nic” - zwykła protestować - „nie boli mnie bardziej niż przejawy ludzkiego bezceństwa”. Ale było ono systematycznie narzucane jej niechętnym oczom, a surowe poczucie obowiązku skłaniało do jego rozgłaszania. Uwagi Doroty, nie zdolne jej uciszyć, podnieciły tylko do mówienia o powszechnym zepsuciu w Knype Hill, gdzie brzydkie postęпки Molly Freeman stanowią zaledwie jeden z przykładów. I tak od Molly Freeman i jej sześciu młodych mężczyzn przeszła do doktora Gaythorne'a, urzędnika z miejskiego wydziału zdrowia, który wpędził w ciążę dwie pielęgniarki ze szpitala wiejskiego, potem do pani Corn, żony urzędnika magistrackiego, znalezionej w polu, pijanej w trupa wodą kolońską, potem do wikarego od św. Wedekinda w Millborough, który wplątał się w haniebny skandal z chłopcem-chórzystą; ciągnęła dalej, jedno wynikało z drugiego. Bo nie było w mieście ani w okolicznych wsiach żadnej chyba duszy, o której pani Semprill, gdyby jej słuchać wystarczająco długo, nie byłaby w stanie ujawnić jakichś ropiejących tajemnic.

Rzecz znamienna, jej opowieści były nie tylko brudne i zniesławiające, ale niemal zawsze zawierały w sobie jakiś monstrualny posmak perwersji. Porównana ze zwykłymi w mieście plotkarkami, wypadła jak Freud przy Boccaccio. Słuchając jej opowieści można było sobie wyobrazić, że Knype Hill z jego dwoma tysiącami mieszkańców skupiało więcej wyrafinowanego zła, niż Sodoma i Gomora, i Buenos Aires razem wzięte. W istocie, gdyby się przyjrzeć życiu prowadzonemu przez mieszkańców tego współczesnego „miasta na równinie” - począwszy od menagera miejscowego banku, trwoniącego pieniądze klientów na dzieci z drugiego, bigamicznego małżeństwa, poprzez barmankę z baru „Kompan i Butelka” podającą napoje przy bufecie, odzianą jedynie w głęboko wcięte satynowe majteczki, i poprzez starą pannę Channon, nauczycielkę muzyki, z ukrywaną butelką ginu i anonimowymi Ustami do Maggie White, córki piekarza, która urodziła troje dzieci własnemu bratu - gdyby wziąć pod uwagę tych ludzi, wszystkich, młodych i starych, bogatych i biednych, pogrążonych w potwornych babilońskich występkach, można się dziwić, że płomień nie zstąpił z niebios i natychmiast nie pochłonął tego miasta. Ale kiedy się tego słuchało nieco dłużej, katalog obscenów stawał się tak jednostajny, że aż nieznośnie nudny. Ponieważ w mieście, w którym każdy

jest bigamistą, pederastą albo narkomanem, najgorszy skandal traci swoje żądło. W rzeczy samej pani Semprill była czymś gorszym niż oszczerca: była nudziarą.

Stopień, do jakiego wierzone jej opowieściom, ulegał zmianom. Czasem słowo spływało po ludziach jak po psie woda - była jędzą o niewyparzonej gębie i wszystko, co mówiła, brano za stek łgarstw. Kiedy indziej któreś z jej oskarżeń trafiało w jakąś nieszczęsną osobę i ta potrzebowała miesięcy albo i lat, żeby się odeń uwolnić. Była niewątpliwą sprawczynią zerwania nie mniej niż połowy tuzina zaręczyn, wzniecała niezliczone swary między małżonkami.

Podczas gdy pani Semprill opowiadała, Dorota czyniła bezskuteczne wysiłki pozbycia się jej. Odbijała stopniowo w poprzek ulicy, dopóki nie doprowadziła roweru do prawego krawężnika, ale pani Semprill szła za nią, szepcząc bez ustanku. Nie dochodząc do końca ulicy Głównej, Dorota zebrała się na dosyć stanowczości, by uciec. Stanęła, postawiła prawą stopę na pedale roweru.

- Doprawdy, nie mogę zostać ani chwili dłużej - powiedziała. - Mam tysiąc spraw do załatwienia, a już jestem spóźniona.

- Och, ależ droga Doroto! Mam coś jeszcze, co muszę ci powiedzieć, coś najważniejszego!

- Przykro mi, okropnie się śpieszę. Może kiedy indziej.

- To dotyczy tego okropnego pana Warburtona - powiedziała pani Semprill spieszenie, żeby Dorota nie uciekła nie usłyszawszy. - Właśnie wrócił z Londynu i czy wiesz - chciałam ci powiedzieć właśnie o tym - wiesz, on właśnie...

W tej chwili Dorota uznała, że musi odjechać natychmiast, bez względu na koszt. Nie mogła sobie wyobrazić niczego bardziej niestosownego niż rozmowa z panią Semprill o panu Warburtonie. Dosiadła roweru i tylko z krótkim „przykro mi, naprawdę nie mogę zostać”, ruszyła pospieszenie.

- Chciałam ci powiedzieć, że on sobie wziął nową kobietę! - krzyknęła za nią pani Semprill, w zapale zapomniawszy, że należało wszeptać w ucho ten soczysty smakolyk.

Ale Dorota zniknęła prędko za rogiem, nie oglądając się za siebie, udając, że nic nie słyszała. Było to niemądre, nie opłacało się zbytnio zadzierać z panią Semprill. Każda niechęć do słuchania jej historii była brana jako znak znieprawienia i prowadziła do rozgłaszania nowych, jeszcze gorszych skandali o rozmówcy w chwilę po tym, jak ją pożegnał.

Jadąc ku domowi Dorota myślała o pani Semprill w sposób bezlitosny, za co się się stosownie ukłuła. Naszła ją także inna, raczej niepokojąca myśl, jaka się dotychczas nigdy nie pojawiła, że pani Semprill dowie się niewątpliwie

o jej wieczornej wizycie u pana Warburtona i że prawdopodobnie rozedmie to jutro w coś skandalicznego. Myśl ta przeciągnęła przez umysł Doroty mgliste ostrzeżenie przed złem w chwili, gdy zeskakiwała z roweru u wrót probostwa, przed którymi głupi Jakub, miasteczkowy idiota, trzeciorzędny kretyn o trójkątnej truskawkowoszarłatnej twarzy wałęsał się bezmyślnie chłuszcząc witałkę leszczyny słupek bramy.

4.

Było nieco po jedenastej. Dzień, który niczym przejrzała, ale jeszcze pełna nadziei wdowa udająca siedemnastolatkę, roztaczał niestosowną pogodę kwietnia, przypomniał sobie nagle, że jest sierpień i rozpętał piekący upał.

Dorota jechała w kierunku osady Fennelwick, położonej o milę od Knype Hill. Zawiozła pani Lewin plaster na odciski i wstąpiła do starej pani Pither, by wręczyć jej wycinek z „Daily Mail” o herbacie Angelica, dobrej na reumatyzm. Słońce, płonące w bezchmurnym niebie, paliło jej plecy poprzez kraciastą sukienkę, piaszczysta droga drgała w upale, a rozgrzane płaskie łąki, nad którymi nawet o tej porze roku niezliczone skowronki kłaskały niestrudzenie, były tak zielone, że od patrzenia na nie, bolały oczy. Był to tego rodzaju dzień, jaki ludzie, którzy nie muszą pracować, nazywają „przepięknym”.

Dorota oparła rower o bramę zagrody Pitherów, wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła spocone od kierownicy dłonie. W jaskrawym blasku słońca jej twarz wydawała się zmizerowana i bezbarwna. O tej porannej godzinie wyglądała na swoje lata, a nawet na nieco więcej. W ciągu dnia, a był to zazwyczaj dzień siedemnastogodzinny, przeżywała regularne, zmienne fazy wyczerpania i energii; środek poranka, kiedy wykonywała pierwszą serię „wizyt” przewidzianych na ten dzień, należał do faz nużących.

„Wizyty”, ze względu na odległości, jakie musiała pokonywać rowerem od domu do domu, zajmowały Dorocie czas do obiadu. Każdego dnia swego życia, wyjąwszy niedziele, składała w domach parafian od sześciu do dwunastu wizyt. Zachodziła do zagraconych wnętrz, siadała na wygniecionych, prychających kurzem krzesłach, gawędząc z przepracowanymi, czerwoniczymi gospodyniami; spędzała szybko umykające półgodzinki pomagając przy naprawianiu, prasowaniu, czytała rozdziały *Pisma*, przewijała bandaż na „zepsutych” nogach, wyrażała współczucie cierpiącym na mdłości poranne; bawiła się w baran-baran-bęc z kwaśno pachnącymi dziećmi paćkającymi jej sukienkę na piersiach lepkiemi, małymi rączkami; doradzała jak leczyć chorą aspidistrę,

podpowiadała imiona dla niemowląt, wypijała niezliczone „filiżanki dobrej herbatki” - ponieważ zapracowane kobiety zawsze pragnęły ją podjąć „filiżanką dobrej herbatki” z przeparzanych bez końca imbryczków.

Większość tych zajęć była głęboko zniechęcająca. Niewiele, bardzo niewiele kobiet zdawało się mieć bodaj pomysł na chrześcijańskie życie, jakie Dorota starała się pomóc im prowadzić. Niektóre z nich były wstydlive i podejrzliwe, trwały w defensywie i wymawiały się, kiedy je pilono, by przyszyły do komunii świętej; inne udawały pobożność licząc na drobne datki, jakie mogłyby wyłudzić z kościelnych sum zebranych w skarbonkach; te zaś, które chętnie ją przyjmowały, były w większości bardzo rozmowne, potrzebowały słuchacza dla swoich biadań na „postępki” mężów albo dla niekończących się opowieści o pogrzebach, o odrażających chorobach, na które umarli ich krewni. Dorota wiedziała, że chyba połowa kobiet z jej listy była w głębi duszy niewierząca w sposób tyleż mętny, co nieuświadomiony. Zmagiała się z tym całym dniami

- z owym mętym, pustym niedowiarstwem, tak powszechnym u ludzi niepiśmiennych, wobec którego wszelki argument pozostaje bezsilny. Mimo wszelkich wysiłków nigdy nie zdołała podnieść liczby regularnych komunikantów powyżej tuzina. Kobiety przyrzekały, że przystąpią do komunii, podtrzymywały obietnicę przez miesiąc albo dwa, a potem „odpadały”. Szczególnie beznadziejnie sytuacja wyglądała z młodszymi. Nigdy nawet nie wstępowały do miejscowych siedzib stowarzyszeń kościelnych, które działały dla ich dobra

- Dorota była honorowym sekretarzem trzech takich lig, nie wspominając już o tym, że była drużynową skautek. Liga Antyalkoholowa i Stowarzyszenie Małżeństw marniały niemal z braku członków, zaś Związek Matek działał jedynie dlatego, że mile widziano jego cotygodniowe kursy szycia, z plotkami i nieograniczonymi ilościami mocnej herbaty. Istotnie, była to robota zniechęcająca; tak zniechęcająca, że wydawałaby się jej niekiedy wręcz daremna, gdyby nie znała znaczenia daremności - tej najsubtelniejszej broni szatana.

Dorota zastukała do lichy spasowanych drzwi Pitherów, spoza których sączył się przygnębiający zapach gotowanej kapusty i pomyj.

Z długiego doświadczenia znała i potrafiła zawczasu rozpoznawać indywidualny zapach każdego z domostw na swojej trasie. Niektóre z zapachów były aż nadto osobliwe. Na przykład u pana Tombsa, starego, emerytowanego księgarza, który całymi dniami przelegiwał w łóżku, w zaciemnionym pokoju, wystawiając długi, upačkany nos z binoklami, z czegoś, co mogło być futrzaną derką wielkiego formatu i wartości, zalegał zapach słonego potu i dziczyzny. Gdyby na owej futrzanej derce ktoś położył dłoń-natychmiast by się rozpadła i podskakując rozleciała na wszystkie strony. Była bowiem złożona wyłącznie

z kotów - z dwudziestu czterech kotów, dla ścisłości. Pan Tombs odkrył bowiem, że „koty podtrzymywały w nim ciepłość”, jak zwykł był wyjaśniać. Niemal we wszystkich domach zapach podstawowy wydzielający stare płaszcze i pomyje, nad którymi dominowały inne zapachy: zapach legowiska, zapach kapusty, zapach dzieci, silny, podobny do smażonego bekonu odór sztruksów impregnowanych przez dziesięcioletni pot.

Pani Pither otworzyła drzwi, które niezmiennie zacięły się we framudze, a potem, kiedy się je wyszarpięło, trzęsły całym domem. Była to masywna, pochylona, szara kobieta o cienkich siwych włosach, w workowatym fartuchu i szurających płóciennych bamboszach.

- A któż to, jeżeli nie panna Dorota! - powiedziała głosem ponurym, pozbawionym życia, ale nie nieprzyjaznym.

Wzięła Dorotę w masywne, sękaty dłonie, których kostki, od wiecznego prania i mycia, były lśniące niczym obrana cebula, i obdarowała mokrym pocałunkiem. Po czym pociągnęła do wnętrza nędznego domostwa.

- Pithera nie ma, panienko, jest w robocie - oznajmiła, kiedy weszły.

- U doktora Gaythome'a, kopie doktorskie grządki, pod kwietniki.

Pan Pither był najemnym ogrodnikiem. On i jego żona, oboje po siedemdziesiątce, stanowili jedną z niewielu szczerze pobożnych par na liście odwiedzin Doroty. Pani Pither prowadziła posepny żywot robaka pełzającego, z wiecznym skurczem w karku (ponieważ belka u drzwi była dla niej za niska), tam i sam pomiędzy studnią, piwnicą, piecem kuchennym i malutkim spła-chetkiem przydomowego ogródka. Kuchnia była schludnie czysta, ale nieznośnie gorąca, paskudnie cuchnąca i przesycona zastarzałym kurzem. Pani Pither zrobiła rodzaj kłęcznika z zapuszczonego łącha położonego przed małą, nieczynną fisharmonią, nad którą wisiało oleodrukowe ukrzyżowanie, makatka z wyszytym „Módl się i czuwaj” oraz zdjęcie ślubne pana i pani Pither z roku 1882.

- Biedny Pither! - ciągnęła pani Pither swoim przygnębiającym głosem

- tak kopać w jego wieku, przy jego romantyzmie, paskudztwo! Czy to nie okrutna mordęga, panienko? A jeszcze coś go boli między nogamy, panienko, a wychodzi, że na to nie chce zważać, nielicho się z tem biedzi przez te ostatnie parę ranków. Czy to nie gorzka dola, panienko, takie życie, jakie my biedne ludzie musimy prowadzić?

- To okropne - powiedziała Dorota. - Ale mam nadzieję, że pani czuje się troszeczkę lepiej, pani Pither?

- Ach, panienko, gdzie ta mnie i lepi. Mnie ta już i leczyć nie chco, nie na tem świecie, mnie już nie. Już ja się na tem paskudnem świecie nigdy lepi nie poczuje, na tem padole.

- Och, nie powinna pani tak mówić, pani Pither! Mam nadzieję, że zachowamy panią wśród nas jeszcze bardzo długo.

- Ach, panienko, nie wiesz ty, jakem się ja podle czuła ostatniego tygodnia! Miałam remantyz, co raz włąził, raz wyłąził z moich bidnych starych nogów, tak że w niektóre ranki tom nie była w siłach dowlec się nawet do ogródka, żeby wyrwać te parę cebulek. Ach, panienko, obrzydły to świat, w którym żyć nam przyszło, czyż nie, panienko? Obrzydły, grzeszny świat!

- Ale, oczywiście, nigdy nie możemy zapomnieć, pani Pither, że czeka nas świat lepszy. Życie jest tylko czasem próby - jedynie po to, by nas umocnić i nauczyć cierpliwości, żebyśmy byli gotowi dla Niebios, kiedy ten czas nadejdzie.

Po tych słowach w pani Pither zaszła nagle i znamienna zmiana. Została dokonana za sprawą słowa „niebiosa”. Pani Pither знаła tylko dwa tematy rozmowy: jeden z nich stanowiły radości niebios, natomiast ten drugi - mizéria jej stanu obecnego. Zdawało się, że uwaga Doroty podziałała na nią niczym zaklęcie. Jej mętne szare oko nie było zdolne się rozjaśnić, natomiast głos nabierał przyśpieszenia do niemal radosnego entuzjazmu.

- Ach, panienko, toś mi z ust wyjęła! To słowo prawdziwe, panienko. To jes to, co Pither i ja sobie stale powtarzamy. To ta jedyna rzecz, co nasz trzyma przy życiu - to te myśli o niebiesiech i o tem długiem, długiem odpoczywaniu, co nasz tam czeka. Cokolwiek-eśmy tu stracili, odzyskamy w niebiesiech, czyż nie, panienko? Za każde najmniejsze cierpienie dostaniem stokrotne, tysiakkrotne nadgrody. To jes prawda, czyż nie, panienko? Odpoczynek nasz czeka wszystkich, w niebiesiech - odpoczynek i spokój, i żadnego już remantyzmu ani kopania, ani gotowania, ani prania, nic. Ty wierzysz w to, na pewno wierzysz, panienko Doroto?

- Oczywiście - powiedziała Dorota.

- Ach, panienko, gdybyś ty wiedziała, jak to nasz pociesza - te iście myśli o niebiesiech! Pither, on mówi do mnie, kiedy przydzie do domu utyrany, noco, a rematyz nam dopieka, „nie martw się, moja droga”, powiada, „już nam niedaleko do niebios”, powiada. „Niebiosa stworzone dla takich jako my”, powiada; „iście dla takich pracowitych ludzi jako my, co byli trzeźwe, dobre i leguralnie przystępowali do komunii”. To najlepsza droga, czyż nie, panienko Doroto? Biedneśmy w tem życiu, a bogate w następnem? Nie to, co poniektóre z tych bogaczów, co ich ani te jeich automobile, ani te cudne domy nie zbawio od robaka, co je toczy, ni od ognia, co go się nie ugasi. To takie cudne słowa, doprawdy. Nie chciałabyś się ze mno ociupinkę pomodlić, panienko Doroto? Cały ranek nastawiałam się na króciutko modlitwę.

Pani Pither zawsze była gotowa zmówić „króciutko modlitwę” o każdej godzinie dnia i nocy. Był to jej ekwiwalent „filizanki dobrej herbatki”. Ukłękły na wytartej macie i zmówiły *Ojczy nasz* i *Kolektę* za cały tydzień; potem Dorota, na prośbę pani Pither, odczytała przypowieść o bogaczu i Łazarzu, którą pani Pither przetykała od czasu do czasu swoim „amen”.

- To prawdziwe słowo, czyż nie, panienko Doroto? „I ów został zaniesiony przez aniołów na łono Abrahama”. Cudne! Och, ja to zawsze mówię na to: cudne! Amen, panienko Doroto, amen!

Dorota wzięła pani Pither wycinek z „Daily Mail” na temat herbaty Angelica dobrej na reumatyzm, wreszcie, uznawszy, że pani Pither czuje się zbyt „podle”, by nacerpać dzienną porcję wody, wyciągnęła za nią ze studni trzy kubły. Była to studnia bardzo głęboka, o tak niskiej obudowie, że ostatecznym przeznaczeniem pani Pither, niemal na pewno, było wpaść w nią i utonąć; nie miała nawet korby - trzeba było wciągać wiadro, przekładając dłoń nad dłoń. Wreszcie usiadły na kilka minut i pani Pither powiedziała coś jeszcze o niebiesiach. Było coś niezwykłego w tym, jak trwale niebiosy panowały nad jej myślami; a jeszcze bardziej niezwykła była wyrazistość, jasność, z jaką je widziała. Złote ulice i wrota ze wschodnich pereł były tak dla niej rzeczywiste, jakby je właśnie miała przed oczyma. Jej wizja rozciągała się po najbardziej konkretne, najbardziej ziemskie szczegóły. Ta miękkość tamtejszych łóżek! Smakowitość potraw! Cudowne jedwabne szaty, które - czyste - można na siebie zakładać każdego poranka! To uwolnienie po wiek wieków od prac wszelkiego rodzaju! Niemal w każdej chwili życia wizja niebios podtrzymywała ją i pocieszała, a jej przyziemne skargi na życie „bidnych ludzi pracy” bywały zastanawiające łagodzone poprzez satysfakcje czerpane z myśli, że - mimo wszystko - to właśnie „bidni ludzie pracy” są głównymi lokatorami niebios. Był to rodzaj transakcji, jaką „zaklepała” ofiarując czas swego życia spędzanego na nużącej pracy w zamian za wieczność w błogiej rozkoszy. Jej wiara była, jeżeli to możliwe, niemal zbyt wielka. Stanowiło to ciekawy przypadek. Mimo to pewność, z jaką pani Pither oczekiwała wejścia do niebios - jak do czegoś w rodzaju wspaniałego domu dla nieuleczalnych - sprawiała Dorocie osobliwą przykrość.

Dorota zbierała się do wyjścia, a pani Pither, w sposób raczej zbyt wylewny, dziękowała za odwiedziny, wnosząc, jak zwykle, nowe skargi na swój reumatyzm.

- Na pewno wezwe ty herbaty Angelica - sumowała - i dziękuję ci, żeś mi o niej powiedziała, panienko. Nie przez to, żebym się nadto spodziewała, że mi się poprawi. Ach, panienko, żebyś ty wiedziała, jak wściekle mię

ostatniego tygodnia targał ten mój remantyz! Schodzi w dół, z tyłu nogów, jakby mnie przeciągali rozpalonem pogrzebaczem, a ja się ani schylić ni mogę, żeby je porzownie natrzyć. Nie za wiele bym prosiła, panienko, żebyś mię trochę natarła, nim wyjdiesz? Mam tu butelkę Ellimana pod zlewem.

Dorota uszczypnęła się boleśnie tak, żeby pani Pither tego nie dostrzegła. Oczekiwała tej prośby, robiła to już wielokroć, a naprawdę nie znosiła nacierania pani Pither. Skarciła się gniewnie. Dalej, Doroto! Bez kręcenia nosem, proszę! Jan XIII, 14. Oczywiście, natrę panią, pani Pither! - powiedziała nie zwlekając.

Poszły na górę wąskimi, rozchwierutanymi schodami, na których w jednym miejscu trzeba się było zginać niemal na *pot*, żeby nie uderzyć w obwisły strop. Sypialnię oświetlał mały kwadrat nie otwieranego od lat dwudziestu okna, którego niszę zarastały od zewnątrz jakieś pnącza. Stało tam olbrzymie podwójne łóżce wypełniające pokój prawie całkowicie, z wiecznie wilgotną pościelą i gruzłowatymi materacami o takiej ilości wzgórz i dolin jak mapa plastyczna Szwajcarii. Stara kobieta, wśród licznych stęknień, wczółgała się na postanie i legła twarzą w dół. Pokój cuchnął uryną i środkami przeciwbólowymi. Dorota wzięła butelkę „Ellimana” - płynu do nacierania - i namaściła grube, szarozylaste, sflaczałe nogi pani Pither.

Wyszedłszy dosiadła roweru i w pulsującym upale ruszyła szybko ku domowi. Słońce paliło jej twarz, ale powietrze wydawało się teraz słodkie i świeże. Była szczęśliwa! Szczęśliwa! Zawsze bywała ekstrawagancko szczęśliwa, kiedy kończyła poranne „wizyty” i - co dosyć zajmujące - nie dbała o tego powód. Na łąkach fermy mlecznej w Borlase pasły się czerwone krowy, zanurzone do kolan w lśniącym oceanie traw. Nozdrza Doroty owiał, niczym destylat wanilii i świeżego siana, zapach krów. I, choć miała do wykonania jeszcze drugą połowę porannych zajęć, nie potrafiła - odstawiwszy rower pod wrota ogrodzenia pastwisk Borlase - oprzeć się pokusie zmarudzenia bodaj chwili, podczas gdy krowa o wilgotnym, żującym pysku, czochrała podgardle o słupek, patrząc na nią marzycielsko.

Dorota spostrzegła dziką różę, oczywiście bez kwiatów, rosnącą za żywopłotem, przelazła więc przez bramę z zamiarem sprawdzenia, czy nie jest to róża rdzawa, gęstokolczasta. Ukłękła wśród wysokich chwastów pod żywopłotem. Było tam, tuż przy ziemi, bardzo gorąco. Miała w uszach brzęk wielu niewidzialnych owadów; gorący letni opar splątanych pokosów roślin uniósł się i owinał ją szczelnie. Nieopodal rosły wysokie łodygi kopru, z płozącymi się po ziemi liśćmi przypominającymi ogony koni zielonych jak morze. Dorota przyciągnęła do twarzy liść kopru i odetchnęła silnym, słodkim aromatem.

Owładnęło nią jego bogactwo, przez chwilę doznała niemal zawrotu głowy. piła go, wypełniając nim płuca. Rozkoszny, rozkoszny aromat - aromat letnich dni, aromat radosnego dzieciństwa, aromat wysepek leczniczych ziół w ciepłej pianie orientalnych mórz!

Jej serce rosło od niespodzianej radości. Była to mistyczna radość z powodu piękna świata i samej natury rzeczy, które uznawała - przypuszczalnie przez pomyłkę - za miłość Boga. Gdy tak klęczała w skwarze, w słodkiej woni i usypiającym brzęczeniu owadów, wydało się jej przez mgnienie, że słyszy potężny hymn dziękczynienia, jakie ziemia i wszystkie stworzone istoty ślą bezustannie do Stwórcy. Cała roślinność, liście, kwiaty, trawy, lśniące, wibrujące, wykrzykujące swoją radość. Śpiewały także skowronki, chóry niewidzialnych skowronków spijały z nieba krople swoich pieśni. Wszelkie owe bogactwa lata i ciepło ziemi, śpiewy ptactwa, zapach krów, brzęk niezliczonych pszczoł, unosiły się i mieszały niczym dym wiecznie płonących ołtarzy. „Przeto z Aniołami i Archaniołami!...” Zaczęła się modlić i przez chwilę modliła płomiennie, z błogością, zapamiętując się w radości modlitwy. Nagle, mniej niż po upływie minuty, odkryła, że całuje liść kopru, który nadal tkwił u jej twarzy.

Opanowała się natychmiast i cofnęła. Cóż wyprawiała? Czy to był Bóg, którego czciła, czy tylko ziemia? Radość uszła z jej serca, by ustąpić miejsca zimnemu, nieznosnemu uczuciu, że dała się uwieść na poły pogańskiej ekstazy. Udzieliła sobie nagany. Nic z tych rzeczy, Doroto! Żadnych uwielbień natury, proszę! Ojciec przestrzegał ją przed wielbieniem natury. W niejednym jego kazaniu słyszała takie ostrzeżenie: „jest to”, mawiał, „zwyczajny panteizm, oraz”, co zdawało się obrażać go nawet bardziej, „odrażająca nowoczesna mania”. Dorota oderwała z dzikiej róży cierni i ukłuła się w ramię trzykrotnie, by sobie przypomnieć Trzy Osoby Trójcy Świętej, po czym wdrapała się na wrota i znowu dosiadła roweru.

Spoza załamania żywopłotu zbliżał się czarny, bardzo zakurzony kapelusz z szerokim rondem. Był to ojciec McGuire, ksiądz rzymskokatolicki, także objeżdżający rowerem swoich parafian; bardzo masywny, krągły człowiek, tak pokazywał, że ośmieszał dosiadany przez się rower i zdawało się, że balansuje na jego ramie niczym piłka golfowa na gumowej podstawie. Jego twarz była różowa, komiczna i nieco płocha.

Dorota nagle poczuła się nieszczęśliwa. Oblał ją rumieniec i odruchowo położyła dłoń w okolicach złotego krzyżyka pod sukienką. Ojciec McGuire pedałowal w niezmaconym, nieśmiało pogodnym nastroju. Usiłowała się Uśmiechnąć i mruknęła niezgrabnie „dzień dobry”. Ale przejechał bez gestu;

prześliznął się pustym wzrokiem po twarzy dziewczyny i spojrzął za nią, w próżnię, z godnym podziwu udawaniem, że nie dostrzegł jej istnienia. Był to afront. Dorota - z natury (niestety!) niezdolna do czynienia afrontów - wsiadła na rower i odjechała walcząc z nieprzyjawnymi myślami, które nigdy jej nie omijały przy spotkaniach z ojcem McGuire'm.

Przed pięcioma czy sześcioma laty, kiedy ojciec McGuire celebrował pogrzeb na cmentarzu przy kościele św. Athelstana (nie było cmentarza rzymskokatolickiego w Knype Hill) odbyła się swoista dysputa z Proboszczem na temat stosowności przebierania się ojca McGuire'a w kościele, albo nie przebierania się w kościele, i obaj księża wyklócali się o to niegodnie nad otwartą mogiłą. Od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą. To nawet lepiej, twierdził Proboszcz.

Co do innych duszpasterzy z Knype Hill - pana Warda, kongregacjonisty, pana Foleya, metodysty, ryczącego „starszego” kościoła, łysola, który wyprawiał orgie w kaplicy Ebenezera - Proboszcz nazywał ich kupą wulgarnych odszczepieńców i zabronił Dorocie, pod groźbą swego niezadowolenia, wchodzić z nimi w jakiegokolwiek stosunki.

5.

Wybiła godzina dwunasta. W obszernej, zrujnowanej cieplarni, której szyby dachowe, na skutek działania czasu i brudu, były przyćmione, zielone i opalizowały niczym stare rzymskie szkło, trwała pośpieszna i hałaśliwa próba *Karola I*.

Dorota nie brała w niej udziału, ale zajmowała się przygotowaniem kostiumów. Zawsze wykonywała kostiumy, albo przynajmniej większość z nich, do wszystkich sztuk granych przez dzieci szkolne. Ich przygotowani i reżyseria pozostawały w rękach Wiktora Stone'a; Wiktora, jak nazywała go Dorota - kierownika szkółki niedzielnej. Był to kruchy, pobudliwy, czarnowłosy młodzieniec lat dwudziestu siedmiu, odziany w ciemne, sutannopodobne ubranie, w tej chwili zwiłkiem maszynopisu wymachujący zapalczywie nad szóstką otepiałych dzieciaków. Na długiej ławie pod ścianą czworo dalszych dzieci ćwiczyło na zmianę „zewnętrne hałasy”, trzaskając pogrzebaczami i handrycząc się o upačkaną, małą torebkę miętowych cukierków, czterdzieści za pensa.

W cieplarni było potwornie duszno, wisiał w niej silny zapach kleju i kwaśnego potu dzieci. Dorota klęczała na podłodze z ustami pełnymi szpilek i nożycami w ręce, szybko tnąc arkusze pakowego papieru na długie wąskie paski. Garnek z klejem bulgotał na olejowym grzejniku obok; za nią, na

chwiejnym, poplamionym atramentem stole roboczym czekały: sterta niedokończonych kostiumów, inne arkusze pakowego papieru, maszyna do szycia, zwitki pakul, skorupy wyschłego kleju, drewniane miecze i otwarte słoiki z farbą. Połowę uwagi Doroty pochłaniały rozmyślenia nad dwiema parami butów rybackich z siedemnastego wieku, jakie należało wykonać dla Karola I i Olivera Cromwella, drugą połową łowiła gniewne okrzyki Wiktora, który sam siebie wprawiał we wściekłość, jak to niezmiennie miał zwyczaj czynić podczas prób. Był urodzonym aktorem, a przeto znudzony do szpiku kości harówką przy ustawianiu nierozgarniętych dzieci. Chodził tam i z powrotem, wygłaszając dzieciom oracje utrzymane w gwałtownym gwarowym stylu, przerywał je zniecka co jakiś czas, by naskoczyć na jedno lub drugie z porwanym ze stołu drewnianym mieczem.

- Włóż w to trochę życia, nie umiesz? - krzyczał, szturchając w brzuch jedenastoletniego chłopca o minie wołu. - Nie brzęcz! Powiedz to tak, jakby to coś znaczyło! Wyglądasz jak trup raz już zakopany i wygrzebany ponownie. Jaki jest pożytek z twojego brzuszego bulgotu. Wstań i krzyknij na niego. Postaraj się wyglądać jak ten Drugi Morderca!

- Chodź no tu, Percy! - zawołała Dorota poprzez swoje szpilki. - Szybko!

Wykonywała z kleju i pakowego papieru zbroję - najgorszą ze wszystkich robót, wyjąwszy przebrzydłe rybackie buciory. Po długiej praktyce Dorota potrafiła z kleju i pakowego papieru wykonać niemal wszystko, mogła nawet zrobić zupełnie przyzwoitą perukę, z czerepem z pakowego papieru i malowanymi pakułami zamiast włosów. Gdyby przepatrzeć jej rok, suma czasu, jaki spędzała na walce z klejem, z pakowym papierem, gazą i całą resztą przedmiotów amatorskiego teatryku - wyszłaby olbrzymia. Tak chroniczna była potrzeba pieniędzy na wszelkiego rodzaju fundusze kościelne, że omal nie zdarzał się miesiąc bez szkolnego przedstawienia albo widowiska, albo wystawy, albo żywego obrazu na warsztacie - nie mówiąc już o dobroczynnych wentach czy kiermaszach staroci.

Kiedy Percy - Percy Jowett, syn kowala, drobny, kędzierzawy chłopiec - zszedł z ławy i stanął kurcząc się przed nią załośnie, Dorota wzięła arkusz pakowego papieru, przymierzyła doń, wycięła otwory na kark i ramiona, udrapowała korpus i błyskawicznie przyszpiliła nadając kształt pancerza-na-pierśnika. Rozległa się wrzawa pomieszanych głosów.

WIKTOR: No, dalej, dalej! Wchodzi Oliver Cromwell - czyli ty! Nie, nie tak!

Myślisz, że Oliver Cromwell wchodziłby skradając się jak pies, co

właśnie dostał baty? Wstań. Wystaw pierś. Nachmurz się. No, już lepiej.
Wal dalej Cromwellu: „Stać! Mam w rękę pistolet!” Zaczynaj.
DZIEWCZYŃKA: Proszę panienki, mama powiedziała, żebym panience
powiedziała...
DOROTA: Stój spokojnie, Percy! Na litość boską, nie wierć się!
CROMWELL: Tać! Am w ęku tolet! MAŁA DZIEWCZYŃKA NA ŁAWCE:
Psze pana! Upuściłam ciukielek!
(*chlipiąc*) Upuściłam ciukielek! WIKTOR: Nie, nie, nie! Tomeczku, nie,
nie, nie! DZIEWCZYŃKA: Proszę panienki, mama powiedziała, żebym
panience
powiedziała, że nie mogła mi zrobić majtek, jak obiecała, panienko, no
bo...
DOROTA: Połknę przez ciebie szpilkę, jeżeli ruszysz się raz jeszcze.
CROMWELL: Stać! Mam pistolet... MAŁA DZIEWCZYŃKA (*we
łzach*): Mój ciukielek!

Dorota chwyciła pędzel do kleju i z gorączkowym pośpiechem jąła oklejać tułów Percy'ego paskami pakowego papieru, z góry na dół i naprzód i w tył, jeden na drugim, przerywając tylko wtedy, gdy papier przywierał do jej palców. W ciągu pięciu minut wykonała z kleju i papieru pancierz dość mocny, żeby po wyschnięciu mógł wytrzymać .cios ostrza prawdziwego miecza. Percy, „zamknięty w pełnej zbroi”, z ostrą krawędzią papieru wcinającego mu się w podbródek, przyglądał się sobie z żalośnie zrezygnowaną miną psa, co wyszedł z kąpieli. Teraz Dorota chwyciła nożyce, rozpruła napierśnik z jednej strony, odstawiła na bok, żeby wysechł i natychmiast zajęła się innym dzieckiem. Zapanował straszliwy łomot, kiedy „hałas y za sceny” zaczęły naśladować wystrzały z pistoletów i galop koni. Palce Doroty stawały się coraz bardziej lepkie, ale od czasu do czasu zmywała z nich nieco kleju w wiadrze gorącej wody, trzymanym w pogotowiu. W ciągu dwudziestu minut wykonała częściowo trzy napierśniki. Miały być wykończone później, pomalowane aluminiową farbą, zesnurowane bokami; zostały jeszcze do zrobienia nagolenniki oraz - co najgorsze ze wszystkiego - odpowiednie hełmy. Wiktor, wymachując mieczem i wrzeszcząc, by przekrzyczeć łoskot galopujących koni, personifikował na zmianę Olivera Cromwella, Karola I, purytanów Cromwella, rojalistów Karola, chłopów i damy dworu. Dzieci zaczynały się odprężyć i ziewać, popiskiwać, wymieniać ukradkowe kopniaki i uszczypnięcia. Ukończywszy wreszcie półpancerze, Dorota zrzuciła ze stołu jakieś śmieci, ustawiła maszynę do szycia i zaczęła pracę nad kubrakiem

lojalisty, z zielonego welwetu - był to szczawiowozielony perkal, ale z oddali wyglądał jak należy.

Minęło następnych dziesięć minut gorączkowej roboty. Dorota zgubiła nić i powiedziawszy zaledwie „do licha!”, skarciła się pośpiesznie i nawlekła igłę. Ścigała się z czasem. Sztuka miała być wystawiona za dwa tygodnie, a pozostała taka masa rzeczy do wykonania - bębnow, kubraków, mieczy, butów rybackich (te okropne buciory prześladowały ją niczym zjawy senne od wielu już dni), pochew, werbli, peruk, ostróg, dekoracji - że serce zamierało jej na samą myśl o tym. Rodzice dzieci nigdy nie pomagali przy wykonywaniu kostiumów na potrzeby szkolnych przedstawień; mówiąc ściślej: zawsze obiecywali pomoc, a potem się wycofywali. Dorota cierpiała diabło, częściowo z panującego w cieplarni upału, częściowo z napięcia powodowanego przez równoczesne szycie i wyobrażanie sobie kształtów rybackich butów z pakowego papieru. Na chwilę zapomniała nawet o rachunku Cargilla na dwadzieścia jeden funtów siedem szylingów i dziewięć pensów. Nie potrafiła myśleć o niczym, wyjąwszy przerażającą górę nie wykonanych strojów, która leżała przed nią. I tak przez cały dzień. Jedno wyłaniało się z drugiego - czy były to kostiumy do szkolnego przedstawienia, czy zapadanie się podłogi w dzwonnicy, czy długi sklepowe, czy powoje w grochu - a wszystko w swoim czasie tak pilne i tak dokuczliwe, że usuwało z pola widzenia całą resztę.

Wiktor rzucił swój drewniany miecz, wyjął zegarek i spojrzął nań.

- Dosyć na dzisiaj! - powiedział ostrym, brutalnym tonem, którego się nigdy nie wyzbywał mając do czynienia z dziećmi. - Pociągniemy dalej w piątek. Zmiatajcie, wszystkie! Niedobrze mi się robi na wasz widok!

Przepędził dzieci, a potem, gdy tylko stracił je z oczu, zapomniawszy o ich istnieniu wyciągnął z kieszeni jakiś zapis nutowy i zaczął się miotać tam i sam, zezując ku dwom samotnym roślinom w kącie, które przerzucały swoje martwe, brązowe witki poprzez krawędzie doniczek. Dorota nadal pochylała się nad maszyną zszywając to, co miało udawać zielony welwetowy kubrak.

Wiktor był niestrudzonym, inteligentym, małym stworem, szczęśliwym tylko wtedy, gdy się kłócił z kimś albo z czymś. Jego błada, ładnie wymodelowana twarz nosiła wyraz jakby niezadowolienia, ale tak naprawdę przepełniał go wręcz chłopięcy zapał. Ludzie spotykający nauczyciela po raz pierwszy, mawiali, że trwoni swe talenta na mamym stanowisku kierownika szkółki; w rzeczywistości Wiktor nie posiadał żadnego pokupnego talentu, z wyjątkiem pewnych uzdolnień muzycznych i, znacznie widoczniejszych, do pracy z dziećmi. Nieefektywny w innych dziedzinach, z dziećmi bywał znakomity;

posiadał to właściwe, bezwzględne do nich podejście. Ale, rzecz jasna, jak każdy, pogardzał tym swoim szczególnym talentem. Jego zainteresowania zdawały się nieomal czysto kościelne. Był, jak to ludzie określają, młodym bigotem. Zawsze miał ambicję wstąpienia do służby kościołowi i byłby to niechybnie uczynił, gdyby był w stanie nauczyć się greki i hebrajskiego. Nie dopuszczony do stanu kapłańskiego w sposób dość naturalny dryfował ku stanowisku kierownika szkoły kościelnej i organisty. Utrzymywało go to, żeby tak powiedzieć, w obrębie kościoła. Nie trzeba dodawać, że był anglokatolikiem z najbardziej wojowniczego miotu „Church Times” - bardziej klerykałnym niż klerycy - znającym na wylot historię kościoła, znawcą szat liturgicznych, w każdej chwili gotowym do wygłoszenia furiackiej tyrady przeciw modernistom, protestantom, scjentystom, „bolszewistom” i ateistom.

- Myślałam - powiedziała Dorota zatrzymawszy maszynę i oddawszy nić - że moglibyśmy zrobić te hełmy z meloników, gdyby się udało zebrać ich tyle, ile trzeba. Odciąć runda, dokleić papierowe brzegi właściwego kształtu i pomalować na srebro.

- O Boże, czegoż ty trapisz głowę podobnymi głupstwami - powiedział Wiktor, który tracił zainteresowanie sztuką w chwili zakończenia próby.

- Najbardziej mnie męczą te przekłete buty rybackie - ciągnęła Dorota, kładąc kurtkę na kolanach i oglądając ją.

- Ach, zadręczać się butami! Przestań myśleć na chwilę o tej sztuce. Popatrz tu - powiedział Wiktor rozwijając nutowy rulon. - Chciałbym, żebyś się za mną wstawiła u ojca. Chciałbym, żebyś go spytała, czy nie moglibyśmy zorganizować procesji któregoś dnia w przyszłym miesiącu.

- Kolejnej procesji? Po co?

- Ach, nie wiem. Zawsze można znaleźć wytłumaczenie dla procesji. Najbliższego ósmego będą urodziny Marii Dziewicy, to dość dobra okazja do procesji, jak sądzę. Zorganizujemy ją ze smakiem. Znalazłem wspaniałą, porywającą antyfonę, wszyscy potrafią ją wyryczeć, a moglibyśmy wypożyczyć błękitną chorągiew z wyszytą Marią Dziewicą, z kościoła Świętego Wedekinda w Millborough. Jeśli powie słowo - natychmiast zacznę próby chóru.

- Wiesz przecie, że powie tylko „nie” - odparła Dorota, nawlekając igłę, by przyszyć guziki do kubraka. - On naprawdę nie popiera procesji. Lepiej go o to nie prosić i nie gniewać.

- Do diabła z tym wszystkim! - zaprotestował Wiktor. - Już od miesiący nie mieliśmy procesji. Nigdy nie widziałem takich sennych nabożeństw, jakie miewamy tutaj. Sądząc po naszych obrządkach można by pomyśleć, że jesteśmy zborem baptystów albo czymś w ich rodzaju.

Wiktor stale atakował nudną poprawność nabożeństw odprawianych przez Proboszcza. Jego ideałem było coś, co nazywał „nabożeństwem prawdziwie katolickim”, a oznaczało to nieograniczone kadzidła, połączone wizerunki i zdobniejsze od rzymskich ornaty. Pełniąc funkcję organisty wiecznie naciskał na zwiększenie liczby procesji, wydłużenie czasu przeznaczonego na rozkoszną muzykę, staranniejszy śpiew liturgii, między nim i Proboszczem trwała więc nieustanna przepychanka. W tej sprawie Dorota brała stronę ojca. Wychowana w szczególnej, chłodnej *via media* anglikanizmu, z natury żywiła niechęć do, i obawiała się, wszystkiego co rytualne.

- A niech wszystko szlag trafi! - ciągnął Wiktor. - Procesja to jest to! Przez nawy wyjść zachodnimi drzwiami i wrócić przez południowe, z chórem niosącym świece za, a skautami przed chorągwią. To by ładnie wyglądało.

Zaśpiewał kilka taktów słabym, choć dźwięcznym tenorem: - Witaj mi, dniu dożynekowy, błogosławiony dniu, święcony po wiek wieków.

- Gdyby to ode mnie zależało - dodał - wziąłbym też paru chłopców do zgrabnego wymachiwania kadzielnicami z kadzidłem.

- Tak, ale wiesz jak mój ojciec nie znosi tego rodzaju błazenady. Zwłaszcza, jeśli ma jakikolwiek związek z Marią Dziewicą. Powiada, że to wszystko jest „rzymską gorączką” i skłania ludzi do żegnania się i padania na kolana zawsze nie w porę i Bóg wie do czego tam jeszcze. Pamiętasz, co się stało podczas adwentu.

Poprzedniego roku Wiktor, na swoją własną odpowiedzialność, wybrał na adwent jako jedną z antyfon numer 642, z refrenem „wiwat Maryja, wiwat Maryja pełna łask!” Ów papistowski kawałek bardzo Proboszcza zirytował. Przy końcu pierwszego wersetu demonstracyjnie upuścił śpiewnik, obrócił się w swojej stalli i stał patrząc na zgromadzenie z tak kamiennym wyrazem twarzy, że niektórzy z małych chórzystów poczęli się mylić i omal nie przestali śpiewać. Powiedział potem, że słysząc te wsiowe wrzaski „iwa maija, iwa maija”, musiał pomyśleć, iż znalazł się przy barze pod „Kompanem i Butelką”. - Pal to wszystko diabli! - powiedział Wiktor ze swoim charakterystycznym grymasem. - Twój ojciec zawsze, kiedy próbuję tchnąć w nabożeństwo jakieś życie, podstawi mi nogę. Nie pozwala nam na kadzidła ani na ucziwą muzykę, ani na właściwe szaty, ani na nic. I jakż tego skutek? Nie możemy Ściągnąć tylu ludzi, żeby wypełnili przynajmniej ćwierć kościoła, nawet w Wielką Niedzielę. Spojrzysz w Wielką Niedzielę na kościół i co widzisz, nikogo prócz skautów i skautek, i paru starych kobiet.

- Wiem, to okropne - zgodziła się Dorota, przyszywając guzik. - Zdaje się, że to nie ma znaczenia, co robimy, po prostu nie możemy nakłonić ludzi,

żeby przychodzili do kościoła. Mimo to - dodała - przychodzą do nas, żeby się pobrać albo kogoś pochować. Nie sędzę, żeby ubywało wiernych tego roku. Prawie dwieście osób przystąpiło do wielkanocnej komunii.

- Dwieście! Powinno ich być dwa tysiące! Tyle to miasto ma mieszkańców. Fakt, że tu trzy czwarte ludzi nigdy, przez całe swoje życie, nawet nie przechodzi obok kościoła. Kościół całkowicie utracił nad nimi panowanie. Nie wiedzą, że istnieje. A dlaczego? To mnie właśnie interesuje. Dlaczego?

- Sędzę, że to przez tę „naukę i wolną myśl” i takie tam - powiedziała Dorota raczej sentencjonalnie, cytując ojca.

Uwaga jej zbiła Wiktora z pantafelku. Zamierzał mianowicie powiedzieć, że liczba wiernych w parafii św. Athelstana skurczyła się ze względu na nudę nabożeństw; ale nienawistne słowa: „nauka i wolna myśl” przestawiły go na inny, lepiej nawet znany kanał.

- Oczywiście, to przez tę, tak zwaną, „wolną myśl” - wykrzyknęła, natychmiast zaczynając na nowo swoją nerwową bieganinę od ściany do ściany. - To te świny ateści, tacy jak Bertrand Russell i Julian Huxley, i cały ten tłum. A co zrujnowało kościół? To, że zamiast im porządnie odpowiedzieć i dowieść, jakimi są błaznami i blagierami, siedzimy sztywno i pozwalamy rozgłaszać bestialską, ateistyczną propagandę wszędzie, gdzie mają ochotę. To wina przede wszystkim biskupów, rzecz jasna. - (Jak każdy anglikatolik Wiktor darzył biskupów bezdenną pogardą.) - To sami modernisci i oportu-niści. Na Jowisza! - dodał nieco weselej, przystając. - Widziałaś mój list w „Church Times” z ostatniego tygodnia?

- Nie, przykro mi, nie widziałam - rzekła Dorota, przyciskając kciukiem kolejny guzik w miejscu, gdzie miała go przyszyć. - O czym tam piszesz?

- Ach, o biskupach-modernistach i tak dalej. Nieźle staremu Barnesowi przyłożyłem.

Bardzo rzadko zdarzał się tydzień bez listu Wiktora do „Church Times”. Wkraczał w każdy spór i stawał w pierwszej Unii każdego natarcia na modernistów i ateistów. Dwakroć stał się z doktorem Majorem, pisywał pełne miazdzącej ironii listy o dziekanie Inge'u i o biskupie Birminghamu, nie wahał się przed napaścią na samego diabelskiego Russella - ale Russell, oczywiście! nie śmiał odpowiedzieć. Prawdę mówiąc Dorota bardzo rzadko czytywała „Church Times”, a Proboszcz wpadał w gniew już na sam widok jego egzemplarza w swoim domu. Tygodnikiem, który abonowano na plebanii była „High Churchman's Gazette” - świetny, zacie konserwatywny anachronizm o małym, lecz doborowym zasięgu.

- Ta świnka Russell! - powiedział Wiktor z wyrzutem, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. - Jakże on mi burzy krew!

- Czy to nie on jest takim mądrym matematykiem albo czymś takim? - spytała Dorota odgryzając nitkę.

- Ach, mogę uznać, że jest dość mądry „po swojej linii”, oczywiście - zgodził się Wiktor niechętnie. - Ale co to ma do rzeczy? Tylko dlatego, że facet ma głowę do liczb, nie można powiedzieć... Ale dość, wszystko jedno! Wróćmy do tego, co mówiłem. Dlaczego nie potrafimy w tej mieścinie ściągnąć ludzi do kościoła? Dlatego, że nasze nabożeństwa są tak ponure i pozbawione Boga, oto dlaczego. Ludzie pragną nabożeństw, które są nabożeństwami - oni chcą prawdziwych katolickich nabożeństw, prawdziwego kościoła katolickiego, do którego należymy. Ale od nas tego nie otrzymują. Wszystko, co im dajemy to stare protestanckie bożyszcza, w chwili, kiedy protestantyzm jest martwy jak ćwiek w futrynie i każdy o tym wie.

- To nieprawda - powiedziała Dorota już raczej ostro, przyszywając trzeci guzik. - Wiesz, że nie jesteśmy protestantami. Ojciec mówił zawsze, że kościół angielski jest kościołem katolickim - mówił o tym, nie wiem już ile razy, w czasie swoich kazań o ciągłości apostołskiej. To dlatego Lord Pochome i inni nie chcą wchodzić do naszego kościoła. Tyle, że ojciec nie chce przystąpić do ruchu anglokatolickiego, ponieważ uważa, że oni są zbyt rozmiłowani w rytuałach dla samych rytuałów. I ja także.

- Ach, nie mówię, że twój ojciec nie jest absolutnym autorytetem w kwestiach doktryny - jest absolutnym. Ale, jeśli sądzi, że jesteśmy kościołem katolickim, dlaczego nie odprawia nabożeństw we właściwy, katolicki sposób? To wstyd, że nie możemy przynajmniej czasem używać kadzielnic. A jego poglądy na ornaty - jeśli pozwolisz mi powiedzieć - są po prostu wstrętne. W niedzielę wielkanocną wdział gotycką kapę na nowoczesną włoską koronkową komżę. Czemu, niech to diabli; to tak, jakby się ubrać w cylinder i brązowe buty z cholewami.

- No, nie myślę, żeby ornaty były aż tak ważne, jak ci się zdaje - powiedziała Dorota. - Myślę, że ważny jest duch księdza, a nie szaty, w jakie się ubiera.

- Tak właśnie zwykli to oceniać prymitywni metodyści! - wykrzyknął Wiktor z niesmakiem. - Oczywiście szaty są ważne! Jaki jest w ogóle sens odprawiania nabożeństw, jeżeli nie możemy się z nich właściwie wywiązać? Gdybyś chciała zobaczyć, jak może wyglądać prawdziwie katolickie nabożeństwo, popatrz na Świętego Wedekinda w Millborough! Na Jowisza, ci tam potrafią to robić stylowo! Wizerunki Dziewicy, tabernakulum sakramentu -

wszystko. Trzy razy byli tam zwolennicy Kensita,* a oni po prostu biskupa lekceważą.

- Och nienawidzę tego co, i jak, robią u św. Wedekinda! - powiedziała Dorota. - Oni są straszliwie zajadli. Ledwie można dojrzeć, co się dzieje przy ołtarzu, takie tam dymy kadzideł. Myślę, że tacy ludzie powinni się nawrócić na rzymski katolicyzm i mieć to z głowy.

- Moja droga Doroto, powinnaś zostać nonkonformistką. Naprawdę powinnaś. Wstaj) do Ewangelików z Plymouth Brethren albo Plymouth Sisters**, czy jak się tam oni zowią. Myślę, że twoją ulubioną pieśnią będzie ta z numerem 567, *O mój Boże, lękam się Ciebie, Tyś tak wysoko*.

- A twoja z numerem 231, *Co noc przenoszę namiot mój, co dzień mam bliżej Rzym!* - odparowała Dorota, owijając nić wokół czwartego i ostatniego guzika.

Spór trwał kilkanaście minut, podczas gdy Dorota zdobyła przyłbice rojalisty (był to jej własny szkolny czarny kapelusz pilśniowy) piórem i wstążkami. Jej i Wiktorowi nigdy nie udawało się przebywać razem bez wdawania się w sprzeczkę o kwestie „rytualizmu”. W opinii Doroty Wiktor był z rodzaju tych, co to by „przemaszerowali do Rzymu”, gdyby im nie przeszkadzano. I prawdopodobnie miała rację. Ale Wiktor nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze swego przypuszczalnego przeznaczenia. W tej chwili gorączka ruchu anglikatolickiego, z jego niekończącymi się podniecającymi kampaniami, toczonymi na trzech jednocześnie frontach - z protestantami po prawej, z modernistami po lewej, wreszcie, niestety, z rzymskimi katolikami z tyłu - ci zawsze są gotowi wymierzyć ci szelmowskiego kopniaka w tyłek - przesłaniała jego myślowy horyzont. Zbesztanie doktora Majora na łamach „Church Times” znaczyło dlań więcej, niż każde inne z poważnych życiowych zajęć. Ale mimo całego oddania kościołowi, nie posiadał w sobie ani atomu prawdziwej pobożności. W sile, z jaką pociągał go spór religijny - było coś z gry, najbardziej pochłaniającej z kiedykolwiek wymyślonych gier, ponieważ trwa ona wiecznie i można w niej sobie pozwolić tylko na małe oszustwa.

- Dzięki Bogu, zrobione! - powiedziała Dorota, obracając na dłoni hełm rojalisty i odkładając go. - O mój drogi, jakie sterty rzeczy mam jeszcze do zrobienia! Chciałabym przestać już myśleć o tych przeklętych rybackich butach. Która godzina, Wiktorze?

* John Kensit (1852-1902) - ekstremista, przeciwnik anglikanizmu.

** Plymouth Brethren, Plymouth Sisters - bractwa ewangeliczne.

- Prawie za pięć pierwsza.

- Rany boskie! Muszę lecieć. Muszę usmażyć trzy omlety. Nie pozwalam ich robić Ellen. Ale, ach, Wiktorze! Nie masz czegoś dla nas na kiermasz staroci? Jeżeli masz parę starych spodni, możesz je dać, to by było najlepsze ze wszystkiego, bo spodnie zawsze możemy sprzedać. - Spodnie? Nie. Ale powiem ci, co mam. Mam kopię *Marszu Pielgrzyma* i jeszcze Foxe'a *Księgę męczenników*, których od lat chcę się pozbyć. Haniebne protestanckie śmiecie! Dała mi je stara innowiercza ciotka. Czy nie mierzi cię cała ta żebranina o pensy? Popatrz, gdybyśmy nasze msze odprawiali we właściwy katolicki sposób, tak by mieć odpowiednio dużo wiernych, czy nie sądziś, że nie potrzebowalibyśmy...

- Wspaniale! - powiedziała Dorota. - Zawsze mamy stelaże z książkami - wyceniamy po pensie za każdą książkę i niemal wszystkie bywają sprzedane. Po prostu, Wiktorze, kiermasz staroci musi się udać! Liczę, że panna Mayfill ofiaruje coś bardzo ładnego. Mam szczególną nadzieję, że da nam ten swój piękny porcelanowy serwis Lowestofta do herbaty i że będziemy go mogli sprzedać co najmniej za pięć funtów. Całe rano odmawiałam specjalne modły o to, żeby nam go dała.

- Aż tak? - mruknął Wiktor, mniej zachwycony niż zwykle. Był, podobnie jak wczesnym rankiem Progett, zakłopotany słowem „mod-ły”. Potrafił całymi dniami rozmawiać o kwestiach obrządku, ale uwaga o prywatnych modłach uderzała go jako odrobinę nieprzyzwoita. - Nie zapomnij poprosić swego ojca o procesję - powiedział, wracając do bardziej sympatycznego tematu.

- W porządku, poproszę go. Ale wiesz, jak to będzie. Zirytuje się i powie, że „to rzymska gorączka”.

- Och, do diabła z „rzymską gorączką” - rzucił Wiktor, który - w przeciwieństwie do Doroty - nie zadawał sobie pokuty za przekleństwa, Dorota pośpieszyła do kuchni, a odkrywszy tam tylko pięć jaj na omlety dla trzech osób, postanowiła zrobić jeden duży omlet, nieco go dopełniając zimnymi gotowanymi ziemniakami pozostałymi z dnia poprzedniego. Po krótkiej modlitwie o udany omlet (ponieważ omlety mają paskudną skłonność do pękania, kiedy się je przenosi z patelni), rozbiła jaja, podczas gdy Wiktor, w pół zamyślony, a w pół nadąsany, bucząc „Witaj mi, święteczny dniu!”, wybiegł i pognał, mijając po drodze ohydnie wyglądającego sługę, niosącego dwa bezuche nocniki, które stanowiły udział panny Mayfill w kiermaszu staroci.

Było nieco po dziesiątej. Zdarzyło się sporo różności, jakkolwiek nie szczególnie ważnego; wyłącznie owe zwykłe zajęcia parafianie, jakie wypełniały popołudnia i wieczory Doroty. W tej chwili, zgodnie z uprzednim ustaleniem, znalazła się w domu pana Warburtona i teraz usiłowała bronić własnych pozycji w jednej z owych meandrycznych dysput, w jakie lubił ją wplątywać.

Rozmawiali, a pan Warburton - jak zwykle - nie omieszkął spychać rozmowy na temat kwesty religijnych wierzeń.

- Moja droga Doroto... - mówił z wyraźnym upodobaniem, spacerując tam i sam z jedną dłońią w kieszeni, drugą obracając brazylijskie cygaro. - Moja droga Doroto, nie myślisz poważnie upewniać mnie, że w twoim wieku - lat dwudziestu siedmiu, jak sądzę - i przy twojej inteligencji, zachowałamś dotychczas swoje wierzenia religijne *in toto*

- Oczywiście, że zachowałam. Przecież wiesz, że zachowałam.

- Och, daj spokój! Całą tę kupę oszustw? Wszystkie te nonsensy, o jakich usłyszałaś na kolanach matki - jestem pewien, że nie masz zamiaru udawać przede mną, że nadal w nie wierzysz? Oczywiście, że nie! Nie możesz! Boisz się przyznać, oto cała prawda. Nie musisz się tego obawiać tutaj, wiesz przecież. Żona biskupa pomocniczego nie podsłuchuje, a ja nie powiem nikomu.

- Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „te wszystkie nonsensy” - zaczęła nieco urażona Dorota, prostując się w krześle.

- Dobrze, posłużmy się przykładem. Coś szczególnie trudnego do przełknięcia - powiedzmy piekło. Wierzysz w piekło? Zauważ, że gdy mówię „wierzysz” - nie pytam, czy wierzysz w pospolitym sensie metaforycznym, jak czynią to modernistyczni biskupi, którymi tak się przejmuje młody Wiktor Stone. Mam na myśli, czy wierzysz w to literalnie? Czy wierzysz w piekło tak, jak wierzysz w Australię?

- Tak, oczywiście, że wierzę - odparła Dorota i usiłowała wyjaśnić, że istnienie piekła jest bardziej rzeczywiste i trwałe, niż istnienie Australii.

- Hm - mruknął pan Warburton obojętnie. - Brzmi to mocno, w swoim rodzaju, oczywiście. Ale, co mnie zawsze skłania do podejrzeń wobec was, ludzi religijnych, to to, że jesteście aż tak diabelnie zimnokrwistcy w kwestiach wiary. Mówiąc najbardziej ogólnie, świadczy to o bardzo ubogiej wyobraźni. Oto jestem, niedowiarek i bluźnierca, po szyję zanurzony co najmniej w sześciu z siedmiu grzechów śmiertelnych i - rzecz jasna - skazany na wieczne

męczarnie. I nikt nie wie, czy w ciągu godziny nie znajdę się na rożnie w najgorętszej części piekła. Mimo to możesz tu siedzieć i rozmawiać ze mną tak spokojnie, jakbym tej kwestii nie dotykał. No, a gdybym tak po prostu złapał raka albo trąd, albo jaką inną cielesną dolegliwość, byłabyś tym dosyć przybita - co najmniej; lubię sobie pochlebiać, że byłabyś przybita! Jednakże perspektywa, że będę skwierczeć na ruszcie przez całą wieczność - zupełnie cię nie przejmuję.

- Nigdy nie powiedziałam, że pójdziesz do piekła - powiedziała Dorota z pewną przykrością, pragnąc, by rozmowa przybrała inny obrót. Prawdą było, jakkolwiek nie miała zamiaru tego powiedzieć, że sprawa, którą podniósł pan Warburton, należała do tych, z którymi miała pewne trudności. Wierzyła w piekło, ale nigdy nie zdołała się przekonać, czy ktokolwiek się tam dostał. Wierzyła, że piekło istnieje, ale - puste. Niepewna ortodoksji tego przekonania, wolała je trzymać dla siebie. - Nigdy nie jest pewne, czy ktoś idzie do piekła - powiedziała już raźniej, czując, że przynajmniej tutaj stoi na mocnym gruncie.

- Ale! - pan Warburton powstrzymał udane zdziwienie. - Nie myślisz chyba poważnie utrzymywać, że jest jeszcze dla mnie nadzieja?

- Oczywiście, że jest. To tylko ci okropni wyznawcy przeznaczenia starają się, żebyś poszedł do piekła, bez względu na to, czyś odpokutował, czy nie. Nie uważasz chyba, że Kościół Angielski jest kalwiński, mam rację?

- Zakładam, że zawsze istnieje szansa wyrwania się pod pretekstem „nieposkromionej ignorancji” - powiedział pan Warburton w zadumie, a potem bardziej poufale: - Wiesz, Doroto, odnoszę swego rodzaju wrażenie, że nawet teraz, kiedy znasz mnie już od dwu lat, nadal żywisz połowę nadziei, że zrobisz ze mnie konwertytę. Zbłąkana owieczka, głównie wydartą płomieniom, i tak dalej. Wierzę, że ciągle masz nadzieję, wbrew nadziei, że któregoś dnia moje oczy przejrzą i spotkasz mnie przy komunii świętej o siódmej rano, któregoś z tych przeklętych mroźnych zimowych poranków. Czyż nie tak?

- Jednakże... - zawahała się Dorota, nadal odczuwając przykrość. Hołubiła, w istocie, taką właśnie nadzieję co do pana Warburtona, jakkolwiek nie stanowił on, w rzeczy samej, obiecującego kandydata do nawrócenia. Nie leżało w jej naturze widzieć bliźniego w stanie niewiary bez czynienia pewnych wysiłków, aby go pozyskać. Ileż godzin spędziła w różnych okresach, żarliwie debatując z niezdecydowanymi wioskowymi ateistami, którzy nie byli w stanie przedstawić ani jednego rozsądnego powodu własnej niewiary! - Tak - zgodziła się ostatecznie, niezbyt pragnąc się do tego przyznawać, ale i nie chcąc się wymigiwać.

Pan Warburton zaśmiał się ukontentowany.

- Masz ufną naturę - rzekł. - Ale czy się nie boisz przypadkiem, że to ja moge nawrócić ciebie? „Psem było to, co zdechło”, jeżeli pamiętasz.

Dorota uśmiechnęła się blade. „Nie pozwól mu widzieć, że cię szokuje” - to była jej maksyma, kiedy rozmawiała z panem Warburtonem. Spierali się w ten sposób, nie dochodząc w ciągu minionej godziny do żadnych konkluzji, i mogliby się spierać przez resztę nocy, gdyby Dorota miała ochotę zostać; ponieważ pan Warburton przepadał za dokuczaniem jej z powodu religijnych przekonań. Posiadał tę fatalną inteligencję, która tak często idzie w parze z niewiarą, że choć w sporach z nim Dorota miała zawsze rację, nie zawsze wychodziła zwycięsko. Siedzieli - albo raczej siedziała Dorota, a pan Warburton stał - w dużym, przytulnym pokoju, wychodzącym na oświetlony przez księżyc trawnik; pan Warburton nazywał go swoim „studium”, nie dlatego, żeby znajdował się w nim bodaj ślad jakiejś wykonanej kiedykolwiek pracy. Ku wielkiemu niezadowoleniu Doroty szanowny pan Bewley się nie pojawił. (W rzeczywistości ani pan Bewley, ani jego żona, ani jego powieść pod tytułem *Stawy rybne i konkubiny*, nigdy nie istnieli. Pan Warburton wymyślił całą tę trójkę pod wpływem chwili, jako pretekst zaproszenia Doroty do swego domu, wiedząc doskonale, że nigdy by nie przyszła bez przyzwioitki.) Dorota poczuła się raczej nieswojo widząc, że pan Warburton jest sam. Pomyślała, całkowicie o tym przekonana, że uczyniłaby najmądrzej wracając natychmiast do domu; ale została, głównie dlatego, że była potwornie zmęczona i że skórzany fotel, w którym pan Warburton ją posadził z chwilą wejścia, był zbyt wygodny, aby go opuścić. A przecież dręczyło ją sumienie. Nie powinna zostawać zbyt długo - ludzie by gadali, gdyby to do nich doszło. Ponadto, czekał ją ogrom prac, które zaniedbała, przychodząc tutaj. Tak mało była przystosowana do beczynności, że nawet godzina spędzona na zwykłej rozmowie zdawała się jej w jakimś sensie grzechem.

Uczyniła wysiłek, wyprostowała się w owym zbyt wygodnym fotelu.

- Myślę, jeżeli nie masz nic przeciw temu, że już najwyższy czas, żebym sobie poszła do domu - powiedziała.

- Mówiąc o „nieposkromionej ignorancji” - ciągnął pan Warburton, nie usłyszawszy Doroty - zapomniałem, czy-m ci kiedykolwiek powiedział, jak to kiedyś stałem przed piwiarnią „Koniec Świata” w Chelsea, czekając na taksówkę i podeszła do mnie szkaradna mała żółta z Armii Zbawienia i rzekła - bez żadnego wstępu, rozumiesz - „co powiesz przed sądem ostatecznym?” Powiedziałem: „zapewnię sobie obrońcę”. Raczej wykwinie, jak sądzę, a ty?

Dorota nie odpowiedziała. Sumienie wymierzyło jej kolejne i silniejsze szturchnięcie - przypomniała sobie te okropne, nie wykonane buty rybackie i fakt, że tej nocy powinna zrobić przynajmniej jeden z nich. Była wszakże nieznośnie zmęczona. Miała wyczerpujące popołudnie, począwszy od przepedałowania dziesięciu mil na rowerze tam i z powrotem w skwarze, przy rozwożeniu magazynu parafialnego, a kończąc na herbatce w Związku Matek, w ciasnym, dusznym, wyłożonym boazerią pokoju na zapleczu sali parafialnej. Matki spotykały się każdej środy po obiedzie, przy herbatce i szyciu na cele dobroczynne, podczas gdy Dorota czytała im na głos. (Aktualnie czytała im Gene'a Strattona Portera *Girl of the Limberlost**) Niemal zawsze zajęcia tego rodzaju spadały na Dorotę, ponieważ falanga nabożnych niewiast (drobiu kościelnego, jak się je określa), które wykonują podobną szarą robotę w większości parafii, w Knype Hill skurczyła się do czterech, najwyżej pięciu. Jedyną pomocnicą, na którą Dorota mogła liczyć zawsze - była panna Foote, wysoka, trzęsąca się dziewczica lat trzydziestu pięciu, o króliczej twarzy i dobrych intencjach. Będąc w stanie wiecznego podniecenia, we wszystkim wprowadzała bałagan. Pan Warburton zwykł mawiać, że przypomina mu komętę - „cudaczne tęponose stworzenie krążące po ekscentrycznej orbicie i zawsze w niedoczasy”. Pannie Foote można było zaufać w sprawach dekoracji kościoła, ale nie Matek czy Szkółki Niedzielnej, ponieważ, aczkolwiek przychodziła do szkółki regularnie, jej prawowierność nasuwała wątpliwości. Zwierzyła się kiedyś Dorocie, że najlepiej modli się jej do Boga pod błękitnym sklepieniem niebios. Po herbatce Dorota popędziła do kościoła, by ustawić na ołtarzu świeże kwiaty, a potem przepisała na maszynie kazanie ojca - jej maszyna była rozklekotanym gratem sprzed wojny burskiej, nie można było napisać na niej więcej, niż średnio osiemset słów na godzinę. Po kolacji, do zupełnego zmierzchu, odchwasczała rządki grochu, a jej krzyż zdawał się bliski pęknięcia. Na skutek tego czy owego, była bardziej zmęczona niż zwykle.

- Naprawdę muszę wracać do domu - powtórzyła już bardziej stanowczo. - Przecież robi się straszliwie późno.

- Do domu? - zdziwił się pan Warburton. - Nonsens! Wieczór się nawet jeszcze nie zaczął.

Ciągle, odrzuciwszy cygaro, chodził po pokoju na ukos, z dłońmi w kieszeniach surduta. Widmo nie wykonanych butów rybackich znowu maszerowało poprzez myśli Doroty. Mogłaby, postanowiła, wykonać tej nocy

* *Girl of the Limberlost* - Dziewczyna z Limberlost.

dwa buty zamiast jednego, żeby odpokutować te cztery stracone godziny. Natychmiast zaczęła rysować w wyobraźni sposób, w jaki wytnie z szarego papieru podbicie, gdy nagle spostrzegła, że pan Warburton stoi za jej fotelem.

- Nie wiesz, która jest godzina? - spytała.

- Ośmielałam się zauważyć, że jest dziesiąta trzydzieści. Ale ludzie tacy jak ty i ja nie rozmawiają na równie wulgarne tematy jak czas.

- Jeżeli jest pół do jedenastej, to naprawdę muszę już iść - powiedziała Dorota. - Zanim pójdę do łóżka, muszę wykonać masę roboty.

- Robota! O tej porze, w nocy? Niemożliwe!

- Tak, muszę. Muszę wykonać parę rybackich butów.

- Musisz wykonać co? - spytał pan Warburton.

- Rybackie buty. Do sztuki granej przez dzieci. Wykonujemy je z kleju i szarego papieru.

- Klej i szary papier! Dobry Boże! - mruknął pan Warburton. I ciągnął, głównie, by ukryć fakt, że zbliża się jeszcze bardziej do fotela Doroty - Cóż ty za życie prowadzisz! Paprać się klejem i szarym papierem w środku nocy! Muszę powiedzieć, że czasem odczuwani pewne zadowolenie, iż nie jestem córką proboszcza.

- Myśle... - zaczęła Dorota.

Ale w tej samej chwili pan Warburton, stojąc za jej fotelem, opuścił dłoń i ujął delikatnie za ramiona. Dorota wywinęła się błyskawicznie, usiłując się odeń uwolnić; ale pan Warburton znowu wcisnął ją w to samo miejsce.

- Nie ruszaj się - powiedział uspokajająco.

- Pozwól mi odejść! - krzyknęła Dorota.

Pan Warburton począł pieścić prawą dłońią jej bark. W sposobie, w jaki to czynił, było coś bardzo wymownego i wielce charakterystycznego; był to powolny, oceniający dotyk mężczyzny, dla którego ciało kobiety ma wartość dokładnie taką, jak coś do zjedzenia.

- Naprawdę masz nadzwyczaj ładne ramiona - powiedział. - Jak, u licha, mogłaś przez te wszystkie lata uchować się przed zameścieniem?

- Pozwól mi natychmiast wyjść - powiedziała Dorota, podejmując walkę na nowo.

- Nie powiem, że bym chciał, byś wyszła - oponował pan Warburton.

- Proszę cię, nie głaszcz mojego ramienia w ten sposób! Nie lubię tego!

- Ależ z ciebie cudaczne dziecko! Dlaczego nie lubisz?'

- Mówię ci, że nie lubię!

- No więc nie idź i odwróć się - powiedział pan Warburton łagodnie.
- Ty sobie chyba nie zdajesz sprawy, jak taktownie postąpiłem podchodząc do ciebie od tyłu. Jeżeli się odwrócisz, zobaczysz, że jestem dość stary, bym mógł być twoim ojcem i że w sposób szkaradnie jawny korzystam z okazji. Ale nie ruszaj się i nie patrz na mnie, a wyobrazisz sobie, że jestem Ivorem Novello.

Dorota spojrzała na dłoń pieścącą jej ramię - dużą, różową, bardzo męską dłoń, o grubych palcach porośniętą złotymi włosami. Bardzo pobladła; wyraz jej twarzy zmienił się z udręczonego w pełen odrazy i lęku. Uczyniła gwałtowną próbę wyrwania się na wolność, wstała zwracając się ku niemu.

- Nie życzę sobie, żebyś to robił - powiedziała na poły gniewnie, na poły w rozpaczy.

- Co się z tobą dzieje? - spytał pan Warburton.

Stał wyprostowany, w swojej zwyczajnej pozie, zupełnie tym nie dotknięty i patrzył na nią z odzieniem pewnego zaciekawienia. Jej twarz zmieniła wyraz. Nie tylko dlatego, że pobladła; oczy cofnęły się jakby, biło z nich przerażenie

- patrzyła nań w tej chwili niemal oczyma kogoś obcego. Zdał sobie sprawę, że ją zranił w sposób, którego nie rozumiał i że ona prawdopodobnie nie chce, aby zrozumiał.

- Co się z tobą dzieje? - powtórzył.

- Dlaczego musisz to robić zawsze, kiedy mnie spotykasz?

- Zawsze, kiedy cię spotykam - to przesada - powiedział pan Warburton.

- Po prawdzie bardzo rzadko miewam tę okazję. Ale jeśli rzeczywiście i naprawdę tego nie lubisz...

- Oczywiście, że tego nie lubię!

- Dobrze, dobrze! No więc już o tym nie mówmy - powiedział pan Warburton wspaniałomyślnie. - Usiądź i zmieńmy temat.

Był całkowicie pozbawiony wstydu. Stanowiło to prawdopodobnie najbardziej zauważalną cechę jego charakteru. Spróbował ją pojąć, poniósł porażkę, a teraz po prostu miał zamiar kontynuować rozmowę, jakby się nic dosłownie nie stało.

- Idę do domu i to już - zapowiedziała Dorota. - Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej.

- Ach, nonsens! Siadaj i zapomnij o tym. Porozmawiajmy o teologii, nauce moralnej albo o architekturze katedr, albo o kursach gotowania dla skautek, albo o czymkolwiek zechcesz. Pomyśl, jak mi będzie nudno w samotności, kiedy pójdziesz do domu o tej porze.

Dorota się jednak uparła i to był argument. Nawet gdyby nie miał zamiaru się do niej zalecać, cokolwiek by w tej mierze obiecał, gdyby nie wyszła, po kilku minutach zaczęłyby na nowo. Pan Warburton nalegał, żeby została, ponieważ, jak ludzie pozbawieni zajęcia, bał się pójścia do łóżka i nie czuł wartości czasu. Mógłby, gdyby mu pozwolić, trzymać człowieka do trzeciej czy czwartej nad ranem. Nawet wtedy, gdy Dorota w końcu uciekła, poszedł za nią oświetloną przez księżyc ścieżką, nadal gadając rozlewnie i w tak doskonałym nastroju, że uznała za niemożliwe gniewać się nań choćby przez chwilę dłużej.

- Pierwsze, co jutro zrobię, to wyjadę - powiedział, kiedy doszli do furty. - Pojadę wozem do miasta, wezmę dzieci - te bękarty, rozumiesz - i następnego dnia pojedziemy do Francji. Nie jestem pewien dokąd udamy się potem; chyba do wschodniej Europy. Praga, Wiedeń, Bukareszt.

- To ładnie - powiedziała Dorota.

Pan Warburton, ze zřęcznością zaskakującą u tak masywnego człowieka, wcisnął się między Dorotę i furte.

- Nie będzie mnie przez sześć miesięcy albo dłużej - rzekł. - I oczywiście nie muszę pytać, przed tak długim rozstaniem, czy nie zechciałabyś mnie na pożegnanie pocałować?

Zanim się zorientowała, co robi, objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. Cofnęła się, za późno - pocałował ją w policzek; pocałowałby w usta, gdyby nie odwróciła w porę głowy. Walczyła w jego ramionach, gwałtownie i przez chwilę beznadziejnie.

- Och, puść mnie! - krzyknęła. - Pozwól mi odejść!

- Myślę, że dałem ci do zrozumienia już wcześniej - ciągnął pan Warburton, przyciskając ją do siebie bez wysiłku - że nie chcę pozwolić ci odejść.

- Ale stoimy akurat przed oknami pani Semprill! Zobacz nas z całą pewnością!

- O dobry Boże, no to zobaczy! - powiedział pan Warburton. - Zapomniałem o tym.

Pod wrażeniem tego argumentu (żaden inny takiego wrażenia by nie wywarł) pozwolił Dorocie odejść. Nie zwlekając oddzieliła się od pana Warburtona furta. On tymczasem bacznie obserwował okna pani Semprill.

- Nigdzie nie widzę świateł - stwierdził w końcu. - Przy pewnym szczęściu ta przekłeta wiedźma nas nie widziała.

- Żegnam - rzuciła Dorota krótko. - Tym razem naprawdę muszę iść. Wspomnij o mnie dzieciom.

Po czym ruszyła tak szybko, jak to było możliwe, żeby nie biec, a umknąć mu, zanim znów zechce pocałować.

Właśnie wtedy pewien dźwięk zatrzymał ją na chwilę - niewątpliwie trzaśnięcie zamykanego okna, gdzieś w domu pani Semprill. Czy jednak pani Semprill ich obserwowала? Ależ (myślała Dorota) oczywiście, że ich obserwowала! Czegóż innego można było oczekiwać? Trudno sobie wyobrazić, by pani Semprill miała przegapić podobną scenę. A jeżeli ich obserwowала, ta historia niewątpliwie jutro rano zostanie rozwleczona po całym mieście i żaden szczegół nie będzie w relacji pominięty. Myśl ta, jakkolwiek złowieszczą, zaledwie przemknęła przez wyobraźnię szybko zbiegającej na dół Doroty.

Oddaliwszy się na stosowną odległość od domu pana Warburtona, przystanąła, wyjęła chusteczkę i zaczęła trzeć pocałowany policzek. Tarła tak silnie, że aż wystąpiła krew. Tarła dopóty, dopóki wyimaginowana plama zostawiona przez jego usta nie została zmyta, dopiero wtedy ruszyła dalej.

To, co zrobił, wyprowadziło ją z równowagi. Jeszcze teraz jej serce waliło i trzepotało w popłochu. Nie znoszę podobnych brewerii! - powtarzała sobie raz po raz. Niestety, była to prawda dosłowna; ona rzeczywiście nie umiała tego znieść. Być całowaną albo pieszczoną przez mężczyznę, czuć na sobie ciężkie męskie ramiona i grube męskie wargi wciskające się w jej własne -to było dla niej przerażające i odrażające. Zarówno wspomnienia, jak wyobrażenia sprawiły, że drżała ze wstrętu. Był to jej sekret szczególny, nieuleczalne kalectwo niesione przez całe życie.

„Gdybyż cię tylko chcieli zostawić w spokoju”, myślała idąc przed siebie już nieco wolniej. Tak właśnie miała zwyczaj do siebie przemawiać - „gdybyż cię tylko chcieli zostawić w spokoju”! Nie znaczyło to, że w ogóle nie lubiła mężczyzn. Przeciwnie, lubiła ich bardziej niż kobiety. Pan Warburton pociągał ją w znacznej mierze dlatego, że był mężczyzną o beztróskim, dobrym usposobieniu i szerokich horyzontach intelektu, tak rzadkich u kobiet. Ale dlaczego nie zostawiają jej w spokoju? Czemu zawsze chcą całować i szarpać? Zawsze byli okropni, kiedy całowali - okropni i nawet odrażający, niczym jakieś wielkie, kosmate bestie, co się czochrają, zbyt poufałe i zdolne w każdej chwili stać się niebezpiecznymi. Za ich pocałunkami i szarpaniami zawsze kryje się sugestia tych innych obrzydliwych rzeczy („tego wszystkiego”, jak to określała), o których nawet myśl jest niezdolna.

Oczywiście miała swój udział, a nawet więcej niż udział, w zalotach ze strony mężczyzn. Była po prostu dość ładna i dość bezbarwna, by należeć do rodzaju dziewczyn, jakim mężczyźni z reguły dają się we znaki. Bo mężczyzna gdy chce się od czasu do czasu rozerwać, wybiera zazwyczaj

dziewczynę niezbyt ładną. Ładne dziewczęta (tak rozumiem) są zepsute i wskutek tego kapryśne; brzydule stanowią łatwy łup. Nawet kiedy się mieszka w mieście takim jak Knype Hill i spędza niemal całe życie na zajęciach parafialnych, nie można, mimo wszystko, uniknąć prześladowań. Dorota była do tego przyzwyczajona, jak i obyta z podtatusiałymi mężczyznami w średnim wieku, z ich po rybiemu przepelnionymi nadzieją oczyma, którzy - gdy przechodziła poboczem drogi - jadąc swymi samochodami zwalniali; lub z tymi, co parli do poznania jej, a po dziesięciu minutach szczykali w łokieć. Z mężczyznami wszystkich typów. Nawet kleryk w sprzyjającej sytuacji, spowiednik biskupa, ten...

Kłopot z tym, że nie było lepiej, ale, och! nieskończenie gorzej, kiedy atakowali ją mężczyźni solidni, zaś czynione przez nich awanse mogły uchodzić za przyzwoite. Cofnęła się myślami o pięć lat wstecz, do Francisa Moona, wówczas wikarego parafii św. Wedekinda w Millborough. Drogi Francis! Z jaką chęcią zostałaby jego żoną, gdyby nie „to wszystko"! Prosił ją nieustannie, by zań wyszła, a ona oczywiście musiała powiedzieć „nie”; równie oczywiście on nigdy nie dowiedział się dlaczego. Nie mogła powiedzieć dlaczego. Odszedł, a ledwie w rok później, tak ni w pięć, ni w dziewięć, zmarł na zapalenie płuc. Wyszepiała modlitwę za jego duszę, zapominając na chwilę, że ojciec nie uznawał modłów za zmarłych, a potem, z pewnym wysiłkiem, odsunęła wspomnienia na stronę. Och, lepiej już o tym nie myśleć. Myśl przeszywała bólem jej piersi.

Postanowiła dawno temu, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Wiedziała o tym będąc jeszcze dzieckiem. Nic nie potrafiło przełamać w niej przerażenia „tym wszystkim” - na samą myśl, że „to” mogło być w niej - drżała zmrożona. I oczywiście nie chciała się przełamywać. Jak wszyscy ludzie odbiegający od normy, nie zdawała sobie w pełni sprawy, że jest nienormalna.

Jednakże, mimo że jej oziębłość seksualna zdawała się naturalna i nieunikniona, Dorota wiedziała dość dobrze, jaka jest tego przyczyna. Pamiętała tak wyraziście, jakby to stało się wczoraj, pewne obrzydliwe sceny między matką i ojcem - sceny, których była świadkiem mając lat nie więcej niż dziewięć. Pozostawiły one w jej umyśle głęboką, tajemną ranę. Nieco później uległa przerażeniu na widok stalorytu przedstawiającego nimfy napastowane przez satyrów. Dla dziewczęcej wyobraźni było coś niezrozumiałe, straszliwie złowieszczonego w owych rogatych, półludzkich stworach, co czyhały w zaroślach, za drzewami, gotowe naskoczyć na nieszczęsne boginki w nagłym, zwinnym ataku. Przez cały rok ze strachu przed satyrami bała się sama chodzić do lasu. Wyrosła z tej obsesji, oczywiście, ale nie pozbyła się związanych z nią uczuć.

Satyr pozostał dla niej symbolem. Być może nigdy nie miała się pozbyć owego szczególnego uczucia obrzydzenia, beznadziejnie ponawianej próby ucieczki od tego czegoś bardziej niż zasadnie okropnego, od odcisków podków w pustym lesie, od chudych włochatych ud satyra. Nie udało się tego zmienić ani wytłumaczyć. Co więcej, jest to zjawisko w dzisiejszych czasach zbyt powszechne wśród kobiet wykształconych, by mogło stanowić jakiegokolwiek zaskoczenie.

Niemal całe podniecenie Doroty znikło z chwilą dojścia do plebani. Myśli o satyrach i panu Warburtonie, o Francisie Moon i skazaniu się na bezdietność, wypełniające jej umysł nieustannie, odleciały, zastąpione przez oskarżycielską wizję rybackich buciorów. Pomyślała, że ma przed sobą tej nocy najmniej dwie godziny pracy, zanim pójdzie do łóżka. Dom stał w ciemnościach. Obeszła go naokoło i wślizgnęła się na palcach przez drzwi kuchenne, z lękiem, że zbudzi ojca, który prawdopodobnie już zasnął.

Podczas gdy w ciemnym korytarzu wymacywała drogę do cieplarni, doszła nagle do wniosku, że popełniła błąd odwiedzając pana Warburtona. Nigdy już, postanowiła, nie pójdzie do niego, nawet jeśli się upewni, że będzie tam ktoś jeszcze. Co więcej, ukarze się jutro rano za to, że zaszła tam dziś wieczorem. Zaświeciwszy lampę, zanim zabrała się do pracy, odszukała swoją notatkę „ku pamięci”, napisaną na jutro i postawiła duże „P” przed „śniadanie”, P - oznaczało pokutę: znowu nie zje na śniadanie bekonu. Po czym zapaliła olejowy kaganek pod garnkiem z klejem.

Lampa rzucała żółte światło na maszynę do szycia i stertę niedokończonych strojów na stole, przypominając o jeszcze większej stercie tych nawet nie zaczętych; przypominając także o okropnym, przygnębiającym zmęczeniu. Zapomniała o nim, gdy pan Warburton położył dłonie na jej karku, ale teraz wróciło ze zdwojoną siłą. Co więcej, znużenie tej nocy miało charakter wyjątkowy. Czowała się, w niemal dosłownym znaczeniu tych wyrazów, wypłukana, zmyta. Kiedy tak stała obok stołu, doznała nagłego, bardzo dziwnego uczucia, że czaszkę wypełnia jej całkowita próżnia, tak że przez kilkanaście sekund zupełnie nie wiedziała, co ma w tej cieplarni do zrobienia.

Wreszcie sobie przypominała: buty rybackie, oczywiście! Jakis podły, mały demon szeptał w jej ucho: „dlaczego nie pójdziesz prosto do łóżka i nie zostawisz tych butów na jutro?” Wymamrotała modlitwę o wytrwałność i uszczypnęła się: dalej, Doroto! Bez opieszalstwa, proszę! Łukasz EX, 62. Po czym, uprzątnąwszy nieco śmieci ze stołu, wzięła nożyce, ołówek, cztery arkusze pakowego papieru i usiadła, by wyciąć owe niewykonalne podbicia do butów. Klej się już gotował.

Zegar po dziadku w gabinecie ojca wybił północ, a ona jeszcze pracowała. Zdążyła już uformować oba buty i teraz wzmacniała je, naklejając wąskie pasma papieru na całą powierzchnię; uciążliwa to, brudna robota. Czuła ból we wszystkich kościach, oczy kleiły się do snu. Właściwie było wręcz niepojęte, że wie, co robi. Ale pracowała dalej, mechanicznie nalepiając pasek po pasku i szczypiąc się co dwie minuty, by zwalczyć hipnotyzujący dźwięk oliwnego kaganka śpiewającego pod gamkiem kleju.

ROZDZIAŁ DRUGI

1.

Z czarnego snu bez snów, z uczuciem istoty wleczonej ku górze przepastnych i stopniowo rozświetlanych otchłani, Dorota ocknęła się, odzyskując pewien rodzaj świadomości.

Oczy miała nadal zamknięte. Jednakże stopniowo ich powieki traciły niewrażliwość na światło, aż otwarły się z właściwym sobie trzepotem. Patrzyła na ulicę, nędzną, ruchliwą ulicę małych sklepów i domów o wąskich frontonach, z potokami spieszących mężczyzn, tramwajów i samochodów jadących w obu kierunkach.

Na razie jednak powiedzenie, że patrzyła - nie wydaje się właściwe. Ponieważ to, co widziała, nie było widziane jako mężczyźni, tramwaje, samochody ani jako coś w ogóle określonego, nie było odbierane jako poruszające się przedmioty; nawet nie jako przedmioty. Po prostu widziała tak, jak widzi zwierzę, bez zastanawiania się i prawie nieświadomie. Hałasy ulicy - pomieszany harmider głosów, jazgot klaksonów i zgrzyt tramwajów na zapiaszczonych szynach - przelatywały przez jej głowę wywołując reakcje czysto fizyczne. Brakło jej słów, a nawet pomysłu na użyteczność czegoś takiego jak słowa, świadomość czasu i miejsca, własnego ciała, a nawet własnego istnienia.

Mimo to postrzeganie stopniowo stawało się ostrzejsze. Potok ruchomych przedmiotów zaczynał przenikać poza oczy i wyodrębniać się w mózgu w osobne obrazy. Zaczęła, ciągle w milczeniu, obserwować kształty przedmiotów. Przepłynął przedmiot wydłużony, podpierany czterema innymi, węższymi, długimi przedmiotami, ciągnąc za sobą przedmiot o kształcie kwadratu kołyszącego się na dwu kręgach. Dorota patrzyła jak przemyka; i nagle, samo z siebie, w jej umyśle zabłysło słowo. Było to słowo „koń”. Odbiegło, ale wróciło natychmiast w bardziej złożonej postaci: „To jest koń”. Przyszły za nim inne słowa - „dom”, „ulica”, „tramwaj”, „samochód”, „rower” - aż po kilku minutach znajdowała nazwy niemal wszystkiego w zasięgu wzroku.

Odnalazła słowa „mężczyzna”, „kobieta” i analizując te słowa odkrywała, że zna różnice między przedmiotami żywymi i martwymi, między istotami ludzkimi i końmi, między mężczyznami i kobietami.

Dopiero teraz, kiedy rozpoznała większość otaczających ją przedmiotów, zdała sobie sprawę z własnego istnienia. Do tej chwili była parą oczu z wrażliwym, ale czysto bezosobowym poza nimi mózgiem. Teraz jednak, odrobinę tym wstrząśnięta, odkryła swoje własne niepowtarzalne istnienie; poczuła, że istnieje; coś zdawało się w niej krzyżeć „ja jestem ja !” Zarazem, jakimś sposobem, wiedziała, że owo „ja” istniało i było zawsze tym samym „ja” od niepamiętnych czasów, choć należało do przeszłości, która nie zostawiła wspomnień.

Odkrycia te zajęły ją tylko przez chwilę. Od samego początku towarzyszyło im poczucie niekompletności, czegoś - z niejasnych przyczyn - niezadowolającego. Dlatego, że owo „ja jestem ja”, które wydawało się odpowiedzią - samo stało się pytaniem. Nie brzmiało już: „ja jestem ja”, ale „kim jestem ja?”

Kim była? Przerzuciła to pytanie przez myśl i stwierdziła, że nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest; wyjąwszy to, że obserwując przechodzących ludzi i konie, nabrała pewności, że jest istotą ludzką, a nie koniem. Pytanie uległo dalszej zmianie i przyjęło taką oto postać: „Jestem mężczyzną czy kobietą?” I znów ani czucie, ani pamięć nie dały żadnej wskazówki do odpowiedzi. Ale w tej właśnie chwili, być może przez przypadek, opuszki palców potarły ciało. Uświadomiła sobie wyraźniej niż kiedykolwiek, że jej ciało istnieje, że jest jej własne i - że jest, w istocie nią samą. Poczęła badać je rękoma i ręce objęły piersi. Była więc kobietą. Tylko kobiety mają piersi. Wiedziała, jakimś sposobem, nie wiedząc jak do tego doszła, że wszystkie przechodzące kobiety mają pod sukienkami piersi, choć nie mogła ich widzieć. Teraz pojęła, że w celu rozpoznania samej siebie musi zbadać swoje ciało, poczynając od twarzy. Przez kilka chwil usiłowała spojrzeć na własną twarz, zanim zrozumiała, że to niemożliwe. Zerknęła w dół i spostrzegła nędzną, czarną satynową sukienkę, raczej długą, parę pończoch ze sztucznego jedwabiu w cielistym kolorze, brudnych i z drabinkami oczek, oraz parę bardzo znożonych czarnych aksamitnych pantofelków na wysokich obcasach. Obejrzała swoje ręce - były zarazem obce i nieobce. Nieduże ręce o twardych dłoniach, bardzo brudne. Po chwili zdała sobie sprawę, że to brud uczynił je dla niej obcymi. Same ręce wydawały się naturalne i właściwe, chociaż ich nie poznała.

Po chwilowym wahaniu odwróciła się w lewo i zaczęła stąpać powoli wzdłuż chodnika. Nawiedził ją cudem szczegół wiedzy z pustej przeszłości: istnienie

luster, ich przeznaczenie i fakt, że często bywają w sklepowych witrynach. Podeszła do taniego małego sklepu jubilerskiego, w którym ułamek lustra umieszczony w rogu, odbijał twarze przechodzących ludzi. Dorota wyłowiła swoje odbicie spośród tuzina innych, natychmiast zdając sobie sprawę, że właśnie widzi siebie. Choć nie można powiedzieć, że się rozpoznawała; nie przypominała sobie, by się kiedykolwiek przedtem widziała. Lustro ukazywało młodą kobiecą twarz, szczupłą, o bardzo jasnych włosach, z kurzymi łapkami wokół oczu, nieco przyćmioną przez brud. Prostacki czarny kapelusz w kształcie hełmu siedział niedbale na głowie, zagarniając większość włosów. Twarz była mało znana, ale mimo to nie obca. Do tej chwili nie wiedziała jakiej się spodziewać, ale teraz, kiedy ją ujrzała, zdała sobie sprawę, że była to twarz, jakiej się spodziewać mogła. Właśnie odpowiednia. Odpowiadała czemuś w jej wnętrzu.

Odwróciwszy się od lustra jubilera złowiła napis »Czekolada Fry'a«, w oknie wystawowym naprzeciw i odkryła, że rozumie cel pisania, a także, po krótkim wysiłku, że jest w stanie czytać. Jej oczy przemknęły przez ulicę łowiąc i odczytując strzępy druków, nazwy sklepów, ogłoszenia, gazetowe afisze. Przesylabizowała litery dwu białych i czerwonych plakatów na sklepie tytoniowym. Jeden z nich głosił: »Najnowsze plotki o córce proboszcza. Podobno już jest w Paryżu«. Potem spojrzała w górę i ujrzała na rogu domu tabliczkę z białymi literami New Kent Road. Słowa te zatrzymały ją. Pojęła, że stoi na Nowej Drodze Kentu oraz - inny szczegół tajemniczej wiedzy - że Nowa Droga Kentu znajduje się gdzieś w Londynie.

Stwierdziwszy to poczuła, że przez jej ciało przebiega osobliwy dreszcz. Umysł był już rozbudzony całkowicie; pojęła, co nie dotarło do niej wcześniej, dziwaczność swojej sytuacji, a to oszołomiło ją i przejęło trwogą. Co to wszystko mogło znaczyć? Co tu robi? Jak się tu dostała? Co się z nią stało? Nie czekała na odpowiedź długo. Pomyślała i wydało się jej, że doskonale rozumie: „Oczywiście! Straciłam pamięć!”

W tej chwili dwaj młodzieńcy, z bezkształtnymi tobołkami na plecach i dziewczyna, minawszy ją ociężale, przystanęli i spojrzeli zaciekawieni. Wahali się chwilę, po czym ruszyli dalej, ale znów przystanęli przy słupie ulicznej latarni, pięć kroków dalej. Dorota widziała, że się na nią oglądają i coś mówią. Jeden z mężczyzn, lat około dwudziestu, wąska pierś, czarne włosy, różowa cera, stosownie do szemranego stylu, odziany był w strzępy po knajacku schludnego ubrania i kraciatą czapkę. Drugi liczył sobie lat około dwudziestu sześciu, przysadkowaty, sprężysty i krzepki, z zadartym nosem, o czystej różowej skórze i wielkich wargach, grubych jak kielbaski,

odslaniających żółte zęby. Obdarty bez żenady, miał wiechę pomarańczowych kłaków przyciętych krótko i porastających nisko głowę, co dawało mu wstrząsające podobieństwo do orangutana. Dziewczyna wyglądała na głupawę, pulchne stworzenie, odziane w strój bardzo podobny do ubrania Doroty. Dorota mogła dosłyszeć coś z tego, o czym mówili:

- Ta dziwka wygląda na chorą - powiedziała dziewczyna.

Pomarańczowogłowy, który podśpiewywał *Stonecznego chłopca*, dobrym barytonem, przestał śpiewać, by odpowiedzieć. - Una nie jes chora - rzekł. - Una się szlaja. Tag jag i my.

- Pasowałyby w sam raz Nobby'emu, co nie? - powiedział ciemnowłosey.

- Och, ty! - krzyknęła dziewczyna z przywilnością w głosie, udając, że chce palnąć ciemnowłosego w łeb.

Młodzi opuścili tobołki i oparli je o latarnię. Całą trójką, z pewnym jakby wahaniem, podeszli do Doroty; pomarańczowogłowy, który nazywał się chyba Nobby, szedł przodem niby ich ambasador. Poruszał się podskokami, krokiem małpy, a szczyrzył zęby tak szczerze i szeroko, że nie było sposobu nie odwzajemnić się uśmiechem. Przemówił do Doroty przyjaźnie:

- Hallo, mała!

- Hallo!

- Szlajasz się, mała?

- Szlajam?

- Dobra, wyciągasz łapę?

- Łapę?

- Chryste! una mo bzika - mruknęła dziewczyna, szarpiąc czarnowłosego za ramię, jakby go pragnęła odciągnąć.

- No, co ja chciałem powiedzieć, mała, masz jako forszę?

- Nie wiem.

Cała trójka spojrzała po sobie z osłupieniem. Przez chwilę pomyśleli chyba, że Dorota naprawdę ma bzika. Ale jednocześnie Dorota, która wcześniej odkryła małą kieszeń na boku sukienki, wsunęła w nią dłoń i wyczuła kształt dużej monety.

- Myślę, że mam pensa - powiedziała.

- Pensa! - mruknął ciemny młodzian z niesmakiem. - To jak na nasz nie mało!

Dorota wyjęła monetę. Było to pół korony. Na twarzach tamtej trójki zaszła zdumiewająca zmiana. Usta Nobby'ego rozwarły się w ukontentowaniu, podskoczył parę kroków tam i z powrotem niczym wielka rada małpa, po czym, stanąwszy, ujął Dorotę konfidencjonalnie za ramię. - To jes ale zupa z

korzeniamy! - powiedział. - Ustrzelilim jo szczęśliwie - tag jag i ty, mała, słowo. Beesz błogosławić tyn dzień, kiedyś oparła na nas te swoje oczki. Załapiesz przy nas fortunę, mówię ci. No a teraz popatrz tu, mała - wstępujesz do naszy paki?

- Co? - spytała Dorota.

- Co chce poedzić - nie zostałabyś kumpelko Flo i Charliego i mojo? Spółka, rozumisz? Sami towarzysze, ramie w ramie. Zjednoczone ustoiomy, podzielone przepadniemy. My główkujemy, ty dajesz forszę. Co ty na to, mała? Przystępujesz, czy nawalasz?

- Zamknij się, Nobby! - przerwała dziewczyna. - Una z tego co gadasz nie rozumi ni słowa. Mów do ni porzonnie, ni umisz?

- To się da, Flo - powiedział Nobby spokojnie. - Ty się zamknij, a mowę zostaw mnie. Mam sposoby na dziwki, jaka mowa. No, słuchaj mnie ty, mała - jakże się możesz nazywać, mała?

Dorota już miała powiedzieć „nie wiem”, ale była dość czujna, by się w porę powstrzymać. Wybrawszy imię żeńskie spośród połowy tuzina, jakie natychmiast odnalazła pamięć, odparła: - Ellen.

- Ellen. To jes ta ostra indyjska zupa z korzeniamy. Bez tam nazwisk, wkiedy wyciągasz łapę. No to gra, Ellen, droga, posłuchaj mię. My, trójka, idziemy za chmielem, kapujesz...

- Za chmielem?

- Mielem - wtrącił ciemny młodzian niecierpliwie, jakby zde gustowany ignorancją Doroty. Jego głos i maniry były raczej ponure, zaś akcent znacznie wulgarniejszy od Nobby'ego. - Rźniemy 'miel, tamuj w Kencie, 'ozumisz, nie?

- Och, chmiel, na piwo?

- To jes ta indyjska zupa! Idziesz z namy, git. Gra, mała, to jes, chciałem rzec, naszo trójko wędrujemy za chmielem, mamy dostać robotę na farmie Blessingtona, w Dolnym Molesworth. Aleśmy jakby ciut przygrzęźli w ty indyjski zupie, kapujesz? A że nie mamy ani miedziaka, pedałużemy, to jakie trzydzieści pięć mil, i musimy wypukać nasz chlebek i spanko po nocach tyż. I to jes ta jakby indyjska zupa, z paniamy w grupie. Ale tera, założmy na ten przykład, że idziesz z namy, co powiesz? Możemy za dwa pensy dojechać tramwajem aż do Bromley i piętnaście mil mamy załatwione, a nie potrzebujemy kimać po drodze części jak raz na noc. Możesz przystać do naszy paczki, czwórka w paczce to najlepszy kwiat, a jeźli Blessington płaci po dwa pensy za buszel, możesz letko odłożyć po dziesińc szylów tygodniowo. Co ty na to, mała? Twoje dwa i pół szyła nie wiele ci tu w

Lon-dymie pomogo. Ale jeżeli wstępujesz do spółki z namy, beesz mieć wyrko przez miesiąc albo i lepi - a my możem podjechać do Bromley i troszku se jeszcze wciąć.

Dorota zrozumiała około ćwierci tego przemówienia. Spytała raczej na chybił-trafił:

- Co to jest wciąć?

- Wciąć? Żarciołko - spyża. Widzę, że nie jesteś za długo na bruku, mała?

- Och... Dobrze, chcecie, żebym z wami poszła zrywać chmiel, tak?

- Tak, Ellen, moja droga. Przystajesz, czy spadasz?

- Zgoda - powiedziała bez zwłoki Dorota. - Idę.

Podjęła tę decyzję bez żadnej, najmniejszej obawy. Prawdą jest, że gdyby miała czas na przemyślenie swojej sytuacji, postąpiłaby prawdopodobnie inaczej; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa poszłaby na posterunek policji i poprosiła o pomoc. To byłby właściwy sposób działania. Jednakże Nobby i reszta zjawili się w tak krytycznej chwili, a Dorota była tak bezradna, że wydała się jej czymś dość naturalnym zawierzyć bez reszty pierwszemu człowiekowi, który się przedstawił. Ponadto, z powodu, którego sama nie rozumiała, pozbyła się wątpliwości usłyszawszy, że zmierzają do Kentu. Kent, jak miała wrażenie, był właśnie miejscem, do którego pragnęła się udać. Tamci przestali się już dziwić i nie zadawali niewygodnych pytań. Nobby powiedział po prostu: „O.K. To jest ta indyjska zupa!” Po czym delikatnie wyjął dwuko-ronówkę z dłoni Doroty i wpuścił do własnej kieszeni - na wypadek, gdyby miała ją zgubić, jak wyjaśnił. Ciemny młodzian - chyba miał na imię Charlie - powiedział swoim grubiańskim, nieznośnym stylem:

- Dali, ruszamy! Już po drugi. Nie chcemy stracić tygu tam - tramwaja. Skond un rusza, Nobby?

- Spod Elefanta - powiedział Nobby. - Musim go złapać przed czwarte, bo późni nie dajo wolnego przejazdu.

- To dali, wienc, nie traćma czasu. Dostaniem ładno robotę, byle się dostać do Bromley i znaleźć coś do spania, zaczem się ściemni. Dali, Flo.

- Biegiem marsz! - rozkazał Nobby, zarzucając swój tobolek na ramię.

Podawali się bez słowa, Dorota ciągle oszołomiona, ale ze znacznie lepszym samopoczuciem niż przed półgodziną, szła obok Flo i Charliego, którzy ze sobą rozmawiali nie zauważając jej zupełnie. Od pierwszej chwili odnosili się do Doroty z rezerwą, pragnąc jedynie dzielić półkoronówkę, ale bez przyjaznych uczuć. Nobby maszerował na przedzie, krocząc rażno mimo niesionego ciężaru i śpiewał, z wycuciem naśladowując muzykę marszową, dobrze znaną

wojskową piosenkę, której słowa, gdyby je zapisać, brzmiałyby mniej więcej tak:

...! cała orkiestra mogła grać; ...! ...!
... tego samego życzę wam!

2.

Był dwudziesty dziewiąty sierpnia. Dorota usnęła w ciepłarni nocą dwudziestego pierwszego; zdarzyło się więc w jej życiu interregnum trwające niespełna osiem dni.

To, co się przytrafiło, było dość pospolite - niemal każdego tygodnia można przeczytać w gazetach o podobnym przypadku. Człowiek znika z domu, przepada na dni lub tygodnie, po czym zjawia się na posterunku policji albo w szpitalu, nie mając pojęcia kim jest i skąd przybył. Z zasady nie można ustalić, jak spędził miniony czas; wędrował, prawdopodobnie w jakimś hipnotycznym lub somnambulicznym stanie, a mimo to był zdolny powrócić do normalności. W przypadku Doroty jedno tylko jest pewne, to mianowicie, że podczas swojej podróży została obrabowana, ponieważ odzież, jaką nosiła, nie należała do niej, a jej złoty krzyżyk zginął.

W chwili, kiedy zaczął ją Nobby, zmierzała już ku odzyskaniu świadomości; gdyby zadbano o nią właściwie, mogłaby odzyskać pamięć w ciągu paru dni lub nawet godzin. Mógł to sprawić byle drobiazg: przypadkowe spotkanie przyjaciela, zdjęcie rodzinnego domu, mądrze zadawane pytania. Ale nie otrzymała tej drobnej dla umysłu podniety. Trwała w owym szczególnym stanie, w jakim odnalazła sama siebie - umysł był potencjalnie normalny, ale nie dość spięty, by się skupić nad rozwiązaniem zagadki własnej tożsamości.

Oczywiście, z chwilą, gdy się bez reszty podporządkowała Nobby'emu i pozostałym, straciła wszelkie szansę na refleksję. Nie miała już czasu, by usiąść i gruntownie przemyśleć sprawę. Nie miała czasu, by wziąć się za bary z całym tym ambarasem i odnaleźć sposób jego rozwikłania. W owym dziwnym, brudnym pod-świecie, w jaki została gwałtownie strącona, niemożliwe było znalezienie na namysł nawet pięciu pełnych minut. Dni mijały w nieustannym upiornym pośpiechu. W rzeczy samej, bardzo to przypominało senny koszmar, wprawdzie nie z powodu natarczywych strachów, ale głodu, plugastwa, udręczenia i straszliwego zimna lub upału. Później, kiedy wspominała tamten okres, dni i noce mieszały się ze sobą tak, że nie była zdolna policzyć z zupełną dokładnością jak długo to trwało. Wiedziała jedynie, że przez pewien nieokreślony czas nieustannie bolały ją nogi i niemal stale była

głodna. Głód i ból stóp należały do najwyraźniejszych wspomnień z tamtego, życia; a także ziąb nocy i osobliwe, fizyczne uczucie otepienia, zrodzone z bezsenności i stałego przebywania na powietrzu.

Dotarłszy do Bromley „wtarabanił się” w ohydne, zasłane papierzyškami wysypisko śmieci, cuchnące fetorem odpadów z kilku rzeźni, a potem dygocąc spędzili noc, mając za przykrycie jedynie worki, w mokrej, wysokiej trawie na skraju boiska. Ruszyli o świcie, pieszo, ku plantacji chmielu. Już wtedy Dorota odkryła, że to, co opowiadał Nobby o obiecanej pracy, było całkowitą nieprawdą. Zmyślił to - przyznał się z dość lekkim sercem - żeby nakłonić ją do pójścia z nimi. Jedyłą szansą otrzymania pracy było zagłębienie się w krainę chmielu i zachodzenie do każdej zagrody tak długo, aż znajdzie się taka, gdzie będą jeszcze potrzebować zbieraczy.

Mieli do przebycia jakieś trzydzieści pięć mil w linii powietrznej, mimo to u schyłku trzeciego dnia osiągnęli zaledwie skraj chmielowych pól. Tym, co zwalniało ich marsz - była, oczywiście, potrzeba jedzenia. Mogliby przemierzyć całą odległość w ciągu dwu dni, a nawet w ciągu dnia, gdyby nie musieli się żywić. Nie mieli nawet czasu sprawdzać, czy idą w kierunku plantacji chmielu, czy nie; jadło dyktowało wszystkie poruszenia. Półkoronówka Doroty stopniała w ciągu kilku godzin, potem nie zostało nic, poza żebractwem. Ale wynikły z tego kłopoty. Jedna osoba w drodze może wyżebrać dla siebie pożywienie z łatwością, nawet dwie mogą tego dokonać, ale sprawy mają się zupełnie inaczej, kiedy razem idzie czworo. W takich okolicznościach można przeżyć, jeśli poluje się na żywność równie uparcie i obsesyjnie jak zwierzę. Żarcie - to była ich jedyna troska w ciągu owych trzech dni, po prostu żarcie i ta bezgraniczna trudność w jego zdobywaniu.

Żebrali od rana do nocy. Przebywali olbrzymie odległości, zygzakując po powiecie, włączając się od wsi do wsi i od domu do domu, „pukając” do każdej masarni i do każdej zasobniej wyglądającej zagrody, obsiadając z nadzieją piknikujące towarzystwa i pomachując - zawsze daremnie - przejeżdżającym samochodom, zaczepiając - z właściwym wyrazem twarzy - starych dżentelmenów i opowiadając mrozące krew w żyłach historyjki. Często zbaczali z drogi nawet pięć mil, byle by zdobyć kromkę chleba czy garść okrawków bekonu. Żebrali wszyscy, a z nimi Dorota; nie pamiętała przeszłości, nie miała odniesień, by odczuwać z tego powodu wstyd. Mimo wszelkich wysiłków głodowali, gdyby nie dokradli tyleż, co udało się im wyżebrać. O zmierzchu i wczesnym świcie plądrowali sady i pola, kradnąc jabłka, orzechy laskowe, gruszki, damaszki, jesienne maliny i, przede wszystkim, ziemniaki. Nobby uważał za grzech minięcie kartofliska, jeśli sobie na nim nie wypchał

przynajmniej kieszeni. Najczęściej kradł Nobby, podczas gdy inni stali na straży. Był złodziejem odważnym; za szczególny powód do chwały uważał, że mógł ukraść wszystko, co nie było przywiązane i zapewne wpakowałby ich wszystkich do więzienia, gdyby go czasem nie powstrzymywali. Dobrał się raz do gęsi, ale te narobiły takiego jazgotu, że Charlie i Dorota odciągnęły Nobby'ego, dokładnie w chwili, gdy właściciel wyszedł z drzwi, by zobaczyć, co się dzieje.

Każdego z tych pierwszych dni przechodzili dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil. Włóczyli się po gminach i zabitych deskami wsiach o niesamowitych nazwach, gubili się na drogach prowadzących donikąd i zwalali wyczerpani w suchych rowach pachnących koprem i wrotyczem, zakradali się w prywatne lasy, „wtarabaniali” w zarośla, gdzie była woda i drewno, warzyli cudaczne nędzne dania w dwufuntowych puszkach po tabace, które stanowiły ich jedyne kuchenne naczynia. Czasem, gdy mieli szczęście, przyrządzali wspaniały gulasz z wyżebranego bekonu i skradzionych kalafiorów; czasem obżerali się pozbawionymi smaku ziemniakami pieczonymi w popiele, czasem zaś „dżemem” zrobionym ze skradzionych jesiennych malin, które gotowali w puszkach po tabace i pożerali jeszcze parząco-gorące. Nigdy nie brakowało im jedynie herbaty. Nawet gdy nie mieli niczego do jedzenia - zawsze była herbata, wielokrotnie parzona, ciemno brunatna i orzeźwiająca. To jest coś, co można wyzebrać najłatwiej. „Proszę pani, nie mogłaby mi pani odstąpić szczypty herbaty?” - stanowi prośbę, która rzadko zawodzi, nawet u uodpomionych gospodyń domowych z Kentu.

Dni były upalne, drogi oślepiająco białe, a przejeżdżające samochody miały w ich twarze duszący pył. Często miały ich rodziny zbieraczy chmielu, pozdrawiając krzykiem, na ciężarówkach wyładowanych pod niebo meblami, dziećmi, psami i ptasimi klatkami. Noce były zawsze zimne. Rzadko w Anglii zdarza się po północy, by było rzeczywiście ciepło. Za całą pościel mieli dwa obszerne worki. Flo i Charlie - jeden, Dorota - drugi; Nobby sypiał na gołej ziemi. Niewygoda była równie dokuczliwa jak chłód. Kiedy leżysz na plecach, bez poduszki pod głową, głowa turla się tak, że kark niemal pęka; kiedy leżysz na boku, kość biodrowa wciska się w ziemię i cierpisz męczarnie. Nawet gdy w rzadkich chwilach zasypiasz, zimno przenika w najgłębsze sny.

Tylko Nobby potrafił to znieść. Mógł spać w gnieździe zroszonych traw tak spokojnie, jak w łóżku, a jego prostacka małpia gęba, może z tuzinem czerwonozłotych kosmyków błyszczących na policzku niczym zwinięte w spiralkę miedziane pręciki, nigdy nie traciła swego ciepłego, różowego

koloni. Był jednym z tych rudzielców, którzy zdają się jaśnieć wewnętrznym promieniowaniem, co ociepla nie tylko ich samych, ale także otaczające powietrze.

Całe to dziwne, pozbawione wygód życie Dorota przyjmowała za oczywiste - tylko mgliście, jeżeli w ogóle, zdając sobie sprawę, że to inne, nie pamiętane życie, które pozostawiła za sobą, różniło się w jakiś sposób od obecnego. Już po paru dniach przestała się w ogóle dziwić swemu cudacznemu położeniu. Akceptowała wszystko, akceptowała brud i głód, i zmęczenie, niekończące się włóczęgi tam i sam, skwar, zapyłone dni i bezsenne, rozdygotane noce. Była zbyt zmęczona, żeby myśleć. Drugiego dnia po południu czuli się okrutnie, przygniatająco wymęczeni wszyscy, z wyjątkiem Nobby'ego, którego nic nie potrafiło zmóc. Nawet gwóźdź, który wkrótce po wyruszeniu w drogę zaczął się przebijać przez zelówkę jego trzewika, nie potrafił wytrącić go z równowagi. Bywały chwile, kiedy zdawało się, że Dorota zasypia idąc. Miała teraz ciężar do niesienia, jako że obaj mężczyźni już byli obciążeni, a Flo stanowczo odmawiała niesienia czegośkolwiek; Dorota ochotniczo zgodziła się dźwigać worek ze skradzionymi ziemniakami. Zgromadzili około dziesięciu funtów ziemniaków na zapas. Dorota zarzuciła worek na ramię tak jak Nobby i Charlie swoje tobołki, ale sznurek wrzynał się w nią niczym piła, a worek tłukł w biodro i tarł tak, że w końcu zaczęło krwawić. Znoszone, marne buty już na samym początku jęły się rozpadać. Drugiego dnia obcas prawego odpadł i zmusił ją do utykania; ale Nobby, ekspert od takich spraw, poradził, by oderwała również obcas drugiego buta i szła płasko. W rezultacie piekący ból, kiedy wspinała się na wzgórze, wdzierał się w golenie i miała wtedy uczucie, jakby ją bito w podeszwy stóp żelaznym prętem.

Jednakże Flo i Charlie znajdowali się w jeszcze gorszej, niż ona, sytuacji. Byli nie tyle wyczerpani, co zdumieni i zgorzeleni odległościami do przebycia. O przejściu dwudziestu mil dziennie dotychczas nawet nie słyszeli. Byli z krwi i kości przedmiejskimi lumpami i choć mieli za sobą kilka miesięcy nędzy w Londynie, żadne z nich nie zaznało przedtem podobnej rajzy. Charlie, jeszcze dość niedawno, miał niezłą robotę, a Flo dobry dom do chwili, kiedy została uwiedziona i przepędzona za drzwi, skazana na życie ulicznicy. Wpadli na Nobby'ego na Trafalgar Square i zgodzili się iść z nim na zbiór chmielu, wyobrażając sobie, że to niezła zabawa. Oczywiście, spędziwszy - w porównaniu z Nobbym - krótki czas „w rajzie”, patrzyli na niego i na Dorotę jakby nieco z wysoka. Doceniali u Nobby'ego znajomość dróg i jego złodziejską odwagę, ale przy nich był kimś społecznie

niższym - taki mieli doń stosunek. A co do Doroty - ledwie raczyli na nią spojrzeć z chwilą, kiedy jej półkoronówka została wydana co do pensa.

Już drugiego dnia zaczęli się łać. Zostawali z tyłu, gderali bezustannie i żądali jedzenia więcej, niż się należało. Trzeciego dnia niemal nie można ich było na drodze zatrzymać. Marudzili, że chcą być z powrotem w Londynie i przestali dbać o to, czy dobrną kiedykolwiek do plantacji chmielu czy nie; wszystko, na co mieli ochotę, to uwalać się w każdym wygodniejszym miejscu jakie się nadarzało, a gdy było jeszcze coś do zjedzenia - pożreć to z nienasyconą zachłannością. Po każdym przystanku, zanim zdecydowali się znów stanąć na nogach, wybuchały nudne kłótnie.

- Ano, typy! - zwykł mawiać Nobby. - Zwijaj się, Charlie. Pora nam się zbierać.

- Och, zbierać! - odpowiadał Charlie posępnie.

- Przecie nie mozem tu utknąć, no nie? Powiedziałem sobie, że dojdziem dziś wieczór do Siedmiu Dębów, no nie?

- Och, Siedem Dębów, Siedem Dębów czy inne francowate miejscć, dla mnie to żadna francowata różnica.

- No, ale! Chcemy dostać jutro robotę, no nie? I musim się dostać do tych farmów, zaczem zacznem ich szukać.

- Och te farmy! Bodaj bym nigdy nie słyszała o tem 'mielu! Nie po tom się rodziła - żeby się włóczyć i barłóżyć jako ty. Mam potąd; to jes to co ja mam, potąd.

- Jeźli to jest francowata zbiórka 'mielu, Flo się ze mno zgodzi, jużem se no wypchał sakramencki kałdun dość.

Nobby podzielił się z Dorotą osobistym przekonaniem, że Flo i Charlie najpewniej zechcą się „urwać”, kiedy tylko nadarzy się okazja powrotu do Londynu. Zaś co do Nobby'ego, nic nie odbierało mu animuszu, ani nie mąciło dobrego samopoczucia, nawet gdy gwóźdz w jego bucie przelażł do końca, a brudny strzęp skarpety pociemniał od krwi. Trzeciego dnia gwóźdz wydrażył sobie stałą dziurę w stopie i Nobby musiał się w końcu zatrzymywać co miłę, by wybijać go z powrotem.

-Przepraszam, mała - mawiał - musze znowuż zajrzyć do mojego pieprzonego gwóździa. Tyn gwóźdz to jes dopiro indyjska zupa!

Szukał okrągłego kamienia, przykucał w rowie i starannie wybijał gwóźdz na zewnątrz.

- No! - mawiał z nadzieją, macając miejsce palcem. - Wlaz skurwiel w swój grób!

To epitafium musiało się jednak odradzać. Gwóźdź niezmiennie, ponownie przebijał sobie drogę do środka w ciągu kwadransa.

Nobby, oczywiście, usiłował posiąść Dorotę, lecz kiedy go odepchnęła, nie żywił do niej żalu. Cechował go tego rodzaju szczęśliwy temperament, że porażek nie potrafił traktować poważnie. Zawsze pozostawał dobroduszny, zawsze podśpiewywał mocnym barytonem - miał przy tym trzy ulubione piosenki: *Słoneczny chłopiec*, *Było to w Boże Narodzenie na fabryce* (na melodię *O założeniu Kościoła*) i *.../... to wszystko, co orkiestra mogła grać*, tę ostatnią śpiewał z werwą orkiestry wojskowej. Skończył lat dwadzieścia sześć i był wdowcem, bywał kolejno sprzedawcą gazet, drobnym złodziejaszkiem, młodocianym więźniem, żołnierzem, włamywaczem, wreszcie włóczęgą. Fakty te można było jednakże zgromadzić jedynie samemu, bo nie był skłonny składać sprawozdań ze swego życia. Jego opowieści były przetykane osobnymi barwnymi wspomnieniami - o sześciu miesiącach, które przesłużył w liniowym pułku, zanim został zraniony w oko; o obrzydliwej więziennej zupie w Holloway; o dzieciństwie w rynsztokach Deptfordu; o śmierci jego żony w osiemnastym roku życia, podczas porodu, kiedy on miał lat dwadzieścia; o giętkości trzciny w więzieniu; o głuchym wybuchu nitrogliceryny w drzwiach sejfu fabryki obuwia Woodwarda, gdzie Nobby „trafił” sto dwadzieścia pięć funtów i przehulał je w trzy tygodnie.

Trzeciego dnia po południu dobili do skraju upraw chmielu i zaczęli spotykać zniechęconych ludzi, w przewadze włóczęgów, wlokących się z powrotem do Londynu z wieściami, że nie ma nic do roboty - chmiel marny, a ceny niskie, że Cyganie i swojacy położyli łapę na całej robocie. Flo i Charlie stracili resztę nadziei, ale dzięki mieszaninie terroru i perswazji, udało się Nobby'emu pociągnąć ich kilka mil dalej. W małej wiosce o nazwie Wale trafili na starą Irlandkę - nazywała się pani McElligot - która właśnie otrzymała pracę na sąsiedniej plantacji chmielu i zamienili z nią kilka skradzionych jabłek na kawałek mięsa, jaki wycygała owego ranka. Udzieliła im pewnych pożytecznych rad na temat zbierania chmielu i sposobu wybierania farm. Wszyscy leżeli uwaleni w wiejskich zaroślach, naprzeciw sklepu towarów mieszanych, oklejonego afiszami reklamującymi gazy.

-Najlepi idźcie i popróbujcie u Chalmersa - radziła im pani McElligot z paskudnym dublińskim akcentem. - To je ciut nad pińć mil stond. Słyszałam jak mówili, że Chalmers potrzebuje jeszcze tuzin zbieraczy, mnimam, że da wom robotę, jeźli tam dojdziecie w czas.

- Pińć mil! Chrystusie! Ni ma tu żadnego bliży? -burknął Charlie.

- Jest, jest taki Norman. Dostałam robotę u Normana sama, zaczynam jutro świątkiem. Ale wama tam nie ma czego szukać. Un nie bierze nikogo jak tylko swojaki, a powiadają, że połowę swoigo chmielu ostawia do zakwituu.

- Jakie znowu swojaki ? - spytał Nobby.

- Takie co majo swoje domy. Musicie abo żyć po somszedzku, abo farmer da woma kont do spanio. Takie to prawa tera. Dawni, wkiedy się przyszło na zbierke chmielu, to się sypiało w stajni i nik się nie pytał. Ali potym się sakramencko pomieszało jak loburzystowski rzond zaprowadził prawo, że żadnego zbieracza nie śmiom najońć, jeźli nie dajo mu kwatery jak trza. Wienc Norman bierze tyko takich, co majo swoje chaty.

- No, ale wy ni macie swoi chaty, no nie?

- Nic się potargańcu nie bój! Dość, że Norman myśli, co mam. Podeszłam go, mówięcy, co mam spanie w domu, niedaleczko. A między nami: mam kont w krwi oborze. Nie tak źle, żeby tylko nie tyn smród straszny, no i trza wstać o pionty rano, abo czleka oborowe ucapio.

- My nie momy doświadczyńia w zbierce chmielu - powiedział Nobby.

- Nie poznałbym żadnygo pieprzonego chmielu, choćbym go i obaczył. Was najmujo, bo się na tem znacie, do ty roboty, co nie?

- Diabli tam! Chmiel nie potrzebuje doświarczyńia! Zrywa się go i ciska do kosza. To wszysko co trza, z tem chmielem.

Dorota niemal zasypiała. Słyszała jak tamci rozmawiają bezładnie, najpierw o zrywaniu chmielu, potem o jakiejś gazetowej historii dziewczyny, która znikła z domu. Flo i Charlie czytali te afisze na frontonie sklepu naprzeciw; to ich poruszyło, ponieważ afisze przypominały im Londyn i jego rozkosze. Zagubioną dziewczynę, której losem zdawali się dość zainteresowani, wspominali jako „córkę proboszcza”.

- Widziałś tako jedno, Flo? -pytał Charlie, czytając na głos z wyraźnym upodobaniem: - „Tajemne życie miłosne córki proboszcza. Wstrząsające rewelacje!” Fiuu! Jakbym miał pensa, to bym se o tem poczytał!

- Hę? O co tu idzie, wiesz?

- O co? Nie czytałaś o tem? Po gazetach pełno o tem. Córka proboszcza to, córka proboszcza tamto - musi być tyż nielicho sprośna.

- Musi to być gorąca sztuka, ta cała córka proboszcza - powiedział Nobby z namysłem, leżąc na plecach. - Chciałbym, żeby tu była teraz! Wiedziałbym, co z nio robić, w porząsiu, wiedziałbym.

- To było dziecko, co uciekło z dumu - wtrąciła pani McElligot. - Una krenciła z chłopem starszym od ni o dwadzieścia lot, a teraz przepadła i uni szukajo ji z góry na dół.

- Rozmyśla się we środku nocy, wsiadła do auta nic na sobie nie mający tylko nocno kosiule - powiedział Charlie ze zrozumieniem. - Cało wieś widziała jak odjeżdżały.

- Niektóre myślo, co un jo wywióz za granice i sprzedó do jednygo z tych bordelów w Paryżu - dodała pani McElligot.

- W niczym, tylko w nocny kosiuli? Brudna to musi być dziwka! - Rozmowa mogła toczyć się ku następnym szczegółóm, ale w tej chwili przerwała ją Dorota. To, o czym mówili, obudziło w niej niejasne zaciekanie. Zdała sobie sprawę, że nie wie, co znaczy słowo „proboszcz”. Usiadła i spytała Nobby'ego:

- Co to jest proboszcz?

- Proboszcz? No, taki niebieski pilot - duchowny facet. Facet co się modli i śpiewa pieśni, i to w kościele. Mijaliżmy jednygo wczora - jechał na zielonem rowerze i miał kołmierzyk tyłem naprzód. Książd, duchowny. No wiesz.

- Och... Tak, myślę, że tak.

- Książa! Sakramenckie pazerne niektóre z nich, i to jak! - powiedziała pani McElligot coś sobie przypominając.

Dorota była nadal niewiele mądrzejsza. To, co powiedział Nobby wyjaśniło jej niewiele, bardzo niewiele. Cały ciąg myśli związanych z „kościółem” i „duchownym” wydawał się dziwnie mętny i zamazany w pamięci. Była to jedna z wyrw - a miała wiele podobnych w tajemniczej wiedzy, jaką wyniosła ze sobą z przeszłości.

Nastała trzecia noc w drodze. Kiedy zapadł zmierzch, wśliznęli się, jak zwykle, do lasku na „leże”; nieco po północy zaczął siec deszcz z gradem. Spędzili żalosną godzinę, błądząc tam i sam w ciemnościach, próbując znaleźć schronienie, aż wreszcie znaleźli stóg siana, w który zwałili się kupą od zawietrznej, póki było dość światki, żeby cokolwiek widzieć. Flo beczała całą noc w sposób zupełnie nieznośny, a o świcie była w stanie bliskim załamania. Jej głupawa, tłusta twarz, wymyta przez deszcz i lzy, wyglądała jak pęcherz smalcu, jeżeli można sobie wyobrazić pęcherz smalcu wykrzywiony rozczuleniem nad samym sobą. Nobby rył pod żywopłotem tak długo, aż zebrał naręcze częściowo suchych patyków, potem udało mu się rozpalic ogień i zagotowac nieco herbaty, jak zwykle. Nie było tak zlej pogody, by Nobby nie potrafił przygotowac puszek herbaty. Taszczył, wśród innych przedmiotów, kawałki starej opony samochodowej, która mogła zajac się ogniem, kiedy drewno było mokre i posiadł nawet sztukę, znaną tylko niewielu najwytrawniejszym spośród włóczęgów, gotowania wody nad świecą.

Członki wszystkich zeszywniały po tej potwornej nocy i Flo oświadczyła, że nie jest w stanie zrobić ani kroku dalej. Charlie ją poparł. Tak więc, ponieważ tamta dwójka odmówiła dalszego marszu, Dorota i Nobby poszli do farmy Chalmersów, umówieni, gdzie powinni się spotkać, gdyby się im powiodło. Doszli do Chalmersów, pięć mil dalej, znalazłszy drogę do pól chmielowych wśród olbrzymich sadów, gdzie powiedziano im, że nadzorca „zjawi się lada chwila”. Czekali więc na skraju plantacji cztery godziny, a słońce suszyło odzież na plecach, i przypatrywali pracy zbieraczy chmielu. Była to scena uspokajająca i jakoś nęcąca. Łodygi chmielu, wysokie, pnące się jak fasola szparagowa powiększona do olbrzymich rozmiarów, rosły długimi liściastymi uliczkami, z chmielem zwisającym z nich bladozielonymi pękami, niczym gigantyczne winogrona. Kiedy poruszał nimi wiatr, strząsały z siebie świeży, gorzki zapach siarki i zimnego piwa. W każdej uliczce łodyg gromada ogorziałych ludzi zrywała chmiel do workowatych koszy, śpiewając przy pracy; gdy zawyła syrena, otrzepali się z pyłu, by nad trzaskającym ogniem chmielowych łodyg zagotować puszkę herbaty. Dorota zazdrościła im bardzo. Jakże wyglądali szczęśliwi, siedząc dokoła ognisk ze swymi puszkami herbaty i pajdami chleba z bekonem, w zapachu chmielowego i drzewnego dymu. Wzdychała do takiej roboty, jednakże na razie nic nie wskazywało, by mieli ją dostać. Nadzorca przyszedł około pierwszej i powiedział, że roboty dla nich nie ma, powlekli się więc z powrotem ku drodze, biorąc przed wyjściem zemstę na farmie Chalmersów kradzieżą tuzina jabłek.

Gdy doszli do miejsca spotkania, Flo i Charliego nie było. Oczywiście szukali ich, chociaż wiedzieli, co się stało. Istotnie, było to doskonale logiczne. Flo puściła oko do jakiegoś przejeżdżającego kierowcy ciężarówki, który podwiózł ich do Londynu w zamian za małe po drodze przytulanko. Co gorsza, zwinęli obydwu tobołki. Dorota i Nobby nie mieli ani kruszyny jedzenia, ani skibki chleba, ani ziemniaczka, ani szczypty herbaty, ani nakrycia, ani nawet puszkę po tabace do ugotowania czegokolwiek, co mogliby wyzebrać lub ukraść, niczego, z wyjątkiem odzieży na sobie.

Następne trzydzieści sześć godzin to był kiepski czas - bardzo kiepski czas. Jakże wzdychali do roboty, mimo swego głodu i wyczerpania! Ale szansę na jej otrzymanie, w miarę jak zagłębiali się w krainę chmielu, małały coraz wyraźniej. Podejmowali niekończące się wyprawy od farmy do farmy, wszędzie otrzymując tę samą odpowiedź: „nie potrzeba zbieraczy” - i byli tak zajęci wędrowaniem tam i sam, że nie stało im czasu na żebranie, nie mieli więc nic do jedzenia wyjąwszy skradzione jabłka i śliwki damaszkki, które dręczyły ich żołądki kwaśnym sokiem, podsycając tylko wilczy głód. Tej nocy nie

padało, ale było znacznie chłodniej niż dotychczas. Dorota nawet nie próbowała usnąć, spędziła noc kuląc się przy ognisku i podtrzymując płomień. Skryli się w bukowym lasku, pod przysadzistym, starym drzewem, które zatrzymywało wiatr, ale także moczyło ich co jakiś czas kroplami zimnej rosy. Nobby, rozciągnięty na plecach, z otwartymi ustami i szerokim policzkiem mdławo oświetlonym migotliwymi promieniami ognia, spał spokojnie jak dziecko. Przez całą noc wyobraźnię Doroty pobudzało trudne do określenia zdumienie zrodzone z bezsenności i nieznośnej niewygody. Czy było to życie, do jakiego została powołana - życie wypełnione całodzienną włóczęgą o pustym brzuchu, a nocami - drzącą pod kapiącymi drzewami? Czy tak było także w pustej przeszłości? Skąd tu przyszła? Kim była? Żadnej odpowiedzi. O świecie znowu znaleźli się na drodze. Do wieczora próbowali w jedenastu farmach i nogi Doroty odmówiły posłuszeństwa, miała z wyczerpania takie zawroty głowy, że nie potrafiła iść prosto.

Jednakże późnym wieczorem, dość niespodzianie, los się odmienił. Zahaczyli o farmę pod nazwą Cairns, we wsi Clintock i zostali zatrudnieni natychmiast, bez żadnych pytań. Nadzorca obejrzał ich pobieżnie od stóp do głów, powiedział krótko: „Jesteście, będziecie robić. Zaczniecie rano; kosz numer siedem, koniec o dziewiętnastej”. I nawet nie potrudził się, by zapytać o ich nazwiska. Zbieranie chmielu, wydawało się, nie potrzebuje ani reputacji, ani doświadczenia.

Znaleźli drogę ku łące, na której zbieracze rozbili obóz. Dorota, w stanie mającienia, między wyczerpaniem i radością z otrzymanej wreszcie pracy, stwierdziła, że idzie labiryntem pokrytych cynową blachą chat i cygańskich karawanów z wielobarwnym praniem rozwieszonym w oknach. Hordy dzieciaków roily się w wąskich trawiastych alejkach między budami, gdy obdarci, sympatycznie wyglądający ludzie gotowali jadło na niezliczonych ogniskach z płonącego chrustu. Na skraju tego pola stały okrągłe, blaszane baraki, znacznie mniejsze od innych, ustawione osobno, dla ludzi wolnego stanu. Stary człowiek, który opalał nad ogniem ser, skierował Dorotę do jednego z nich.

Dorota pchnięciem otworzyła drzwi chaty. Mierzyła ona jakieś dwanaście stóp średnicy, okna nie oszklone, zabite tekturą i żadnych mebli. Wydawało się, że nie ma w niej nic prócz olbrzymiej, sięgającej dachu, sterty słomy - i rzeczywiście, wewnątrz było niemal całkowicie wypełnione słomą. Oczom Doroty, klejącym się z niedospania, słoma wydała się rajsko wygodna. Zaczęła się w nią wciskać, aż została zatrzymana przez gwałtowny, dobywający się spod niej, wrzask:

- Te! Co ty wyprawiasz? Spieprzaj stąd! Pytałaś, czy ci wolno spacerować po mojem brzuchu, durna?

Najwyraźniej były tam, niżej w słomie, kobiety. Dorota przegrzebywała się naprzód ostrożniej, zahaczając o coś, utonęła w słomie i w tej samej chwili zaczęła usypiać. Ze słomianego morza wynurzyła się niczym syrena, ordynarnie wyglądająca kobieta, częściowo rozebrana.

- Serwus, koleżanko! - powiedziała. - Wlazłaś ze wszystkim, koleżanko? Ha?

- Tak, jestem zmęczona, bardzo zmęczona.

- Ale, sakramencko zmarzniesz w ty słomie bez jaki przyodziewy. Ni masz koca?

- Nie.

- Bida z tobo. Mam tu jedyn worek.

Dała nura w słomę i wychyłała z workiem na chmiel długości ponad dwu metrów. Dorota już spała. Pozwoliła się obudzić i wsunęła do worka, w którym mogłaby się zmieścić cała, z głową; po czym została na poły wkręcona, na poły zatopiona w głębokim gnieździe cieplejszym i suchszym, niż się to wydawało możliwe. Słoma łaskotała nozdrza, włożyła we włosy i kłuła nawet przez worek, ale dawała w tej chwili legowisko niewyobrażalne - ani pościel Kleopatry z łabędziego puchu, ani pływające łoże Haruna al Raszyda - nie potrafiłyby pieścić jej lubieżniej.

3.

Zdumiewające jak łatwo człowiek, kiedy już otrzymał pracę, nabiera rutyny w zbieraniu chmielu. Po tygodniu zaliczają go do fachowych zbieraczy i czuje się tak, jakby zbierał chmiel całe życie.

Była to niesłychanie łatwa robota. Fizycznie, bez wątpienia, wyczerpująca - trzymała na nogach dziesięć do dwunastu godzin na dobę, już o szóstej wieczorem człowieka opadała senność - nie wymagała za to żadnego przygotowania. Chyba trzecia część zbieraczy w obozie byk równie nowa jak Dorota. Niektórzy z nich przybyli z Londynu bez najmniejszego pojęcia o wyglądzie chmielu, o tym jak się go zbiera albo po co. Mówiono, że pewien człowiek, pierwszego ranka, w drodze na plantację, spytał: „gdzie te łopaty?” Wyobrażał sobie, że chmiel wykopuje się z ziemi.

Z wyjątkiem niedziel, każdy dzień w obozie chmielowym podobny był do poprzedniego. O pół do szóstej, po walnięciu w ścianę twojej chaty, wypęłzasz z legowiska i zaczynasz szukać butów, pośród sennych przekleństw

kobiet (było ich tam sześć albo siedem, a może nawet osiem) zagrzebanych w różnych warstwach stogu. W tak potężnej kupie słomy wszystkie części garderoby, jakie się z siebie nierozsądnie zdjęło - ginęły natychmiast. Brało się naręczce słomy, drugie - suchych łądyg chmielu i chrustu ze sterty na zewnątrz - i zapalało ognisko do śniadania. Dorota zawsze warzyła śniadanie Nobby'emu przy własnym, a kiedy było gotowe, stuknęła w ścianę jego chaty; czuła się po rannym przebudzeniu znacznie świeższa niż on. Owego wrześnie poranki bywały bardzo zimne, niebo na wschodzie przechodziło z wolna z czerni w kobalt, a srebrnobiałe trawy lśniły od rosy. Śniadania zawsze przyrządzano jednakowe: bekon, herbata i chleb smażony na bekonowym tłuszczu. Zjadłszy przygotowywało się dokładnie takie samo danie na obiad, a potem, niosąc skopek, szło się ku plantacjom, półtorej mili przez błękitny, wietrzny świt, z nosem tak zakatarzonym z zimna, że trzeba było stawać co jakiś czas i wycierać go w workowaty fartuch.

Chmielnik podzielono na około półhektarowe plantacje, każdą obrabiała około czterdziestu zbieraczy, pod kierunkiem nadzorca, którym był często Cygan. Łodygi wyrastały na dwanaście albo więcej stóp, pnąc się po sznurach, i zwisały z poziomo umocowanych drutów rzędami oddzielnymi od siebie o jeden lub dwa jardy. W każdym rzędzie stał płócienny kosz przypominający bardzo głęboki hamak nawleczony na ciężką drewnianą ramę. Po przyjsciu obracało się go do pozycji roboczej, przecinało sznurki dwu sąsiednich łądyg i obrywało z olbrzymich, stożkowatych splotów, niczym warkocz włosów Rapunzela, co zwał się człowiekowi na głowę, oblewając prysznicem rosy. Wlokło się je na miejsce przy koszu i, poczynając od grubego końca łądygi, obrywało ciężkie pęki chmielu. O tej porze poranka' można tylko zrywać powoli i niezdarnie. Ręce, jeszcze sztywne od chłodu rosy, drętwiały, a chmiel był mokry i śliski. Bardzo trudno zrywać same szyszki bez obrywania liści i szypulek; wagowy mógł, miał prawo, odrzucić twój urobek, jeżeli zawierał w sobie zbyt wiele liści. Pnie łądyg porastały drobne kolce, które po dwu-trzech dniach rozcinały skórę dłoni na strzępy. Rankami męczarnią był sam początek zbierania, kiedy palce zbyt sztywne, żeby je zgiąć, krwawiły w wielu miejscach; ale ból ustępował gdy otwierały się nacięcia i krew spływała swobodnie. Jeśli -chmiel był dobry, a zrywało się porządnie, udawało się oczyścić łądygę w dziesięć minut, a najlepsze łądygi dawały pół buszla (18 litrów) chmielu. Ale chmiel bywał bardzo różny na różnych plantacjach. Na jednych wielki niczym włoski orzech, zwisał w dużych bezlistnych pękach, które można oberwać

jednym szarpnięciem; na innych mizerny, nie większy od grochu, rósł tak rzadko, że nie udawało się łączyć buszła w ciągu godziny.

Praca wczesnym rankiem, nim chmiel podsechł wystarczająco, by dawać sobie z nim radę, posuwała się powoli. Ale oto wzeszło słońce i wspaniała, gorzki cuch jął parować z nagrzewających się chmielowisk; czeźła ludzka wczesnoporanna gburowatość, praca nabierała tempa. Od ósmej do południa człowiek zrywał, zrywał, zrywał, jak w roboczym transie - z zacięłą ochotą, która rosła i rosła w miarę dojrzewania dnia, byle obrobić każdą łodygę i przesunąć kosz dalej wzdłuż zagonu. Na początku każdej plantacji wszystkie kosze szły pierś w pierś, ale stopniowo lepsi zbieracze wysuwali się przed szereg, a niektórzy kończyli już swoje grzędy chmielu, podczas gdy inni nie dochodzili jeszcze nawet do połowy. Wtedy, jeśli ktoś zostawał daleko w tyle, „przodownicy” mogli wrócić i skończyć grzędę, co nazywano „kradzieżą cudzego chmielu”. Dorota i Nobby zawsze znajdowali się wśród „maruderów” - pracowali tylko we dwoje, podczas gdy inni uwijali się po czworo. Nobby, ze swoimi wielkimi, niezdarnymi dłońmi, był zbieraczem kiepskim; a w ogóle, kobiety zbierały sprawniej niż mężczyźni.

Kosze o numerach sześć i osiem po obu stronach Doroty i Nobby'ego zawsze ściagały się łeb w łeb. Numer sześć należał do rodziny Cyganów: kędzierzawego, z kolczykami w uszach - ojca, starej, wyschłej jak malowana skóra - matki i dwóch dryblasowatych synów; numer osiem napełniała stara straganiarka z East Endu, odziana w szeroki kapelusz i długi czarny płaszcz, niuchająca tabakę z puzderka wykonanego z papier mache z wymalowanym na wieczku parowcem. Zawsze pomagały jej sztafety córek i wnuczek, dojeżdżających co jakiś czas z Londynu na dwa dni. Był też zastęp pracujących w brygadzie dzieci, podążających za koszami z koszyczkami i zbierających pogubione przez dorosłych kiście chmielu. Drobną, bladą wnuczką starej straganiarki, Rose i małą Cyganeczką, ciemną jak Hinduska, wysmykały się systematycznie, by kraść jesienne maliny i urządzać sobie z łodyg chmielu huśtawki; a nieustanny śpiew wokół koszy przewiercał piskliwy krzyk straganiarki: „dali, Rose, ty leniwa mała kocico! Zbieraj te chmiele! Bo ci dupę rozgrzeje!”, etc., etc.

Niemal połowę zbieraczy stanowili Cyganie - a było ich w obozie nie mniej niż dwie setki. Inni zbieracze przezywali ich „diddykies”*. Nie byli to ludzie źli, dość przyjacielscy, przypochlebiający się namolnie każdemu, kiedy czegoś potrzebowali, zawsze jednak przebiegłi, nieprzeniknioną przebiegłością

* Diddykies - określenie oszustów, kanciarzy, oszwabiaczy, "cyganów".

dzikusów. Ich głupkowate orientalne twarze miały wygląd jakiegoś dzikiego, ale niemrawego zwierzęcia - maska stężonej głupoty współlistniejącej przez skórę z niepokromionym sprytem. Ich mowa składała się z około poi tuzina uwag, jakie wymieniali między sobą bez końca, nigdy się nimi nie męcząc. Dwaj młodzi Cyganie przy koszu numer sześć mogli Nobby'emu i Dorocie zadawać kilkanaście razy dziennie tę samą zagadkę:

- Czego najmądrzejszy człowiek w Anglii nie umiałby zrobić?

- Nie wiem. Czego?

- Połaskotać komara słupem telegraficznym.

Po czym niezmienny ryk śmiechu. Wszyscy byli przepastnie ciemni; informowali z dumą, że żaden z nich nie umie przeczytać ani słowa. Stary, kędzierzawy ojciec, który powziął jakiś mętny domysł, że Dorota była „szkolona”, spytał ją pewnego razu poważnie, czy nie mógłby dojechać swoim wozem do Nowego Jorku.

O dwunastej syrena we wsi dawała zbieraczom sygnał na godzinną przerwę, a rozlegała się zwykle na chwilę przed przyjsciem wagowego po odbiór chmielu. Na ostrzegawczy krzyk nadzorcy „chmiel gotów, numer dziewiętnaście!”, wszyscy biegli po porzucone kosze, czyścili niedokładnie oskubane pnąca i przebierali z liści. Wymagało to pewnej sztuki. Nie opłacało się tego robić zbyt starannie, ponieważ liście zmieszane z chmielem rozdymały objętość. Doświadczeni, tacy jak Cyganie, mieli doskonałe rozeznanie w tym, do jakiego stopnia można było „brudno”, a bezpiecznie zbierać.

Wagowy robił obchód, niosąc wiklinowy koszyk o wymiarach buszla, w towarzystwie „pisarczyka”, który zapisywał zebrane kosze w księdze. „Pisarzczykami” byli młodzi ludzie, klerkowie, wynajęci rachmistrze i im podobni, którzy traktowali swoją robotę jak płatne wakacje. Wagowy metodycznie napełniał swój koszyk chmielem z kosza, skandując przy tym „jeden! dwa! trzy!” i wtedy zapisywano zbieraczom stan ich urobku. Za każdy buszel otrzymywali dwa pensy, więc, rzecz jasna, wybuchały przy tym niekończące się spory i oskarżenia o nieuczciwość przy mierzeniu. Chmiel jest to coś wielce ściśliwego, na upartego można wcisnąć i buszel do kwarcianego kufla; tak więc po każdej szufli jeden ze zbieraczy pochylał się nad koszem i mieszał chmiel tak, by spęczniał, wtedy wagowy podnosił kosz z jednego końca i potrząsał nim, żeby się chmiel ponownie ubił. W niektóre poranki otrzymywał rozkaz, by „zadbać o ciężar” i zgarniał go tak, że otrzymywał kilka buszli z każdej porcji, wywołując gniewne jęki, „patrzcie, jak te pieprzeńce go ubijają! Czemu go, gnojku, nie udepczesz?” itd., zaś otrzaskani mruzczeni ponuro, że znali wagowych utopionych w gnojówce ostatniego dnia zbiorów. Z koszy

chmiel przesypany do worków, które teoretycznie ważyły po sto funtów; ale trzeba było dwóch mężczyzn, by podnieść pełen worek, kiedy wagowy „zadbał o ciężar”. Przysługiwała godzina na posiłek, zapalano więc z łodyg chmielu ognisko - było to zakazane, ale każdy to robił - grzano herbatę i jedzono kanapki z bekonem. Po posiłku rwano do piątej lub szóstej wieczorem, kiedy znowu przychodził wagowy, żeby odebrać zbiory, po czym wracano do obozu. Patrząc, po pewnym czasie, na owo interludium zbierania chmielu, Dorota zawsze wspominała popołudnia. Tamte długie, męczące godziny w silnym blasku słońca, przy dźwiękach czterdziestu śpiewających głosów, w zapachu dymu płonącego chmielu i drewna miały wartość szczególną i niezapomnianą. Popołudnia wlokły się niemiłosiernie, człowiek ze zmęczenia z trudem stał na nogach, małe zielone chmielowe wszy włożyły we włosy, w uszy, nie dawały spokoju; ręce były - z wyjątkiem miejsc krwawiących - od siarkowego soku czarne jak u Murzyna. Mimo to człowiek czuł się szczęśliwy, niepojętym wręcz szczęściem. Pochłaniała go i brała nad nim panowanie praca. Głupia praca, mechaniczna, wyczerpująca i z każdym dniem sprawiająca rękom coraz dotkliwszy ból, a mimo to nigdy nie miało się jej dość; kiedy pogoda była ładna, a chmiel dorodny - odnosiło się wrażenie, że można by tak zbierać zawsze i bez końca. Dawało to fizyczną radość, wypełniało wnętrze ciepłym, kojącym uczuciem, każąc stać godzinę po godzinie, zrywać ciężkie kiście, patrząc jak coraz wyżej rośnie w koszu bladozielona sterta i z każdym buszlem dorzuca do kieszeni po dwa dodatkowe pensy. Paliło słońce, spiekając człowieka na brązowo, a gorzki, nigdy nie uprzykrzony zapach niczym powiew od oceanu zimnego piwa, przenikał nozdrza i odświeżał. Kiedy świeciło słońce - przy pracy śpiewał każdy; plantacje rozbrzmiewały śpiewem. Z jakichś powodów owej jesieni wszystkie pieśni były smutne; pieśni o odtrąconej miłości i o nie nagrodzonej wierności, niczym rysztockowe wersje *Carmen i Madame Lescaut*. Brzmiało to tak:

There they go - in their joy -
'Appy girl - lucky boy -
But'ere am I-I-I-Broken - a-a-arted!

Albo:

But I'm dan-cing with tears in my eyes
'Cos the girl - in my arms - isn't you-o-u!

I:

The bells are ringing for Sally - But
no-o-ot - for Sally - and me!

Mała Cyganecka śpiewała zazwyczaj w kółko:

We're so misable, all so misable,
Down on Misable Farm!

I choć wszyscy mówili jej, że to Misery Farm, trwała przy nazywaniu jej Misable Farm. Stara straganiarka i jej wnuczka Rose znały pieśń zbieraczy chmielu, a śpiewały ją tak:

Our lousy 'ops!
Our lousy 'ops!
When the measurer'e comes round,
Pick'em up, pick'em up off the ground!
When'e comes to measure, 'E
never knows where to stop;
Ay, ay, get in the bin And
take the bloody lot!*

Oto idą tam radośnie oraz *Dzwony biją dla Sally* były lubiane szczególnie. Zbieracze nigdy się nie męczyli śpiewając je; obie zapewne prześpiewali, nim skończył się sezon, kilkaset razy. Melodie tych dwu pieśni, dzwoniąc poprzez liściaste szpalery łądy, stanowiły część atmosfery chmielowych pól, jak gorzki zapach i czerwone światło słońca.

Wróciwszy do obozu o pół do szóstej, albo około tej godziny, kucalo się nad strumieniem za rzędem chat i myło twarz, najczęściej po raz pierwszy tego dnia. Zmycie z rąk czarnego jak węgiel osadu zajmowało co najmniej dwadzieścia minut. Woda ani mydło nie robiły na nim żadnego wrażenia; tylko dwie substancje mogły go usunąć - jedną z nich było błoto, drugą zaś, rzecz dziwna, sam chmielu. Potem warzyło się kolację złożoną zwykle z chleba, herbaty i znowu bekonu, chyba, że Nobby wybrał się do wsi i kupił u masarza jakiś ochłap za dwa pensy. Zakupów zawsze dokonywał Nobby. Był to człowiek z gatunku tych, którzy wiedzą jak się nabywa mięso wartości czterech pensów za dwa, a niezależnie od tego - świetny w robieniu małych oszczędności. Na przykład kupował zawsze wiejski chleb, nieporównywalny kształtem z żadnym innym, ponieważ -

* Są to piosenki „slangowe”, słowa w nich okaleczone, a treść, w kolejności taka: „Oto idą tam radośnie, szczęśliwa dziewczyna, fartowny chłopiec, ale tu jestem ja, ze złamanym sercem...” „A ja tańczę ze łzami w oczach, bo dziewczyna w mych ramionach to nie ty...” „Dzwony biją dla Sally, ale nie dla Sally i dla mnie...” „Jesteśmy tacy ubodzy, tacy ubodzy na tej nędznej farmie...” „Nasz wszawy chmiel, nasz wszawy chmiel! Kiedy przychodzi wagowy, trzeba go podnieść z ziemi! Kiedy przychodzi ważyć, nigdy nie wie, kiedy ma przestać; tak, tak, włącz do kosza i zabieraj ten sakramencki zbiór!”

co zwykł był podkreślać - wiejski chleb, kiedy go przełamać na pół, wygląda jak dwa chleby.

Przysypiało się jeszcze przed zjedzeniem kolacji, potężne ogniska, jakie ludzie mieli zwyczaj palić między barakami, były zbyt przyjemne, by je opuszczać. Farma zezwalała na zebranie dwu stert chrustu dziennie na każdą chatę, ale zbieracze znosili go tyle, ile chcieli, a także wielkie sterty korzeni wiązów, które tliły się do rana. W niektóre noce ogniska były tak potężne, że mogło wokół nich zupełnie wygodnie siedzieć kręgiem dwadzieścia osób, wtedy śpiewano długo w noc, opowiadano anegdoty i pieczono kradzione jabłka. Chłopcy i dziewczyny wymykali się w ciemność parami, a kilku śmiazków, takich jak Nobby, wychodziło z workami i ograbiało sąsiednie sady. Dzieci bawiły się w ciemnościach w chowanego i dręczyły podchodzące do obozu kozodoje, które, w swojej koknejskiej* ignorancji, brały za bażanty. W sobotni wieczór pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu zbieraczy miało zwyczaj upijać się w barze, a potem maszerować przez wieś rycząc sprośne piosenki, ku zgrozie mieszkańców, traktujących sezon chmielowy tak, jak poczciwi rzymscy prowincjusze musieli traktować doroczny najazd Gotów.

Kiedy wreszcie udawało się wycofać do gniazd w stogach, nie było w nich ani ciepło, ani wygodnie. Po pierwszej błogiej nocy Dorota doszła do wniosku, że słoma nie nadaje się do spania nie tylko dlatego, że kłuje, ale w dodatku - w przeciwieństwie do siana - ze wszystkich możliwych stron przepuszcza przeciągi. Ponieważ miała okazję ukraść z plantacji niemal nieograniczoną ilość worków na chmiel, udało się jej sporządzić rodzaj kokonu z czterech takich worków, umieszczając jeden w drugim, co pozwalało zachować dosyć ciepła, by spać przynajmniej pięć godzin na noc.

4.

Pieniądzy zarobionych zbieraniem chmielu wystarczyło na przeżycie, ale na nic więcej.

Stawka płacona u Cairnsów wynosiła dwa pensy za buszel; przy dobrym chmielu doświadczony zbieracz mógł w godzinę zebrać trzy buszle. Teoretycznie więc można było w ciągu sześćdziesięciogodzinnego tygodnia zarobić trzydzieści szylingów. W istocie nikt w obozie nawet się do tej kwoty nie zbliżył. Najlepsi ze zbieraczy zarabiali trzynaście, czternaście szylingów tygo-

* Koknejjska, od: kokneje (cockneys) - kokneje to londyńczycy ze wschodniego przedmieścia tzw. East Endu, mówiący z charakterystycznym akcentem i rażącymi błędami.

dniowo, najgorsi zaś z trudem wyciągali sześć. Nobby i Dorota, dodając swój chmiel i dzieląc się zyskiem, zarabiali - każde - po około dziesięć szylingów tygodniowo.

Różne były tego przyczyny. Przede wszystkim, na niektórych polach chmiel bywał lichej. Po wtóre co dzień zdarzały się opóźnienia, powodujące utratę godziny albo i dwu. Kiedy kończono jedną plantację, należało przenieść kosz na następną, odległą nieraz nawet o milę; mogło się też zdarzyć, iż popełniano omyłkę i cała załoga, zmagając się ze swymi kosztami (wagi jednego cetnara), musiała tracić następne pół godziny drepcząc gdzie indziej. Najgorszy ze wszystkiego bywał deszcz. Owego roku wrzesień był paskudny, lało co trzeci dzień. Niekiedy przez cały ranek albo popołudnie ludzie drżeli żałośnie pod osłoną nie oberwanych łodyg, z przeciekającym workiem na ramionach, czekając na koniec ulewy. Nie dawało się rwać w czasie deszczu. Chmiel był zbyt śliski dla rąk, a kiedy się go zbierało - wart był mniej niż nic, bo namokły kurczył się w koszu niemal do cna. Niekiedy spędzał człowiek w polu cały dzień, a zarobił szylinga albo mniej. Dla większości zbieraczy nie miało to znaczenia, ponieważ około połowę z nich stanowili Cyganie, przywykli do głodowych zarobków; reszta zaś - szacowni mieszkańcy londyńskiego East Endu, straganiarze, drobni sklepikarze i im podobni, którzy przyjeżdżali zbierać chmiel w ramach wakacji - była rada, jeśli pieniądze starczyło na przejazd w obie strony i nieco rozrywki w sobotnie wieczory. Farmerzy wiedzieli o tym i właśnie na nich żerowali. Właściwie, gdyby zbierania chmielu nie traktowano jako wakacji, uprawy upadłyby natychmiast, ponieważ jego ceny kształtowały się tak nisko, że żaden farmer nie mógłby płacić zbieraczom stawek zapewniających przeżycie.

Dwa razy w tygodniu można było brać zaliczkę w wysokości połowy zarobku. Gdy człowiek opuszczał pole przed zakończeniem zbiorów (dla farmerów to wielce kłopotliwe), płacono mu pensa za buszel - zamiast dwu - to znaczy potrącano połowę stawki do własnej kieszeni. Wiadomo także powszechnie, że pod koniec sezonu, kiedy sumy należne zbieraczom urosły, a ci nie mieli ochoty z nich rezygnować porzucając robotę - farmer redukował stawkę z dwu pensów do półtora pensa za buszel. Strajki były praktycznie niemożliwe. Zbieracze nie mieli związku, a przodownicy brygad, zamiast płacy dwu pensów za buszel, jak inni, otrzymywali wynagrodzenie tygodniowe, które - jeśli wybuchał strajk - automatycznie im wstrzymywano; oczywiście więc, że poruszali niebo i ziemię byle temu zapobiec. Farmerzy trzymali więc zbieraczy w położeniu bez wyjścia; nie farmerów jednak należało za to winić - korzenie problemu tkwiły w niskiej cenie chmielu. Zresztą, co Dorota

zaobserwowała później, tylko nieliczni zbieracze mieli jakiegokolwiek pojęcie o zarobionych sumach. System płacenia od sztuki maskował niskie stawki zarobków.

W ciągu kilku pierwszych dni, zanim mogli otrzymać zaliczkę, Dorota i Nobby przymierali niemal z głodu i umarliby niechybnie, gdyby nie żywili ich inni zbieracze. Wszyscy nadzwyczaj uprzejmi. Była to grupa ludzi zamieszkujących jedną z chat większych, nieco dalej w szeregu: sprzedawca kwiatów - Jim Burrows i człowiek o nazwisku Jim Turle - z zawodu tępiciel robactwa w jednej z wielkich londyńskich restauracji. Ich żony były siostrami, a oni od dawna bliskimi przyjaciółmi. Poczuli do Doroty sympatię. Zadbali o to, by ona i Nobby nie umarli z głodu. Każdego wieczora, podczas tych pierwszych paru dni, May Turle, lat piętnaście, przychodziła z rondlem pełnym gulaszu, który wręczała im, bacząc pilnie, żeby nikt nie bąknął nawet o jakimkolwiek miłosierdziu. Formuła zawsze była taka sama: - Proszę, Ellen, matka mówi, że miała akurat wyrzucić ten gulasz, ale wtenczas pomyślała, że może wam by smakował. Jej już nic po nim, powiada, więc byłoby jej miło, gdybyście go wzieni.

Niezwykłe, ile i jakie to rzeczy Turle'owie i Burrowsowie mieli zamiar „właśnie wyrzucić” w czasie tych pierwszych kilku dni. Jednego razu dali Nobby'emu i Dorocie połówkę świńskiego łba, już upieczoną. Prócz jadła podarowali im kilka kuchennych naczyń i cynowy talerz, którego można było używać jako patelni. A najlepsze, że nie poruszali niewygodnych tematów. Wiedzieli dość dobrze, że w życiu Doroty jest jakaś tajemnica - „dało się widzieć”, mówili, że „Ellen z e s z ł a do tego świata”, ale wzięli sobie za punkt honoru, by nie zadawać kłopotliwych pytań. Musiało minąć w obozie ponad dwa tygodnie, nim Dorota poczuła się jakoś zobowiązana do trudnego, w jej sytuacji, wymyślenia rodowego nazwiska.

Z chwilą, kiedy Dorota i Nobby mogli „wziąć zaliczkę”, skończyły się kłopoty finansowe. Żyli z zaskakującą łatwością za półtora szylinga dziennie na dwoje. Z czego cztery pensy szły na tytoń dla Nobby'ego, cztery i pół pensa na bochenek chleba; wydawali około siedmiu pensów dziennie na herbatę, cukier, mleko (można było w farmie kupić mleko po pół pensa za pół pinty), margarynę i „kawalki” bekonu. Ale, rzecz jasna, nigdy nie przeżyli dnia, nie strwoniwszy jednego lub dwu pensów. Wiecznie byli głodni, wiecznie liczyli każdą ćwierćpensówkę, by sprawdzić, czy mogą sobie pozwolić na wędzonego śledzia albo na pączek, albo na frytki za pensa, podczas gdy - choć zarobki zbieraczy były tak nędzne - połowa populacji Kentu zdawała się spiskować w celu wyłuskania pieniędzy z ich kieszeni. Lokalni sklepikarze

robili na setkach zbieraczy chmielu kwaterujących w okolicy lepszy interes w ciągu jednego chmielowego sezonu niż - po zsumowaniu - w pozostałych miesiącach roku, co nie przeszkadzało im patrzeć na zbieraczy z góry, jak na koknejskie śmieci. Popołudniami robotnicy z farm przychodzili w okolice koszy sprzedawać jabłka i gruszki, po siedem za pensa, zaś domokrażcy przyjeżdżali z koszami pączków albo napojów chłodzących, albo „lizaków po pół pensa”. Wieczorami obóz bywał zatłoczony przez handlarzy zjeżdżających z Londynu z wozami przerażająco tanich wiktuałów, ryb z frytkami, węgorki w galarecie, krewetek, upakowanych w sklepie keksów i wychudzonych szklanoorkich królików zamrożonych przed dwoma laty, niekiedy sprzedawanych po dziewięć pensów za sztukę.

W przewadze zbieracze chmielu żywili się najplugawszym wiktem, co było nie do uniknięcia, bo nawet kiedy mieli pieniądze, by kupić godziwe jadlo, nie starczało czasu na jego przyrządzenie, wyjąwszy niedzielę. Prawdopodobnie jedynie obfitość skradzionych jabłek uchroniła obóz przed wyniszczeniem przez szkorbut. Jabłka kradziono metodycznie i zawsze; praktycznie każdy w obozie krał je albo się nimi dzielił. Były nawet grupy młodych mężczyzn (zatrudnionych, jak mówiono, przez londyńskich owocarzy) zjeżdżających tu rowerami z Londynu każdego weekendu, żeby grabić sady. Co do Nobby'ego, owoce krał naukowo. W ciągu tygodnia zebrał gang chłopców, którzy patrzyli nań jak na bohatera, ponieważ był prawdziwym włamywaczem i cztery razy siedział w więzieniu. Co dzień o zmierzchu wychodzili z workami i wracali nocą z dwoma cetnarami owoców. Wokół plantacji chmielu rosły olbrzymie sady, a jabłka, zwłaszcza małe i piękne złote renety, leżały wokół drzew stertami, gnijąc; farmerzy nie mogli ich sprzedać. Grzechem byłoby ich nie zbierać, powiedział Nobby. Dwakroć, wraz ze swoim gangiem, skrał nawet kurczaka. Jak potrafili tego dokonać nie budząc sąsiedztwa - graniczyło z cudem. Wydało się w końcu, że Nobby stosował pewien podstęp, narzucając worek na kurzy łeb tak, że „kurczak milkł o pomocy bez kłopotów” albo w każdym razie - bez hałasu.

Minął tydzień, potem drugi, a Dorota nie zbliżała się do rozwiązania problemu własnej tożsamości. W rzeczy samej była od tego dalej niż kiedykolwiek, ponieważ - poza wolnymi chwilami - sprawa ta niemal znikła z jej myśli. Z biegiem czasu zaczęła uważać swoją cudaczną sytuację za tak oczywistą, by odrzucić wszelkie myśli o innym „wczoraj” lub „jutro”. Był to naturalny efekt życia na plantacjach chmielu; zawężało ono zasięg świadomości do trwającej właśnie minuty. Nie można walczyć z mglistymi problemami ducha, będąc wiecznie sennym i wiecznie zajęтым: jeśli nie było się przy pracy

w polu, to gotowało albo zносиło coś ze wsi, albo rozniecało ogień z mokrych patyków, albo dreptało tam i z powrotem z puszkami wody. (W obozie istniał tylko jeden kran z wodą i to około dwustu jardów od chaty Doroty oraz równie daleko - trudna do opisanía ziemna latryna.) Było to życie, które wykańczało, zużywało każdą uncję energii i utrzymywało człowieka w poczuciu bezgranicznego szczęścia. To - w dosłownym znaczeniu tego słowa - odurzało. Długie dni w polu, prymitywne jadło i niedostatek snu, smród chmielowego i drzewnego dymu nasączał człowieka niemal zwierzęcą ociężałością. Myśli zdawały się grubieć jak skóra wiecznie na świeżym powietrzu w deszczu i słońcu.

W niedzielę, rzecz jasna, nie pracowano; wszelako poranek niedzielny był porą zajęć; właśnie wtedy ludzie warzyli podstawowe dania tygodnia, prali i łątali. Dźwięk dzwonów z wiejskiego kościoła przyływał z wiatrem, zmieszany z ciekim pieniem „O Boże, zbawco nasz!” nielicznego zgromadzenia wiernych podczas nabożeństwa celebrowanego pod gołym niebem przez jakąś misję dla zbieraczy chmielu. Jak obóz długi i szeroki płonęły potężne ogniska z chrustu, wrzała woda w wiadrach i blaszanych puszkach, w rondlach i we wszystkim, co wpadło w ludzkie ręce, zaś poszarpana bielizna powiewała z dachów chat. Pierwszej niedzieli Dorota pożyczyła od Turle'ów miednicę i najpierw umyła głowę, potem uprała swoją bieliznę i koszulę Nobby'ego. Jej odzież była w stanie przeraźliwym. Nie wiedziała jak długo ją na sobie nosiła, ale z pewnością nie krócej niż dziesięć dni, przez cały czas też w niej sypiała. Pończochy zachowały ledwie szczątki stóp, buty zaś trzymały się kupy jedynie dzięki lepiącemu błot.

Rozwiesiwszy pranie, żeby wyschło, ugotowała obiad. Zjedli obficie: pół pieczonego kurczaka (ukradzonego), gotowane ziemniaki (ukradzione), pieczone jabłka (ukradzione) i popili herbatą z prawdziwych filiżanek z uszkami, pożyczonych od pani Burrows. Po obiedzie, przez całe popołudnie, Dorota siedziała po nasłonecznionej stronie chaty, z suchym workiem na kolanach, przysypiając i budząc się na przemian. Dwie trzecie ludzi w obozie robiło dokładnie to samo, przysypiając w słońcu i budząc się, by patrzeć tępo przed siebie, zupełnie jak krowy. Tylko to było możliwe po tygodniu ciężkiej pracy.

Około trzeciej, kiedy tak siedziała niemal już zasypiając, przeparadował obok niej Nobby, nagi do pasa - jego koszula właśnie schła - z egzemplarzem niedzielnej gazety, którą zdołał od kogoś pożyczyć. Był to „Pippin's Weekly” - najbardziej brukowa spośród pięciu brukowych gazet niedzielnych. Przechodząc upuścił ją na podolek Doroty.

- Przeczytaj to, mała - powiedział uprzejmie.

Dorota wzięła „Pippin's Weekly” i rozłożyła na kolanach, czując się zbyt senna, by czytać. Rzucił się jej w oczy olbrzymi tytuł:

DRAMAT NAMIĘTNOŚCI W POWIATOWYM PROBOSTWIE

Były tam też inne tytuły i coś rozstrzelonym drukiem, i wbudowane zdjęcie dziewczęcej twarzy. Przez około pięć sekund Dorota patrzyła na czarniawy, poplamiony, ale dość rozpoznawalny jej własny wizerunek.

Pod fotografią - cała szpalta druku. Myśląca praktycznie większość gazet porzuciła już tajemnicę „córki proboszcza”, ponieważ minęły dwa tygodnie i nowość zwietrzała. Ale „Pippin's Weekly” niewiele o to dbał; jego informacje udawały świeżość tak długo, jak długo pozostawały pieprzne, a w tym tygodniu urodzaj gwałtów i morderstw był lichy. Wypchnęli więc „córkę proboszcza” na czoło - przydzielając miejsce rzeczywiście honorowe w górnym lewym rogu pierwszej kolumny.

Dorota oglądała fotografię w stanie bezwładu. Patrząc na nią spośród rzadków odstręczającego druku dziewczęca twarz nie kojarzyła się w jej umyśle absolutnie z niczym. Mechanicznie raz jeszcze przeczytała słowa: „Dramat namiętności w powiatowym probostwie”, ani ich nie rozumiejąc, ani nie wykazując najmniejszego zainteresowania. Odkryła, że zupełnie nie jest w stanie zdobyć się na wysiłek czytania; nawet wysiłek patrzenia na zdjęcie wydawał się za duży. Ciężył jej głowie głęboki sen. Oczy, zamykając się, przemykały po kolumnie ku fotografii Lorda Snowdena albo człowieka, który nigdy nie nosiłby pasa przepuklinowego, wreszcie zasnęła z „Pippin's Weekly” na kolanach.

Opieranie się o sfałdowaną metalową ścianę chaty nie było niewygodne, przespała więc niemal nie poruszona do szóstej, kiedy obudził ją Nobby, mówiąc, iż herbata jest gotowa; wtedy Dorota ostrożnie odłożyła gazetę na bok (mogła się przydać do podpalenia ogniska), nawet na nią nie spojrzawszy po raz wtóry. Tak więc szansa rozwiązania własnego problemu w tej chwili minęła: mógłby on pozostać nie rozwiązany jeszcze przez wiele miesięcy, gdyby nie zdarzył się, tydzień później, odrażający wypadek, który wyrwał ją z pełnego sprzeczności, bezrefleksyjnego stanu, w jakim się znajdowała...

5.

Następną niedzielę niespodziewanie spadli na obóz dwaj policjanci i aresztowali Nobby'ego z dwoma kompanami, za kradzież.

Wszystko stało się tak szybko, że Nobby nie mógłby uciec, nawet gdyby go wcześniej ostrzeżono, ponieważ okolica roiła się od powołanych do policji

obywateli. W hrabstwie Kent są olbrzymie ilości takich konstabli z pospolitego ruszenia. Zaprzysięga się ich każdej jesieni - stanowią rodzaj milicji do ścigania łupieżczych band zbieraczy chmielu. Farmerzy coraz bardziej zmęczeni grabieżami sadów, postanowili dać przykład, *m terrorem*. Oczywiście w obozie wybuchł straszliwy tumult. Dorota wyszła ze swojej chaty, by zobaczyć w czym rzecz i ujrzała pierścień rozognionych ludzi, ku któremu biegli wszyscy pozostali. Pospieszyła za nimi przejęta okrutnym chłodem. Wydawało się jej, że już wie, co zaszło. Zdołała przedrzeć się przed front tłumu i ujrzała właśnie to, czego się obawiała.

Stał tam Nobby, w objęciach potężnego policjanta, a inny policjant trzymał za ramiona dwu przestraszonych chłopców. Jeden z nich, liche, niespełna szesnastoletnie dziecko, płakał gorzko. Pan Cairns, mocno zbudowany mężczyzna o siwych skroniach, trzymał z dwoma pomocnikami straż nad skradzionym dobrem, jakie wygrzebano ze słomy w chacie Nobby'ego. Dowód rzeczowy A: sterta jabłek; dowód rzeczowy B: skrwawione pióra kurczęcia. Nobby złowił w tłumie spojrzenie Doroty, zaświecił jej blaskiem wielkich zębów i puścił oko. Rozległ się pomieszany jazgot krzyków:

- Spójrzcie, jak tyn bidny mały gnojek płacze! Puście go! Nie wstyd wam, to bidny mały szczył! Przyłóżcie mu porzownie, benkartowi, bo nas wszystkich wpięprzy w kłopoty! Puście go! Zawsze wszystko spada na nas, francowatych chmielorz! To już jabłko nie spadnie, żeby na nas nie poszło, żeśmy je wzieni! Puście go! Stul mordę, co? A to twoje pieprzone jabłka? A ty byś, pieprzeńcu... - itd., itd. A potem: - Odsuń się, kolego! Niech podejdzie matka tego szczyła.

Poprzez krąg ludzi przecisnęła się baba niczym potężny kufel do piwa, o monstualnych piersiach i włosach spadających na ramiona, i zaczęła ryczeć najpierw na policjantów i pana Cairnsa, potem na Nobby'ego, który sprowadził jej syna na manowce. W końcu udało się ją robotnikom rolnym odciągnąć. Poprzez wrzask tej kobiety Dorota mogła usłyszeć jak pan Cairns burkliwie przestuchiwał Nobby'ego:

- No więc, kawalerze, powinieneś teraz powiedzieć, z kim się dzieliłeś jabłkami! Zamierzamy przerwać te złodziejskie zabawy raz na zawsze! Przyznaj się, a obiecuję, że weźmiemy to pod uwagę.

Nobby odpowiedział pogodnie jak zawsze: - Uwagę, waszą dupę!

- Nie pyskuj, młodzieńcze! Zmięknieś, kiedy staniesz przed sądem.

- Tobie zmięknie, dupa!

Uśmiechnął się Nobby szeroko. Własny dowcip przepelił go samozadowoleniem. Złowił spojrzenie Doroty zanim go odprowadzono i posłał jej drugie oko. Wtedy widziała go po raz ostatni.

Krzyczano jeszcze, a kiedy zabrali więźniów, ruszyło za nimi kilkudziesięciu mężczyzn, wygwizdując policjantów i pana Cairnsa, ale nikt nie śmiał im zastąpić drogi. Tymczasem Dorota wywlokła się z tłumu; nie przystanęła nawet, by zobaczyć, czy nie można by powiedzieć Nobby'emu „żegnaj” - była zbyt przerażona i nade wszystko pragnęła uciekać. Kolana drżały pod nią nie do opanowania. Kiedy wróciła do chaty, siedziały tam inne kobiety, omawiając w podnieceniu aresztowanie Nobby'ego. Wwierciła się głęboko w słomę i schowała, żeby się odciąć od dźwięku ich głosów. A one nie przestawały gadać do północy i, oczywista, ponieważ Dorota była zapewne „flamą” Nobby'ego, wyrażały jej ubolewanie i zasypywały pytaniami. Nie odpowiadała, udając, że śpi. Ale wiedziała doskonale, że tej nocy nie zmrzyży oka.

Cała sprawa przerażyła ją i przyniotła. Przeraziła bardziej niż to uzasadnione i zrozumiałe. Przecież jej samej nie zagrażało nic. Robotnicy Cairnsa nie wiedzieli, że korzystała ze skradzionych jabłek - jeśli o to chodzi, to niemal wszyscy w obozie z nich korzystali - a Nobby nigdy by nie zdradził. Nie dlatego też, że trapiła się bardzo o los Nobby'ego, który najwyraźniej nie przejął się perspektywą miesiąca aresztu. Coś się w niej stało - jakaś zmiana zaszła w klimacie myśli.

Wydało się jej, że już nie jest tą samą osobą, jaką była przed godziną. Wszystko uległo zmianie w niej i dokoła. Było to tak, jakby w mózgu pękła bańka powietrza, uwalniając myśli, uczucia, lęki, o których istnieniu zapomniała. Rozpadła się cała senna apatia minionych trzech tygodni. Bo to był, najdokładniej rzecz ujmując, rodzaj snu - żyła w szczególnym stanie uśpienia, w jakim człowiek zgadza się na wszystko, nie pytając o nic. Brud, łachy, włóczęga, żebranina, kradzieże - wszystko zdawało się naturalne. Nawet utrata pamięci wydała się naturalna; do tej chwili niemal się nad nią nie zastanawiała. Pytanie „kim jestem?” wypadło z jej myśli tak, że niekiedy zapominała o nim na całe godziny. Dopiero teraz wracało z jakąś rzeczywistą natarczywością.

Niemal całą tę żalną noc pytanie owo przelatywało raz po raz przez jej mózg. Dręczyło może nie samo pytanie, ale świadomość, że odpowiedź jest bliska. Wracała pamięć, to jasne, a wraz z nią zbliżał się jakiś obrzydliwy zapewne wstrząs. Rzeczywiście bała się tej chwili, kiedy odkryje własną tożsamość. Tuż pod powierzchnią świadomości czekało coś, z czym nie chciała się zetknąć.

Wstała o pół do szóstej i, jak zwykle, poczęła gmerać w poszukiwaniu trzewików. Wyszła na zewnątrz, podsycała ogień i postawiła na żarze dzbanek z wodą, żeby ją zagotować. I kiedy to robiła, przeleciało przez jej mózg

wspomnienie, na pozór bez związku. Wspomnienie postoju na wiejskiej murawie pod Wale, przed dwoma tygodniami - wtedy, gdy spotkali starą Irlandkę, panią McElligot. Przypomniała sobie tamtą scenę bardzo wyraziście. Siebie leżącą bez sił na trawie, z ramieniem na twarzy i Nobby'ego, i panią McElligot przegadujących się nad jej wyciągniętym ciałem; i Charliego, jak z obleśnym upodobaniem odczytał afisz: »Sekretne życie córki proboszcza*»; znów siebie tajemniczą i pytającą bez szczególnego zainteresowania: „Co to jest proboszcz?”

W tej chwili dotkliwy ziąb, niczym lodowata dłoń ścisnął jej serce. Poderwała się i uciekła niemal biegiem do chaty, po czym wryła się w miejsce, gdzie leżały worki i poczęła macać pod nimi słomę. W olbrzymiej stercie zniknął cały dobytek, stopniowo przebijając się na samo dno. Ale po kilkuminutowych poszukiwaniach, zarabiając na przekleństwach paru kobiet, które trwały jeszcze w półśnie, Dorota znalazła to, czego szukała. Był to egzemplarz „Pippin's Weekly”, podarowany jej przez Nobby'ego przed tygodniem. Wyniosła go na zewnątrz, uklękła i rozpostarła w świetle ogniska.

Na pierwszej stronie widniała fotografia i trzy wielkie tytuły. Tak! To było to!

DRAMAT NAMIEŃNOŚCI W POWIATOWYM PROBOSTWIE

CÓRKA DUCHOWNEGO I PODSTARZAŁY UWODZICIEL

POSIWIAŁY OJCIEC ZDRUZGOTANY ROZPACZĄ

(„Pippin's Weekly”, wydanie specjalne)

„Wolałbym raczej ujrzeć ją w grobie!” tak brzmiał wzruszający lament Wielebnego Charlesa Hare, proboszcza z Knype Hill, hrabstwo Suffolk, kiedy stwierdził, że jego dwudziestoosmioletnia córka została porwana przez starzejącego się kawalera nazwiskiem Warburton, podającego się za artystę malarza. Panna Hare, która opuściła miasto nocą dwudziestego pierwszego sierpnia, nadal pozostaje zaginiona, a wszystkie próby trafienia na jej ślad zawiodły. *(rozstrzelonym drukiem)* Pogłoska, na razie nie potwierdzona, mówi, że widziano ją ostatnio w męskim towarzystwie w hotelu o podłej reputacji, w Wiedniu.

Czytelnicy „Pippin's Weekly” zapewne pamiętają, że porwanie miało miejsce w okolicznościach dramatycznych. Nieco przed północą dwudziestego pierwszego sierpnia, pani Ewelina Semprill, owdowiała dama zamieszkująca dom sąsiadujący z panem Warburtonem, ujrzała przypadkowo pana Warburtona stojącego przed bramą i rozmawiającego z młodą kobietą. Ponieważ była to jasna noc księżycowa, pani Semprill mogła rozpoznać w tej młodej kobiecie

pannę Hare, córkę proboszcza. Para pozostawała przed bramą kilka minut, a przed wejściem do środka wymieniła uściski, które pani Semprill uznała za namiętne. Około pół godziny później pojawili się znowu w samochodzie pana Warburtona, trzymanym za frontową bramą i odjechali w stronę drogi do Ipswich. Panna Hare miała na sobie strój niekompletny i sprawiała wrażenie, że znajduje się pod wpływem alkoholu. Dowiadujemy się, że od pewnego czasu panna Hare miała zwyczaj potajemnego odwiedzania domu pana Warburtona. Pani Semprill, którą z wielkim trudem udało się nakłonić do mówienia o tym przykrym wydarzeniu - ujawniła potem..."

Dorota zmięta wściekle „Pippin's Weekly” obiema dłońmi i cisnęła w ognisko, przewracając przy tym dzbanek z wodą. Podniosła się chmura popiołu i siarczanego dymu. Niemal w tej samej chwili Dorota wyrwała gazetę, jeszcze nie nadpaloną przez ogień. Nic po tchórzostwie, lepiej dowiedzieć się najgorszego. Czytała z przerażającą fascynacją. Nie była to miła lektura: historia o sobie samej. Dziwne, ale nie miała już cienia wątpliwości, że dziewczyna, o której czyta, to właśnie ona. Przyjrzała się fotografii. Była poplamiona, zamazana, ale nie pozostawiała wątpliwości. Nie potrzebowała nawet tej fotografii, żeby sobie przypomnieć. W pamięci ożyło wszystko - każdy szczegół życia, aż do owego wieczora, kiedy wróciła z domu pana Warburtona zmęczona i, przypuszczalnie, usnęła w ciepłarni. Widziała to teraz tak wyraźnie, wydawało się niemożliwe, że kiedykolwiek mogła o tym zapomnieć.

Tego dnia nie zjadła śniadania i nie pomyślała o przygotowaniu czegokolwiek na posiłek południowy. Kiedy nadeszła pora, siłą nawyku poszła z innymi zbieraczami na plantację chmielu. Z trudem, w pojedynkę przewlokła ciężki kosz na stanowisko, zwała kolejną łądygę i poczęła obrywać szyszki. Jednakże po kilku minutach stwierdziła, że to prawie niewykonalne, nawet ów mechaniczny trud zrywania przekraczał siły. Ta potworna, kłamliwa historia z „Pippin's Weekly” tak ją rozkojarzyła, że nie była w stanie nawet przez chwilę skupić myśh' na czymkolwiek. Raz po raz przelatowały przez głowę zdania obłeśne w stylu, jakim je napisano. „Namiętne uściski”, „strój niekompletny”, „pod wpływem alkoholu”, a każde - wracając w pamięć - sprawiało taki ból, że miała ochotę krzyczeć, jakby to był ból fizyczny.

Po chwili przestała nawet udawać, że zbiera, pozwoliła łądydze zwalić się na kosz i usiadła pod jednym ze słupów podtrzymujących druty. Inni zbieracze obserwowali jej stan nie bez współczucia. „Ellen jakby ciut podcięło”, mówili. "A czego można oczekiwać, kiedy jej facet tak się poślizgnął?" (Wszyscy w obozie, oczywiście, uważali za pewnik, że Nobby był kochankiem Doroty.)

Poradzili, żeby poszła do farmy i zameldowała, że jest chora. A przed dwunastą, kiedy miał przyjść wagowy, wszyscy z brygady podchodzili z kapeluszami chmielu i wrzucali go do jej kosza.

Kiedy wagowy przyszedł, znalazł Dorotę ciągle siedzącą na ziemi. Mimo brudu i opalenizny była bardzo blada; zmizerniała twarz zdawała się znacznie starsza niż przedtem. Kosz stał dwadzieścia jardów za koszami reszty brygady i zawierał niecałe trzy buszle chmielu.

- No, co jest? - nalegał. - Choraś?

- Nie.

- To dlaczego nie zbierasz? Myślisz, że co to jest, piknik jaśniepaństwa? Nie przysłałaś tu siedzieć na ziemi, kapujesz.

- Dos tego, odwal się od ni! - krzyknęła nagle stara koknejska straganiarka. - Czy ni może ta bidna dziewczyna odzignąć chwile, kiedy tygo chce? czy ji facet nie poszedł za kratki przez ciebie i tych pieprzonych, niuchających gliniarskich kompli? Ona mo i bez tygo czem głowę łamać - i bez tygo, żeby ji dopadał byle pieprzony gliniarski szpic w tem Kencie!

- Stul się już, ma! - powiedział wagowy mrukliwie, ale usłyszawszy, że kochanek Doroty został poprzedniej nocy aresztowany, stał się sympatyczniejszy. Kiedy straganiarka zagotowała czajnik, zawołała Dorotę do swego kosza i poczęstowała filiżanką mocnej herbaty i pająd chleba z serem; a po przerwie obiadowej przysłano innego zbieracza, który nie miał partnera, by dzielił z Dorotą kosz. Był to niski, pomarszczony stary włóczęga nazwiskiem Deafie. Po herbacie Dorota poczuła się lepiej. Zachęcona przykładem Deafiego - znakomitego zbieracza - zdołała podczas popołudnia wnieść swój solidny wkład.

Przemyślała sprawy na nowo i wydawała się mniej rozkojarzona niż przedtem. Zdania z „Pippin's Weekly” nadal skreślały ją ze wstrętu, ale mogła już sprostać sytuacji, w której się znalazła. Rozumiała dość dobrze, co się jej przytrafiło i co doprowadziło do oszczerstwa pani Semprill. Pani Semprill widziała ich razem u bramy i widziała jak pan Warburton ją całował; a potem, kiedy oboje znikli z Knype Hill, było czymś także naturalnym - naturalnym dla pani Semprill - iż uciekli razem. A co do malowniczych szczegółów, to wymyśliła je później. Zresztą - czy naprawdę je wymyśliła? W wypadku pani Semprill nie można było mieć pewności, czy opowiadała swoje kłamstwa świadomie i z rozmysłem jako kłamstwa, czy też jej dziwnej i odrażającej psychice udawało się w nie jakimś sposobem uwierzyć.

Tak czy owak krzywdą została uczyniona - nie ma sensu gnębić się tym dłużej. Tymczasem pojawiła się sprawa powrotu do Knype Hill. Powinna

posłać po jakąś odzież, potrzebowałaby też dwu funtów na bilet kolejowy do domu. Dom! To słowo zadało jej sercu cios. Dom po tygodniach brudu i głodu! Jakże doń tęskniła, teraz, kiedy go sobie przypomniała!

Ale...!

Podniosło głowę zimne, małe zwątpienie. Do tej chwili nie pomyślała o jednej ze stron całej sprawy. Czy mogła wracać do domu mimo wszystko? Czy śmiała?

Czy mogłaby stanąć twarzą w twarz z Knype Hill po tym wszystkim, co się stało? Oto pytanie. Kiedy się figurowało na pierwszej stronie „Pippin's Weekly” - „w niekompletnym stroju”, „pod wpływem alkoholu” - ach, nie myślimy o tym znowu! Kiedy się zostało oblepioną od stóp do głów koszmarnymi, zniesławiającymi oszczerstwami, czy można wracać do miasteczka z dwoma tysiącami mieszkańców, gdzie każdy zna prywatne tajemnice wszystkich pozostałych i gada o nich całymi dniami?

Nie wiedziała, nie potrafiła zdecydować. W pewnej chwili pomyślała, że historia jej ucieczki była tak oczywiście absurdalna, że chyba nikt w nią nie uwierzył. Pan Warburton, na przykład, mógł zaprzeczyć - z całą pewnością mógł zaprzeczyć, z każdego możliwego powodu. Ale już w następnej chwili przypomniła sobie, że pan Warburton wyjechał za granicę i że, jeżeli ta historia nie przedostała się do gazet kontynentalnych, może nawet o niej nie słyszał. Wtedy przeraziła się ponownie. Wiedziała, co to znaczy żyć ze skandalem w małym prowincjonalnym miasteczku. Te spojrzenia i ukradkowe trącanie się łokciami, kiedy człowiek przechodzi! Te wścibskie oczy śledzące człowieka spoza przesłoniętych okien, gdy idzie ulicą! Te grupki młokosów na rogach wokół fabryki Blifila-Gordona, srośnie człowieka obgadujące!

„George! Powiedz, George, widziałeś tę tam sztukę? Z jasnemy włosamy?”

„Która? Te chudo? Kto to jes?”

„Córka proboszcza, to ona. Panna 'Arę. Ale, ale! Nie wiesz, co zrobiła dwa lata temu? Dała dyla z facetem, co mógł być jej ojcem. Normalnie, legalnie poszła z nim w Paruż! Jak tak na nio patrzeć, to nigdy byś nie powiedział, no nie?”

„Mów dali!”

„Ale poszła w kurs! Zwyczajnie, poszła. Było o tem w gazetach, i wszystko. Ale on dał jej przytka trzy tygodnie późni i wróciła do domu jakby nigdy nic. Bystra, nie?”

Tak, to byłaby cena. Latami, a może nawet całe dziesięciolecie, gadaliby o niej w ten sposób. A najgorsze ze wszystkiego było to, że historia z „Pippin's Weekly” stanowiła prawdopodobnie streszczenie czegoś, co pani Semprill

opowiada na mieście. Oczywiście, „Pippin's Weekly” nie chciał posuwać się za daleko. Ale czy istniało coś, co byłoby w stanie powstrzymać panią Semprill? Tylko ograniczenie jej wyobraźni - a ta była rozległa niemal jak niebo.

Jedno wszakże Dorotę podtrzymywało, mianowicie myśl, że ojciec, z całą pewnością, uczyni wszystko, aby ją obronić. Oczywiście, znajdują się także inni. Przecież miała przyjaciół. Co najmniej kongregacja kościelna знаła ją i ufała - i Związek Matek, i kobiety z listy wizyt - nigdy nie uwierzą w podobne o niej historie. Ale najwięcej znaczył ojciec. Niemal każda sytuacja jest do zniesienia, jeśli ma się dom, do którego można wrócić i rodzinę, która stanie po twojej stronie. Z odwagą i pomocą ojca, można stawić czoło całej reszcie. Nim zapadł zmierzch zdecydowała, że będzie zupełnie w porządku, jeśli wróci do Knype Hill, choć na pierwszy rzut oka zostanie to uznane za bezczelne, a kiedy praca tego dnia dobiegła końca, „pożyczyła szylinga”, poszła do sklepu we wsi i za pensa kupiła papier listowy. Wróciwszy do obozu, siedząc na trawie przy ognisku - w obozie nie było oczywiście krzesel, ni stołów - zaczęła pisać ogryzkiem ołówka:

Najdroższy Ojcze, nie mam stów, by Ci opowiedzieć jak się cieszę po wszystkim, co przeszłam, że mogę znów do Ciebie napisać. A wierzę, że się nie zamartwiałeś o mnie zbyt, ani się zbyt przejmowałeś tymi potwornymi banialukami w gazetach. Nie wiem, co musiałeś myśleć po moim zniknięciu, tak nagłym, i o trwającym prawie miesiąc milczeniu. Ale, bo widzisz...

Jakże dziwnym uczuciem przejmował ją ołówek trzymany w pokłutych sztywnych palcach! Mogła pisać jedynie wielkimi, rozlazłymi literami, jak dziecko. Ale napisała długi Ust, wyjaśniając wszystko i prosząc ojca o przysłanie jakiejś odzieży i dwu funtów na przejazd do domu. Prosiła go także, by napisał do niej na przybrane nazwisko, jakie mu podała: Ellen Millborough, jak Millborough w hrabstwie Suffolk. Wyglądało to podejrzanie, owo użycie fałszywego nazwiska: nieuczciwie, niemal kryminalnie. Ale nie odważyła się zaryzykować powiadomienia wsi, a także obozu, że jest Dorotą Hare, osławioną „córką proboszcza”.

6.

Raz powziąwszy postanowienie, Dorota marzyła o ucieczce z obozu zbieraczy chmielu. Następnego dnia z trudem mogła się zabrać do głupawej czynności zbierania, zaś niewygody i podłe jedzenie stały się nieznośne z chwilą odzyskania wspomnień, pozwalających na porównania. Uciekłyby na-

tychmiast, gdyby miała dość pieniędzy, by dojechać do domu. Gdyby nadszedł list od ojca z dwoma funtami, powiedziałaaby Turl'e'om „do widzenia”, wsiadła do pociągu i pojechała do domu, a dojechawszy - odetchnęła z ulgą, mimo paskudnego skandalu, jaki trzeba by przeżyć.

Trzeciego dnia po wysłaniu listu poszła na wiejską pocztę zapytać o odpowiedź. Urzędniczka, niewiasta o twarzy jamnika, z wyrazem gorzkiej pogardy dla wszystkich zbieraczy chmielu, powiedziała jej lodowato, że żaden list nie nadszedł. Dorota była rozczarowana. Szkoda - musiał utknąć gdzieś w drodze. Ale nie miało to znaczenia; jutro też będzie na czas - to tylko dodatkowy dzień oczekiwania.

Następnego wieczora poszła znowu, niemal pewna, że tym razem nadszedł. Listu nie było nadal. Tym razem opanowało ją złe przeczucie; piątego wieczora, kiedy znowu nie było odpowiedzi, złe przeczucie zamieniło się w przeraźliwą panikę. Kupiła cały pakiet papieru listowego i napisała olbrzymi list, zużywając dwustronnie cztery arkusze, wyjaśniając w najdrobniejszych szczegółach, co zaszło i błagając ojca, by nie pozostawiał jej w takim zawieszeniu. Nadawszy go postanowiła, że pozwoli upłynąć całemu tygodniowi, zanim ponownie zjawi się na poczcie.

Było to w sobotę. Postanowienie załamało się w środę. Gdy syrena ogłosiła przerwę południową, zostawiła kosz i pobięła na pocztę - odległą o półtorej milico znaczyło, że straci obiad. Dobiegłszy, z zawstydzoną twarzą podeszła do kontuaru, niemal bojąc się mówić. Urzędniczka o twarzy jamnika siedziała w swojej klatce z mosiężnych prętów na końcu kontuaru, odfajkowując liczby w wąskiej długiej księdze, posłała Dorocie krótkie, badawcze spojrzenie i wróciła do swego zajęcia, nie zwracając na nią uwagi.

Coś bardzo bolesnego działo się w okolicach przepony brzusznej Doroty. Spostrzegła, że oddycha z trudem. - Czy są jakieś listy dla mnie? - zdołała wreszcie zapytać.

- Nazwisko - powiedziała urzędniczka, odfajkowując.

- Ellen Millborough.

Urzędniczka przesunęła na mgnienie swój długi jamniczy nos nad ramieniem i spojrzała w przegródkę M w skrzynce listów poste restante.

- Nie - powiedziała, wracając do swoich rachunków.

Dorota wyszła jakimś sposobem na zewnątrz i ruszyła z powrotem ku plantacji chmielu, po czym stanęła. Uczucie śmiertelnej pustki w jamie brzusznej, spowodowane częściowo przez głód, zbyt ją osłabiło, by miała siłę iść dalej.

Milczenie ojca mogło oznaczać tylko jedno. Uwierzył w bajdy pani Semprill - uwierzył, że ona, Dorota, uciekła z domu w haniebnym okolicznościach,

a potem, żeby się oczyścić, skłamała. Był zbyt zagniewany i zbyt zdegustowany, żeby napisać. Wszystko, czego pragnął, to pozbyć się jej, zerwać wszelkie związki; stracić ją z oczu i przestać myśleć o niej i o skandalu, który należało zakryć i zapomnieć.

Nie mogła wracać do domu. Nie śmiała. Teraz, ujrzawszy jaki był stosunek ojca do niej, dostrzegła także całą awanturniczość rozważanego postępku. *Oczywiście, nie może wracać do domu! Wkradać się w niełasce, swoim powrotem wnosić wstyd w dom ojca - ach, niemożliwe, zupełnie niemożliwe!* Jak mogła o tym w ogóle pomyśleć?

Cóż tedy? Nie pozostawało nic, jak tylko odejść - odejść w jakieś miejsce wystarczająco duże, żeby się w nim ukryć. Może do Londynu? Dokądś, gdzie nikt jej nie zna i gdzie sam wygląd twarzy czy wymienienie nazwiska, nie wywlecze na jaw łańcucha brudnych wspomnień.

Kiedy tak stała, dopłynął do niej dźwięk dzwonów z wiejskiego kościoła stojącego za zakrętem drogi, gdzie dzwonnicy zabawiali się wydzwanianiem *Bądź przy mnie* tak, jak się jednym palcem na pianinie wybiera melodię. W tej chwili *Bądź przy mnie* przypominało znajome dzwony z niedzielnych poranków. *Och, zostaw moją żonę! Jest tak pijana, że nie może dojść do domu!*

- ten sam kurant, jakim dzwony św. Athelstana podzwaniały przed trzema laty, zanim je zdjęto. Ten dźwięk wbijał w serce Doroty włócznie nostalgii za domem, przynosząc z ulotną jaskrawością mieszaninę pamiętanych przedmiotów i zjawisk - zapach kleju w cieplarni, gdy wykonywała kostiumy do szkolnego przedstawienia, terkot szpaków za oknem sypialni, przerywający jej modły przed komunią świętą i żalony głos pani Pither narzekający na chroniczny ból z tyłu nóg, i obawa przed runięciem dzwonnicy, i długi sklepowe, i powój w grochu - wszystkie owe nieprzeliczone, natarczywe szczegóły jej życia, które obracało się między pracą i modlitwą.

Modlitwa! Myśl ta zjawiała się na bardzo krótko, może na minutę. Modlitwa - w tamtych dniach było to podstawowe źródło i centrum życia Doroty. W troskach i szczęściu, zawsze zwracała się ku modlitwie. Zdała sobie sprawę - po raz pierwszy przeszło to przez jej myśl - że nie modliła się od czasu opuszczenia domu ani nawet od chwili odzyskania pamięci. Co więcej, odkryła, że nie ma najmniejszej potrzeby modlenia się. Zaczęła mechanicznie szeptać modlitwę i niemal natychmiast przerwała; słowa były puste i ciche. Modlitwa, która stanowiła ostoję życia, przestała znaczyć cokolwiek. Odkryła ten fakt idąc powoli drogą, odkryła nagle, niemal przypadkowo, jak coś, co się spostrzega przechodząc mimo - kwiat w rowie albo ptaka przebiegającego drogą - coś, co się daje zauważyć, a potem znika. Nie miała nawet czasu

zastanowić się, co to mogło być. Zrzuciły to z ramion jej jaźni sprawy większej wagi.

Powinna była pomyśleć teraz o przyszłości. Wiedziała, co musi zrobić. Kiedy skończy się zbieranie chmielu, musi pojechać do Londynu, napisać do ojca po pieniądze i odzież - bo jakkolwiek mógł być zagniewany, nie potrafiła uwierzyć, by miał zamiar pozostawienia jej tak całkowicie swemu losowi - a potem zacząć starania o pracę. Miarę ignorancji stanowił fakt, że złowrogie słowa „starania o pracę” w ustach Doroty w ogóle nie brzmiały złowieszczo. Znała siebie silną i zdecydowaną - wiedziała, że istnieje wiele zajęć, których jest w stanie się podjąć. Mogła zostać kierowniczką ochronki, na przykład, nie, lepiej pomocą domową albo pokojówką. Istniało niewiele prac domowych, których nie potrafiłaby wykonać lepiej od większości służących; a tak nawiasem, im podrzędniejsze zajęcie, tym łatwiej będzie utrzymać w tajemnicy historię przeszłości.

W każdym razie dom ojca został przed nią zamknięty, to pewne. Od tej pory musiała dawać sobie radę sama. Z tym postanowieniem, mając jedynie mętne wyobrażenie o jego znaczeniu, przyspieszyła kroku i o czasie wróciła na plantację, na zmianę popołudniową.

Sezon zbierania chmielu miał się ku końcowi. W ciągu tygodnia, mniej więcej, Cairns zamierzał skończyć zbiory, a kokneje - zabrać się na chmielarski pociąg do Londynu, Cyganie - połapać swoje konie, spakować wozy i odjechać na północ, do Lincolnshire, by zabiegać o robotę przy kopaniu ziemniaków. Co do koknejów, ci mieli na razie dość zbierania chmielu. Marzyli o tym, żeby się znowu znaleźć w kochanym starym Londynie, z Woolworthami i sklepikiem ze smażoną rybą tuż za rogiem, i żeby już nie sypiać w słomie, i nie prażyć bekonu w cieniotkich plasterkach, z oczyma łzawiącymi od dymu. Zbieranie chmielu to wakacje, ale taki rodzaj wakacji, których końca czeka się z radością. Przychodzili tu wiwatując, ale wracali do domu wiwatując głośniejsz i przysięgając, że już nigdy nie będą zbierać chmielu - aż do następnego sierpnia, kiedy zapomną o tych zimnych, sierpniowych nocach i marnych zarobkach, i o zniszczeniu rąk, a będą pamiętać jedynie owe rozleniwiające popołudnia w słońcu i odurzenie piwem pitym nocą z kamionkowych kufli, wokół czerwonych obozowych ognisk.

Poranki wstawały blade i podobne do listopadowych; szare niebo, opadanie pierwszych liści, zięby i szpaki gromadzące się do odlotów na zimę. Dorota znowu napisała Ust do ojca, prosząc go o pieniądze i jakąś odzież; pozostawiał listy bez odpowiedzi, nie napisał do niej nikt. W rzeczy samej, nikt prócz ojca nie znał jej obecnego adresu; miała wszakże nadzieję, że mógłby może napisać

pan Warburton. Odwaga ją opuszczała, zwłaszcza nocami, w tej obrzydliwej słomie, kiedy leżała przytomnie, myśląc o niepewnej i groźnej przyszłości. Zbierała swój chmiel z pewnego rodzaju desperacją, z pewnego rodzaju szalem energii, z każdym dniem zdając sobie wyraźniej sprawę, że każda garść chmielu między nią, a wycięczeniem dokłada nowy ułamek ćwierćpensówki. Deafie, współnik od kosza, podobnie jak ona, zrywał ściągając się z czasem, ponieważ miało to dać ostatnie pieniądze, jakie mógł zarobić przed następnym sezonem. Suma, ku której zmierzali, wynosiła pięć szylingów dziennie - trzydzieści buszli na nich dwoje, ale nie było dnia, by udało się im ją wyrobić.

Deafie był to wysuszony stary rozbitek i - po Nobby'm - marny kompan, ale niezły człowiek, z zawodu steward okrętowy, ale i włóczęga o wieloletnim stażu, głuchy jak pień, przeto w rozmowie podobny do ciotki pana F. Był także ekshibicjonistą, tyle że dość niegroźnym. Mógł całymi godzinami śpiewać krótką piosenkę, która brzmiała: „Z moim-moim kutasikiem, z kutasikiem moim” i choć nie mógł słyszeć, co śpiewa, zdawało się, że sprawia mu to pewien rodzaj przyjemności. Uszy miał najbardziej włochate spośród tych, jakie Dorota kiedykolwiek widziała. Z obu wyrastały kępki włosów, niczym miniaturowe bokobrody. Deafie co roku przyjeżdżał na zbiór chmielu w farmie Cairnsa, zaoszczędzał funta, a potem, nim wrócił na drogę, spędzał rajski tydzień w pensjonacie w Newington Butts. Był to jedyny tydzień w roku, kiedy sypiał w czymś, co można by nazwać, niekoniecznie przez uprzejmość, łóżkiem.

Zbiory dobiegły końca 28 września. Pozostało kilka nie zebranych pól, ale chmiel na nich wyrósł tak lichy, że pan Cairns w ostatniej chwili zdecydował „spisać go na straty”. Brygada numer dziewiętnaście ukończyła swoje pole o drugiej po południu; mały cygański brygadzysta wdrapywał się na słupy i zrywał pominięte kiście, wagowy zaś odwoził ostatnie kosze chmielu. Kiedy znikł, rozległ się niespodziewany krzyk „do koszów z niemi!” i Dorota ujrzała zbliżających się sześciu mężczyzn z płomiennym wyrazem twarzy, gdy wszystkie kobiety poczęły uciekać w rozsypce. Zanim zdołała pozbierać myśli i umknąć, mężczyźni otoczyli ją, wrzucili całą długością do kosza i jęli brutalnie przerzucać z boku na bok. Potem została wywleczona i pocałowana przez młodego Cygana cuchnącego cebulą. Zrazu walczyła, ale ujrawszy, że to samo robią z innymi kobietami z brygady, poddała się. Wrzucanie kobiet do koszy należało bowiem do niezmiennych obyczajów ostatniego dnia zbiorów. Wiele było tej nocy zamieszania w obozie i nikt się długo nie naspał. Późno po północy Dorota znalazła się w kręgu ludzi sunących wokół olbrzymiego ogniska, z jedną ręką ścisnąną przez rumianego masarczyka, a drugą przez

bardzo pijaną starą kobietę w szkockim berecie noszonym zwykle na Boże Narodzenie, w takt melodii *W dobrych dawnych czasach*.

Rankiem poszli do farmy, by podjąć pieniądze i Dorota otrzymała jednego funta plus cztery pensy, a pięć dodatkowych pensów zarobiła sumowaniem urobku ludziom niepiśmiennym. Koknejscy zbieracze płacili za taką robotę pensa, Cyganie odpłacali jedynie pochlebstwem. Potem skierowała się razem z Turle'ami ku stacji Zachodni Ackworth, odległej o cztery mile; pan Turle niósł blaszany kuferek, pani Turle niosła niemowlę, inne dzieci niosły różne bezużyteczne drobiazgi, a Dorota popychała wózek dziecinny zawierający cały zestaw naczyń Turle'ów; dwa jego koła były okrągłe, a dwa eliptyczne.

Do stacji doszli około południa, pociąg zbieraczy miał ruszyć o pierwszej, ale przyjechał o drugiej, a ruszył kwadrans po trzeciej. Po nieprawdopodobnie ślamazarnej podróży, zygzakując po całym Kencie po to, by stąd wziąć tuzin zbieraczy, stamtąd pół tuzina; wracając na trasę niezliczoną ilość razy i zjeżdżając na bocznice dla przepuszczenia innych pociągów - straciwszy, bez błagi, sześć godzin na przebycie trzydziestu pięciu mil - wyładował ich w Londynie nieco po dziewiątej wieczorem.

7.

Tej nocy Dorota spała u Turle'ów. Tak ją polubili, że byli gotowi dać schronienie na tydzień lub dwa, gdyby tylko chciała wykorzystać ich gościność. Dwie izby (mieszkali w czynszowym domu opodal Tower Bridge Road) z trudem mieściły siedmioro, łącznie z dziećmi, ludzi, ale urządzili jej rodzaj posłania na podłodze, z dwu szmacianych mat, starej poduszki i płaszcza.

Rano powiedziała Turle'om „do widzenia” i podziękowawszy za okazaną uprzejmość, poszła wprost do łaźni publicznej Bermondseya i zmyła z siebie nawarstwiony w ciągu pięciu tygodni brud. Potem, mając w kieszeni szesnaście szylingów i osiem pensów gotówką oraz to, co na sobie, rozejrzała się za mieszkaniem. Pocerowała i wyczyściła odzież wedle swych najlepszych umiejętności. Szczęśliwie na czarnym brud nie jest aż tak widoczny. Od kolan w dół prezentowała się nawet w sposób godny szacunku. Ostatniego dnia zbiorów, miejscowa zbieraczka z sąsiedniej brygady, pani Killfrew, podarowała jej parę dobrych butów swojej córki i parę wełnianych pończoch.

Poszukiwanie pokoju zajęło Dorotę aż do wieczora. Wędrowała tam i sam niemal dziesięć godzin, od Bermondseya do Southwarku, od Southwarku do Lambeth, labiryntowymi uliczkami, w których zasmarkane dzieci, wśród skórek bananów i gnijących liści kapusty, bawiły się na chodnikach w klasy. W

każdym odwiedzionym domu powtarzała się ta sama scena - gospodyni kategorycznie wzbraniała wejścia do środka. Wszystkie po kolei, cała seria nieprzyjaznych kobiet, stojąc w drzwiach w pozach tak obronnych, jakby Dorota była zmotoryzowanym bandytą albo rządowym inspektorem, oglądały ją od stóp do głów, mówiąc krótko „nie przyjmujemy samotnych dziewczyn” i zatrząskiwaly przed nosem drzwi. Oczywiście nie wiedziały o tym, ale sam jej widok wystarczał, by w szacownych właścicielkach wzbudzić podejrzenia. Poplamione, złachane ubranie byłoby może jeszcze do zniesienia, ale to, że nie miała żadnych bagaży, przekreślało ją z miejsca. „Samotna dziewczyna bez bagażu to musi być niezłe ziółko” - taki był pierwszy i największy apoftegmat londyńskiej landlady.* Około siódmej, kiedy była już zbyt zmęczona, by ustać na własnych nogach, weszła do plugawej, popstrzonej przez muchy, małej kafejki w pobliżu Teatru Old Vic i poprosiła o filiżankę herbaty. Właścicielka, wszedłszy z nią w konwersację i dowiedziawszy się, że poszukuje pokoju, poradziła „spróbować u Mary, w Wellings Court, zara za Cut”. Mary, zdaje się, nie była szczególnie wybredna i wynajmowała pokoje każdemu, kto płacił. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Mary Sawyer, ale wszyscy chłopcy nazywali ją Mary.

Dorota znalazła Wellings Court nie bez pewnych trudności. Szło się tam wzdłuż Lambeth Cut aż do żydowskiego sklepu z odzieżą pod nazwą »Knockout Trousers z.o.o.«**, potem skręcało w wąski zaułek, potem skręcało w lewo w kolejny zaułek tak wąski, że jego ponure tynkowane ściany mogły człowieka niezłe wyzgrzeblić. W tynku wytrwali chłopcy wryli wiadome słowo niezliczoną ilość razy, zbyt głęboko, by je zetrzeć. Na samym końcu zaułka wchodziło się na mały dziedziniec, przy którym stały cztery wysokie, wąskie domy z żelaznymi klatkami schodowymi skierowanymi ku sobie.

Rozpytawszy się, Dorota odnalazła Mary w podziemnym barłogu pod jednym z domów. Było to flejtuchowate, stare stworzenie o niezwykle rzadkich włosach i twarzy tak zmizerowanej, że wyglądała niczym uróżowana i przypudrowana czaszka. Głos miała łamliwy, jędzowaty, przy tym niewypowiedzianie posepny. Nie zadała Dorocie żadnego pytania, w istocie nawet na nią nie spojrzała, po prostu zażądała dziesięciu szylingów i wtedy powiedziała swoim okropnym głosem:

- Dwadzieścia dziewięć. Trzecie piętro. Idź tylnymi schodami.

* Landlady - właścicielka domu, wynajmująca pokój lub mieszkanie.

** Knockout trousers...- bezkonkurencyjne spodnie; tu dowcipnie: nokautujące spodnie z ograniczoną odpowiedzialnością.

W rzeczywistości owe tylne schody mieściły się wewnątrz budynku. Dorota poszła w górę ciemnymi, spiralnymi schodami między zakopconymi ścianami, w zaduchu starych płaszczy, pomyj i szczyn. Wszedłszy na drugie piętro, usłyszała głośny piskliwy śmiech, z jednego pokoju wyszły dwie dziewczyny wyglądające na awanturnice i popatrzyły na nią przez chwilę. Wyglądały młodo, twarze miały niemal ukryte za warstwą różu i różowego pudru, usta pomalowane szkarłatnie jak płatki geranium. Ale wśród tego różowego pudru ich błękitne oczy zdawały się zmęczone i stare; było to okropne, przypominało dziewczęcą maskę na ukrytej pod nią twarzy starej kobiety. Wyższa pozdrowiła Dorotę:

- Cześć, milutka.

- Cześć.

- Nowaś tu? Który masz pokój?

- Dwudziesty dziewiąty.

- Boże, jakże cię mogła dać do tej gnojowy! Wychodzisz na noc?

- Nie, nie sądzę - powiedziała Dorota, nieco wewnątrz tym pytaniem zaskoczona. - Jestem zbyt zmęczona.

- Anim pomyślała, żeś jest, jakem zobaczyła, że nie jesteś zrobiona. Ale, powiedz! Nie jesteś w kursie, mam rację? Nie niszczysz łajby sknerząc na smołę? Bo na ten przykład, jakbyś potrzebowała pożyczyć szminki, powiedz jedno słowo. Myśmy tu wszystkie kumpelki, kapujesz?

- Och... Nie, dziękuję - powiedziała Dorota, zupełnie zaskoczona.

- Och, w porząsiu! Akurat Time Doris i ja wychodziłyśmy. Mamy ważne spotkania w interesach na Leicester Square. - Tu tryknęła drugą dziewczynę biodrem i obie zachichotały, tyleż głupawo, co bezradośnie. - Ale patrz! - dodała wyższa z dziewczyn poufale - czy to nie jest pieprzona przyjemność spać w łóżku choć raz sama? Ja bym tak chciała. A nie tak zawsze z jakimiś pieprzonymi girami, co ci wciska każdy z tych wielkich facetów. To jest w porząsiu, jak możesz sobie na to pozwolić.

- Tak - powiedziała Dorota, czując, że takiej oczekują odpowiedzi, z bardzo mizernym rozeznaniem, o czym mówiły.

- W porząsiu, pa, pa, milutka! Śpij mocno. A zważaj na rabuśników, bo cię oskubio do naga.

Dziewczyny zbiegały ze schodów z kolejnym wybuchem bezsensownego, piskliwego śmiechu, a Dorota poszła do pokoju numer 29 i otworzyła drzwi. Buchnął w nią zimny, obrzydliwy cuch. Pokój mierzył około ośmiu stóp długości i tyleż szerokości, i był bardzo ciemny. Meble w nim prymitywne. Na jego środku stała *żelazna prycza* z postrzępioną kapą i szarawą pościelą;

pod ścianą komoda z blaszaną miednicą i pustą butelką po whisky, przeznaczoną na wodę; nad łóżkiem przyklejono fotografię Bebe Daniels wyrwaną z „Film Fun”.

Pościel okazała się nie tylko brudna, ale i wilgotna. Dorota weszła do łóżka, rozebrała się tylko do koszuli albo do tego, co z koszuli pozostało; cała jej bielizna była w owym czasie niemal zupełnie zniszczona, nie mogła się zdobyć, by lec nagim ciałem pomiędzy tymi przyprawiającymi o mdłości szmatami. Znalazłszy się w łóżku, choć obolała ze zmęczenia od stóp do głów, nie potrafiła zasnąć. Była zdenerwowana i pełna złych przeczuc. Atmosfera tego plugawego miejsca uświadomiła jej jeszcze wyraziściej niż przedtem fakt, że jest bezradna i pozbawiona przyjaciół, i że tylko sześć szylingów dzieli ją od ulicy. Ponadto, w miarę zapadania nocy, dom stawał się coraz hałaśliwszy. Miał tak cienkie ściany, że słyszało się wszystko, co się za nimi działo. Wybuchaly idiotyczne piskliwe śmiechy, śpiew chrapliwych męskich głosów, rozciągliwe gramofonowe pienia, głośne całusy, dziwne, śmierciopodobne rżężenia i, raz albo dwa, gwałtowne skrzypienie żelaznego łóżka. Około pomocy hałasy te poczęły się w mózgu Doroty układać w rytm, po czym zapadła wreszcie w niespokojny sen. Została zbudzona, jak się jej zdało, po minucie, przez nagłe rozwarcie drzwi; dwa mętne kobiece kształty wdarły się do wnętrza, porwały z łóżka pościel, co do strzępu, z wyjątkiem prześcieradła, i znowu wybiegły. U Mary panował chroniczny brak koców, jedyny więc sposób ich zdobycia polegał na grabieży z cudzego łóżka. Stąd ostrzeżenie „zważaj na rabuśników”.

Rankiem, pół godziny przed czasem otwarcia, Dorota poszła do najbliższej biblioteki publicznej, by przejrzeć ogłoszenia w gazetach. Już się tam wierciła grupa szubrawych indywiduów, a ich liczba puchła po jednym, po dwóch, aż uzbierało się nie mniej niż sześćdziesięciu. W tej chwili otworzyły się drzwi biblioteki i wszyscy runęli w nie, galopując potem ku tablicy na drugim końcu czytelnicy, gdzie przypięto pinezkami szpalty rubryk „Wolne posady” z różnych gazet. W ślad za łowcami roboty weszły biedne toboły szmat, zarówno mężczyźni jak kobiety, którzy spędzili noc na ulicach i przyszedli do biblioteki pospać. Weszli powłócząc nogami, za innymi, z pomnikami ulgi stłoczyli się przy najbliższym stole i przyciągnęli ku sobie najbliższą z gazet; mogła to być „Free Church Messenger”, mogła być „Yegetarian Sentinel” - to nie miało znaczenia: nie można zostać w czytelnicy nie udając, że się czyta. Otwierali swoje gazety i w tej samej chwili zasypiali, z policzkami na piersiach. Dyżurny obchodził salę, szturchając ich niczym palacz przegarniający rząd palenisk, mruzczeni, budzili się,

gdy ich szturchał, a kiedy przechodził dalej - natychmiast zasypiali ponownie.

Tymczasem wokół tablic ogłoszeniowych trwała zaciekle walka, każdy przepychał się na czoło. Dwaj młodzi mężczyźni w niebieskich kombinezonach wbiegli za innymi, a jeden z nich opuścił głowę i przebił się przez tłum tak, jakby to była bójka futbolistów. Znalazł się przy tablicy natychmiast. Rzekł do kolegi: „Mamy to, Joe - mam to! Mechanicy potrzebni - Garaż Lock&a, Camden Town. Walmy tam!” Przebił się przez tłum znowu i obaj runęli ku drzwiom. Pobiegli na Camden Town tak szybko, jak mogły ich nieść nogi. W tej samej chwili, w każdej czytelni publicznej Londynu, bezrobotni mechanicy czytali identyczne ogłoszenia i rozpoczęli bieg po tę samą pracę, która - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - została już dana komuś, kto mógł sobie pozwolić na kupno gazety tylko dla siebie i trafił na ogłoszenie o szóstej rano.

Dorocie udało się w końcu dotrzeć do tablicy i zanotować kilka adresów, gdzie poszukiwano „uniwersalnych kucharek”. Było w czym wybierać, naprawdę, połowa londyńskich ladies zdawała się rozpaczliwie pożądać silnych, zdolnych służących do wszystkiego. Z listą dwudziestu adresów w kieszeni, zjadłszy już śniadanie złożone z chleba z margaryną i herbaty, co kosztowało trzy pensy, Dorota nie bez nadziei udała się na poszukiwanie pracy.

Nie zdawała sobie sprawy, zbyt jeszcze nieświadoma, że szansę znalezienia pracy bez referencji były praktycznie żadne; oświeciły ją w tej materii kolejne cztery dni. W tym czasie ubiegała się o osiemnaście posad i, dodatkowo, wysłała cztery podania pisemne. Przewędrowała olbrzymie odległości przez wszystkie przedmieścia południowe: Clapham, Brixton, Dulwich, Penge, Sydenham, Beckenham, Norwood - raz doszła aż do samego Croydon. Była wciągana do schludnych, przedmiejskich saloników i przesłuchiwana przez kobiety wszystkich możliwych typów - masywne, pucłowate, sadystyczne, chude, kwaśne, kocie, lodowate, badawcze w pince-nez, niezdecydowane, rozkojarzone, kobiety wyglądające tak, jakby uprawiały wegetarianizm albo brały udział w seansach spirytystycznych. I wszystkie, co do jednej, tłuste i chude, chłodne i macierzyńskie, reagowały w ten sam sposób. Po prostu patrzyły ponad nią, słuchały jak mówi, przyglądały się badawczo, zadawały kilkanaście krepujących i impertynenckich pytań, a potem ją odprawiały.

Każda osoba doświadczona mogła przewidzieć z góry, jak będzie. W sytuacji Doroty nie można było oczekiwać, że ktokolwiek podejmie ryzyko jej zatrudnienia. Zniszczone ubranie i brak referencji świadczyły przeciw niej, zaś wykształcony akcent, którego nie potrafiła ukryć, niszczył wszelkie szansę,

jakiegokolwiek mogłaby mieć. Włóczędzy i zbieracze chmielu nie zauważali jej akcentu, ale przedmiejskie panie domów poznawały się na nim dość szybko i to straszło je w ten sam sposób, co fakt, że nie miała bagażu, płoszył właścicielki pensjonatów. W chwili gdy usłyszały, jak mówi i wykryły w niej osobę pochodzenia szlacheckiego, gra była skończona.

Stopniowo przywykła do tego wyrazu zaskoczenia, tajemniczo malującego się na twarzach natychmiast po tym, jak otwierała usta - do tego wścibskiego, babskiego popatrywania - od jej twarzy po zniszczone dłonie, a od nich do cer na sukience. Niektóre z tych kobiet pytały wprost, co robi dziewczyna z jej klasą, szukająca posady służącej. Węszyły - nie ulegało wątpliwości, że „była w kłopotcie”, to znaczy miała zapewne nieślubne dziecko - i po przesłuchaniu jej paroma pytaniami pozbywały się tak szybko, jak to było możliwe.

W chwili, gdy mogła podać adres, Dorota napisała do ojca, a gdy po trzech dniach nie nadeszła odpowiedź, napisała ponownie, tym razem rozpaczliwie - był to piąty list, na cztery nie otrzymała odpowiedzi - donosząc mu, że umrze z głodu, jeśli natychmiast nie przyśle jej pieniędzy. Musiała otrzymać odpowiedź przed upływem tygodnia, zanim zostanie wyrzucona od Mary za niezaplacenie komornego.

Tymczasem nie ustawała w bezskutecznym poszukiwaniu pracy, a dzieląc pieniądze po szylingu na dzień - suma wystarczająca na utrzymanie się przy życiu - trwała w stanie chronicznego głodu. Już porzuciła niemal nadzieję, że ojciec uczyni cokolwiek, by jej pomóc. Co dziwne, im bardziej była głodna i im odleglejsze wydawały się szanse otrzymania pracy, tym szybciej początkowa panika jeła zanikać i zamieniać się w rodzaj żalostnej apatii. Cierpiała, ale nie budziło to w niej wielkiego strachu. Ów podświat, w który zstępowała - teraz, kiedy był bliżej - wydawał się mniej straszny.

Pogoda jesienna, choć ładna, stawała się coraz chłodniejsza. Każdego dnia słońce, tocząc przegraną z góry wojnę z nadciągającą zimą, usiłowało mimo mgieł, pomalować frontony domów kolorami bladych akwarel. Dorota całe dni spędzała na ulicach albo w czytelni publicznej, do Mary wracając tylko na noc i wtedy zabezpieczała się podsuwając łóżko na drzwi. Już zrozumiała, że dom Mary nie był prawdziwym burdelem, bo takich instytucji w Londynie prawie nie ma, ale dobrze znanym schroniskiem prostytutek. Z tego powodu płacono się tam dziesięć szylingów za norę nie wartą pięciu. Stara Mary (nie była właścicielką tego domu, zaledwie administratorką) sama w swoim czasie trudniła się prostytutką i tak też wyglądała. Kto żył w takim miejscu, stawał się przeklęty nawet w oczach Jambeth Cut. Kobiety, gdy się je mijało, parskały,

mężczyźni odnosili się obelżywie. Najgorszy ze wszystkich był Żyd z rogu, właściciel »Knockout Trousers z.o.o.«, masywny młody człowiek lat około trzydziestu, o wyduńczonych czerwonych policzkach i czarnych kędzierzawych, jak sierść na baranie, włosach. Dwanaście godzin dziennie stał na chodniku i rycząc co sił w mosiężnych płucach, że nie można w całym Londynie kupić spodni taniej, zaczął przechodniów. Wystarczyło zatrzymać się na ułamek sekundy, żeby chwycił za ramię i przemocą wciągnął człowieka do sklepu. Kiedy już go tam miał, stawał się prawdziwie groźny. Jeśli się powiedziało coś uwłaczającego jego spodniom, wyzywał do walki i wtedy ludzie o słabych nerwach kupowali spodnie, w iście fizycznym strachu. Jakkolwiek mocno zajęty, trzymał oczy szeroko otwarte na „ptaszki”, jak nazywał mieszkanki nocowalni „U Mary”, a Dorota zdawała się go fascynować bardziej niż wszystkie pozostałe „ptaszki”. Pojął, że nie jest prostytutką, ale mieszkając u Mary musi, rozumował, być bliska zostania jedną z nich. Myśl o tym zwilżała jego wargi. Gdy dostrzegał nadchodzącą ulicą Dorotę, stawał na rogu, wypinając masywną pierś i obracając ku niej badawczo jedno lubieżne oko („Jesteś gotowa już zacząć?” - zdawało się pytać to jego oko), a kiedy go mijała, szczyptał ją dyskretnie w tyłek.

Ostatniego ranka tygodniowego pobytu u Mary, Dorota zeszła na dół i spojrzała, z nikłym tylko przeblyskiem nadziei, na łupkową tabliczkę w hallu. Wypisywano tu nazwiska ludzi, do których nadeszły listy. Nie było listu dla Ellen Millborough. To przesądzało sprawę, nie pozostawało nic, prócz wyjścia na ulicę. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by postąpić tak, jak postępowały wszystkie kobiety z tego domu - to znaczy ułożyć dramatyczną opowieść i próbować wyżebrać jedną noc za darmo. Po prostu wyszła, nie zamierzając nawet opowiedzieć się Mary, że wychodzi.

Nie miała planu, absolutnie żadnego planu. Poza połową godziny południa, kiedy poszła wydać trzy pensy z pozostałych czterech na chleb z margaryną i herbatą, spędziła cały dzień w bibliotece, czytając tygodniki. Rano czytała „Barber's Record”, a po południu „Cage Birds”. Były to jedyne czasopisma, jakie mogła zatrzymać dłużej, ponieważ w czytelni przebywało zawsze zbyt wielu próżniaków, tak że musiało się błagać, by dostać jakiegokolwiek pismo. Czytała je od deski do deski, nawet ogłoszenia.

Zagłębiała się całymi godzinami w takie technikalnia jak: „Jak ostrzyć francuskie brzytwy na pasku”, „Dlaczego elektryczne szczotki do włosów są niehigieniczne”, „Czy rzepak przyspiesza rozwój byczków?” - Było to jedyne zajęcie, do którego czuła się zdołać. Pozostawała w stanie dziwnego letargu, w którym łatwiej mogła się zainteresować tym, jak ostrzyć francuskie brzytwy

na pasku niż swoim własnym rozpaczliwym położeniem. Opuścił ją cały strach. Nie potrafiła zupełnie myśleć o przyszłości; z trudem wyobrażała sobie najbliższą noc. Wiedziała jedynie, że ma przed sobą noc na ulicy, ale nawet to nie potrafiło jej przygnębić. Tymczasem jednak miała przed sobą „Ptaki Kłatkowe” i „Przegląd Fryzjerski”, i pisma te okazały się, rzecz dziwna, pasjonująco ciekawe.

O dziewiątej zaczął obchód dyżurny z długim haczykowatym kijem, zakręcał gazowe latarnie i biblioteka została zamknięta. Dorota poszła w lewo ku Waterloo Road, w stronę rzeki. Zatrzymała się chwilę na kładce. Wiał nocny wiatr. Rosły z rzeki wysokie zwały mgły, niczym wydmy, a kiedy chwytał je wiatr, wirowały przez miasto na pomocny wschód. Wir mgły owinał Dorotę, przeniknął jej odzież i przejął dreszczem nagłego przedczucia nocnego chłodu. Poszła i trafiła - prawem grawitacji, jaka ściąga wszystkich bezdomnych ludzi w ten sam punkt - na Trafalgar Square.

ROZDZIAŁ TRZECI

1.

(*Miejsce akcji: Trafalgar Square. Kilkunastu ludzi ledwie widocznych przez mgłę, wśród nich Dorota, grupuje się wokół jednej z ław w pobliżu murku strony północnej.*)

CHARLJE (*śpiewa*): Serwus, Mary, serwus, Mary, serwus, Mary... (*Big Ben wybija godzinę dziesiątą*)

RYJEK (*naśladując ten dźwięk*): Din dong, ding dong! Skończ z tym hałasem, co? Jeszcze ze siedem godzin na tym Placu, zaczem będziemy mieć gdzie przysiąść i trochę pospać! Chrryście!

PAN TALLBOYS (*do siebie*): Non sum qualis eram boni sub regno Edwardi! W czasach mojej niewinności, zanim Diabeł wyprowadził mnie na wysokie wzgórze i strącił w niedzielne gazety - to znaczy, kiedy byłem proboszczem w Little Fawley-cum-Dewsbury...

DEAFIE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem, kutasikiem...

PANI WAYNE: Och, kochaneczko, ledwim na tobie oczy oparła tom już wiedziała, żeś dama z urodzenia i wychowania. Ty i ja, obie wiemy, co to spaść na dno tego świata, no nie, kochaneczko? Dla nas to nie jest to samo, co dla tej reszty tutaj.

CHARLJE (*śpiewa*): Serwus, Mary, serwus, Mary, serwus, Mary, łaskiś pe-ctna!

PANI BENDIGO: Powiada, że jes pieprzonem mężem, co nie? Cztery funty na tydzień ma w Covent Garden, a jego żona oglonda gwiazdki na tem pieprzonem Placu! Mąż!

PAN TAJJLBOYS (*do siebie*): Szczęśliwe dni, szczęśliwe dni! Mój porośnięty bluszczem kościół pod opiekuńczym wzgórzem - moje pokryte czerwoną dachówką probostwo drzemiące wśród elżbietańskich drzew! Moja biblioteka, moja ciepłarnia z winoroślą, mój kucharz, moja pokojówka i mój

parobek-ogrodnik! Moja gotówka w Banku, moje nazwisko u Crockforda! Mój czarny garnitur nienagannego kroju, moja koloratka tyłem naprzód, moja jedwabista sutanna na terenie kościoła...

PANI WAYNE: Oczywiście, jedno za co naprawdę dziękuję Bogu, mili moi, to że moja droga mama nie dożyła tego dnia. Bo gdyby dożyła tego dnia, kiedy jej najstarsza córka, tak jak ją wychowano, rozumiecie: wydatki bez ograniczeń i mleko prosto od krowy...

PANI BENDIGO: Mąż!

RUDY: Dobra tam, łknijmy se herbatki, kiedy dają. Beemy ostatnie, kafejkę zamykają pół do jedenasty.

ŻYDEK: Och, Jezusie! Ten pieprzony ziąb gotów mnie zabić. Nie mam nic pod poortkami. O Jeee-zuuu!

CHARLIE (*śpiewa*): Serwus, Mary, serwus, Mary...

RYJEK: Cztery pensy! Cztery pensy za sześć godzin zebrania! I ten niuchający skurwiel z drewnianem kulasem bruździ nam w każdym barze między Aldgate i Miles End Road. To swojo drewniane nogo i temy swojemy wojennemy medalamy, co je kupił na Lambeth Cut! Bastard!

DEAFJJE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem, kutasikiem...

PANI BENDIGO: No to powiedziałaś tymu ścierwu, com o nim myślała, i tak i siak. „Mówisz, żeś meszczyzna?”, mówię mu. „Widziałam takie nic jak ty trzymane we słoju, we śpitalu”, mówię mu...

PAN TALLBOYS (*do siebie*): Szczęśliwe dni, szczęśliwe dni! Rozbef i rzucający na tacę wieśniacy, i Pokój Pański, co przechodzi wszelkie pojęcie! Niedzielne poranki w mojej dębowej stalli, zimny zapach kwiatów i szelest komeżek wmieszany w przesycone trupa słodczą powietrze! Letnie wieczory, kiedy późne słońce pochyła się nad oknem mego gabinetu -a ja zamyślony, pijany herbatką, wśród kótek aromatycznego dymu Cavendisha, ospale przewracający keciukiem jakies, w cielęcą, na poły, skórę oprawne wolumeny - *Dzieła poetyckie* Williama Shenstine'a, Percy'ego *Relikty poezji staroangielskiej*, J. Lempriere'a, profesora teologii niemoralnej.

RUDY: No dobra, kto zgadnie te zagadkę? Mamy mlisko, mamy herbatkę. Pytanie kto ma jaki cukier?

DOROTA: Ten ziąb, ten ziąb! Zdaje się, że człowieka przenika na wylot! Nie potrzyma to, tak jak teraz, całą noc?

PANI BENDIGO: A co, nie bee z ni tyż niezła lafirynda? Popatrzcie, jako ona mgła, co włazi po ty kolumnie, zmarzła nad rzeko. Do rana przemrozi haczki rybackie starogo Nelsona.

PANI WAYNE: Oczywiście, w czasie, o którym mówię, mieliśmy jeszcze nasz mały interes, tytoń i słodycze, na rogu, rozumiecie mnie...

ŻYDEK: O Jeee-zuu-siee! Pożycz mię tego płaszczu, Rudy, bo sakramencko marzną!

RYJEK: ... fałszywy gnojek! Jak bym go dostał, to bym go może ani nie chciał wabiąc w pępek!

CHARLIE: Losy wojny, chłopcze, losy wojny. Plac Straceńców dziś wieczór, jutro rumsztyk i spanko w pierzynkach. Czego chcesz jeszcze od zimnego czwartku?

PANI BENDIGO: Posuń się, tatku, posuń się! Myślisz, że ja chce mieć twój zawszony łeb na mojem ramieniu? choć-em kobita zamężna?

PAN TALLBOYS (*do siebie*): W modlitwie, śpiewie i wymowie nie miałem sobie równych. Moje „W górę serca!” było sławne w całej diecezji. Mogłem odprawiać we wszystkich stylach, w stylu Kościoła Wysokiego, Kościoła Niskiego, Kościoła Szerokiego i Kościoła Żadnego. Gardłowe anglokatolickie trele wyśpiewywane przez barczystego anglikanina; albo adenoidalne jęki Kościoła Niskiego, w którym ciągle czają się nuty Houyhnhnm rżących kapliczkowych staruszków...

DEAFIE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem...

RUDY: Weź te swoje łapy od tygo dziurawego płaszczu, Żydku. Nie dam ci ani zombka czosnku, póki masz przy sobie te świńskie żmiaki.

CHARLIE (*śpiewa*): Gdy się toczy wielga woda, Kiedy burza w niebie grzmi...

PANI McELUGOT (*przez sen*): Czy to ty, mój Michałku?

PANI BENDIGO: Tyłem wiedziała, że on, przymilne ścierwo, miał drugo żonę żywo, wkiędy się żenił ze mno.

PAN TALLBOYS (*tonem podniosłym, upominającym*): Jeśli ktokolwiek z was zna powód albo istotne przeszkody, wskutek istnienia których te dwie osoby nie powinny być połączone świętym węzłem małżeńskim...

ŻYDEK: Kompel! Cholerny kompel! A nie pożyczysz pieprzonego płaszczu!

PANI WAYNE: No więc tak, jak to już zaznaczyłam, muszę wam wyznać, że nigdy nie byłam z tych, co odmawiają filiżanki dobrej herbaty. Wiem, że

kiedy żyła nasza biedna, droga mama, mieliśmy w zwyczaju filiżankę po filiżance...

NOSATY WATSON (*do siebie, gniewnie*): Skurwiel!... Wskoczył w to, a potem się rozparł... A nigdy nawet palcem nie tknął tej pierdolonej roboty... Skurwiel!

DEAFIE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem...

PANI McELLIGOT (*pótsennie*): Michałku... On kochał szczerze, Michałek. Czują a zacny... Nigdy ani spojrzęła na drugiego chłopca od tygo wieczora, kiedym go spotkała przed rzeźnio Kronka i un dał mi dwa funty kielbasy, potem jak obrobił te „Sklepy Międzynarodowe” na kolacje dla siebie...

PAN TALLBOYS (*śpiewa, wspominając*): Nad wodami Babilonu usiedliśmy i płakali, kiedyśmy cię wspominali - o Syjonie!...

DOROTA: Ale zimno, ale zimno!

RYJEK: No, dłuży nie zdzierzę - tych gwiazdek przed Bożem Narodzeniem. Będę miał jutro spanie, nawet jagbyłem musiał jem wyrwać je z bebeczów.

NOSATY WATSON: Dedektyw, nie? Smith z Lotnego Szwadronu! Raczej Latający Judasz! Wszystko, co te pierdoleńce potrafią, to szpiclować starych grzeszników, jakim żaden sędzia nie da uczciwej szansy.

RUDY: Dobra, nie dla mnie te dyrzymały. Ma tu kto parę kostek do ty wody?

PANI McELLIGOT (*budzi się*): Oho, mój drogi, mój drogi! Jakby mi w krzyżu pękło! O święty Jezu, mało, a ta ławka odgniecie mi nerki! A śniło mię się, że mi było ciepło w łóżku i miałam filiżankę dobry herbaty i dwa tosty z masłem czekały przy łóżku. No, zdrzymne się ostatni raz, zaczem pójdę jutro do biblioteki publiczny w Lambeth.

TATKO (*wynurzając się z płaszcza, niczym żółw z pancerza*): Coś ty powiedział, chłopcze? Płacić forszą za wodę? Jakaś ty długo na ulicy, ty ciemny młody chwoście? Forsa za francowatą wodę? Fajdaj na to, chłopcze! Nie kupuj tego, na co możesz fajdać i nie fajdaj na to, co możesz świsnąć. To jest moje słowo - pięćdziesiąt lat na ulicy, chłopie i chłopcze, (*chowa głowę w płaszczu*)

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): O wy, wszelakie stworzenia Pana...

DEAFIE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem...

CHARLEE: Kto cię zakapował, Niuchaczu?

ŻYDEK: O Jeee-zuuu!

PANI BENDIGO: Posuń się, posuń się! Mię się zdaje, że niektóre ludzie tu myślo, że majo hipotekę na ty sakramencki ławie.

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): O wy, wszelakie stworzenia Pana, przeklnijcie Pana, przeklnijcie Go, wieszajcie na Nim psy po wiek wieków!

PANI McELLIGOT: Co ja zawsze mówię, to że zawsze tylko nas, cholernych katolików wyrzucają z cholernego pociągu.

NOSATY WATSON: Smythy. Lotny Szwadron - latający skurwiel! Dał nam plan domu i wszystko, a potem nasłał furgon pełen glin i oni nas wszystkich zwinęli. Napisałem o tym w „czarnej mańce”^{*}:

Detektyw Smith - pobożny gość,
Powiedz mu, że ja dam mu w kość.

RYJEK: No, a co z naszo herbaty? Smaruj, Żydziaku, tyś jeszcze młody; ucisz tyń jazgot. A nie płać nic. Podpieprz ty stary kurwie. Zagraj ji, że się mażesz. Udaj smutasa.

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): O wszelakie dzieci człowiecze, przeklnijcie Pana, przeklnijcie Go i zniesławiajcie na wieki!

CHARLEE: Jakże, to Smithy też wtyka?

PANI BENDIGO: Coś wam powiem, dziewczyny, powiem wam, co mnie wkurza to to, że myślę jak mój sakramencki mał chrapie pod czterema kocami, a ja tu zamazam na tem sakramenckiem Placu. Tego to nie mogę znieść. Wyrodny skurwiel.

RUDY (*śpiewa*): Idom tam, weselom się, nie bierz ty tam puszki z zimno kiełbaso we śrzodku, Żydziaczku.

NOSATY WATSON: Wtyka? Wtyka? Wiesz, korkociąg przy nim wygląda jak jakie pieprzone płaskie szydło. Nie najdziesz między nimi ani jednego, co by nie był dubeltowym skurwysynem w tym ich Lotnym Szwadronie, co by nie sprzedał własnej babki do końskiej jatki za dwa i pół funta, a potem nie siadł na jej grobie jeść frytki. Jezusowate, szpiclowskie wyciruchy!

CHARLIE: Cholemy z ciebie twardziel. Des miał wyroków?

RUDY (*śpiewa*): Idom tara... weselom się,

Rada ona, z fartem on...

NOSATY WATSON: Czemaście. Jak masz tyłu przeciw sobie, nie masz szans.

PANI WAYNE: To jak, więc on pani nie utrzymuje?

PANI BENDIGO: Nie, wyszłam za takiego jednego, skurwiela!

CHARLIE: Ja miałem ich pieprzonych dziewięć.

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): O Ananiaszu, Mizariaszu i Misaelu, przeklnijcie Pana, przeklnijcie Go i lżyjcie po wsze czasy!

* „Czarna mańka” - samochód policyjny do przewożenia aresztantów, odpowiednik polskiej „suki”.

RUDY (*śpiewa*): Idom tam... weselom się,
Rada ona, z fartem on, A tu
się moje serce rwie I pęka
jak ten dzwon!

Boże, trzy dni jakim nie przyłożył łopaty do ty mogiły. Dawnoś wymył swojo gębę, Ryjku?

PANI McELLIGOT: Och, moja droga, moja droga! Jeźli ten chłopak nie przydzie zaraz z to herbato, to moje kiszki wyschno nie przymierzajonc jak ten wędzony pieprzony śledź.

CHARLIE: Nie śmiecie śpiewać, żaden z was. Musicie posłuchać Ryjka i mnie w to Boże Narodzenie, kiedy pociągniemy *Dobry król Wacław* przed barami. Pieśni religijne też. Faceci po barach to płaczą rzewnymi łzami jak nasz słuchają, mientasz, jakeśmy przez pomyłkę, zapukali dwa razy do tego samego domu, Ryjku? Mało brakowało, a tamta stara kurwa flaki by z nas wytrzęsła.

PAN TALLBOYS (*maszeruje tam i sam za wymyślanym werblem, i śpiewa*): Wszystko podłe i przekłete,

Wszelakie wielkie i małe stworzenia...

(*Big Ben wybija pół do jedenastej*)

RYJEK: Ding dong, ding dong! Jeszcze tego sześć i pół godziny! Chrrrry-ste!

RUDY: Żydziaak i ja, rąbliśmy dziś po obiedzie cztery brzytwy u Woolwortha. Jutro, jak tylko podpieprzę kawałek mydła, dam nura w te francowato fontannę.

DEAFIE: Kiedym był stewardem na trampie, tożmy spotykali czarnych Indianów, dwa dni płynięcia w morze, na takich wielgachnych kanoes, co oni nazywajo katamarany, jak łapali morskie żółwie wielkie jak stoły.

PANI WAYNE: Czy pan był wtedy kapłanem, sir?

PAN TALLBOYS (*przystając*): Wedle rozkazu Melchizedeka. Nie ma pytania: „czy pan wtedy był?“, madame. Raz zostawszy księdzem, jest się księdzem na zawsze. Hoc est corpus hocus-pocus. Jakkolwiek rozdziany z habitu - rozfajłapiony, jak to nazywamy - gdy koloratkę zerwał mi publicznie biskup diecezji.

RUDY (*śpiewa*): Idom tam... radujom się... Jezusowi dzięki. Wraca Żydziaak. Będo porady za darmo!

PANI BENDIGO: Ale nie wcześni, jak to bee sakramencko potrzebne.

CHARLIE: To jak do tego przyszło, że cię wypieprzyli, towarzyszu? Zwykła opowieść. Zblatowane chórzystki?

PANI McELLIGOT: Tyżeś swoje odsiedział, no nie, młody człowieku? Ale dość na tem, trza coś przetrzącić, zaczem mi język wyleci z ty sakramencki jadaczki.

PANI BENDIGO: Posuń się, tatku! Siedzisz na paczce mojego cholernego cukru.

PAN TALLBOYS: Dziewczynki to eufemizm. To tylko odziane w barchanowe majtki pospolite łowczynnie niezonatych księży. Gąski kościelne, stroicielki ołtarzy, czyścicielki brązów, stare panny kościejące i zaciekle. W trzydziestym piątym roku życia wstępuje w nie demon.

ŻYDEK: Ta stara suka nie dała mi wrzątku. Musiałem stukać do nadzianych z tej ulicy i dać za to pensa.

RYJEK: ...bywa tak! Aleś raczy naciąg ji z kranu po drodze.

TATKO (*wynurzając się z płaszcza*): Kubasek herbatki, no nie? Kubasek herbatki na wieczrę, (*czka cicho*)

CHARLIE: Kiedy ich cyce zmieniają się w rzemienie do ostrzenia brzytw? Znam to.

NOSATY WATSON: To ma być herbata? Cholerna lura. Ale i tak lepsza niżli kakao w pierdlu. Pożycz kubka, koleś.

RUDY: Zaczekaj aż wybije dziurę w ty puszcze mleka. No, który chętny, piniądze albo życie!

PANI BENDIGO: Wolnego z tem pieprzonym cukrem! Kto za niego płacił, chciałabym wiedzieć?

PAN TALLBOYS: Kiedy ich cyce zmieniają się w rzemienie do ostrzenia brzytw. Dziękuję ci za twój dowcip. „Pippin's Weekly” zrobił z tego niezły szlagier: >Tajemniczy romans zaginionego kanonika. Intymne rewelacje<. A także list otwarty w „Johnie Bullu”: >Do skunksa w przebraniu Pasterza<. Szkoda, byłem wyznaczony do awansu. (*Do Doroty*) Pobożni w rodzinie, jeśli mnie rozumiesz. Ani byś pomyślała, nie myślę się, że były czasy, kiedy ten marny zadek wygniatał pluszowe poduchy w katedralnej stalli?

CHARLIE: Idzie tu Florry. I pomyśleć, ta zawsze wyniucha herbatkę i już ją macie. Nos na herbatę to ma jak ten wyleniały szakal, ta dziewczuszka.

RYJEK: No, zawsze wi, kiedy pukać, (*śpiewa*) Puk,
puk, stuku puk, W tem tom dobry jak ten
czort...

PANI McELLIGOT: Bidna mała, nie wi, co robić. Czemu nie pójdzie na Piccadilly Circus, gdzie mogłaby trafić z pińc szylów letko? Nic nie wyżebrze łążyniem wokół tego Placu pełnego cudaków, starych Tobiaszów, chudych psów.

DOROTA: Czy to mleko jest dobre?

RUDY: Dobre? *(przystawia wargi do jednej z dziur w puszcze i dmucha; gęsty szarawy płyn tryska z drugiej)*

CHARLIE: Co cię tu ściągło, Florry? Gdzież te szalowe szmatki, coś je, widzę, dopiero co zruciała?

DOROTA: Tu pisze: „Nie nadaje się dla niemowląt”.

PANI BENDIGO: Jasne, cholerne niemowie to ty nie jeźdesz, no nie? Mogłabyś tutej niechać tych manierów z Buckingham Palace, milutka.

FLOTTY: Dałbyś mi kawy i szluga, kurduplu! Masz tam te herbatę, Rudy? Ciebem to ja zawsze wołała, rudzielcu.

PANI WAYNE: Ponieważ nie zamierzamy mieć żadnego obiadu, nie musicie się kłopotać.

RUDY: Szanowne panowie i panie! Podano herbatę! Kubki w przód i proszę!

ŻYDEK: O sakra! Aniś mi połowy tego cholernego kubusia nie nalał!

PANI McELLIGOT: Dobra, dzisiaj to mamy szczęście, wszystkie, jutro bee lepsze pieprzone spanie. Ja to się schowam sama w jednym kościele, ale te skurwiele was nie wpuszczą, jak zobaczą, że macie na sobie takie szmaty, *(pije)*

PANI WAYNE: No tak, nie mogę powiedzieć, że to jest właśnie ten sposób, w jaki zwykłam być pijać herbatę, lecz mimo to... *(pije)*

CHARLIE: Piekielnie dobra ta herbatka, *(pije)*

DEAFIE: A w tych kokosowych palmach to były stada tych zielonych papugów z długimi ogonami, tyyyż. *(pije)*

PAN TALLBOYS: Jakież trucizny z łez piłem syrenich, A to plugawy, piekielny dystylat!

(Pije)

RYJEK: Ostatnia przed piąto rano. *(pije)* *(Florry pokazuje złamany papieros fabrycznej roboty, wydobyty z pończochy i żebrze o zapalną. Mężczyźni, z wyjątkiem Tatki, Deafiego i pana Tallboysa, skręcają papierosy z pozbieranych niedopałków. Czerwone ogniki płoną poprzez mglisty zmierzch, niczym falista konstelacja, podczas gdy palacze rozwalają się na ławie, na ziemi, na pochyłości murku)*

PANI WAYNE: No i jak, wy tam! Wygląda na to, że filiżanka dobrej herbaty i was tu rozgrzeje, nieprawdaż? Ja to odbieram troszeczkę inaczej, jak byście to wy mogli określić, bo tu nie ma ładnego obrusa, do jakiegom była przywykła, ani pięknego serwisu z chińskiej porcelany, który miała nasza mama; i zawsze, oczywista, najlepsza herbata, jaką można było dostać za pieniądze, prawdziwe Pekoe Points po dwa szylingi i dziewięć pensów za funt...

RUDY (*śpiewa*): Idom tam ... wesoło im,
Szczęsna ona, on ma fart...

PAN TALLBOYS (*śpiewa na melodię Deutschland, Deutschland uber alles*): Pod sztandarem aspidistry ...

CHARLIE: Dawnoście wy, dwa szczeniaki, w Lon-Dymie?

RYJEK: Jutro dam barmanom taki wycisk, że nie bedo wiedzieć: na głowach stojo czy na nogach. Dostane pół dolca, jeźli ich nie postawie na łbach - i graba.

RUDY: Trzy dni. My tu z Yorku i raz-eśmy tylko spali w pół drogi. Bożesz ty mój, a z tem dziewięciokaratowem złotem to tyż nie był znouwż taki żart!

FLORRY: Nie masz tam jeszcze trochu herbaty, rudzielcu? No, to do widziska, frajerzy. Zobaczmy się wszyscy jutro rano u Wilkinsa.

PANI BENDIGO: Mała złodziejska zdzira! Wleje w siebie herbatę i zara spływa nawet bez podzięki. Nie zmarnuje ani pieprzony chwili.

PANI McELLIGOT: Zimno? No, wierzę ci. Kimać w długi trawie przez koca w pieprzony rosie, co cię gotowa utopić, a potem z rana ani pieprzonego ognia skrzesać i nic tylko pukać do mleczarza, zaczem sama se zrobisz herbaty. Znam to, kiedyśmy z Michałem byli na trasie.

PANI BENDIGO: Ta to pódzie nawet z czarnuchami i chinolami, ta brudna mała krowa.

DOROTA: Ile dostaje za każdy raz?

RYJEK: Pół szyła.

DOROTA: Sześć pensów?

CHARLIE: Na twoje życie. Przed świtkiem to by dała i za szluga.

PANI McELLIGOT: Ja to nigdy nie brałam mni jak szyła, nigdy.

RUDY: Żydziak i ja kimaliźmy raz na smentarzu. Budzę się ja rano i widzę, że leże na grobowy płycie.

ŻYDEK: A co do mendów to też nie ma za wiele.

PANI McELLIGOT: Michał i ja tożmy raz nocowali we chlewie. Jeszczeźmy się skradali, kiedy „śwenta Maryjo”, powiada Michał, „ale tam jes śwynia!” „Niech bee śwynia”, mówię ja, „zawsze może nasz ogrzać”. No to włazim do środka, a tam leży stara locha i chrapie jako ten traktor. Pełzne ja ku ni i obejmam jo rękamy, i Bóg łaskaw, grzała mię cało noc. Sypiałam ja gorzy.

DEAFIE (*śpiewa*): Z mojem kutasikiem, kutasikiem...

CHARLJE: Czy on temu staremu Deafiemu tak sterczy? Powiada, że ma w środku taki brzęczyk.

TATKO: Kiedym był chłopcem, tośmy nie żyli na takim jak tu chlebie z margaryno i herbato i takim tam śmieciu. Mieliźmy wtenczas dobre, solidne

żarło. Nawet wołowinę. Czarny pudyń. Knedle z bekonem. Śwyskie łby. Futrowane byliźny jak te koguty do walk za szyła na dzień. A teraz pińdziesiąty rok jakem się przytułił do drogi. Podpieprzanie źmiaków, podrywanie grochu, porywanie jagniątek, buchanie rzepy, wszystko. I spanie w mokry słomie i ani raz w roku nie dasz rady nabić swoich bebeczów do syta. Dobra...! (*cofa się w płaszcz*)

PANI McELLIGOT: Ale on był naprawdę dzielny, mój Michał. Właż wszeździe. Co i raz tośma się włamali do pustygo domu i spali w najlepszym łozu. „Inne ludzie majo domy”, podał. „Czemu my nie mamy ich mieć?”

RUDY (*śpiewa*): Ale ja tańczę ze łzamy w mych oczach...

PAN TALLBOYS (*do siebie*): Absumet haeres Caecuba dignior! Pomyśleć, że tam - w mojej piwnicy - było dwadzieścia i jedna butelka klasztornego od świętego Jakuba, rocznik 1911, do chwili, kiedy przyszło na świat moje dziecko, a ja wyjechałem do Londynu pierwszym pociągim porannym.

PANI WAYNE: A co do wieńców cośmy posłali jak nasza mama zmarła - noo, nie uwierzycie! były ogromne...

PANI BENDIGO: Jak by się mój czas wrócił, to bym drugieroz za monż nie poszła jak tylko dla pieniędzy, sakramenckich.

RUDY (*śpiewa*): A ja tańczę ze łzamy w mych oczach, Bo w ramionach mych nie jezdeś tyyy!

NOSATY WATSON: Niektórzy z Was myślą, że macie, kurwa, o co wyć, no nie? A co z takim marnym gnojkiem jak ja? Was nie zakablowali do pudła, jakeście mieli po osiemnaście lat, no nie?

ŻYDEK: O Jeee-zuu!

CHARLIE: Rudy, przestań już, kurwa, śpiewać jak ten złachany kocur ze skrętem kiszek. Mnie posłuchej. Ja cię wykuruję. (*śpiewa*): Jezu, duszy mej miłości...

PAN TALLBOYS (*do siebie*): Et ego w Crockfordzie... Z biskupami i arcybiskupami i całą niebiańską asystą...

NOSATY WATSON: A wiesz, jakem wpał do pudła za pierwszym razem? Zakablowała mnie moja własna siostra, tak jest, moja własna pierdolona siostra! Moja siostra to krowa jakiej drugiej w ogóle nie ma. Wyszła za maniaka bigota, on jest taki kurewsko wierzący, że jej zrobił już piętnaście bachorów, no i to on ją namówił, żeby mnie zakablowała. Alem się na nich zemścił, mówię wam. Pierwsze, com zrobił, jakem wyszedł z pudła, tom kupił młotek i poszedł do domu mojej siostry i rozbił jej pianino w drobny mak. „Masz!”, mówię, „masz to za to, żeś mnie zakablowała! Ty niuchata kobyło!” takem jej rzekł.

DOROTA: Ale zimno, ale zimno! Nie wiem, czy mam jeszcze stopy, czy już ich nie mam.

PANI McELLJGOT: Pieprzona herbata nie grzeje człowieka za długo, co nie? Ja to prawie zamarzam.

PAN TALLBOYS (*do siebie*): Czasy mojego kapłaństwa! Moje koronkowe dobroczynne wenty i konkursy ludowego tańca na wiejskich błoniach na cele dobroczynne, moje odczyty w Związku Matek, o pracach misjonarzy w zachodnich Glinach, z czternastoma przezroczami z magicznych latarni! Klub Krykieta moich chłopców, tylko dla abstynentów, moje klasy do bierzmowania, lekcja czystości raz w miesiącu w Sali Paryskiej, orgie moich skautów! Wilczki urządzają „wielkie wycie”. Niedyskrecje służby dla „Magazynu Parafialnego”, zbyteczne gumki do wiecznych piór mogą być używane jako lewatywy dla kanarków...

CHARLJE (*śpiewa*): O Jeezu, duszy mej kochanku...

RUDY: Idzie tyń dymany gliniarz. Powstańcie z ziemi, wszystkie, już. (*Tatko wyłania się z płaszcza*)

POLICJANT (*Potrząsa śpiących na następnej ławie*): No, budzić się, budzić się! Wstawać, no, wy! Do domów, jak chce się wam spać. To nie jest sypialnia publiczna. Ano, wstawać! (*Ud., itd.*)

PANI BENDIGO: To tyń niuchaty pieprzony młody skurwiel, co chce awansować. Nie dał by wam pieprzeniec odzipnąć z ty swoi gorliwości.

CHARLIE (*śpiewa*): Jeezu, duszy mej kochanku,

Zwól mi frunąć do twy piersi...

POLICJANT: No więc, wy tam! Myślicie, że co to jest? Modlitwne spotkanie baptystów? (*do Żydka*) Wstań-że, ruszaj się, żywo!

CHARLIE: Nic nie poradzę, sierzancie. To z powodu mojej melodyjnej natury. To wyłazi ze mnie jakby samo ze siebie.

POLICJANT (*potrząsając panią Bendigo*): Obudź się, matko, obudź się!

PANI BENDIGO: Matko! Matko, co nie? Dobra, jeżeli ja jezdem matka, Bogu dzięki nie mam takiego pieprzonego syna jak ty! A ja ci zdradzę jeszcze jeden mały sekret, konstablu. Na drugieroz, jak bym chciała poczuć łapy chłopca na mojem karku, ciebie o to nie poproszę. Mam kogoś, co ma więcę seksapealu.

POLICJANT: No więc, no więc! Nie ma się co obrażać, jak wiecie. Musimy wykonywać rozkazy, (*wychodzi majestatycznie*)

RYJEK (*sotto voce*): ... spier ... synu ...!

CHARLIE (*śpiewa*): Gdy się toczy wielka woda,

Kiedy burza w niebie 'rzmii!

Śpiewałem basem w chórze ostatnie dwa lata w pudle, w Dartmoor, tak jest.

PANI BENDIGO: Ja jemu sakramencka mama? *(krzyczy do Policjanta)* Ja! Czemu nie łazisz za skurwionemi włamywaczami, tylko obwąchujesz porzonne mężatki?

RUDY: Sza, ludzie. On ma pałę. *(Tatko chowa się w swój płaszcz)*

NOSATY WATSON: A jak tam teraz w Dartmoor? Dają wam teraz dżem?

PANI WAYNE: Oczywiście, sami widzicie, nie mogą pozwolić ludziom spać na ulicy - myślę, że to nie byłoby nawet ładne - a musicie też pamiętać, że to by zachęciło tych wszystkich ludzi, co nie mają domów na własność, ten rodzaj hołoty, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

PAN TALLBOYS *(do siebie)*: Szczęśliwe dni, szczęśliwe dni! Wycieczki z harcerkami do Lasku Eppinga, wynajęte dereszowate konie i ja w łoży w moim szarym flanelowym garniturze, w popstrzonym słomkowym kapeluszu i dyskretnym krawacie człowieka świeckiego. Słodkie bułeczki z rodzynkami i lemoniada z imbirem pod zielonymi wiazami. Dwadzieścia pobożnych skau-tek, uprawiających swawole w paprociach sięgających piersi i ja, szczęśliwy wikary buszujący między nimi, in loco parentis szczypiający dziewczęce tyłki...

PANI McELLIGOT: Dobra, ty sobie możesz gadać o kimanku, ale tu za Boga moje stare bidne gnaty za długo nie pośpio ty nocy. Nie pośpie ja tak, jakeśmy sypiali z Michałkiem.

CHARLIE: Dżemu nie, ale ser bynajmniej dwa razy na tydzień.

ZYDEK: Chrryście, ja już tego nie wytrzymam. Idę do naszego schroniska.

(Dorota wstaje i - ponieważ kolana zesztyniały jej z zimna - prawie pada)

RUDY: Tylko cię posłać do zawszonego „domu pracy”. Co byście powiedzieli, żebyśmy jutro rano poszli pod Covent Garden? Podpierdolimy parę gruszek, jak tam zajdziemy przede drugimi.

CHARLIE: Ja żem se już napchał mój pieprzony brzuch w Dartmoor, wierzcie mi. Przeszliśmy piekło we czterdzieścioro, ze staremi babami, każda ze siedemdziesiąt lat miała na grzbiecie, na działkach, stare ździry - złodziejki ziemiaków. O i żeśmy wpadli! Chleb i woda, my przykute do ścian - pierdolence mało nas nie zamordowały.

PANI BENDIGO: Nie strasz! Nie wtenczas, kiedy mój pieprzony mąż tam jest. Jedno podbite oko na tydzin to dla mnie dość, dzięki.

PAN TALLBOYS *(śpiewa, wspominając)*: A co do naszych harf, tośmy je zawiesili na wierzbach Babilonu!...

PANI McELLIGOT: Trzym się, dziecko, potup nóżkami i wróć jem krew. Zrobię z tobo spacerek do Świętego Pawła za jakie parę minut.

DEAFIE *(śpiewa)*: Z mojem kutasikiem, kutasikiem...

(Big Ben wybija jedenastą)

RYJEK: Jeszcze sześć godzin, o rrrrany!

(Mija godzina. Big Ben przestaje bić. Mgła rzędzie i zimno narasta. Na południowej stronie nieba przedziera się przez chmury kostropata gęba księżyca.

Tuzin zahartowanych starych mężczyzn pozostaje na ławach, nadal dając sobie radę ze snem; są ścieśnieni i ukryci w swoich płaszczach. Niekiedy jęczą przez sen. Inni, co rozproszyli się we wszystkich kierunkach z zamiarem spacerowania przez całą noc, by utrzymać obieg krwi, o północy niemal w komplecie ściągają na Plac ponownie. Obejmuje służbę kolejny policjant. Przechadza się po Placu co pół godziny, sprawdzając twarze śpiących i zostawiając ich w spokoju, upewniwszy się, że jedynie śpią, a nie umarli. Wokół każdej ławy obraca się grupka ludzi, którzy ją zajmują na zmianę, by usiąść, a po paru minutach wstać nagle z powodu zimna. Rudy i Charlie napętlają w fontannie dwie puszkę i osadzają w desperackiej nadziei zagotowania jakiejś herbaty nad koksownikiem robotników przy Chandos Street, ale grzeje się przy nim policjant i każe im odejść. Żydek znika nagle, prawdopodobnie, żeby wyblagać pryczę w schronisku. Przed pierwszą pojawia się pogłoska, że jakaś dama roznosi gorącą kawę, kanapki z szynką i paczki papierosów pod mostem Charing Cross; ludzie pędzą w tamtym kierunku, ale okazuje się, że pogłoska jest fałszywa. Podczas gdy Plac znów się wypełnia, nieustająca zmiana miejsc na ławach nabiera tempa, aż staje się czymś w rodzaju zabawy w komórki do wynajęcia. Siedząc z rękoma pod pachami można zapaść w rodzaj snu lub drzemki, na dwie albo nawet i trzy minuty. W tym stanie wydaje się, że mijają nieskończone epoki. Człowiek zapada w powikłane, dręczące sny, które pozostawiają świadomość otoczenia i dokuczliwego zimna. Z każdą minutą noc staje się coraz jaśniejsza i zimniejsza. Słychać chór przeróżnych dźwięków - jęków, przekleństw, wybuchów śmiechu, śpiewów, a ponad nimi nie dające się opanować szczękanie zębów.)

PAN TALLBOYS *(śpiewa):* Zostałem wylany niczym woda i wszystkie kości moje rozeszły się w stawach...

PANI McELLIGOT: Ellen i ja tożmy się włóczyły po mieście, ze dwie godzin bee. Bóg mi świadkiem to jest jak pieprzony grób z temi wielkimi lampami, co na człowieka świeco i ani żywego ducha wokół, jak nie Uczyć glińiarzy, co łażo po dwóch, po dwóch...

RYJEK: Pińć po pierszy, a ja żem nie miał nic na zębie od obiadu! Jasne, to na nas musiało spaść w tako noc jak ta.

PAN TALLBOYS: Ja bym to nazwał pijacką nocą. Ale każdemu wedle smaku, *(śpiewa)* Moja moc już wyschła niczym czerep, a język mój przyrósł do dziąseł!...

CHARLJE: A co byście powiedzieli na to? Nosaty i ja wycieliśmy niezły numer. Widzi Nosaty witrynę trafiki, a na ni pełno cudnych pakietów Gold Flake'ów i powiada, „na rany, capnął bym ich trochę, żeby i się tylko do nich, pieprzonych, mógł dobrać!”, powiada. No i obwija grabę szalikiem, i czekamy, aż jaki sakramencki furgon zrobi łomot, i wtenczas Nosaty takim hakiem i - łubudu! Zgarliżmy tuzin pakietów tych szlugów i zaraz dupa w troki i tyle nas było widać w tem kurzu. A potem, jakieśmy już byli za rogiem, otwieramy je, a we środku ani jednego pierdolonego szluga! Sakramenckie puste paczki. Tom się dopiero uśmieł.

DOROTA: Kolana mi się łamią. Nie mogę już stać.

PANI BENDIGO: Och, ten skurwiel, ten skurwiel! Wywalić kobitę za drzwi po nocy jak pieprzony śmieć! Poczekajcie, dam mu się urznąć w sobotę wieczór tak, że nie da rady oddać. Zrobię z niego pieprzony kotlet siekany, zrobię! Jak go przejadę pieprzonym żelazkiem, bee wyglądać jak nie przymierzając keks za pensa.

PANI McELLIGOT: Ej, ty, posuń się i zrób miejsce, co by to dziecko siadło. Ściśnij się jeszcze, staruszku, milutki. Obejmij się jego ręką. Duża gada, ale cię bee grzać.

RUDY *(wystukuje rytm)*: Potupaj nogamy o ziemię, to jedno co, kuchnia, możesz zrobić. Zaśpiwaj tam który, a my se potupiemy wszytkie do taktu.

TATKO *(budzi się i wysuwa z płaszcz)*: Co jes? *(nadal na pół senny, pozwala swojej głowie opaść do tyłu z otwartymi ustami i jabłkiem Adama przebijającym jego suche gardło niczym ostrze tomahawka.)*

PANI BENDIGO: Jakby tu były kobity, co przeszły to, com ja przeszła, to by wlały zajzajeru do jego pieprzony herbaty.

PAN TALLBOYS *(bije w wyimaginowany bęben i śpiewa)*: Naprzód, pogańscy żoldacy...

PANI WAYNE: No taaak, doprawdy! Gdyby kto z nas kiedykolwiek pomyślał w tamtych dobrych, dawnych czasach, kiedyśmy zwykli siadywać wokół naszego ogniska w Silkstone, z czajnikiem na kołku i półmiskiem pełnym ciastek z dziurką z piekarni przy drodze... *(szczękanie zębami nie pozwala jej mówić dalej)*

CHARLIE: Bez tej kościelnej paplaniny, sąsiadeczko. Opowiem wam jaki tłusty kawał, coś, pod co byżmy mogli popląsać. Posłuchajcie.

PANI McELLIGOT: Przestańcie opowiadać o tych ciastkach z dziurko, pani. Mój pieprzony żołąd ociera się już o krengosłup.

(Chanie wydobywa się ze ścisku, płucze gardło i niesamowitym głosem ryczy piosenkę pod tytułem „Marynarz Szumny Bili”. Śmiech wybucha na ławie, częściowo skutkiem drżączki z zimna. Śpiewają tę piosenkę do końca ponownie, z rosnącym napięciem głosów, tupiąc i klaszcząc do rytmu. Ci, którzy siedzą, zahaczają się łokciami i kołyszą groteskowo z boku na bok, pracując stopami tak, jakby pedałowali na fisharmonii. Po chwili dołącza do nich nawet pani Wayne, śmiejąc się wbrew sobie. Wszyscy się śmieją, choć szcękają zębami. Pan Tallboys maszeruje tam i z powrotem za swoim wydatnym pasożytniczym brzuchem, udając, że niesie przed sobą chorągiew albo pastorał. Noc teraz jest dosyć jasna, a przez Plac przelatuje od czasu do czasu lodowaty, przenikliwy wiatr. Tupanie i klaskanie przerasta w rodzaj szaleństwa, ponieważ ludzie czują straszliwy ziąb przenikający ich do kości. Wtedy od strony wschodniej Placu pojawia się policjant i śpiew nagle się urywa.)

CHARLIE: No! Nie możecie poedzić, że ociupina muzyki was nie rozgrzewa.

PANI BENDIGO: Tyn pieprzony wiater! A ja ni mam na sobie nawet gatków, tyn bastard wykopsał mię w lakiem śpiechu.

PANI McELLIGOT: Dobra, chwała niech bee Jezusowi, za niedługo otworzo kościół przy Gray's Inn Road, na zimę. Dadzo nam choć tyn dach nad głowo bez noc, w każdym razie.

POLICJANT: No więc, no więc! Myślicie, że o tej porze nocy można zaczynać śpiewy, jak w jakiej zatraconej psiarni. Jeżeli nie potraficie być cicho, będę zmuszony odesłać was do waszych domów.

RYJEK (*sotto voce*): Ty... synu ...!

RUDY: Jasne, pozwolo ci kimać na ty kamienny posadzce pod trzema afiszamy w miejsce koców. Tak to mogę i na Placu. I to tu mam. Boże, wolałbym być w pieprzonym pierdlu.

PANI McELLIGOT: I bez tego dostaniesz kubek Horlicka i dwie kromki. Ja żem tam szczęśliwie kimała dosyć często.

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): Byłem rad, gdy powiedziano mi, że wejdziemy w Dom Pana naszego...

DOROTA (*wstając*): Och, ten mróz, ten mróz! Nie wiem co gorsze, siedzieć czy stać. Och, jak wy to możecie wszyscy znieść? Na pewno nie musicie tego znosić każdej nocy waszego życia?

PANI WAYNE: Nie powinnaś myśleć, moja droga, że między nami nie ma nikogo z dobrych domów.

CHARLIE (*śpiewa*): Ciesz się koleś, rychło kipniesz! Brrr! Sakramencki Jezusie! Mój haczyk na ryby zśniał, (*wybija rytm i tłucze się rękami po bokach*)

DOROTA: Och, jak wy to możecie znieść? Jak możecie to wytrzymać noc po nocy, rok po roku? Niemożliwe, żeby ludzie tak żyli! To absurdalne, nie można uwierzyć, póki się człowiek sam nie przekona, że to prawda. To niemożliwe!

RYJEK: ... możliwe, jeśli mię się spytasz.

PAN TALLBOYS: Z Bogiem wszystko jest możliwe.

(*Dorota znów przysiada na ławie, jej kolana drżą nadal*)

CHARLIE: No, jest w pół do drugi. Abo się stąd wyniesiemy, abo zrobimy piramide na ty sakramencki ławie. Jeśli nie chcemy powyciągać kopyt. Kto jest za matem spacerkiem do Tower of London?

PANI McELLIGOT: Na pewno nie ja, nie zrobię ty nocy ani kroku dali. Moje francowate stopy nie chco mię słuchać.

RUDY: No a co z to pyramido? Jak dla mnie, to ona jakby zanadto cuchnie. Mni bijatyki na ty ławie, przebaczenia proszę, Ma!

TATKO (*sennie*): Co jes grane? Czy człowiek nie może ciut podrzywać, żebyście go zara nie musieli tyrpać i tarnosić?

CHARLIE: To jest ale coś. Posuń się. Rusz się, tatku, zrób trochu placu, żebym i ja przysiad. Włazi jeden na drugiego, w porząsiu. Co tam szmaty. Gniećta się razem jak te serdelki w pieprzony puszcze.

PANI WAYNE: Ale! Nie prosiłam, żebyś mi siadał na podółku, miedziaku!

RUDY: No to siadaj na mojem, mamusiu - na jedno wyjdzie. Noo? Pierszy to kawał schabu, jakim ręko objął od Wielkanocy.

(*Zbijają się w monstrialny bezkształtny skrżep, kobiety i mężczyźni włączają na siebie niczym kupa ropuch w czasie tarła. Kiedy ta sarta osiada, zaczyna się wykrzywiać to w jedną, to w drugą stronę, a z odzieży wydobywa się kwaśny cuch. Jedyne pan Tallboys pozostaje poza, maszerując tam i sam.*)

PAN TALLBOYS (*deklamuje*): O wy noce i dnie, światło i ciemności, błyskawice i chmury, przeklnijcie Pana!

(*Deafie, ponieważ ktoś usiadł na jego przeponie, wydaje dziwny, niepodrabiały dźwięk*)

PANI BENDIGO: Złaż z moi chory nogi, co? Myślisz, że jezdem co? Pieprzona sofa w salonce?

CHARLIE: A bo Tatko nie pierdzi, jak się go przygniecie?

RUDY: Na gadanie beecie mieć swoje pieprzone święto.

DOROTA: O Boże, Boże!

PAN TALLBOYS (*przystaje*): Czemu wzywasz Boga, ty wywleczona z łoża śmierci penitentko? Zostań przy swoim zdaniu i wezwij diabła, tak jak ja. Witaj, Lucyferze, Książę Nastrojów! (*śpiewa na melodię „Święty, święty, święty”*) Incubi i Succubi, padam przed tobą na twarz!...

PANI BENDIGO: Och, stul się, ty bluźniący stary skurwielu! On zanadto pieprzony, tłusty, żeby mu było zimno i to w niem szwankuje.

CHARLIE: Masz pod zadkiem dosyć miętko, Ma. Rudy, trzym oko na tego sakramenckiego gliniarza.

PAN TALLBOYS: Maledicite, omnia opera! Czarna Msza! Czemu nie? Księdzem zostaje się na zawsze. Podaj mi suchar, a uczynię cud. Siarczane świece, antymodlitwy do Pana, przewrócony krucyfiks. (*Do Doroty*) Gdybyśmy mieli czarnego kozła ofiarnego i ty byś się przydała.

(*Daje się już odczuć zwierzęcy zaduch stłoczonych ciał. Wszystkich ogarnia senność*)

PANI WAYNE: Nie powinien pan myśleć, że zwykłam siadywać na kolanach dżentelmena, proszę pana...

PANI McELLIGOT (*sennie*): Przyjmowałam sakramenta legalnie, dopóki tyn pieprzony katabas nie odmówił mi rozgrzeszenia razem z mojem Michałkiem. Tyn stary głupol, tyn stary ćwok!...

PAN TALLBOYS (*przybierając pozę*): Per aquam sacratam quam nunc spargo, sinumque crucis quod nunc facio...

RUDY: Ma kto jakiego skręta? Skończyłem ostatniego pieprzonego peta.

PAN TALLBOYS (*jak przy ołtarzu*): Drodzy, ukochani bracia, zebraliśmy się tu przed obliczem Boga, aby uczcić nieświęte bluźnierstwo. On dotknął nas brudem i chłodem, głodem i samotnością, ospą i świerzbem, wszawicą i mendami. Nasze pożywienie stanowią zgniłe łupiny i nędzne odpadki mięs podawane w torbach przez hotelowe drzwi. Naszą rozkosz stanowi wielokroć przeparzana herbata i podsypane trocinami placki, przeżuwane w zakopconych piwnicach, skrzynia z piachem do spluwania cienkim piwskim, obłapki bezzębnych lafirynd. Naszym przeznaczeniem jest mogiła nędzarzy głębokości dwudziestu pięciu stóp w drewnianych trumnach podziemnych sypialni. Jest naszym wielce odpowiednim, sprawiedliwym i świętym obowiązkiem we wszystkich czasach i we wszystkich miejscach przeklinać Go i lżyć Go. Przeto z demonami i arcydemonami... (*itd., itd., itd.*)

•» PANI McELLIGOT (*sennie*): Na świętygo Jezusa, jużem prawie zasypiała, kiedy jakiś skurwiel zaczon łązić po moich kolanach i mi je połamał.

PAN TALLBOYS: Amen. Złego nas od zbaw i wódz nas nie na pokuszenie. (*itd., itd., itd.*)

{Kiedy dochodzi do pierwszego słowa modlitwy, rozłamuje poświęcony chleb. Tryska zeń krew. Narasta toczący się odgłos grzmotu i pejsaż ulega zmianie. Stopy Doroty są bardzo przemarznięte. Jak przez mgłę dają się widzieć monstrualne uskrzydłone demony i arcydemony, przelatujące tam i z powrotem. Coś z dziobem i szponami przysiada na ramieniu Doroty, przypominając, że jej stopy i dłonie grabieją z zimna.}

POLICJANT *(potrząsając Dorotę za ramię)*: Obudź się, no, obudź się, obudź się! Nie masz płaszcza? Jesteś biała jak śmierć. Nie masz nic lepszego do roboty, jak dać się powalić w tym zimnie? *(Dorota stwierdza, że jest sztywna z zimna. Niebo teraz dość czyste, z jaskrawymi małymi gwiazdami mrugającymi niczym niezmiernie odległe lampki elektryczne. Piramida się przesunęła.)*

PANI McELUGOT: To bidne dziecko, ona nie nawykła do taki obróbki jak my, ta reszta.

RUDY *(zabijając ramiona)*: Brr! A niech to! To jak źmiaki w sakramencki grudzie.

PANI WAYNE: Ona jest urodzoną i dobrze ułożoną damą.

POJJCJANT: Czyżby? Podejź więc tu, panienko, chodź lepiej ze mną do schroniska. Dadzą ci porządne łóżko. Nawet kątem oka każdy może widzieć, że przerastasz tę tu całą resztę.

PANI BENDIGO: Dzięki, konstablu, dzięki! Słyszałyście to, kobitki? „Przerastasz tę tutaj resztę”, powiada. Ładne, nie? *(Do policjanta)* Tyś taki rychtyk pieprzony waźniak z Ascot, no nie?

DOROTA: Nie, nie! Zostaw mnie. Wolę zostać tu.

POJJCJANT: No cóż, rób jak chcesz. Wyglądałaś przed chwilą naprawdę niedobrze. Przyjdę tu później i zobaczę, jak się masz. *(Odchodzi bez przekonania)*

CHARLJE: Poczekajcie aż ten huncwot zajdzie za róg i wtenczas znowuż w kupę. Tylko w kupie bee nam ciepło.

PANI McEJJGOT: Podejź tu, dziecko. Wliź tu i pozwól jem się ogrzać.

RYJEK: Za dziesieńć druga. To nie może się wlec na zawsze, myślę.

PAN TAJLBOYS *(śpiewa)*: Wylali mnie jak wodę i wszystkie kości moje rozeszły się w stawach; a także serce moje wewnątrz ciała pływa jak w roztopionym wosku!...

(Raz jeszcze ludzie skupiają się na ławie. Ale teraz temperatura nie o wiele stopni przekracza punkt zamarzania, wiatr wieje coraz ostrzejszy. Ludzie wtulają swoje sieczone wiatrem twarze w kupę, niczym ssące prosiaki walczące o matczyne sutki. Jednemu pasma snu kurczą się do kilku sekund, sny drugiego rozrastają się monstrualnie, niepokojąco i nie do śnienia. Zdarzają się chwile,

kiedy ta dziesiątka ludzi rozmawia nieomal normalnie, niekiedy nawet śmieje się ze swego położenia, a czasem, kiedy w przyptywie czegoś w rodzaju szaleństwa ścieśniają się zbytnio, wydają głębokie jęki bólu. Pan Tallboys nagle objawia wyczerpanie i jego monolog wyradza się w strumień nonsensów. Narzuca swoje obfite cielsko na szczyt i niemal dusi innych. Kupa się rozprasza. Niektórzy zostają na ławie, reszta ześlizguje się na ziemię i opada na murek albo na kolana pozostałych. Wchodzi na Plac policjant i tym, którzy siedzą na ziemi, każe wstawać. Wstają, by po chwili, kiedy odejdzie, opaść ponownie. Dziesiątka ludzi nie wydaje dźwięków, jeśli nie brać pod uwagę pochrapywań, które są w pewnym stopniu jękami. Ich głowy opadają, tak jak porcelanowym Chińczykom, gdy zasypiają i budzą się znów, rytmicznie jak cykanie zegara. Gdzieś wybija trzecia. Na wschodniej stronie Placu rozlega się, wyjący niczym trąba, głos: „Chłopak! Wstawać! So gazyyyty!”)

CHARLIE (budzi się ze snu): Sakramenckie gazety! Dali, Rudy, lećmy, gazu!
(Biegną albo powłóczą nogami, wedle sił, do rogu Placu, gdzie trzej młodzieńcy rozdają nadwyżkę afiszów ofiarowanych dobroczynnie przez poranne gazety. Charlie i Rudy wracają z grubymi rulonami afiszów. Teraz na ławie tłoczy się pięciu najroślejszych mężczyzn. Deafie i cztery kobiety siedzą im na kolanach. Z wielkim wysiłkiem, ponieważ musi to być wykonane od wewnątrz, owijają się w monstrialny kokon papieru, gruby na kilkanaście arkuszy, wtykając końce za kołnierze albo pod klapy na piersiach, albo między ramiona i oparcie ławy. W końcu wszystko zostaje osłonięte, z wyjątkiem głów i dolnych partii nóg. Na głowy modelują papierowe czapki. Papier uwalnia się co chwila i wpuszcza zimne groty wiatru, ale teraz można pospać aż pięć minut bez przerwy. W tym czasie - między trzecią i piątą rano - policja zwyczajowo nie przeszkadza śpiącym na Placu. Wszystkich owiewa podmuch ciepła i zniża się ono aż do ich stóp. Pod przykrywką papieru trwają ukradkowe pieszczotki. Dorota jest zbyt ostabiona, by zwracać na to uwagę. Do czwartej piętnaście papier zostaje podarty na strzępy, a jest zbyt zimno, żeby trwać w pozycji siedzącej. Ludzie wstają, klną, znajdują, że ich nogi jednak odpoczęły i zaczynają człapać parami tam i nazad, często zatrzymując się ze zwykłego wymęczenia. Każdy żołądek kurczy się teraz z głodu. Puszka skondensowanego mleka Rudego zostaje otwarta, a jej zawartość pochłonięta, wszyscy wsuwają w nią palce, potem je oblizują. Ci, którzy nie mają żadnych pieniędzy, odchodzą z Placu do Green Parku, gdzie nie będą im przeszkadzać do siódmej. Ci zaś, którzy rozporządzają bodaj półpensówką, idą do kafejki Wilkinsa nieopodal Charing Cross Road. Wiadomo, że kafejka nie zostanie otwarta przed piątą, mimo to już od czwartej czterdzieści zbiera się pod jej drzwiami tłum.)

PANI McELLIGOT: Masz pół pensa, kochaneczko? Nie pozwolę do jedyny kawy sięść więcę jak czwórce z nas, te jadownite stare kpy!

PAN TALLBOYS *(śpiewa)*: Różowa barwa wczesnego świtu...

RUDY: Boże, ta ociupina snu, cośmy przespali pod temy gazetamy dobrze mi zrobiła, *(śpiewa)* Ale ja tańczę ze łzamy w oczach mych...

CHARLJE: Oj chłopcy, chłopcy! Spójrzyjcie przez to francowate okno, co? Popatrzcie na ten gorąc, co paruje na szybę! Popatrzcie na ten imbryk, co się parzy, na te sterty tostów i kanapek z szynko, i na kiełbaski, co skwierczo na patelni! Czy wam flaki nie wywracajo kozła na sam tyn widok?

DOROTA: Mam pensa. Nie dostanę za niego filiżanki herbaty, prawda?

RYJEK: ... jak byżmy uzbierali cztery pensy, to byżmy dziś mieli furę kiełbasków. Albo raczy kubuś herbaty i pączek. To jes śniadanie dla ciebie!

PANI McELLIGOT: Nie beesz dla siebie kupować kubka herbaty. Ja mam pół pensa i Tatko tyż, i dodamy je do twoigo pensa i dostaniemy kubek herbaty na nas troje. On ma wrzód na wardze, ale do diaska! co to kogo obchodzi? Pij koło ucha i ni ma zarazy. *(Wybija czwarta czterdzieści pięć)*

PANI BENDIGO: Stawiam dulara, że mój stary ma kawał łupacza na śniadanie. Mam n'dzieje, że się niem udławi.

RUDY *(śpiewa)*: Ale ja tańczę ze łzamy w mych oczach...

PAN TALLBOYS *(śpiewa)*: O wczesnym świcie pieśń moja wzłata ku Tobie!

PANI McELLIGOT: Możesz tam ciut przykimać, tyle cały wygody. Pozwa-lajo pospać z głowo na stole do siódmy. To jes pieprzone dla nas wybawienie, placowych Tobiaszów.

CHARLIE *(służąc jak pies)*: Kiełbaski, francowate kiełbaski! Walijski królik! Tost gorący, kapiący omasto! Rumszyk gruby na dwa cale, z frytkami i kwarta starego Burtona! O, sakramencki Jezu!

(Rusza naprzód, przebija się poprzez tłum i szarpie klamkę szklanych drzwi. Cały tłum ludzi złożony z około czterdzieściorga, rusza naprzód i usiłuje sforsować drzwi krzepko trzymane od wewnątrz przez pana WiMnsa, właściciela kafejki, wygrażającego im przez szkło. Niektórzy przyciskają piersi i twarze do okna, jakby się w ten sposób ogrzewali. Z sąsiedniej alei wybiega z krzykiem Florry z czterema innymi dziewczynami; są stosunkowo świeże, ponieważ część nocy spędziły w łózkach, a za nimi banda młokosów w błękitnych kombinezonach. Wpadają na tyły tłumy z takim impetem, że drzwi nieomal trzaskają. Pan Wilkins otwiera z wściekłością i odpycha liderów ku tyłowi. Bucha w ziąb na zewnątrz zapach kiełbasek, wędzonych śledzi, kawy i gorącego chleba.)

GŁOSY MŁODZIENCÓW Z TYŁU: Czemu on nie może otworzyć przed piątą? Umieramy bez naszej herbaty! Wywalić te drzwi! (*itd., itd.*)

PAN WILKINS: Wynocha! Wynocha, wszyscy! Albo, jak mi Bóg miły, żaden dziś nie wejdzie do środka!

GŁOSY DZIEWCZĄT Z TYŁU: Pa-nie Wilkins! Pa-nie Wilkins! Bądź człowiekiem i wpuść nas do środka! Dam ci całuska i darmowego... Bądźże człowiekiem! (*itd., itd.*)

PAN WILKINS: Za drzwi! Nie otwieram przed piątą i wy to wiecie. (*zatrząskuje drzwi*)

PANI McELLIGOT: Och, święty Jezu, to bee najdłuższe dziesięć minut za te całe noc! Nic to, dam mojemu bidnym starym nogom odpocząć, tak czy siak. (*Przysiada na piętach sposobem górników. Wielu innych robi to samo*)

RUDY: Kto ma pół pensa? Mógłbym się złożyć fifty-fifty na pączka.

GŁOSY MŁODZIEŻY (*naśladują orkiestrę wojskową, potem śpiewają*):

...! tyle kapela mogła grać;

...! to samo tobie!

DOROTA (*do pani McElligot*): Popatrz na nas wszystkich! No popatrz na nas! Jaka odzież! Jakie twarze!

PANI BENDIGO: A z ciebie tyż żadna Greta Garbo, jeżeli się nie obrazisz za to, co mówię.

PANI WAYNE: No cóż, kiedy się oczekuje na filiżankę dobrej herbaty, wydaje się, że czas płynie powoli, nieprawdaż?

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): Żeśmy upadli duchem i zanurzyli w proch, nasz brzuch do ziemi przyrósł!

CHARLIE: Piklingi! Sakramenckie kupy piklingów! Czuje ich przez to sakramenckie szkło.

RUDY (*śpiewa*): Ale ja tańczę ze łzami w mych oczach, Bo
w ramionach mych nie jeźdź tyyyy!

(*Uplywa dużo czasu. Wybija piąta. Wydawało się, że minęły nieznośne wieki. Drzwi otwierają się gwałtownie i ludzie zdeptują w walce o miejsca w rogach. Nieomal mdlejąc w gorącym powietrzu pędzą w głąb i rozwalają przy stołach, pijąc gorąco i zapachy jadła wszystkimi porami ciała.*)

PAN WILKINS: No więc to komplet! Znacie zasady, myślę. Żadnych mi dzisiaj sztuczek! Chcecie - śpijcie do siódmej, ale jeśli zobaczę kogo śpiącego potem, wywalę za kark. Zajmijcie się tą herbatą, panienki!

OGŁUSZAJĄCY CHÓR WRZASKÓW: Dwie herbaty tutaj! Dużo herbatę i pączka dla naszy czwórki! Piklinga! Pa-nie Wilkins! Po wiele kiełbaski?

Dwa plasterki! Panie Wilkins! Masz jakie bibułki na skręta? Śledzie! (*itp., itp.*)

PAN WILKINS: Cisza, cisza! Przestańcie się pieklić albo nie obsłużę nikogo.

PANI McELLIGOT: Czujesz, jak ci krew wraca w nogi, kochaneczko?

PANI WAYNE: Grubo do was mówi, nieprawdaż? To nie jest ktoś, kogo mogłabym naprawdę zaliczyć do gatunku dżentelmenów.

RYJEK: To jest pieczara głodu, tak-tak. O rrrany! Mógłbym tak parę kielbasko w!

KUREWKI (*chórem*): Piklingi tu! A szybko z temi piklingami! Pa-nie Wilkins! Piklingi dla wszystkich! I pączka!

CHARLIE: Ani pół tego! Musze się napchać samem zapachem dziś rano. A i tak wole być tu, niżli na tem pierdolonem Placu, zawsze.

RUDY: Tutej, Deafie! Masz swoje połówkę! Daj mi tyn pieprzony kubek.

PAN TALLBOYS (*śpiewa*): Wtedy nadszedł nasz miesiąc wypełniony śmiechem, a język nasz radością!...

PANI McELLIGOT: Ja już chwiała Bogu pół śpie. Ciepło w tem lokalu to robi.

PAN WILKINS: Skończyć tam z tym śpiewem! Znacie zasady.

KUREWKI (*chórem*): Piklingi!

RYJEK: ...pączki! Zimne żarcie! To mi wywraca flaki.

TATKO: A tyż ta herbata, co tu dają, to nic jak tylko woda z garście kurzu w niej. (*czka*)

CHARLIE: Najlepi to przymknąć oczy i zapomnieć. Pościć o pieprzonym kawałku pieczeni z jarzynko. Najlepi położyć łby na stole i zdrowo podrzynać.

PANI McELLIGOT: Oprzyj się o moje ramię, kochaneczko. Ja mam więcej tłuszczu na kościach niżeli ty.

RUDY: Dałbym pół szyła za francowatego szluga, jak bym tylko miał pół pieprzonego szyła.

CHARLIE: Pakuj się. Oprzyj łeb o mój, Ryjku. W porząsiu. Jezu, jak mnie się sakramencko chce spać!

(*Pótmisek wędzonych śledzi wędruje na stoi kurewek*)

RYJEK (*sennie*): Tyle piklingów. Ciekawym, wiele razy leżała na plecach, żeby za tyle zapłacić.

PANI McELLIGOT: To była bida, prawdziwa bida, kiedy Michał odszedł na swoje i ostawił mnie z tem pieprzonym niemowlakiem i tem wszystkim...

PANI BENDIGO (*wściekle, idąc za pótmiskiem piklingów z oskarżycielsłdm palcem*): Spójrzcie na to, kobitki! Spójrzcie na to! Piklingi! Was to, sakramenckie, nie wścieka? My to ni mamy piklingów na śniadanie, co, kobitki?

Pieprzone kurewki wciskają piklingi tak bystro, jak je mogą porwać z tacy, a my tu mamy kubek herbaty na czworo i szczęśliwie, że to mamy! Piklingi!

PAN TALLBOYS (*manierą teatralnych klechów*): Piklingi są zapłatą za grzech.

RUDY: Nie dysz mi w gębę, Deafie. Nie mogę tego, kurwa, znieść.

CHARLIE (*przez sen*): Charles-Rozum-pijany-i-niezdolny-pijany? tak-sześć-szylingów-posuń-sie-następny!

DOROTA (*na piersi pani McElligot*): Och, radość, radość! (*zasypiają*)

2.

I tak co noc.

Dorota zносиła tę odmianę życia dziesięć dni - a dokładnie licząc dziewięć dni i dziesięć nocy. Trudno sobie wyobrazić, co jeszcze mogłaby robić. Ojciec, najwyraźniej, wyparł się jej całkowicie i jakkolwiek miała w Londynie przyjaciół, którzy by chętnie pomogli, nie wyobrażała sobie po tym, co się wydarzyło albo co uważano, że się wydarzyło, iż może się z nimi spotkać. Podobnie, nie ośmieliła się zwrócić do organizacji charytatywnych, ponieważ wiązałoby się to niemal na pewno z ujawnieniem jej nazwiska, a potem przypuszczalnie z nową wrzawą wokół „córci proboszcza”.

Tak więc pozostała w Londynie i stała się jedną z tego cudacznego plemienia, nielicznego, ale nigdy do końca nie wytepionego - plemienia kobiet, które będąc bez grosza i bez dachu nad głową, zdobywają się na tak rozpaczliwe wysiłki, by to ukryć, że się im niemal udaje; kobiet, które w chłodzie poranka myją twarze w fontannach pitnej wody i starannie rozprostowują odzienie po bezsennych nocach, i noszą się zachowując dystans i obyczajność tak, że tylko ich twarze, blade pod opalenizną, upewniają otoczenie, że to nędzarki. Nie potrafiła, podobnie jak większość otaczających ją ludzi, znaleźć w sobie materiału na odporną żebraczkę. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny na Placu spędziła w ogóle niczego nie jedząc, jeśli nie brać pod uwagę filiżanki herbaty wypitej w ciągu nocy i jednej trzeciej filiżanki, jaką dostała w kafejce Wilkina rano. Ale pod wieczór, zdesperowana przez głód i przykład innych, podeszła do obcej kobiety, z wysiłkiem opanowała głos i rzekła: - Przepraszam, madame, czy mogłaby mi pani ofiarować dwa pensy? Od wczoraj nic nie jadłam. - Kobieta wytrzeszczyła oczy, ale otworzyła portmonetkę i podała Dorocie trzypensówkę. Dorota nie* wiedziała o tym, ale jej wyszkolony akcent, który czynił niemożliwym otrzymanie posady służącej, okazał się bezcennym atutem żebraczki.

Odkryła potem, że z łatwością można wyżebrać około szylinga dziennie, niezbędego, by utrzymać się przy życiu. Nigdy dotychczas nie żebrała - wydawało się jej i teraz, że nie potrafi tego zrobić wyjąwszy chwile, kiedy głód stawał się nie do zniesienia, albo gdy musiała okazać cennego pensa stanowiącego co rano przepustkę do kafejki Wilkinsa. Z Nobbym w drodze ku plantacjom chmielu żebrała bez lęku i skrępułów. Ale wtedy sytuacja była inna: nie wiedziała, co czyni. Teraz tylko ostroga dotkliwego głodu kazała jej sprężyć do maksimum odwagę, by prosić o parę miedziaków jakiejś kobiety, których twarze miały przyjazny wygląd. Oczywiście, zawsze żebrała u kobiet. Raz spróbowała żebrać u mężczyzny, ale tylko raz.

Poza tym, przywykła do prowadzonego życia, przywykła do bezkresnych, bezsennych nocy, do zimna, do brudu, do nudy i koszmarnego komunizmu tego Placu. Po dniu, lub dwu, nawet przez myśl jej nie przeszło dziwić się własnemu położeniu. Pogodziła się z tą monstrualną egzystencją tak, jakby ta egzystencja była normalna. Oszałamiające, bezrozumne uczucie doznane w drodze ku plantacjom chmielu wróciło znacznie silniejsze niż wtedy. To pospolity skutek bezsenności, a w jeszcze większym stopniu - wyziębienia. Życ stałe na wolnym powietrzu, nigdy nie wchodzić pod dach na dłużej niż godzinę lub dwie, to otepia wrażliwość tak, jak silne światło skierowane w oczy albo bębniący w uszy huk. Działasz, planujesz, cierpisz, a przecież wszystko to pozostaje równocześnie jakby nieco poza ogniskową, nieco nie-realne. Świat wewnętrzny i zewnętrzny, staje się coraz mętniejszy, osiągając w końcu niemal mglistość snu.

Tymczasem policja zaczęła ją rozpoznawać po wyglądzie. Ludzie na Placu nieustannie przychodzą i odchodzą, z grubsza biorąc, niezauważani. Przybywają znikąd ze swymi puszkami i tobołami, biwakują kilka dni i nocy, po czym znikają tak niepostrzeżenie, jak się pojawili. Jeśli zostaje się dłużej niż mniej więcej tydzień, policja odnotowuje człowieka jako zawodowego żebraka i wcześniej czy później aresztuje. Nie mogą regularnie stosować paragrafu prawa o żebractwie, ale od czasu do czasu robią niespodziewaną obławę i chwytają dwoje lub troje ludzi, na których mieli oko. Tak też się stało w przypadku Doroty.

Pewnego wieczoru została „zgarnięta” w towarzystwie pani McElligot i innej kobiety, której nazwiska nie знаła. Były nieostrożne i poprosiły o jałmużnę paskudną starą lady o końskiej twarzy, która natychmiast podeszła do najbliższego policjanta i wniosła przeciw nim oskarżenie.

Dorota nie przejęła się tym zanadto. Teraz wszystko przypominało sen - twarz starej, paskudnej damy, zawzięcie je oskarżającej, spacer na komisariat

z delikatną, niemal pełną szacunku dłonią młodego policjanta na ramieniu; potem cela wyłożona białymi kafelkami, ojcowski sierżant podający w czasie przesłuchania filiżankę herbaty i mówiący, że sąd nie będzie w stosunku do niej zbyt surowy, jeżeli przyzna się do winy. Pani McElligot atakowała sierżanta z sąsiedniej celi, nazywając go pieprzonym łapaczem, a potem spędziła połowę nocy na opłakiwaniu swego losu. Natomiast Dorota nie czuła nic poza nieokreśloną ulgą, że znalazła się w tak czystym i ciepłym miejscu. Natychmiast wdrapała się na drewnianą prycę, przymocowaną do ściany jak półka, zbyt zmęczona, żeby naciągnąć na siebie bodaj koc i przespała bez ruchu dziesięć godzin. Realność swojej sytuacji zaczęła rozpoznawać dopiero następnego ranka, kiedy „czarna manka” przy melodii *Adeste fideles*, śpiewanej przez pięciu siedzących w niej pijaczków, wtoczyła się płynnie przed gmach Sądu Policyjnego przy Old Street.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1.

Dorota skrzywdziła ojca przypuszczeniem, że pragnął doprowadzić ją do śmierci głodowej na ulicy. Prawdę powiedziawszy poczynił pewne wysiłki, by wejść z nią w kontakt, tyle że drogą okrężną i niezbyt skuteczną.

Jego pierwszą reakcją, po stwierdzeniu zniknięcia Doroty, była wściekłość czysta i oczywista. Około ósmej rano, kiedy zaczął dociekać, co mogło się stać z jego wodą do golenia, weszła do sypialni Ellen i doniosła głosem niemal porażonym paniką:

- Proszę pana, panny Doroty ni ma w domu, sir. Nigdzie nie mogę ji znaleźć!

- Co? - spytał Proboszcz.

- Nie ma ji w domu, sir! A tyż ji łóżko nie wyglondła na to, że w niem spała. Mnie się widzi, że ona o d e r s z ł a , s i r !

- Odeszła! - krzyknął Proboszcz, na poły siadając w łóżku. - Co masz na myśli mówiąc „odeszła”?

- No, sir, myślę, że ona uciekła z domu, sir!

- Uciekła z domu! O tej porze, rano? A co z moim śniadaniem?

Kiedy nie ogolony Proboszcz zszedł na dół - nie pojawiła się żadna gorąca woda - Ellen pobiegła do miasta, by przeprowadzić bezowocny wywiad na temat Doroty. Minęła godzina, a Ellen nie wracała. Właśnie wtedy stało się coś przerażającego, bez precedensu, coś nie do zapomnienia po tej stronie grobu - Proboszcz był zmuszony sam sobie przyrządzić śniadanie, dokładnie tak: zbrukać ordynarnym czarnym czajnikiem i plastrami duńskiego bekonu swoje własne świątobliwe dłonie!

Oczywiście, po czymś takim jego serce stwardniało dla Doroty na zawsze. Przez resztę dnia zbyt pochłaniało go wściekanie się na niepunktualne posiłki, by zadał sobie pytanie d l a c z e g o znikła i czy nie stało się coś złego.

Rzecz w tym, że ta piekielna dziewczyna.(powtórzył szereg razy „piekielna dziewczyna", a był bliski użycia określenia mocniejszego) znikła i swym

postępkami zgorszyła całą służbę. Już następnego dnia sprawa stała się bardziej dokuczliwa, ponieważ pani Semprill rozgłaszała wszem i wobec historię ucieczki z ukochanym. Oczywiście Proboszcz gwałtownie temu przeczył, ale w jego sercu zaczęło się podejrzenie, że to może prawda. Było to coś, teraz doszedł do tego wniosku, co Dorota mogła zrobić. Dziewczyna, która nagle wychodzi z domu nie pomyślawszy nawet o śniadaniu dla ojca, zdolna jest do wszystkiego.

Dwa dni później podjęły temat gazety, przybył do Knype Hill węszący młody reporter i jął zadawać pytania. Proboszcz pogorszył sprawę gniewnie odmawiając reporterowi wywiadu, przeto wersja pani Semprill była jedyną, jaka poszła do druku. Przez niemal tydzień, aż do czasu, kiedy gazety - zdumiewszy się przypadkiem Doroty - porzuciły go na rzecz plezjozaura widzianego w ujściu Tamizy, Proboszcz doświadczał potwornego rozgłosu. Nie mógł niemal rozłożyć gazety, by nie ujrzeć jakiegoś płomiennego tytułu: »Córka proboszcza. Dalsze rewelacje* albo: »Córka proboszcza. Czy przebywa w Wiedniu? Mówi się, że widziano ją w podrzędnym kabarecie*. Wreszcie pojawił się artykuł w niedzielnej „Spyhole”, którego początek brzmiał: „Gdzieś w hrabstwie Suffolk, w probostwie siedzi złamany stary człowiek i wpatruje się w ścianę”. To było tak absolutnie nie do zniesienia, że Proboszcz porozumiał się z adwokatem w sprawie pozwu o zniesławienie. Adwokat był jednak przeciwny; może to wprawdzie doprowadzić do werdyktu, powiedział, ale z pewnością rozpęta jeszcze większą prasową wrzawę. Tak więc Proboszcz nie uczynił nic, a gniew na Dorotę, która okryła go niesławą, stężał ponad możliwość przebaczenia.

Wkrótce potem nadeszły od Doroty trzy listy wyjaśniające, co zaszło. Oczywiście, Proboszcz nigdy nie uwierzył, że Dorota utraciła pamięć. Była to bajeczka całkowicie zmyślona. Wierzył, że albo uciekła z panem Warburtonem, albo wdała się w jakąś podobną eskapadę i wylądowała bez grosza w hrabstwie Kent. W każdym razie - to zostało postanowione raz na zawsze i żaden argument nie potrafił go od tego odwieść - cokolwiek się przydarzyło, zawiniła sobie wyłącznie sama. Pierwszy list, jaki napisał, nie został zaadresowany do Doroty, ale do kuzyna Toma, baroneta. Ponieważ Proboszcz, jak wszyscy ludzie jego pokroju, w każdym kłopotcie poważniejszym, zwracał się po pomoc do bogatego krewnego. W ciągu ostatnich piętnastu lat nie zamienił z kuzynem ani słowa, od czasu kiedy się posprzeczali o drobną sprawę pożyczki pięćdziesięciu funtów; mimo to napisał w pełnym zaufaniu, prosząc sir Tomasza, by ten, jeśli to możliwe, wszedł w kontakt z Dorotą i znalazł dla niej jakieś zajęcie w Londynie. Bo, rzecz jasna, po tym co się stało, nie ma mowy o zezwoleniu jej na powrót do Knype Hill.

Wkrótce potem nadeszły od Doroty dwa rozpaczliwe listy, donoszące, że grozi jej śmierć głodowa i błagające, by przysłał jakieś pieniądze. Proboszcz znalazł się w rozterce. Zrozumiał - a zdarzyło się to po raz pierwszy w jego życiu, że poważnie wziął pod uwagę coś podobnego - iż można, nie mając pieniędzy, umrzeć z głodu. I tak, przemyślując większą część tygodnia, sprzedał akcje wartości dziesięciu funtów i posłał czek na dziesięć funtów kuzynowi, aby ten trzymał go do czasu pojawienia się Doroty. Jednocześnie posłał do Doroty zimny list, radząc, by się raczej zwróciła do sir Tomasza Hare. Minęło jednak wiele następnych dni, zanim list został wysłany, ponieważ Proboszcz dostawał mdłości na samą myśl adresowania listu na „Ellen Millborough” - miał mgliste przeświadczenie, że fałszowanie nazwiska jest sprzeczne z prawem - i rzecz jasna - zwlekał z tym o wiele za długo. Kiedy Ust dotarł do Mary, Dorota była już na ulicy.

Sir Tomasz Hare - wdowiec, dobronudny, pustogłowy człowiek lat około sześćdziesięciu pięciu, o tępowej różowej twarzy i kręconych wąsach, najchętniej ubierał się w kraciaste płaszcze i meloniki ze sfałdowanymi rondami, które wyglądały zarazem zawadiacko wytwornie i od czterdziestu lat niemodnie. Na pierwszy rzut oka czynił wrażenie, że starannie ukrywa w sobie majora kawalerii z lat dziewięćdziesiątych, a jednak nie można było nań patrzeć, nie myśląc o kabłąkowatych nogach i brzęku dzwonek dwukółek, i o czerwonym goździku w klapie w wielkich czasach „Pitchera”, i Lottie Collins, i szlagierka *Tara-ra-bum-deay*. Jego cechą naczelną była przepastna mglistość pamięci. Należał do gatunku tych ludzi, którzy mówiąc „nie wiesz?” i „cóż znowu!”, gubią się w połowie zdania. Kiedy bywał czymś skłopotany albo znalazł się w tarapatkach, jego wąsy zdawały się jeżyć ku przodowi, nadając mu wyraz pełnej dobrych intencji, ale wyjątkowo bezmózgiej krewetki.

Sir Tomasz nie miał w najmniejszym stopniu ochoty pomagania kuzynom. Doroty nigdy nie widział, zaś na Proboszcza patrzył jak na biednego, zebrzącego kuzyna, najgorszego rodzaju. A jednak sam też miał powyżej uszu całej afery z „córka proboszcza”. Przeklęty przypadek sprawił, że nazwisko rodowe Doroty, tożsame z jego własnym - za jego życia, w ciągu ostatnich dwu tygodni - stało się żałosne. A przewidywał skandale jeszcze gorsze, jeżeli dziewczynę pozostawi się nadal na wolności. Tak więc przed wyjazdem z Londynu na polowanie na bażanty, posłał po szefa służby domowej, który był jego totumfactum i przewodnikiem intelektualnym, i odbył wojenną z nim naradę.

- No popatrz, Blyth, psiakrew - powiedział Sir Tomasz krewetkowe. (Lokaj nazywał się Blyth.) - Zakładam, żeś widział całą tę przekłątą

prasową melasę, co? Te bzdury o „córce proboszcza”? O mojej przeklętej bratanicy.

Blyth był małym, kanciastym człowieczkiem o głosie, który nigdy nie wznosił się powyżej szeptu niemal tak cichego, jak cichy może być głos, żeby pozostać głosem. Tylko patrząc na jego usta i słuchając z bliska, udawało się złowić wszystko, co powiedział. Tym razem wargi zaszygnowały coś, co w efekcie miało znaczyć, że Dorota była kuzynką Sir Tomasza, nie zaś jego bratanicą.

- Co, jest moją kuzynką? - spytał Sir Tomasz. - No więc jest, na Jowisza! Dobrze, słuchaj, Blyth, co chcę powiedzieć: czas najwyższy, żebyśmy dostali tę przeklętą dziewczynę i gdzieś ją zamknęli. Rozumiesz, o czym myślę? Trzeba ją złapać, zanim narobi więcej kłopotów. Ona się tu gdzieś szwenda po Londynie, jak myślę. Jak można ją najłatwiej wysledzić? Przez policję? Przez prywatnych detektywów i temu podobne? Myślisz, że by się to nam udało?

Wargi Blytha dały wyraz dezaprobacie. Można by, zdawał się mówić, wykryć Dorotę bez wzywania policji i narażania się na wiele nieznośnego prasowego rozgłosu.

- Dobry z ciebie człowiek! - powiedział Sir Tomasz. - Bierz się więc za to. Nie trap się o koszt. Dam pięćdziesiąt funtów, byle po raz drugi nie mieć do czynienia z tą „córką proboszcza”. Ale na litość boską, Blyth - dodał poufale - jak już raz zobaczysz tę przeklętą dziewczynę, nie spuszcza z oka. Przywieź do tego domu i dobrze pilnuj. Rozumiesz, co myślę? Trzymaj pod kluczem do mojego powrotu. Bóg jeden wie, w co się jeszcze gotowa wplątać.

Sir Tomasz, oczywiście, nigdy nie widział Doroty, wybacalne przeto, że wyrobił sobie o niej zdanie na podstawie gazetowych doniesień.

Wyśledzenie Doroty zajęło Blythowi tydzień. Rankiem, gdy wyszła z celi Sądu Policyjnego (skazali ją na sześć szylingów kary, a w przypadku niewypłacalności na dwanaście godzin aresztu; pani McElligot, jako recydywistka, dostała siedem dni), podszedł do niej Blyth, uchylił melonika ówierać cała nad głową i zapytał bezgłośnie, czy nie jest panną Dorotą Hare. Dorota zrozumiała, co mówił za drugim razem i przyznała, że jest panną Dorotą Hare; po czym Blyth wyjaśnił, że został przysłany przez kuzyna, który pragnie jej pomóc, i że ma się z nim udać niezwłocznie do domu.

Dorota poszła za nim nie wypowiedziawszy ani słowa. Wydawało się dziwne, że kuzyn okazał tak niespodziewane nią zainteresowanie, ale w końcu nie było dziwniejsze od tego, co się działo ostatnio. Wsiadli do autobusu

jadącego w stronę Hyde Park Corner, Blyth zapłacił za przejazd, potem ruszyli piechotą do obszernego, wyglądającego na bardzo drogi, domu z zamkniętymi okiennicami, na terenie przylegającym do Knightsbridge i Mayfair. Zstąpili kilka stopni w dół, Blyth wyjął klucz i weszli do środka. Tak więc Dorota powróciła do szacownej społeczności po absencji trwającej ponad sześć tygodni, drzwiami przez suterene.

Spędziła w pustym domu trzy dni, zanim wrócił kuzyn. Był to czas dziwnej samotności. W domu zatrudniano kilkanaścioro służby, ale nie widywała nikogo prócz Blytha, który przynosił posiłki i rozmawiał z nią bezgłośnie, z mieszaniną szacunku i dezaprobaty. Nie potrafił ze sobą uzgodnić, czy ma do czynienia z młodą damą należącą do rodziny, czy może z uratowaną Magdaleną i traktował ją jakoś to wypośrodkowując. Dom wypełniała cicha, trupia atmosfera typowa dla rezydencji, których pan jest nieobecny, kiedy się instynktownie chodzi na palcach, a w oknach zamyka okiennice. Dorota nawet nie śmiała wejść do którejs z głównych komnat. Spędzała całe dni przyczajona w zakurzonym, zaniedbanym pokoju na poddaszu, który był czymś w rodzaju muzeum staroświeckich gratów pochodzących z lat 1880 i późniejszych. Lady Hare, zmarła przed pięcioma laty, była maniakałną zbieraczką rupieci i większość z nich, kiedy zmarła, pomieszczono w tym pokoju. Nie miało się tylko pewności, czy najdziwniejszy w nim przedmiot stanowiła poźółłka fotografia ojca Doroty w wieku lat osiemnastu, ale już z budzącymi szacunek baczkami, stojącego z dużą pewnością siebie obok „pospolitego” *bicykla* (działo się to w roku 1888); czy też może skrzyneczka z drzewa sandałowego z naklejką „Kęs chleba dotknięty przez Cecila Rhodesa podczas bankietu City i Afryki Południowej, czerwiec 1897”. Nielicznymi książkami w pokoju były jakieś wpływiałe nagrody szkolne zdobywane przez dzieci Sir Tomasza. Miał ich troje, najmłodsze w tym samym wieku co Dorota.

Było oczywiste, że służba otrzymała polecenie nie wypuszczania jej na zewnątrz. Ponieważ jednak nadszedł czek od ojca i nie bez pewnego trudu udało się jej nakłonić Blytha, by go zrealizował, więc trzeciego dnia wyszła i kupiła nieco odzieży. Nabyła fabrycznie szyty tweedowy zakiet i spódnice, do tego sweterek, kapelusz i bardzo tanią sukienkę ze sztucznego, drukowanego jedwabiu, a także parę stosownych brązowych pantofli, trzy pary fildekosowych pończoch, brzydką, tanią małą torebkę i parę szarych bawełnianych rękawiczek, które z pewnej odległości mogły udawać zamiszowe. Pochłonęło to osiem funtów i dziesięć szylingów, nie odważyła się wydać więcej. Bielizna, nocne koszule i chusteczki musiały poczekać. Ostatecznie liczą się stroje, które widać.

Sir Tomasz przybył następnego dnia i nie potrafił ukryć zaskoczenia, jakie wywołał w nim widok Doroty. Spodziewał się ujrzeć uróżowaną i upudrowaną syrenę, co utrafi go pokusami, którym - niestety! - nie był już zdolny ulegać; a tu ta wsiowa, starzejąca się panna zawiodła wszystkie jego kalkulacje. Pewne luźne pomysły, jakie plątały mu się po głowie, by *znaleźć* jej pracę manicurzystki albo prywatnej sekretarki bukmachera, odpłynęły zeń po raz kolejny. Od czasu do czasu Dorota przyłapywała kuzyna na studiowaniu jej skłopotanym okiem krewetki, ciekawym jak, u licha, podobna dziewczyna mogła figurować w rubrykach miłosnych ucieczek. Niewielki byłby, rzecz jasna, pożytek z wyznania, że nie uciekła z kochankiem. Podała swoją wersję całej historii, którą przyjął z rycerskim „oczywiście, m'ja droga, oczywiście!”, a potem każdym zdaniem zdradzał, że jej nie wierzy.

Tak więc w ciągu kilku dni nie zrobiono nic konkretnego. Dorota wiodła samotny żywot w pokoju na poddaszu, Sir Tomasz wychodził do klubu na większość posiłków, a wieczorami odbywały się trudne do streszczenia jałowe dyskusje. Sir Tomasz pragnął szczerze znaleźć Dorocie pracę, ale miał wielkie kłopoty z zapamiętaniem, o czym to mówił dawniej niż przed pięcioma minutami. „Dobrze, m'ja droga”, zaczynał, „rozumiesz, oczywiście, że chciałbym uczynić dla ciebie wszystko, na co mnie stać. Naturalnie, jako twój stryjek i tak dalej - co? Co to ja chciałem? Nie twój stryjek? Nie, przypuszczam, że nim nie jestem, na Jowisza! Kuzyn - to jest to; kuzyn. Dobrze więc, m'ja droga, jako twój kuzyn - ale, co to ja chciałem powiedzieć?” Potem, gdy Dorota naprowadzała go na temat, rzucał sugestię w rodzaju „No a, powiedzmy, na przykład, m'ja droga, jakby ci się podobało zostać osobą do towarzystwa starej damy? Jakiejś starej, drogiej dziewczynki, nie znasz takich - czarne mitenki i reumatoidalny artretyzm. Umiera i zostawia ci dziesięć tysięcy funtasów i opiekę nad papugą. No jak?” Ale to nie posuwało ich o wiele dalej. Dorota powtarzała wielokrotnie, że wolałaby raczej zostać pokojówką albo sprzątaczką, ale Sir Tomasz nie chciał o tym nawet słyszeć. Sam pomysł budził w nim instynkt klasowy, o którym jego pustogłowie zwykle nie pozwalało mu pamiętać. „Cóż”, mawiał, „zacukana kuchta? Dziewczyna z twoim wykształceniem? Nie, m'ja droga, nie, nie! Nie możesz wykonywać takich prac, niech je diabli!”

W końcu jednak wszystko zostało załatwione i to z zaskakującą łatwością. Nie przez Sir Tomasza, który nie był zdolny do załatwienia czegokolwiek, ale przez jego doradcę prawnego, pilnie poproszonego o konsultację, ów prawnik, nawet nie widząc Doroty, był w stanie zaproponować jej posadę. Mogłaby,

powiedział, niemal z całą pewnością znaleźć posadę nauczycielki. Spośród wszystkich posad - tę można zdobyć najłatwiej.

Sir Tomasz przyszedł do domu bardzo rad z tej sugestii, uderzyła go bowiem swoją wyjątkową trafnością. (Prywatnie myślał, że Dorota miała właśnie taki typ twarzy, jaki powinna mieć nauczycielka.) Ale Dorota, usłyszawszy to, osłupiała na chwilę.

- Nauczycielka! - rzekła. - Ależ ja bym chyba nie mogła! Jestem pewna, że żadna szkoła mnie nie zatrudni. Nie istnieje przedmiot, którego mogłabym uczyć.

- Co? Co to znaczy? Nie umiesz uczyć? Och, nie marudź! Oczywiście, że umiesz! W czym trudność?

- Ależ nie mam wystarczającej wiedzy! Nigdy nie uczyłam niczego nikogo, z wyjątkiem harcerek, i to tylko gotowania. Trzeba mieć właściwe kwalifikacje, żeby zostać nauczycielem.

- Och, nonsens! Nauczanie to najłatwiejsza robota na świecie. Dobry groźny władca - kuksańca im w knyckie. Będą radzi młodej starannie wykształconej kobiecie, która zapozna ich z abc. To jest przyszłość dla ciebie, m'ja droga - nauczycielka. Jesteś na nią skrojona.

I rzeczywiście, Dorota została nauczycielką. Niewidzialny doradca prawny załatwił wszystkie formalności w niespełna trzy dni. Okazało się, że niejaka pani Creevy, prowadząca szkołę dla dziewcząt na przedmieściu Southbridge, potrzebowała asystentki i właśnie pragnęła zaofiarować tę pracę Dorocie. Dorota niemal nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można było załatwić to tak szybko i co to za szkoła, że przyjmuje osobę całkowicie obcą i przy tym niewykwalifikowaną, w dodatku w połowie semestru. Nie wiedziała, oczywiście, że pięcioletnia łapówka musiała przejść w tym celu z ręki do ręki pod mylącą nazwą opłaty za praktykę.

I tak, w dziesięć dni po aresztowaniu za żebractwo, Dorota osiadła w Ringwood House Academy, przy Brough Road, Southbridge, z małym kuferkiem starannie wypełnionym odzieżą, z czterema funtami i dziesięcioma szylingami w portmonetce - albowiem Sir Tomasz podarował kuzynce prezent w wysokości dziesięciu funtów. Kiedy myślała o łatwości, z jaką znalaziono dla niej tę pracę, zdumiewał kontrast z żalną walką, którą toczyła przed trzema tygodniami. Przypomniała sobie ulubione twierdzenie pana Warburtona, że jeśli z *Listów do Koryntian* wziąć rozdział trzynasty części pierwszej i w każdym wierszu wpisać „pieniądze” zamiast „miłosierdzie”, rozdział ten nabierze dziesięć razy więcej treści niż poprzednio.

Southbridge było odległym o dwanaście mil od centrum, odrażającym przedmieściem Londynu. Brough Road leżała niejako w jego sercu, wśród labiryntów schludnawych uliczek, bliźniaczo do siebie podobnych, z szergami bliźniaczych domów, z laurowymi i ligustrowymi żywopłotami i parcelkami schnących krzaków na krzyżówkach dróg. Można się tu było zgubić równie łatwo, jak w brazylijskiej dżungli. Nie tylko same domy, ale nawet ich nazwy powtarzały się raz po raz w identycznym wydaniu. Czytając nazwy na bramach wzdłuż Brough Road, człowiek miał wrażenie, że prześladowuje go ledwie pamiętany ustęp wiersza, a kiedy przystawał, by ustalić pochodzenie utworu, pamięć podrzucała nagle, że to pierwsze dwa wersy Lycidasa.

Ringwood House był ponurym z wyglądu bliźniakiem z złotej cegły, wysokim na trzy kondygnacje, a jego dolne okna kryły się przed ulicą za poszarpanym i zakurzonym laurowym żywopłotem. Nad laurem, na frontonie domu, widniała tablica pokryta wyblakłymi złotymi literami: RINGWOOD HOUSE -

AKADEMIA DLA DZIEWCZĄT w wieku od lat 5 do 15 z nauką muzyki i tańca
Poprosz o prospekt

Krawędź w krawędź z tą, na drugiej połowie domu, wisiała druga tablica, na której widniało:

RUSHINGTON GRANGE - SZKOŁA ŚREDNIA DLA CHŁOPCÓW

w wieku od lat 6 do 16 Księżowość i

arytmetyka handlowa jako specjalność

Wejdz do środka po prospekt

Okręg ten obfitował w małe prywatne szkoły; aż cztery spośród nich mieściły się przy Brough Road. Pani Creevy, pryncypałka Ringwood House i pan Boulger, pryncypał Rushington Grange trwali w stanie wojny, jakkolwiek ich interesy w żaden sposób nie wchodziły sobie w paradę. Nikt nie wiedział, czego dotyczył ów spór, nawet sami państwo Creevy i Boulger; był to spór odziedziczony po poprzednich właścicielach obu szkół. Rankami, po śniadaniu, przechadzali się tam i z powrotem po sąsiadujących ze sobą ogródkach na tyłach szkół, obok bardzo niskiego, rozdzielającego posesje murku, udając, że się nie widzą i nienawistnie szczerząc zęby.

Na widok Ringwood House serce Doroty zamarło. Nie spodziewała się niczego wspaniałego czy atrakcyjnego, ale oczekiwała czegoś troszkę lepszego niż ten lichy, ponury dom, w którym nie oświetlono ani jednego okna, choć

minęła już ósma wieczorem. Zapukała do drzwi, otworzyła wysoka, w ciemnym hałlu wyglądająca na wychudzoną, kobieta, którą Dorota wzięła za służącą, ale która w istocie była samą panią Creevy. Bez słowa, spytawszy Dorotę jedynie o nazwisko, poprowadziła ją ciemnymi schodami do ciemnego saloniku wypełnionego światłem zmierzchu i pozbawionego kominka, gdzie odkręciła kurek lampy gazowej, ujawniając czarny fortepian, obite końską skórą krzesła i kilka pożółkłych, upiornych fotografii na ścianach.

Pani Creevy, kobieta po czterdziestce, szczupła, twarda, kanciasta, podejmowała natychmiastowe decyzje, co znamionowało silną wolę i prawdopodobnie złośliwy charakter. Jakkolwiek w żadnym razie nie była brudna czy niechlujna, w jej wyglądzie zaznaczało się coś bezbarwnego, jakby całe życie przebywała w lichym świetle; a wyraz jej ust, posępnych i źle wykrojonych, z odwinietą dolną wargą, nasuwał na myśl ropuchę. Mówiła ostrym, rozkazującym tonem, ze złym akcentem i skłonnością do wulgaryzmów. Już na pierwszy rzut oka rozpoznawało się w niej osobę, która dokładnie wie, czego pragnie i osiąga to równie bezlitośnie jak jakaś maszyna. Nie żeby zaraz terrorem - do pewnego stopnia można było wywnioskować z jej wyglądu, że nie będzie aż tak człowiekiem zainteresowana, by chcieć się nad nim znęcać. Widać było, że to osoba, która wykorzysta, a potem odrzuci na bok bez większych skrępułów każdego, jak zdartą szczotkę do szorowania.

Pani Creevy nie marnowała słów na powitanie. Popchnęła Dorotę ku krzesłu gestem raczej rozkazującym niż zapraszającym, potem, zakładając ręce, usiadła sama.

- Mam nadzieję, że potrafimy się porozumieć, panno Millborough - zaczęła swoim świdrującym, ostrzegawczym głosem. (Za radą zawsze przezornego doradcy Sir Tomasza, Dorota pozostała przy nazwisku Ellen Millborough.) - I mam nadzieję, że nie będę z panią miała tych przykrych doświadczeń, jakie miałam z moimi dwiema ostatnimi asystentkami. Powiada pani, że nie posiada żadnych dowiadczeń w nauczaniu?

- Nie w szkole - przyznała Dorota. W swoim podaniu wypisała kosałki-opałki, by uczynić wrażenie, że ma dowiadczenie „w nauczaniu prywatnym”.

Pani Creevy oglądała Dorotę, zastanawiając się, czy wprowadzać ją w wewnętrzne tajemnice nauczania w szkole, ale - jak się wkrótce okazało - postanowiła postąpić odwrotnie.

- No cóż, zobaczymy - powiedziała. - Muszę zaznaczyć - dodała tonem skargi - że niełatwo dostać w tych czasach dobrych, solidnych w pracy asystentów. Dajesz im dobre pensje i nie otrzymujesz nawet podziękowania.

Ostatnia, jaką tu miałam - ta, której musiałam się pozbyć - panna Strong, nie była zła jeśli chodzi o nauczanie; miała faktycznie B A*, a nie wiem, co można mieć lepszego niż tytuł B A, poza M A**. Pani zdaje się nie jest B A ani M A, panno Millborough?

- Nie, przykro mi - powiedziała Dorota.

- No cóż, szkoda. Na prospekcie wygląda o wiele lepiej, kiedy się ma kilka liter po nazwisku. Być może to nie ma znaczenia. Nie sądzę, by wielu naszych rodziców wiedziało, co oznacza B A; ale niezbyt chętnie zdradzają swoją ignorancję. Myślę, że potrafi pani mówić po francusku?

- Owszem, uczyłam się francuskiego.

- Och, no więc w porządku. To wystarczy, by umieścić w prospekcie. No dobrze, ale wróćmy do tego, co mówiłam. Panna Strong była w porządku jako nauczycielka, ale nie spełniała moich wymagań co do tego, co nazywam stroną moralną. Strony moralnej przestrzegamy w Ringwood House bardzo rygorystycznie. Przekona się pani, że to u rodziców liczy się najbardziej. Zaś przed panną Strong panna Brewer - no cóż, miała coś, co nazywani słabą naturą. Nie można sobie poradzić z dziewczętami mając słabą naturę. Skończyło się na tym, że pewnego ranka pewna mała dziewczynka podpełzła do katedry z pudełkiem zapalek i podpaliła sukienkę panny Brewer. Oczywiście nie mogłam jej po tym dłużej trzymać. Faktycznie wyrzuciłam ją z domu tego samego popołudnia i nie dałam referencji, żadnych, to chciałam pani powiedzieć.

- Chciała pani powiedzieć, że wyrzuciła dziewczynkę, która to zrobiła?

- spytała zdeorientowana Dorota.

- Co? Dziewczynkę? Nic podobnego! Nie sądzi pani, że poszłabym i wyrzuciła za drzwi czesne, nieprawdaż? Powiedziałam, że wyrzuciłam pannę Brewer, a nie d z i e w c z y n k ę . Nie jest dobrze, jeśli nauczyciel pozwala dziewczynkom na poufałość. Mamy ich w tej chwili w klasie dwadzieścia i jedną, i przekona się pani, że trzeba mieć mocną rękę, żeby je utrzymać w ryzach.

- Pani sama nie uczy? - spytała Dorota.

- Och, moja droga, nie! - powiedziała pani Creevy niemal pogardliwie.

- Zbyt wiele mam spraw na głowie, żeby marnować czas na nauczanie. Trzeba dbać o dom, siedmioro dzieci zostaje na obiad, a mam w tej chwili tylko dochodzącą kobietę. Prócz tego, mnóstwo czasu zajmuje mi ściąganie

* BA (B.A. - Bachelor of Arts) - pierwszy stopień naukowy uzyskiwany po ukończeniu studiów humanistycznych.

** MA (M.A. - Master of Arts) - odpowiednik tytułu magistra.

czesnego od rodziców. W gruncie rzeczy czesne to jest to, co się liczy, czyż nie tak?

- Tak. Też tak sądzę - powiedziała Dorota.

- Zgoda, możemy więc uzgodnić pani pensję - ciągnęła pani Creevy. - W czasie semestru dam pani wyżywienie i lokum plus dziesięć szylingów tygodniowo; w czasie wakacji otrzyma pani tylko wyżywienie i lokum. Może pani używać kuchennego kotła do prania, a ja rozpalam piec na gorące kąpiele w soboty wieczór albo przynajmniej w większość sobotnich wieczorów. Nie wolno pani korzystać z tego pokoju, ponieważ to jest mój pokój przyjęć, nie życzę sobie też, żeby pani marnowała gaz w paninej sypialni. Ale może pani korzystać wedle woli z małego salonu.

- Dziękuję - powiedziała Dorota.

- No więc, możemy uznać, że to chyba wszystko. Odnoszę wrażenie, że chciałaby pani pójść do łóżka. Kolację, oczywiście, zjadła już pani zjeść.

Miało to wyraźnie oznaczać, że Dorota nie dostanie tego wieczoru nic do jedzenia, odparła więc „tak”, niezgodnie z prawdą, i na tym rozmowa została zakończona. Był to nieodmienny styl pani Creevy - nigdy nie pozwalała mówić ani chwili dłużej, niż potrzeba. Prowadziła konwersację tak bardzo stanowczo, tak dokładnie, że przestawała być w ogóle konwersacją. Był to raczej szkielet konwersacji; jak dialog w źle napisanej powieści, gdzie każdy w swojej roli mówi odrobinę za dużo. W rzeczy samej, we właściwym sensie tego słowa, ona nie rozmawiała; po prostu mówiła swoim szorstkim, zwięzłym stylem, wszystko co powiedzieć należało, pozbywając się potem rozmówcy tak szybko, jak to możliwe. Teraz poprowadziła Dorotę korytarzem do sypialni, podkreśliła płomień nawet nie do wielkości żołędzia, ukazując posępny pokoik z wąskim, zasłanym na biało łóżkiem, chybotliwą szafą, jednym krzesłem i stojącą umywalką z białą, zimną porcelanową miską i dzbanem. Przypominał sypialnię w nadmorskich domach noclegowych, ale brakło czegoś, co przesyca podobne pomieszczenia klimatem zadomowienia i schludności - *Pisma Świętego przy łóżku*.

- To jest pani pokój - powiedziała pani Creevy - i mam nadzieję, że utrzyma go pani w nieco większej czystości, niż to było w zwyczaju panny Strong. Proszę nie palić gazu przez połowę nocy, ponieważ mogę określić, o której go pani wyłączy - po trzasku pod drzwiami.

Po tym życzeniu pozostawiła Dorotę samej sobie. Pokój był przygnębiająco zimny; zresztą, w całym domu czuło się wilgotny chłód, tak jakby kominki rozpalano tu bardzo rzadko. Dorota wskoczyła do łóżka tak szybko, jak to było możliwe, czując, że łóżko będzie miejscem najcieplejszym. Na szczycie

szafy, kiedy zdejmowała ubranie, znalazła tekturowe pudło zawierające, ni mniej ni więcej, dziewięć pustych butelek po whisky - prawdopodobnie reliktyw słabości strony moralnej panny Strong*.

O ósmej rano Dorota zszedłszy na dół, znalazła panią Creevy przy śniadaniu w izbie zwanej tu „małym salonem”. Był to niewielki pokójk sąsiadujący z kuchnią, który zaczynał jako pomywalnia, ale pani Creevy przekształciła go w „mały salon”, usuwając do kuchni zlewozmywak i kocioł. Stół śniadaniowy, pokryty obrusem o gruzłowej teksturze, był bardzo duży i odpychająco pusty. U jego końca, obok pani Creevy leżała tacka ze zdumiewająco małym imbryczkiem do herbaty i dwiema filiżankami, talerz z dwoma twardymi jak podeszwa smażonymi jajami i spodek mannelady; na środku, w zasięgu ręki Doroty, gdyby się pochylała, stał talerz z chlebem i masłem; a obok talerza - jakby to była jedyna rzecz, którą można jej powierzyć - podstawka z flakonikami nierozpoznawalnych wyschłych, skrzepłych substancji.

- Dzień dobry, panno Millborough - powiedziała pani Creevy. - To dziś nie ma znaczenia, bo to pani pierwszy dzień, ale proszę łaskawie pamiętać następnym razem, że chcę mieć panią tu na dole na czas, żeby mi pani pomogła w przygotowaniu śniadania.

- Przykro mi - szepnęła Dorota.

- Mam nadzieję, że lubi pani smażone jaja na śniadanie? - ciągnęła pani Creevy. Dorota popieszyła z zapewnieniem, że bardzo lubi smażone jaja.

- No, to się dobrze składa, ponieważ zawsze dostanie pani to samo, co jadam ja. Tak więc mam nadzieję, że nie będzie pani, jak ja to określam, „wybredna” w jedzeniu. Zawsze myślę - dodała, podnosząc nóż i widelec - że jaja smażone smakują o wiele lepiej, kiedy się je dobrze przed zjedzeniem pokroi.

Pocięła dwa jaja na wąskie paski, po czym podała je w ten sposób, że Dorocie przypadły dwie trzecie jednego. Dorota, z pewną trudnością, zsunęła łyżką swoją część, której starczyło na pół tuzina łyknięć, po czym, kiedy sięgnęła po kromeczkę chleba i masło, nie potrafiła, zerkając na spodek z manneladą, powstrzymać wyrazu nadziei. Ale pani Creevy siedziała niemal obejmując chudym lewym ramieniem marmeladę, w pozycji obronnej od lewej flanki, tak jakby się spodziewała, że Dorota przypuści na nią atak. Nerwy Dorotę zawiodły i tego ranka nie dostała mannelady - tak jak, prawdę mówiąc, w ciągu wielu następnych poranków.

* Strong - silny.

Pani Creevy nie przemówiła już do końca śniadania, ale wkrótce chrobot stóp na żwirze przed domem i skrzekliwe głosy w klasie powiadomiły, że dziewczęta zaczynają nadchodzić. Wchodziły bocznym wejściem, otwartym specjalnie dla nich. Pani Creevy podniosła się znad stołu i zrzuciła z łoskotem wszystkie nakrycia śniadaniowe na tacę. Była jedną z tych kobiet, które nie potrafią niczego poruszyć bez łoskotu; tak pełna kuksańców i grzmotnięć jak złośliwy duch. Dorota zaniósła tacę do kuchni, a gdy wróciła, pani Creevy wyjęła z szuflady w komodzie pensowy notesik i otwarłszy go, położyła na stole.

- Proszę na to spojrzeć - powiedziała. - Tu jest lista nazwisk dziewcząt, którą przygotowałam dla pani. Chcę, by pani poznała wszystkie do wieczora. - Pośliniła kciuk i przerzuciła trzy kartki: - A teraz, czy pani widzi te trzy listy?

- Tak - odparła Dorota.

- Dobrze, teraz musi się pani z sercem zabrać do ich przestudiowania i upewnić, że pani wie, na której liście jest każda z dziewcząt. Nie chcę, by pani myślała, że wszystkie dziewczęta mają być traktowane jednakowo. Nie mają - i długo nie będą; nie mają. Różne dziewczęta, różne traktowanie - to jest mój system. No a teraz widzi pani te z pierwszej strony?

- Tak - powiedziała znów Dorota.

- W porządku, rodzice tej grupy są, jak ich nazywam, dobrymi płatnikami. Pani wie, co przez to rozumiem? To ci, co płacą gotówką w terminie i nie wierzgają za każdym razem, gdy podnoszę o dodatkowe pół gwinei. Nie może pani karcieć żadnej z tej grupy, bez wyjaśnień. Te tutaj, to średni płatnicy. Ich rodzice płacą wcześniej lub później, ale nie sposób wyciągnąć od nich pieniędzy, jeśli się nie naprzykrzać dniami i nocami. Może je pani trzasnąć, jeżeli się spoufała, ale nie aż tak, żeby rodzice zobaczyli jakieś ślady. Jeżeli pani posłucha mojej rady, najlepszy skutek odnosi u dzieci ściśnięcie ucha. Próbowała pani kiedyś tego?

- Nie - *zaprzeczyła* Dorota.

- Cóż, mnie to odpowiada najbardziej. Nie zostawia śladu, a dzieci nie mogą tego znieść. A ta tu trójka, to źli płatnicy. Ich ojcowie zalegają już za dwa semestry i zastanawiam się nad monitem prawnika. Nie obchodzi mnie, jak pani będzie z nimi postępować - no, nie aż tak srogo, żeby podpaść pod sąd policyjny, naturalnie. A teraz, czy mogę panią zabrać do klasy i zapoznać z dziewczętami? Niech pani lepiej weźmie ten notes i trzyma cały czas przed oczami, żeby potem nie było pomyłek.

Weszły. Był to obszerny pokój, o ścianach pokrytych szarą tapetą, którą jeszcze bardziej poszarzało mdłe światło, ponieważ okna zasłaniał od zewnątrz laurowy żywopłot. Żaden bezpośredni promień słońca nie mógł przezeń przeniknąć. Pulpit nauczycielski stał przy pustym kominku; dalej tuzin małych podwójnych ławek, lekka tablica oraz, na parapecie kominka, czarny zegar przypominający miniaturowe mauzoleum; ale nie było w klasie map, obrazów, ani nawet, jeżeli Dorota mogła się zorientować, żadnych książek. Jedyne w tym pokoju przedmioty, zasługujące na miano ozdobnych, stanowiły dwa arkusze czarnego papieru przypięte pinezkami do ścian, z piękną na nich kredową kaligrafią. Na jednej widniało: „Mowa jest srebrem, a milczenie złotem”, na drugiej: „Punktualność jest grzecznością książąt”.

Dziewczęta, klasa liczyła ich dwudzieścia jeden, siedziały już w ławkach. Usłyszawszy zbliżające się kroki, ucichły natychmiast, a gdy pani Creevy weszła, wydawało się, że kurczą się na swoich miejscach, niczym przepiórki na widok szybującego jastrzębia. W większości były to nieciekawie wyglądające, letargiczne dzieci o niezdrowej cerze, cierpiące na wyraźnie pospolity wśród nich przerost migdałków. Najstarsza mogła mieć lat piętnaście, najmłodsza ledwie wyrosła z niemowlęctwa. Szkoła nie wymagała mundurków, a jedno czy dwoje dzieci odziane było niemal w łachmany.

- Powstańcie, dziewczynki - powiedziała pani Creevy, doszedłszy do nauczycielskiego pulpitu. - Zaczniemy od modlitwy porannej.

Dziewczynki wstały, złożyły na piersiach dłonie i zamknęły oczy. Powtarzały modlitwę unisono, słabymi, ponurymi głosami, pod przewodnictwem pani Creevy, która cały czas miotła grotami spojrzeń, by się upewnić, że wszystkie uczestniczą.

- Wszchemogący i wieczny Ojcze - mruczały - błagamy Cię, byś nasze studia dzisiejszego dnia pobłogosławił Twoją boską radą. Spraw, byśmy się zachowywały cicho i pokornie; spójrz na naszą szkołę i ześlij jej pomyślność, aby rosła w liczbę uczniów i stanowiła dobry przykład dla sąsiadów, nie zaś niełaszkę, w jakiej trwają inne znane Ci szkoły, o Panie. Spraw, błagamy Cię, o Panie, byśmy były pracowite, punktualne i szlachetne, i godne, by - wszelkim Cię darząc uwielbieniem - podążać w Twoje ślady; w imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego, amen.

Modlitwa ta była utworem własnym pani Creevy. Kiedy dziewczęta skończyły, odmówiły *Modlitwę Pańską* i usiadły.

- A więc, dziewczynki - powiedziała pani Creevy - to jest wasza nowa nauczycielka, panna Millborough. Jak wiecie, panna Strong musiała nas opuścić nagle po tym, jak w połowie lekcji arytmetyki poczuła się niedobrze; a muszę

powiedzieć, że spędziłam ciężki tydzień na poszukiwaniu nowej nauczycielki. Miałam siedemdziesiąt trzy zgłoszenia, zanim wybrałam pannę Millborough, tamte musiały w komplecie odrzucić, ponieważ ich kwalifikacje nie były dość wysokie. Zapamiętajcie to i powtórzcie waszym rodzicom - siedemdziesiąt trzy podania! No więc, panna Millborough będzie uczyć was łaciny, francuskiego, historii, geografii, matematyki, literatury angielskiej i kaligrafii, wymowy, gramatyki, pisania wypracowań, rysunku odręcznego; zaś pan Booth będzie wam wykładał chemię w każdy czwartek po południu, jak zwykle. No, jaką macie pierwszą lekcję wedle programu na dzisiejsze rano?

- Historię, ma-am - burknął jeden czy dwa głosy.

- Bardzo dobrze. Domyślam się, że panna Millborough zacznie od zadania wam kilku pytań na temat historii, którą już przerabialiście. Postarajcie się więc wypaść jak najlepiej, wszystkie, i pokażcie, że poświęcony wam przez nas trud nie poszedł na marne. Przekona się pani, panno Millborough, że dziewczęta, kiedy chcą, potrafią być dość błyskotliwe.

- Jestem tego pewna - powiedziała Dorota.

- No tak, w takim razie opuszczam was. I zachowujcie się przyzwoicie, dziewczynki! Nie próbujcie postępować z panną Millborough tak, jak to czyniłyście z panną Brewer, ponieważ ostrzegam, że ona tego nie zniesie. Jeżeli usłyszę jakikolwiek hałas dobiegający z klasy, ktoś będzie miał kłopoty.

Omiotła spojrzeniem dziewczęta, łącznie z Dorotą, dając tym do zrozumienia, że to Dorota będzie przypuszczalnie owym wspomnianym „ktosiem”, po czym wyszła.

Dorota stanęła przed klasą. Nie bała się dzieci - była zbyt obyta z pracą wśród nich, by się obawiać - ale przez chwilę poczuła młodości. Zaciężała świadomość, że jest oszustką. (A zresztą jakież nauczyciel nie czuje się od czasu do czasu oszustem?) Nagle zdała sobie sprawę, przedtem miała tego ledwie mglistą świadomość, że podjęła się pracy nauczycielskiej w skandalicznie fałszywym przebraniu, nie mając do niej żadnych kwalifikacji. Przedmiotem, który miała teraz wykładać, była historia, a podobnie jak większość wykształconych ludzi, nie miała o niej zielonego pojęcia. Koszmar, pomyślała, a co - jeżeli się okaże, że dziewczęta lepiej znają historię niż ona. Spytała tytułem próby:

- Jaki dokładnie okres przerabialiście z panną Strong?

Nie odpowiedziała żadna. Dorota spostrzegła, że starsze dziewczynki wymieniają spojrzenia, jakby się wypytywały nawzajem, czy bezpiecznie jest mówić cokolwiek i ostatecznie postanowiły się nie włączać.

- No więc, dokąd doszłyście? - nalegała, domyślając się, że być może słowo „okres” było dla nich za trudne. Znowu brak odpowiedzi.

- No przecież z pewnością coś z tego pamiętacie? Wymieńcie jakieś nazwiska ludzi, ó których uczyłyście się na ostatniej lekcji historii.

Znowu wymieniły spojrzenia i bardzo pospolita mała dziewczynka z pierwszego rzędu, w brązowym swetrze i spódnicy, z włoskami skręconymi w dwa mysie warkoczyki, bąknęła niewyraźnie: „To było o starożytnych Brytyjczykach”. Na to dwie inne dziewczynki zebrały się na odwagę i odpowiedziały jednocześnie. Jedna bąknęła: „Kolumb”, a druga: „Napoleon”.

Jakoś wydało się Dorocie, że drogę przed sobą widzi nieco wyraźniej. Było oczywiste, że klasa, zamiast być niewygodnie obkuta, czego się obawiała, nie miała o historii niemal żadnego wyobrażenia. Dokonawszy tego odkrycia, pozbyła się tremy. Zrozumiała, że zanim zrobi z tymi dziećmi cokolwiek innego, powinna koniecznie rozeznać się w tym, co-jeśli w ogóle cokolwiek

- wiedzą. Tak więc, zamiast trzymać się rozkładu zajęć, spędziła resztę poranka na przepytywaniu klasy w całości z coraz innego przedmiotu; kiedy skończyła z historią (dotarcie do dna ich wiedzy historycznej zajęło pięć minut), przepytowała je z geografii, z gramatyki angielskiej, z francuskiego, z arytmetyki - w gruncie rzeczy ze wszystkiego, czego się powinny były uczyć. Do dwunastej udało się jej zgłębić, choć nie zupełnie odkryć, przerażające przepaście ich niewiedzy.

Bo nie wiedziały nic, absolutnie nic, nic, nic; zupełnie jak dadaści. To przynębiające, że nawet dzieci mogą być takimi ignorantami. Tylko dwie dziewczynki w klasie wiedziały, czy to Ziemia obraca się wokół Słońca, czy Słońce wokół Ziemi, ale żadna nie potrafiła Dorocie powiedzieć, kto był ostatnim królem przed Jerzym V albo kto napisał *Hamleta*, albo co znaczy zwykły ułamek, albo jaki ocean trzeba przebyć, by dotrzeć do Ameryki - Atlantyk czy Pacyfik. Duże dziewczynki, piętnastoletnie, nie były o wiele lepsze od małych, ośmioletnich dzieci, tyle że te pierwsze umiały przynajmniej bez dukania czytać i kaligraficznie pisać. Jedyne, co niemal wszystkie dziewczęta potrafiły robić, to ładnie pisać. Dopilnowała tego pani Creevy. I oczywiście, tu i ówdzie, w samym środku ich niewiedzy, wyłaniały się małe, nie połączone ze sobą wysepki wiadomości; na przykład jakieś oderwane strofy „kawałków poezji”, wyuczone na pamięć, kilka francuskich zdań z Ollendorfa, takich jak „*passer-moi le beurre, s'il vous plait*” czy „*le fils du jardinier a perdu son chapeau*”, wyuczonych tak, jak się papugę uczy „pretty Poit”. Nieco lepiej niż inne przedmioty wyglądała arytmetyka. Większość wiedziała,

jak się dodaje i odejmuje, około połowy miało pewne pojęcie o mnożeniu, a były także trzy, może cztery, które, było stać na coś równie trudnego jak dzielenie. Ale to stanowiło kres ich wiedzy; poza nim, we wszystkich kierunkach rozciągała się zupełna, nieprzenikniona noc.

Co więcej, nie tylko nie wiedziały nic, ale były tak nieprzywykłe do pytań, że często w ogóle nie udawało się wydobyć z nich odpowiedzi. Stąd wniosek oczywisty, że cokolwiek wiedziały, nauczyły się w sposób czysto mechaniczny i poproszone, by pomyślały samodzielnie - mogły jedynie rozdziawiać usta, dając wyraz czemuś w rodzaju osłupienia. Jednakże nie wydawały się niechętne i wyraźnie postanowiły być „dobre” - Dorota trwała w przekonaniu, że dzieci zawsze są „dobre” przy nowym nauczycielu; stopniowo stawały się, albo wydawało się, że się stają, o jeden odcień mniej umysłowo ociężałe. Zaczynała wyrabiać sobie, z dawanych przez nie odpowiedzi, dość dokładne wyobrażenie o tym, czym był *régame* panny Strong.

Jakkolwiek teoretycznie uczyły się wszystkich normalnych przedmiotów, widać było, że traktowano tu poważnie tylko pisanie i arytmetykę. Pani Creevy szczególną troską otaczała kaligrafię. Poza tym spędzały dużo czasu - każdego dnia godzinę lub dwie - mżoląc się nad okropną procedurą zwaną „kopiowaniem”. „Kopiowanie” oznaczało przepisywanie tekstów z podręczników albo z tablicy. Panna Strong pisała na przykład jakiś sentencjonalny mały „essay” (był wśród nich „essay” zatytułowany „Wiosna”, obecny we wszystkich zeszytach starszych dziewcząt, którego początek brzmiał: „Teraz, gdy dziewczęcy kwiecień wędruje przez kraj, gdy ptaki na gałęziach śpiewają wesoło i delikatne kwiatuszki wybuchają z pąków” etc., etc.), a dziewczęta pięknie przepisywały go do swoich zeszytów; na rodzicach, którym od czasu do czasu zeszyty owe pokazywano, wywierało to bez wątpienia stosowne wrażenie. Dorota zaczynała pojmować, że wszystko, czego dziewczęta uczono, było kierowane do ich rodziców. Stąd owo „kopiowanie”, nacisk na pismo odręczne, papugowanie kilku gotowych francuskich zdań; były to tandetne i łatwe sposoby wywierania dobrego wrażenia. Tymczasem małe dziewczynki z szarego końca klasy ledwie potrafiły czytać i pisać, a jedna z nich - nazywała się Mavis Williams - raczej ponure jedenastoletnie dziecko o zbyt szeroko rozstawionych oczach - nie potrafiła nawet liczyć. W czasie ostatniego półtora semestru nie nauczyła się niczego, z wyjątkiem rysowania wężyków. Miała pokaźną stertę zeszytów wypełnionych wężykami, strona po stronie, wężykami wijącymi się bez końca, niczym korzenie namorzynu w moczarach tropiku.

Dorota starała się nie ranić uczuć dzieci piętnowaniem ich niewiedzy, ale w głębi duszy była zdumiona i przerażona. Nie wiedziała, że w cywilizowanym świecie istnieją jeszcze szkoły podobnego autoramentu. Cała atmosfera tego miejsca jawiła się tak cudacznie niewspółczesna - podobna do klimatu posepnych małych szkółek, o jakich czytywało się w wiktoriańskich powieściach. A co do tych paru podręczników, będących w posiadaniu klasy, niemal nie można było patrzeć na nie bez uczucia cofania się w połowę dziewiętnastego wieku. Istniały tylko trzy książki, których egzemplarze miało każde z dzieci: arytmetyka za szylinga, sprzed Wielkiej Wojny, ale nadal użyteczna; koszmarna mała książeczka zatytułowana *Historia Brytanii na stu stronicach* - paskudna mała broszurka formatu dwunastki w piaskowej brunatnej oprawie, zaopatrzona na frontyspisie portretem Boadicei z flagą brytyjską owijającą przód jej rydwanu. Dorota otworzyła tę książkę bez zastanowienia, trafiła na stronę 91 i przeczytała:

„Gdy zakończyła się Rewolucja Francuska, samozwańczy Cesarz Napoleon Buonaparte usiłował przechwycić władzę, ale choć pokonał kilka razy wojska kontynentalne, przekonał się rychło, że przekroczywszy »cienką czerwoną linię« zapędził się za daleko. Do rozstrzygnięć doszło na polach pod Waterloo, gdzie 50.000 Brytyjczyków stanęło do walki z 70.000 Francuzów - ponieważ Prusacy, nasi alianci, przybyli za późno, by wziąć udział w bitwie. Z donośnym brytyjskim okrzykiem bojowym nasi żołnierze runęli z pochyłości wzgórza, a wtedy wróg załamał się i uciekł. Teraz przejdziemy do Ustawy o Wielkiej Reformie z roku 1832, pierwszej z tych zbawczych reform, które ufundowały brytyjską wolność taką, jaką ona jest i wykreśliły nas spośród mniej szczęśliwych narodów”... (itd., itd.)

Broszura nosiła datę 1888. Dorota, która nigdy przedtem nie widziała tego rodzaju podręcznika historii, kartkowała go z uczuciem bliskim przerażenia. Pomieszczono tam także niesamowitą małą „czytanke”, datowaną 1863. Składała się ona w przewadze z wrywków z Fenimore'a Coopera, Dra Watts'a i Lorda Tennysona, a w końcu zawierała osobliwe, krótkie *Notatki o przyrodzie* z drzeworytami. Zobaczyła tam drzeworyt słonia, a pod nim małym drukiem: „Słoń to mądre zwierzę. Weseli się w cieniu drzew palmowych i choć jest silniejszy niż sześć koni, pozwala się kierować małemu dziecku. Jego pożywienie stanowią banany.”

I tak dalej, aż do wieloryba, zebry, jeżozwierza i cętkowanej żyrafy. W biurku nauczycielki znajdowały się także: egzemplarz *Pięknego Joe'go*, zmacerowana książeczka pod tytułem *Podglądanie Dalekich Łąków*, oraz francuski podręcznik frazeologiczny z roku 1891. Nosił tytuł *Wszystko, czego będziesz*

potrzebować w czasie wycieczki do Paryża, a pierwsze zdanie brzmiało: „Zasznurowuj mój gorset, ale nie za ciasno”. W całym pomieszczeniu nie było czegoś takiego jak atlas albo zestaw przyborów do nauki geometrii.

O jedenastej nastąpiła dziesięciominutowa przerwa, niektóre z dziewczyn zaczęły grać w nudną małą grę w kółka i krzyżyki albo sprzeczały się o piórniki, a kilka, pokonawszy wstyd, skupiło się przy stole Doroty i zaczęło z nią rozmawiać. Opowiedziały nieco więcej o pannie Strong i jej metodach nauczania, i jak ścisła im uszy, kiedy robiły kleksy w zeszytach. Wyglądało na to, że panna Strong była nauczycielką wielce rygorystyczną, wyjąwszy chwile, kiedy „działo się z nią niedobrze”, czyli mniej więcej dwa razy na tydzień. A kiedy działo się z nią niedobrze - piła jakieś lekarstwa z małej brązowej buteleczki i po wypiciu stawała się na chwilę wesolutka i opowiadała o swoim bracie z Kanady. Ale ostaniego dnia - kiedy zrobiło się jej bardzo niedobrze w czasie lekcji arytmetyki - lekarstwo pogorszyło stan nauczycielki jak nigdy, ponieważ zanim je łyknęła - zaczęła śpiewać i upadła na biurko, i pani Creevy musiała ją wynieść z klasy.

Po przerwie nastąpił kolejny cykl trzech kwadransów i na ten ranek nauka się skończyła. Dorota, po trzech godzinach spędzonych w wilgotnym i nie wietrzonym pokoju, czuła się znużona i sżywna, i byłaby najchętniej wyszła na zewnątrz dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, ale pani Creevy uprzedziła ją, że ma przyjść i pomóc w przygotowaniu jedzenia. Dziewczęta, które mieszkały w pobliżu szkoły, poszły na obiad do domów, ale pozostało siedem, które spożywały go w „małym salonie”, płacąc po dziesięć pensów. Był to posiłek nieprzyjemny, minął niemal w zupełnej ciszy, ponieważ dziewczynki w obecności pani Creevy bały się odezwać. Obiad składał się z kęsów duszonego baraniego karku. Pani Creevy wykazywała niezwykłą zrzęczość w podawaniu kawałków chudych „dobrym płatniczkom”, zaś tłustych „średnim płatniczkom”. Trójce „złych płatniczek” skromny lunch w papierowych torbach podawano do klasy.

Nauka zaczynała się ponownie o drugiej. Już po jednym zaledwie poranku spędzonym na nauczaniu, Dorota wróciła do zajęć kurcząc się wewnątrznie i z lękiem. Zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, jakie będzie jej życie, dzień po dniu i tydzień po tygodniu, w tym pozbawionym słońca pokoju: wypełnione bezskutecznymi usiłowaniami wciśnięcia w te oporne bachory rudymentów wiedzy. Ale kiedy zebrawszy dziewczęta, wywoływała ich nazwiska, jedna z nich, małe, chorowite dziecko o włosach koloru myszy, nazwiskiem Laura Firth, podeszła do biurka i wręczyła okazały bukiet brunatno-żółtych chryzantem, „od nas wszystkich”. Dziewczęta poczuły do Doroty sympatię i zrobiły

między sobą zbiórkę po cztery pensy, by kupić dla niej bukiet kwiatów. Coś drgnęło w sercu Doroty kiedy przyjmowała te brzydkie kwiaty. Spojrzała na anemiczne twarze i nędzne ubrania dzieci oczyma, które widziały więcej niż przedtem i poczuła nagły przyływ strasliwego wstydu na wspomnienie, że jeszcze z rana myślała o nich obojętnie, niemal z obrzydzeniem. Teraz ośwładnęło ją przemożne współczucie. Biedne dzieci, biedne dzieci! Jakże były zahamowane w rozwoju, jak źle traktowane! A mimo wszystko zachowały dziecięcą uprzejmość, która potrafiła sprawić, że wyzbyły się kilku pensów na kwiaty dla nauczycielki.

Od tej chwili poczęła się odnosić do swojej pracy zupełnie inaczej. W sercu wykuło się uczucie lojalności i przywiązania. To była jej szkoła; będzie dla niej pracować i będzie z niej dumna, i uczyni wszystko, by przeistoczyć z miejsca zniewolenia w miejsce ludzkie i przyzwoite. Prawdopodobnie będzie mogła uczynić niewiele. Była tak niedoświadczona i nie przystosowana do tej pracy, że powinna pouczyć się sama, zanim waży się bodaj zacząć edukację kogokolwiek innego. Mimo to uczyni wszystko, na co ją stać; uczyni wszystko, co wola i energia uczynić mogą, by uratować te dzieci przed potworną ciemnotą, w jakiej były trzymane.

3.

W ciągu następnych kilku tygodni dwie sprawy zajmowały Dorotę ze szkodą dla wszystkich pozostałych. Pierwsza to doprowadzenie klasy do pewnego porządku; druga - zawarcie konkordatu z panią Creevy.

Druga była o wiele trudniejsza. Dom pani Creevy tak potrafił obrzydzić życie, że to przechodziło ludzkie pojęcie. Zawsze panował w nim większy lub mniejszy chłód, od parteru do poddasza nie dało się wykryć ani jednego wygodnego krzesła, a jedzenie podawano podłe. Nauczanie jest zajęciem trudniejszym niż wygląda, a nauczyciel, żeby utrzymać się w formie, potrzebuje dobrego jedzenia. Straszliwie przygnębiająca była praca na diecie złożonej z pozbawionego smaku gulaszu z baraniny, mokrych gotowanych ziemniaków pełnych czarnych oczek, wodnistych budyniów z ryżu, ledwie posmarowanego chleba i cienkiej herbaty - a i tego nigdy dosyć. Pani Creevy, która była na tyle nickszemna, żeby skąpić jedzenia samej sobie, jadła to samo co Dorota, tyle że zagarniała lwią część. Każdego rana w czasie śniadania dwa smaźone jaja cięła na paski i dzieliła nierówno, a spodek z marmeladą zawsze pozostawał otoczony najwyższą czią. Dorota z każdym dniem stawała się coraz głodniej* sza. W dwa wieczory tygodnia, kiedy udawało się jej wyjść z domu, grzebała

w topniejących oszczędnościach i kupowała sobie tabliczkę czekolady, którą zjadała w najgłębszej tajemnicy - ponieważ pani Creevy, jakkolwiek głodziła Dorotę mniej lub bardziej celowo, poczułaby się śmiertelnie obrażona, dowiedziawszy się, że dokupuje jedzenie.

Najgorsze w położeniu Doroty było to, że nie miała życia prywatnego i bardzo niewiele czasu mogła uznawać za swój własny. Kiedy kończyły się zajęcia dzienne - jedynym jej schronieniem był „mały salon”, gdzie przebywała pod okiem pani Creevy, a pani Creevy dbała, żeby Dorota nie próżnowała nawet przez dziesięć minut. Ubrdała sobie albo udawała, że tak sądzi, iż Dorota jest osobą leniwą, która wymaga nieustannego nadzoru. I tak było zawsze, „dobrze, panno Millborough, zdaje się, że nie ma pani zbyt wielu zajęć na dziś wieczór, nieprawdaż? Czy nie ma tam jeszcze jakichś wypracowań wymagających korekty? Albo czemu nie weźmie pani igły i czegoś nie uszyje? Co do mnie, to jestem pewna, że nie potrafiłabym siedzieć w swoim fotelu nic nie robiąc, tak jak pani!” Zawsze wynajdywała dla Doroty jakieś zajęcia służby domowej, każąc nawet szorować podłogę w klasie w sobotnie ranki, kiedy dziewczęta nie przychodzą do szkoły; robiła to z niskich pobudek, ponieważ nie wierzyła, że Dorota wykona pracę właściwie i zazwyczaj po niej poprawiała. Pewnego wieczoru Dorota była na tyle nieostrożna, że z biblioteki publicznej przyniosła powieść. Pani Creevy splotęła niemal na sam jej widok. „Cóż to, w rzeczy samej, panno Millborough! Ani bym pomyślała, że znajdzie pani czas na czytanie!”, powiedziała z wyrzutem. Sama nie przeczytała w ciągu całego życia ani jednej książki do końca i była z tego dumna.

Poza tym, gdy Dorota nie przebywała w zasięgu wzroku, pani Creevy miała sposoby, by dawać jej swoją obecność odczuć. Nieustannie buszowała w sąsiedztwie klasy, by Dorota nigdy nie czuła się zabezpieczona przed jej wtargnięciem; a gdy uznawała, że w klasie panuje za duży hałas, tłukła zniecka w ścianę kijem miotły w taki sposób, że dzieci podskakiwały i odrywały się od zajęć. Przez wszystkie godziny dnia była niestrudzenie, hałaśliwie czynna. Kiedy nie gotowała obiadu, czyniła łoskot szczotką i śmietniczką, ponaglała posługaczkę albo wpadała do klasy, żeby „się rozejrzeć” w nadziei przyłapania Doroty lub dzieci na psotach, albo „grzebała w ogródku” - to znaczy zęcała się parą nożyc nad nieszczęsnymi rachitycznymi krzakami rosnącymi wśród resztek żwiru w ogrodzie za domem. Dorota mogła się od niej uwolnić jedynie w dwa wieczory, a zdarzało się to wtedy, gdy pani Creevy robiła „zajazdy”, zwane przez nią „wyprawami po dziewczyny”, to znaczy - gdy werbowała możliwych do pozyskania rodziców. Wieczory te Dorota spędzała zazwyczaj w bibliotece publicznej, ponieważ pod

nieobecność pani Creevy Dorota powinna być także poza domem, dla oszczędności opału i gazu. W inne popołudnia pani Creevy była zajęta pisaniem ponagających listów do rodziców albo listów do redaktora lokalnej gazetki targując się o cenę tuzina ogłoszeń, albo grzebaniem w ławkach dziewcząt, by sprawdzić czy ich zeszyty wypracowań zostały starannie poprawione, albo „coś tam sobie szyjąc”. Gdy tylko brakło jej zajęć choćby na pięć minut, wydobywała skrzynkę roboczą i zaczynała „coś tam sobie szyć”, przyszywając zazwyczaj jakieś olbrzymich rozmiarów spodenki gimnastyczne ze zgrzebnego białego mu. Była to najzimniej wyglądająca część garderoby, jaką sobie można w ogóle wyobrazić; zdawały się zawierać wprasowaną, strasliwą nieskazitelność, co nie udało się żadnemu czepcowi zakonnicy ani włosiennicy pustelnika. Ich wygląd kazał się zastanawiać nad zmarłym panem Creevy, nawet do granicy zwątpienia, czy w ogóle kiedykolwiek istniał.

Patrząc na styl życia pani Creevy oczyma człowieka postronnego, można by powiedzieć, że nie zaznawała żadnych przyjemności. Nigdy nie robiła niczego, co dla rozrywki robią inni, zwykli ludzie - nigdy nie chodziła do kina, nigdy nie zajrzała do książki, nigdy nie jadła słodczy, nigdy nie gotowała na obiad specjalnych dań ani nie ubierała się w coś ładniejszego. Życie towarzyskie nie znaczyło dla niej nic. Nie miała przyjaciół, prawdopodobnie nie potrafiłaby sobie wyobrazić czegoś takiego jak przyjaźń i tylko z rzadka, poza interesami, zamieniała słowo z bliźnimi. Nie tlił się w niej najłżejszy płomyk wiary. Choć każdej niedzieli szła do kościoła baptyistów, by swoją pobożnością wyrzucić wrażenie na rodzicach, jej stosunek do religii określał prymitywny antyklerykalizm oparty na przekonaniu, że kler „chce tylko twoich pieniędzy”. Zdawała się istotą zupełnie pozbawioną radości, całkowicie pogrążoną w nudzie własnej wegetacji. W rzeczywistości jednak sprawy miały się inaczej. Znalazłoby się kilka dziedzin, z których czerpała przejmująco silne i nieprzebrane przyjemności.

Na przykład skąpstwo i miłość do pieniędzy. Była to naczelną pasją jej życia. Są dwa rodzaje skąpców: typ bezwzględny, pazerny, który - jeśli tylko może - zrujnuje człowieka, ale który nigdy dwa razy nie ogląda dwu pensów; i drobny kutwa, który nie jest dość przedsiębiorczy, by robić pieniądze, ale który zawsze, jak się to mawia, ćwierćpensówkę wyjmie z gnoju zębami. Pani Creevy należała do tego drugiego gatunku. Nieustającym nagabywaniem i bezczelną błagą dopracowała się dla szkoły dwudziestu jeden uczennic, ale nigdy nie poszłaby dalej, ponieważ była zbyt nikczemna, by wydać więcej pieniędzy na niezbędne wyposażenie i stosownie zapłacić asystentce. Czesne płacone, albo nie płacone, przez dziewczęta wynosiło pięć gwinei za semestr,

z pewnymi dodatkami, tak więc - wedle swoich sił - głodząc i wyciskając poty z asystentki, ledwie mogła mieć nadzieję zarobienia na czysto więcej niż stu pięćdziesięciu funtów szterlingów rocznie. Ale to zdawało się ją zadowalać. Więcej znaczyła zaoszczędzona sześciopensówka niż zarobiony funt. Tak długo, jak mogła urwać z obiadu Doroty kolejny kartofel albo kupić dla niej tuzin zeszytów o pół pensa taniej, albo dopisać bezpodstawnie pół gwinei do rachunku „dobrych płatników”, była na swój sposób szczęśliwa.

A przy tym lubowała się w czystej, bezcelowej złośliwości - w małych, dokuczliwych uczynkach, nawet gdy nie dawały żadnego zysku. I nigdy się nimi nie męczyła. Należała do gatunku ludzi, którzy doznają czegoś w rodzaju duchowego orgazmu, kiedy udaje się im wejść komuś w paradę. Swoją wojnę z panem Boulgerem zza ściany - konflikt zaprawdę jednostronny, ponieważ pan Boulger nie był zawodnikiem wagi pani Creevy - toczyła bezwzględnie, nie oszczędzając mu niczego i na nic nie licząc. Pani Creevy doznawała tak przejmującej radości w okazywaniu pogardy panu Boulgerowi, że niekiedy miewała nawet ochotę za to zapłacić. Pan Boulger napisał przed rokiem do właściciela (każde z nich nieustannie pisało listy do właściciela ze skargami na postępowanie drugiej strony), by mu donieść, że komin kuchni pani Creevy dymi w jego tylne okna i zapytać, czy nie byłaby łaskawa podnieść go o dwie stopy. W tym samym dniu, kiedy dotarł do niej list właściciela, pani Creevy wezwała murarzy i kazała komin o dwie stopy obniżyć. Kosztowało ją to trzydzieści szylingów, ale było ich warte.

Rozgorzała potem wojna podjazdowa z nocnym przerzucaniem przedmiotów przez ogrodowy mur i w końcu pani Creevy odniosła zwycięstwo wyrzucając pojemnik z mokrymi popiołami na grzędy tulipanów pana Boulgera. Tak się złożyło, że pani Creevy doznawała rozkoszy bezkrwawej Wiktorii wkrótce po przybyciu Doroty. Odkrywszy przypadkiem, że korzenie śliwy pana Boulgera przebijają się pod murem do jej części ogrodu, wstrzyknęła w nie, nie mieszkając, całą puszkę chwastobójczego preparatu i uśmierciła drzewo. To niezwykle - tylko ten jeden, jedyny raz Dorota usłyszała śmiech pani Creevy.

Z początku Dorota zbyt zajęta, nie poświęcała uwagi pani Creevy i paskudnym cechom jej charakteru. Widziała dość wyraźnie, że pani Creevy to kobieta nienawistna, a jej własna sytuacja w dosłownym znaczeniu przypomina sytuację niewolnicy; ale niewiele ją to trapiło. Praca była zbyt absorbująca, zbyt - pod każdym względem - ważna. W porównaniu z tym własna wygoda, a nawet przyszłość, prawie nie miały dla niej znaczenia.

Doprowadzenie klasy do czynnego uczestnictwa w lekcjach nie zajęło więcej niż kilka dni. Zdumiewające, ale choć nie miała w nauczaniu doświadczenia

i żadnych wyrobionych na nie poglądów, to dosłownie od pierwszego dnia odnalazła się, jakby instynktownie, w poprawianiu, systematyzowaniu, wynajdywaniu. Istniało tyle spraw głośno domagających się załatwienia. Po pierwsze, oczywiście, należało poniechać przerażającej procedury „kopiowania”. Już po drugim dniu kadencji Doroty nic nie zostało przepisane, mimo jednego czy drugiego prychnięcia pani Creevy. Lekcje pisania zostały także ograniczone. Dorota pragnęła całkowicie zawiesić lekcje pisania przynajmniej dla starszych dziewcząt - wydawało się czymś idiotycznym, że piętnastoletnie panienki marnują czas na uprawianie kaligrafii - ale pani Creevy nie chciała o tym słyszeć. Zdawała się przydawać lekcjom kaligrafii znaczenie prawie magiczne. Następnym posunięciem było, rzecz jasna, wyrzucenie na śmietnik odrażającej *Historii na stu stronicach* i niedorzecznej małej „czytanki”. Byłoby czymś bardziej niż bezsensownym zwracanie się do pani Creevy o zakup dla dzieci nowych książek, ale w pierwsze sobotnie popołudnie Dorota wyblagała jej niechętną zgodę na wyjazd do Londynu, gdzie wydała dwa funty i trzy szylingi ze swoich cennych czterech funtów i dziesięciu szylingów, na tuzin używanych egzemplarzy taniej, szkolnej edycji Szekspira, wielki używany atlas, kilka tomów baśni Andersena dla młodszych dzieci, zestaw przyborów geometrycznych oraz dwa funty pasteliny.

Spostrzegła od pierwszego wejrzenia, że dzieci najbardziej potrzebowały, a nie zaznały nigdy, opieki indywidualnej. Zaczęła więc od podzielenia ich na osobne klasy, tak ustawiając sprawy, że dwa zespoły mogły pracować same, gdy ona „przerabiała” coś z trzecim. Z początku szło to opornie, zwłaszcza z dziewczynkami młodszymi, których uwaga - z chwilą gdy zostawały same - ulegała rozproszeniu i w zasadzie nigdy nie można było tracić ich z oczu. Mimo to jakże cudowne, jak nieoczekiwane, nieomal wszystkie z nich poczyniły postępy już w ciągu paru pierwszych tygodni! W większości nie były wcale głupie, a jedynie oszołomione przez tępą, mechaniczną gadaninę. Trwały w oporze przed nauką około tygodnia; a potem, dość nagle, ich niechętnie małe mózdzki rozprężyły się i rozwinęły niczym stokrotki, gdy z nich usunąć ogrodowy walec.

Dość szybko i łatwo Dorota narzuciła zwyczaj samodzielnego myślenia. Spowodowała, że zaczęły pisać „essaye” z własnych głów, zamiast przepisywać bzdury o ptakach śpiewających na gałęzi i kwiatkach strzelających z pąków. Uderzyła od podstaw w ich pojęcia o arytmetyce, wprowadziła małe dziewczynki w tajniki mnożenia, starsze poprowadziła poprzez dzielenie do ułamków; trzy doholowała do poziomu, na którym możliwa stawała się dyskusja o systemie dziesiętnym. Uczyła podstaw gramatyki francuskiej za-

miast „*passer-moi le beurre, s'il vous plait*” i „*le fils du jardinier a perdu son chapeau*”. Stwierdziwszy, że żadna z dziewcząt w klasie nie wiedziała, jak wygląda jakikolwiek kraj na świecie (choć kilka z nich pamiętało, że Ouito jest stolicą Ekwadoru), zapędziła je do wykonania na arkuszu trójwarstwowej dykty obszernej mapy plastycznej Europy, z plasteliny, przenosząc ją w skali z atlasu. Dzieci uwielbiały lepienie mapy: ciągle krzykliwie domagały się pozwolenia na dalszą przy niej pracę. Zajął całą klasę, z wyjątkiem sześciu najmłodszych dziewczynek oraz specjalistki od wężyków - Mavis Williams, czytaniem *Makbeta*. Żadne z tych dzieci nigdy w życiu nie przeczytało dobrowolnie niczego, może z wyjątkiem *Notatek własnych dziewczyny*, z ochotą wzięły się za Szekspira, jak czynią wszystkie dzieci, jeśli - poprzez rozbiór gramatyczny i analizę - nie robi się zeń straszdyła.

Najtrudniej było uczyć historii. Dorota nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak trudno dzieciom z biednych domów wyrobić bodaj mgliste pojęcie o tym, czym jest historia. Każda osoba z warstw wyższych, nawet niedoinformowana, wzrasta z pewnym pojęciem o historii; może sobie wyobrazić rzymskiego centuriona, średniowiecznego rycerza, osiemnastowiecznego szlachcica; nazwy antyku, wieków średnich, renesansu, rewolucji przemysłowej - wywołują pewne skojarzenia, nawet jeśli się mylą. Ale te dzieci pochodziły z domów bez książek i od rodziców, którzy zaśmiewaliby się, usłyszawszy, że przeszłość ma jakieś znaczenie dla terażniejszości. Nigdy nie słyszały, że istniał jakiś Robin Hood, nigdy nie odgrywały ról rojalistów i żołnierzy Cromwella, nigdy nie były ciekawe, kto zbudował angielskie kościoły i co znaczy napis Fid.Def.* na monecie jednopensowej. Istniały jedynie dwie historyczne postaci, o których słyszały niemal wszystkie bez wyjątku, a byli nimi Kolumb i Napoleon. Bóg raczej wiedzieć dlaczego - prawdopodobnie Kolumb i Napoleon trafiają do gazet nieco częściej niż inne historyczne osoby. Wydawało się, że obaj zapadli w wyobraźnię dziewcząt jak Tweedledum i Tweedledee z *Alicji w Krainie Czarów*, przesłaniając im cały pejzaż przeszłości. Spytane, kiedy wynaleziono samochód, jedno z dzieci, dziesięcioletnie, zgadywało niepewnie: „około tysiąca lat temu, przez Kolumba.”

Dorota odkryła, że niektóre ze starszych dziewcząt przerabiały *Historię na stu stronicach* aż cztery razy, od Boadicei do Pierwszego Jubileuszu, a mimo to właściwie nie pamiętały z niej nic, ani słowa. Niewielka strata, w większości były to kłamstwa. Zaczęła cały kurs od nowa, od najazdu Juliusza Cezara. Początkowo próbowała wypożyczać książki z biblioteki

publicznej i czytać dzieciom na głos; ale ta metoda zawiodła, nie rozumiały bowiem nic, co nie zostało im objaśnione jedno- lub dwusylabowymi słowami. Tak więc robiła co mogła, opowiadając własnymi słowami, przy niepełnej wiedzy, komponując coś w rodzaju parafraz tego, co przeczytała; starając się cały czas wprowadzić do małych ciemnych mózdków obraz przeszłości i - co było znacznie trudniejsze - wzbudzić pewne nią zainteresowanie. Aż pewnego dnia wpadła na błyskotliwy pomysł. Kupiła rolkę taniej, szarej tapety w sklepie materiałów tapicerskich i nakłoniła dzieci do wykonania wykresu historii. Podzieliły zwój papieru na stulecia i lata, i naklejały na nim wycinki z pism ilustrowanych - rysunki rycerzy w zbrojach i hiszpańskich galeonów, pras drukarskich i kolei żelaznej. Rozpięty naokoło pokoju wykres, w miarę jak przybywało na nim wycinków, pokazywał panoramę historii Anglii. Dzieci były bardziej zadowolone z tego wykresu niż z mapy plastycznej. Dorota stwierdziła, że zawsze wykazywały więcej inteligencji, kiedy należało wykonać coś, niż o tym czytać. Mówiło się nawet o sporządzeniu mapy plastycznej świata, cztery stopy na cztery, z papier machć, jeśli Dorocie uda się „podejść” panią Creevy tak, by zezwoliła na przygotowanie papier machć - a proces to śmieciarski, wymagający wiader wody.

Pani Creevy obserwowała pomysły Doroty podejrzliwym okiem, ale na razie nie wtrącała się osobiście. Nie miała, rzecz jasna, zamiaru tego okazywać, byki jednak wewnętrznie rada i ukontentowana, że otrzymała asystentkę, która rzeczywiście chce pracować. Widząc, że Dorota wydaje własne pieniądze na podręczniki dla dzieci, doznała swoistego lubego uczucia, jakie miewała przy popełnianiu kolejnego oszustwa. Jednakże na wszystko co robiła Dorota, parskała i pomrukiwała, i traciła masę czasu na domaganie się tego, co nazywała „wszechstronną korektą” dziewczęcych zeszytów do ćwiczeń. Dzieci nosiły swoje zeszyty co pewien czas rodzicom do kontroli i pani Creevy nigdy nie pozwalała na wpisywanie niczego uwłaczającego. Nic nie mogło zostać ocenione jako „niedostateczne” albo przekreślone, albo podkreślone zbyt grubo; zamiast tego Dorota wieczorami ozdabiała zeszyty, pod dyktando pani Creevy, mniej lub bardziej pochwalnymi uwagami pisanymi czerwonym atramentem. „Bardzo chlubne osiągnięcie”, „Wspaniałe!”, „Robisz wielkie postępy. Tylko tak dalej!” - należały do ulubionych ocen pani Creevy. Wszystkie dzieci w tej szkole, co znamienne, niezmiennie robiły „wielkie postępy”; nie ustalono jedynie w jakim szły one kierunku. Rodzice jednakże, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, połknęliby nieograniczoną ilość podobnych duserów.

Zdarzało się, rzecz jasna, że Dorota miewała kłopoty z dziewczętami. Fakt, że były w różnym wieku, utrudniał z nimi postępowanie; jakkolwiek ją polubiły i zdawały się bardzo „dobre” od samego początku, nie byłyby w ogóle dziećmi pozostając niezmiernie „dobrymi”. Czasem bywały leniwe, niekiedy oddawały się pokusie najbardziej nieznośnego u uczennic - chichotu. W ciągu kilku pierwszych dni Dorota ogromnie przejmowała się małą Mavis Williams. Trudno sobie wyobrazić, że dziecko może być aż tak głupie. I to już jedena-stoletnie. Nie mogła niczego wskórać. Przy pierwszej próbie skłonienia małej, by wykonała coś poza wężykiem, w zbyt szeroko rozstawionych oczach pojawiła się niemal nieludzka tępota. Czasem jednak stawiała się gadatliwa i zadawała najbardziej zdumiewające i niemożliwe do odpowiedzi pytania. Na przykład otwierała czytanke, znajdowała ilustrację, powiedzmy mądrego słonia i pytała Dorotę:

- Psze pani, co t'je tutej? - (Przekręcała słowa w cudaczny sposób.)

- To jest słoń, Mavis.

- Co t'je słoń?

- Słoń to rodzaj dzikiego zwierzęcia.

- Co t'je zwierzęcie?

- No, na przykład pies, to jest zwierzę.

- Co t'je pies?

I tak dalej, mniej więcej, w nieskończoność. W połowie zajęć czwartego ranka Mavis podniosła rękę i powiedziała z chytrą grzecznością w głosie, co powinno było wprawić Dorotę w stan czujności:

- Psze pani, mogę ja psz-prosić?

- Tak - odpowiedziała Dorota.

Jedna z większych dziewcząt podniosła rękę, oblała się rumieńcem i opuściła ramię, jakby zbyt zawstydzona, żeby coś powiedzieć. Zachecona przez Dorotę bąknęła nieśmiało:

- Proszę pani, panna Strong nigdy nie puszczała Mavis samej do ustępu. Ona się zamyka i nie chce wyjść, a potem pani Creevy się gniewa, psze pani.

Dorota wysłała pomoc, ale było za późno. Mavis pozostała *in laterbra pudenda* do godziny dwunastej. Pani Creevy wytłumaczyła później Dorocie, prywatnie, że Mavis jest skończoną idiotką - albo, jak to sformułowała, „ma nie w porządku w głowie”. Nauczenie jej czegokolwiek było zupełnie niemożliwe. Oczywiście pani Creevy nie dzieliła się tym z rodzicami Mavis, którzy trwali w wierze, że jest tylko „cofnięta w rozwoju” i płacili czesne regularnie. Z Mavis można było sobie radzić dość łatwo. Należało dać jej zeszyt i ołówki, i kazać, by malowała obrazki i siedziała cicho. Ale Mavis, dziecko z zasadami,

nie rysowała nic prócz wężyków, pozostając przy tym cicho całymi godzinami, z językiem wywieszonym na brodę, wśród girlandów wężyków najwyraźniej szczęśliwa.

Wbrew drobnym utrudnieniom, jakże świetnie wszystko szło w ciągu tych kilku pierwszych tygodni! Jak złowieszco dobrze, w rzeczy samej! Około dziesiątego listopada, po długotrwałym biadaniu na ceny węgla, pani Creevy zezwoliła na rozpalenie w klasie kominka. Kiedy izba została należycie ogrzana, umysły dzieci wyraźnie się rozjaśniały. Czasem zdarzały się godziny szczęścia, kiedy ogień trzaskał w palenisku, pani Creevy nie było w domu, a lekcja przez dzieci ulubiona - wtedy pracowały cicho i z zapalem. Najlepiej się układało, kiedy dwie wyższe klasy czytały Makbeta. Dziewczęta z zapartym tchem piskliwie przelatywały poprzez sceny i Dorota musiała je cofać, każąc właściwie wymawiać słowa i wyjaśniając kim był młody mąż Bellony i w jaki sposób czarownicy dosiadały mioteł; a dziewczęta pragnęły się dowiedzieć, nieomal z takim podnieceniem, jakby to była powieść detektywna, w jaki sposób Lasek Birnam mógł podejść pod Dunsinane, a Makbet został zabity przez człowieka, którego nie urodziła kobieta. Są chwile, które sprawiają, że nauczanie jest warte zachodu - chwile, kiedy entuzjazm dzieci wybucha jak odwzajemniana namiętność, a nagłe, nieoczekiwane przebłyski inteligencji nagradzają wcześniejszą mordęgę nauczyciela. Żadne zajęcie nie wydaje się bardziej fascynujące od nauczania, jeżeli się ma w nim wolną rękę. Także Dorota, jak do tej pory, nie wiedziała, że owo „jeżeli” należy do największych „jeżeli” na świecie.

Wykonywana praca odpowiadała jej i Dorota była szczęśliwa. W tym czasie znała już gruntownie umysłowość dzieci, znała ich osobliwości i owe szczególne podniety potrzebne, aby je nakłonić do myślenia. Rozmiłowała się w nich, bardziej zainteresowała rozwojem, starała się uczynić dla nich wszystko, na co było ją stać, a o czym jeszcze tak niedawno nie mogłaby nawet pomyśleć. Złożony, nigdy nie kończący się trud nauczania wypełnił jej życie dokładnie tak, jak nieustanne zajęcia parafialne wypełniały je w domu. Myślała i śniła o nauczaniu; brała książki z biblioteki publicznej i studiowała teorie edukacji. Czuła, że i bez żadnego przymusu mogłaby uczyć przez całe życie, nawet za szylinga tygodniowo z utrzymaniem, jeżeli by miało pozostać tak, jak teraz. Pomyślała, że to jej powołanie.

Niemal każda praca, zajmująca ją całkowicie, stanowiła ulgę po tamtej koszarnej jałowiznie czasu ponizającej nędzy. A to coś więcej niż po prostu praca; tak się jej wydawało - była to misja, cel życia. Ale czy naprawdę próba przebudzenia zaćmionych umysłów dzieci, próba usunięcia oszustwa,

jakiemu je poddawano w imię edukacji, były czymś, czemu mogła oddać serce i duszę? Na razie, w interesie swojej pracy, lekceważyła całą ohydę przebywania w domu pani Creevy i niemal zapominała o własnej osobliwej, anomalnej sytuacji i niepewnej przyszłości.

To, oczywiście, nie mogło trwać.

Upłynęło niewiele tygodni, a już rodzice zaczęli się wtrącać w program zajęć Doroty. To zaś - kłopoty z rodzicami - stanowi stałą część ustalonego porządku życia szkoły prywatnej. Z punktu widzenia nauczyciela wszyscy rodzice są męczący, a już rodzice dzieci z czwartzorzędných szkółek prywatnych są całkowicie niemożliwi. Z jednej strony nie mają najmętniejszego pojęcia, co to edukacja; z drugiej patrzą na „szkolenie” dokładnie tak, jak na rachunek od rzeźnika albo ze sklepu spożywczego i trwają w nieustającym podejrzeniu, że są oszukiwani. Bombardują nauczyciela fatalnie napisanymi listami, stawiają nierealne żądania, przesyłając je przez dzieci, które czytają to w drodze do szkoły. Pod koniec pierwszych dwu tygodni, Mabel Briggs, jedna z najbardziej obiecujących dziewcząt w klasie, przyniosła Dorocie następujący liścik:

„Droga Panienko, zeche Pani łaskawie dać Mabel nieco więcej arytmetyki? Odnoszę wrażenie, że to, co jej Pani daje, nie jest praktykowne. Wszystkie te mapy i takie tam. Ona chce praktywnej roboty, nie tych tam kaprysuf. Więc więcej arytmetyki, proszę. Pozostaję, Pani oddany

Geo.Briggs

PS. Mabel powiada, że Pani wprowadza coś, co się nazywa system dziesiętny. Nie chcę, żeby ją uczono systemu dziesiętnego, chcę, żeby ją uczono arytmetyki.”

Tak więc Dorota zwolniła Mabel z geografii, a w zamian dała dodatkowe lekcje arytmetyki, co Mabel przyjęła z płaczem. Nadeszło więcej listów. Pewna dama poczuła się zaniepokojona usłyszawszy, że jej dziecko jest zmuszane do czytania Szekspira. „Usłyszałam”, pisała, „że ten Szekspir był pisarzem sztuk scenicznych” i czy panna Millborough „jest dość pewna, że nie był to bardzo niemoralny pisarz?” Bo jeśli chodzi o nią samą, to jeśli sobie dobrze przypomina, nigdy w życiu nie pozwoliła sobie pójść na sztukę teatralną, a ma wrażenie, że „nawet czytanie sztuk teatralnych niesie ze sobą bardzo poważne niebezpieczeństwa.” eto., eto. Przyznawała jednak, iż poinformowano ją, że pan Szekspir nie żyje. To zdawało się nieco uspokajać. Inny rodzic domagał

się poświęcenia większej uwagi jego dziecku przy nauce pisania, jeszcze inny uważał francuski za stratę czasu; w końcu starannie przez Dorotę ułożony plan zajęć został niemal doszczętnie zburzony. Pani Creevy dała jej jasno do zrozumienia, że musi robić wszystko, czego domagają się rodzice albo udawać, że robi. W wielu przypadkach było to niemal niewykonalne, ponieważ gdy jednemu dziecku poleciła - na przykład - zająć się arytmetyką, podczas gdy reszta klasy przerabiała historię czy geografę, wszystko ulegało rozchwierutaniu. Ale w szkołach prywatnych słowo rodziców stanowi prawo. Takie szkoły istnieją podobnie jak sklepy, dzięki schlebianiu swoim klientom, więc jeśli rodzic żądał, by jego dziecka nie uczono niczego, prócz zabawy sznurkami „w wodę” albo alfabetu pisma klinowego, nauczyciel wołał się raczej zgodzić, niż stracić ucznia.

Doszło do tego, że rodzice czuli się coraz bardziej zaniepokojeni przynoszonymi przez dzieci do domów opowieściami o metodach Doroty. Nie widzieli żadnego sensu w nowinkarskich pomysłach robienia np. map plastycznych i czytania poezji, zaś stara mechaniczna metoda, która tak przerażała Dorotę, trafiała do nich jako jedyna bezdyskusyjnie sensowna. Stawali się z czasem bardziej nerwowi, a ich listy upstrzone słowem „praktyczny” oznaczały w rezultacie więcej lekcji pisania i więcej arytmetyki. Zresztą nawet ich pojęcie arytmetyki ograniczało się do dodawania, odejmowania, mnożenia i ćwiczeń; długie słupki dzielenia dodawane jako spektakularny *tour de force* nie miały istotnego znaczenia. Bardzo nieliczni spośród nich potrafiliby osobiście podliczyć sumę w liczbach dziesiętnych, nie dbali więc zbyt, by potrafiły to robić ich dzieci.

Jednakże, gdyby chodziło tylko o to, nie zaistniałyby prawdopodobnie żadne poważniejsze kłopoty. Rodzice dokuczali Dorocie, bo tak czynią wszyscy rodzice; Dorota zaś nauczyła się w końcu - czego wszyscy nauczyciele w końcu się uczą - że przy odrobinie taktu, można rodziców bezpiecznie lekceważyć. Istniał wszakże czynnik, który z całą pewnością prowadził, do spięć. Mianowicie to, że rodzice wszystkich, poza trójką, dzieci byli odszczepieńcami, podczas gdy Dorota - anglikanką. To prawda, że straciła wiarę - w istocie, w ciągu paru miesięcy, pod naporem rozmaitych dramatycznych przygód, niemal nie myślała o swojej wierze albo o jej utracie. Ale to nie miało znaczenia; człowiek wyznania rzymsko katolickiego, anglikańskiego, odszczepieniec, żyd, mahometanin czy niewierny - zachowuje taki sposób myślenia w jakim go wychowano. Dorota, urodzona i wychowana w obrębie kościoła, nie miała zrozumienia dla mentalności odszczepieńców. Przy najlepszej woli nie potrafiła postępować tak, by nie narazić się niektórym rodzicom.

Niemal na samym początku doszło do utarczki na tle zajęć z *Pismem*. Dwa razy w tygodniu dzieci zwykły czytać kilka rozdziałów *Biblii*. Ze *Starego Testamentu* i z *Nowego Testamentu*, na zmianę. Kilkanaścioro rodziców napisało listy z żądaniem, by panna Millborough łaskawie nie odpowiadała dzieciom, jeśli spytają o Marię Dziewicę; fragmenty o Marii Dziewicy powinny być pominięte milczeniem albo - jeśli to możliwe - całkowicie opuszczone. Sprawę na ostrzu noża postawił Szekspir, pisarz niemoralny. Dziewczęta przedzierały się przez *Makbeta* żądając wyjaśnienia, w jaki sposób miało się spełnić proroctwo wiedźm. Doszły do scen końcowych. Lasek Birnamski podszedł do Dunsinane - ta część została w pewnym stopniu rozszyfrowana, ale co z człowiekiem, którego nie zrodziła kobieta? Dotarli do fatalnego miejsca:

MAKBET: Trudzisz się daremnie:

Z równą łatwością twoim ostrym mieczem
możesz powietrze ciąć, co mnie skaleczyć;
zajmij się lepiej cieciem pióropuszy:
moje życie zakłete i wziąć go nie może
zrodzon z niewiasty. MAKDUF:

Daj pokój zakłębom:

duchowi zostaw je, któremuś służył.
Zdradzę ci; Makduf z łona swojej matki
został wydarty przed czasem!

Dziewczęta były wyraźnie zaintrygowane. Chwilę trwała cisza, potem rozległ się szmer głosów po całej klasie:

- Psz'pani, a co to znaczy?

Dorota wyjaśniła. Wyjaśniła powściągliwie i niedokładnie, z nagłym straszliwym, złym przecuciem, ostrzeżeniem, że to może doprowadzić do kłopotów. Mimo to wyjaśniła. Potem, oczywiście, rozpętała się heca.

Około połowy dzieci z klasy poszło do domów i zapytało rodziców o znaczenie słowa „łono”. Wybuchło gwałtowne poruszenie, tam i z powrotem zaczęły latać komunikaty, piętnastoma poczciwymi domami odszczepieńców targnął elektryzujący wstrząs przerażenia. Tej nocy rodzice zwołali zapewne rodzaj konklawe, ponieważ następnego wieczoru, w porze, kiedy kończyły się lekcje, do pani Creevy zgłosiła się ich deputacja. Dorota słyszała jak przychodzą pojedynczo i parami, i domyśliła się następstw. Ledwie zwolniła dzieci, gdy usłyszała z góry ostry krzyk pani Creevy:

- Pani tu pozwoli na chwilę, panno Millborough!

Dorota poszła na piętro, starając się opanować drzenie kolan. W posępnym pokoju przyjęć pani Creevy stała ponuro przy fortepianie, gdy sześcioro rodziców, niczym krąg inkwizytorów, siedziało wokół na pokrytych końską skórą krzesłach. Znalazł się wśród nich pan Geo. Briggs, autor listu o arytmetyce Mabel - rzeźko wyglądający zieleniarz z suchą, wiedźmowatą żoną; był także masywny, bykowaty mężczyzna z obwisłymi wąsami i żoną osobliwie płaską, która wyglądała tak, jakby ją spłaszczal jakiś ciężki przedmiot - być może własny mąż. Dorota nie dosłyszała nazwisk tych dwojga. Przyszła także pani Williams, matka owej sympatycznej idiotki, mała, ciemna, bardzo tępa kobieta, która zawsze zgadzała się z ostatnim mówcą, a także pan Poynder, handlarz obwoźny. Był to młodo wyglądający człowiek w średnim wieku, o szarej twarzy, ruchliwych wargach i łysej czaszce, do której zostały starannie przyklejone dość obrzydliwie wyglądające pasma mokrych włosów. Na cześć wizyty rodziców w kominku płonęło ognisko skomponowane z trzech tłących się dużych brył węgla.

- Proszę usiąść tam, panno Millborough - rozkazała pani Creevy, wskazując twarde krzesło stojące niczym stołek cudzołożników w środku kręgu rodziców.

Dorota usiadła.

- A teraz - odezwała się pani Creevy - zechce pani posłuchać, co ma jej do powiedzenia pan Poynder.

Pan Poynder miał bardzo wiele do powiedzenia. Pozostali rodzice najwyraźniej wybrali go na swego rzecznika, mówił więc, aż w kącikach ust pojawiły się plamki żółtawej piany. A co godne szczególnej uwagi, potrafił wszystko wyrazić - tak ujmujący był jego szacunek dla przyzwoitości - ani razu nie wymieniwszy słowa, które spowodowało całe zamieszanie.

- Czuję, że wyrażam opinię nas wszystkich - powiedział z płynną łatwością komiwojażera - mówiąc, że jeśli panna Millborough wiedziała, że ta sztuka - *Makduf* albo jak tam się ona zwie - zawiera podobne słowa, o jakich właśnie mówimy, nigdy nie powinna była dawać jej dzieciom do czytania. Wedle mnie to jest haniebne, że podręczniki szkolne mogą być drukowane z takimi w nich słowami. Jestem przekonany, że gdyby ktokolwiek z nas wiedział, że Szekspir był podobnym gagatkiem, przydeptalibyśmy go już na samym początku. Muszę powiedzieć, że mnie to zaskakuje. Dopiero wczoraj przeczytałem artykuł w mojej „News Chronicie” o Szekspirze jako o ojcu angielskiej literatury; cóż, jeżeli to jest literatura, to miejmy mniej literatury, powiadam! Myślę, że w tym wszyscy się ze mną zgodzą. Z drugiej strony, jeśli panna Millborough nie wiedziała, że to słowo

- no, to słowo, które mam na myśli - ma się pojawić, powinna była przejść nad nim, nie zauważając go, kiedy już się pojawiło. Nie widzę najmniejszej potrzeby wyjaśniania go dziewczynkom. Trzeba było im powiedzieć, żeby siedziały cicho i nie zadawały pytań - to jest właściwe postępowanie z dziećmi.

- Ale dzieci nie zrozumiałyby sztuki, gdybym nie objaśniła - zaprotestowała Dorota po raz trzeci lub czwarty.

- Oczywiście, że nie zrozumiałyby! Pani, zdaje się, nie łapie, o co mi idzie, panno Millborough! My nie chcemy, żeby rozumiały. Pani myśli, że chcemy, żeby wyłuskiwały z książek brudne pomysły? Dość już tego w tych wszystkich brudnych filmach i dwupensowych pisemkach dla dziewcząt, za jakimi one przepadają - wszystkie te szmatławe, brudne historyjki miłosne z obrazkami - nie, ja na to nie pozwalam. Nie posyłamy naszych dzieci do szkół po to, żeby tam napychano ich głowy pomysłami. Mówiąc to, przemawiam w imieniu wszystkich rodziców. Wszyscy jesteśmy ludźmi czującymi respekt przed Bogiem - jedni z nas są baptystami, inni metodystami, mamy wśród siebie nawet jednego czy dwóch anglikanów; ale potrafimy zapomnieć o dzielących nas różnicach, kiedy dochodzi do sprawy takiej jak ta - staramy się wychowywać nasze dzieci w przyzwoitości i uchronić przed poznawaniem spraw seksualnych. Gdyby to ode mnie zależało, żadne dziecko - a w każdym razie żadna dziewczyna - nie poznałaby niczego ze spraw seksualnych przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia.

Wszyscy rodzice zgodnie pokiwali głowami, zaś bykowały mężczyzna dodał:

- Jo, jo, jezdem za tem, panie Poynder, jo, jo! - wzdychając przy tym głęboko.

Po omówieniu problemu Szekspira, pan Poynder dodał kilka uwag o nowinkarskich metodach nauczania zastosowanych przez Dorotę, które dały panu Geo. Briggsowi okazję do wtrącania od czasu do czasu: - O, to, to! Zajęcia praktyczne, to jest to, czego chcemy - zajęć praktycznych! Nie tam te dyrdymały jak ta cała po'zja i robienie map i naklejanie wycinków na papier i takie tam. Pani da jem co do liczenia i pisania i nie dba o resztę. Zajęcia praktyczne. To było do powiedzenia!

Wszystko trwało dwadzieścia minut. Dorota miała początkowo zamiar spierać się, ale ujrzała, że pani Creevy gniewnie potrząsa głową nad ramieniem bykowanego mężczyzny, co słusznie odebrała jako sygnał, że ma milczeć. Rodzice, zanim skończyli, doprowadzili Dorotę niemal do łez i dopiero zauważywszy to, gotowi byli odejść. Ale zatrzymała ich pani Creevy.

- Chwileczkę, panie i panowie - powiedziała. - Teraz, kiedyście się wszyscy wypowiedzieli - a jestem pewna, że bardzo się cieszę z dania wam tej możliwości - chciałabym wtrącić małą uwagę od siebie. Po prostu, żeby wyjaśnić, na wypadek, gdyby ktoś z państwa mógł pomyśleć, że to mnie trzeba winić za tę paskudną aferę, jaka się wydarzyła. Pani też niech zostanie, panno Millborough! - dodała.

Obróciła się do Doroty i w obecności rodziców udzieliła jej jadowitej, trwającej ponad dziesięć minut, reprimendy. Okazało się, że Dorota wniosła do tego domu brudne książki poza jej plecami; że było to monstrialne przemieszczenie i niewdzięczność; i że jeśli coś podobnego powtórzy się - Dorota odejdzie z tygodniówką w kieszeni. Powtarzała to z naciskiem kilka razy. Zdania w rodzaju „dziewczyna, którą przyjęłam do mego domu”, „jedząca mój chleb”, a nawet „żyjąca z mojej łaski” powtarzały się wielokrotnie. Rodzice siedzieli naokoło obserwując ją - a w ich bezmyślnych twarzach - nie niemiłych czy złych, ale stępionych przez ignorancję i ostatniej miary cnoty - można było dostrzec solenną aprobatę, namaszczonej rozkosz udziału w spektaklu potępienia grzechu. Dorota rozumiała, że „reprimenda” udzielona jej przez panią Creevy w obecności rodziców byki niezbędna, żeby dać im poczucie, iż za swoje pieniądze otrzymują to, co się im należy - by wyszli usatysfakcjonowani. Mimo to, w miarę jak ciekły strumień nędznych, okrutnych przygan, w jej sercu narastał taki gniew, że z przyjemnością wstałaby i trzasnęła panią Creevy w twarz. Powtarzała sobie bez końca: „Nie wytrzymam tego, ja tego dłużej nie wytrzymam! Powiem, co o niej myślę i potem wyjdę z tego domu!” Ale nie zrobiła niczego w tym rodzaju. Ujrzała z przejmującą wyrazistością swoją beznadziejną sytuację. Cokolwiek się działo, jakiegokolwiek by przyszło przetykać zniewagi, musiała tę pracę zachować. Tak więc siedziała cicho, z twarzą zarumienioną przez poniżenie, w kręgu rodziców; gniew zmienił się w cierpienie i zdała sobie sprawę, że jeśli temu nie potrafi zapobiec, zacznie płakać. Ale też wiedziała doskonale, że jeśli zacznie płakać - będzie to ostatnia kropla wody, która przebierze miarę i rodzice zażądają jej zwolnienia. By się powstrzymać wbiła w dłonie paznokcie tak głęboko, że potem spostrzegła, iż wycisnęła z nich kilka kropel krwi.

W tej chwili „reprimenda” zaczęła się wyczerpywać w zapewnieniach pani Creevy, że to się już nigdy nie powtórzy i że te nieczne Szekspiry zostaną natychmiast spalone. Teraz rodzice byli już zupełnie zadowoleni. Dorota otrzymała lekcję i niewątpliwie z niej skorzysta; nie mieli wobec niej złych zamiarów ani nie zdawali sobie sprawy, że ją upokarzają. Powiedzieli pani

Creevy „do widzenia” i nieco chłodniejsze „do widzenia” Dorocie, i wyszli. Także Dorota wstała, by wyjść, ale pani Creevy kazała jej zostać na miejscu.

- Proszę chwilę zaczekać - rzekła złowieszczo, kiedy rodzice opuścili pokój. - Jeszcze nie skończyłam, o, zupełnie nie.

Dorota usiadła ponownie. Czuła, że drżą jej kolana i że jest bliższa też niż kiedykolwiek. Pani Creevy, odprowadziwszy rodziców do drzwi frontowych, wróciła z dzbankiem wody i zalała nią ogień - bo jakież sens palić dobry węgiel, kiedy rodzice wyszli? Dorota oczekiwała, że „reprimenda” pani Creevy zacznie się na nowo. Jednakże gniew pani Creevy zdawał się wygasać - w każdym razie zrezygnowała z obraźliwych racji, jakie koniecznie należało wyłożyć w obecności rodziców.

- Chcę z panią porozmawiać chwileczkę, panno Millborough - powiedziała. - Dojrzał czas, żebyśmy ustaliły raz na zawsze, jak ta szkoła ma być prowadzona i jak nie będzie prowadzona.

- Tak - bąknęła Dorota.

- Cóż, będą z panią szczerą. Kiedy pani tu przysła, mogłam widzieć nie patrząc, że o nauczaniu w szkole nie miała pani elementarnego pojęcia; ale mnie by to nie przeszkadzało, gdyby pani miała odrobinę zdrowego rozsądku, takiego jaki miewa każda dziewczyna. Wydaje się jednak, że pani go nie miała. Pozwoliłam pani iść własną drogą przez tydzień - dwa, a pierwsze, co pani robi, to zraża sobie rodziców. No więc nie chcę, żeby to się powtórzyło. Od tej chwili sprawy pójdą po mojemu, nie po paninemu. Czy pani to rozumie?

- Tak - powtórzyła Dorota.

- Pani uważa, pani nie myśli, że sobie bez niej nie poradzę - ciągnęła pani Creevy. - Mogę mieć każdego tygodnia nauczycieli z dyplomami M A i B A i wszystkich innych. Tylko że ci z M A i B A w większości mają ciągoty do picia albo do... zresztą to nie ma znaczenia. A pani, przyznam, nie widzę, żeby panią ciągnęło do picia albo czegoś w tym rodzaju. Ośmielałam się powiedzieć, że możemy żyć w zgodzie, jeśli zarzuci pani te nowinkarskie pomysły i zrozumie, co się tu uważa za nauczanie praktyczne. No więc niech mnie pani posłucha.

Dorota słuchała. Z podziwu godną jasnością i z cynizmem, który był tym bardziej odrażający, że całkowicie nie uświadomiony, pani Creevy wyłożyła technikę brudnego oszustwa, które nazywała nauczaniem praktycznym.

- Co powinna pani zapamiętać raz na zawsze - zaczęła - to to, że w szkole liczy się tylko jedno, to znaczy chesne. Cała paplanina o „rozwijaniu dziecięcych umysłów”, jak to pani nazywa, psu na budę. Mnie interesuje chesne, a nie rozwijanie dziecięcych umysłów. Krótko mówiąc, nic więcej,

tylko zdrowy rozsądek. Nie można przecie przypuszczać, że ktokolwiek weźmie na siebie wszystkie kłopoty z utrzymaniem szkoły, narażając dom na wywrócenie do góry nogami przez bandę bachorów, jeśli nie można by na tym zrobić jakichś pieniędzy. Przede wszystkim idzie o czesne, wszystko inne jest drugorzędne. Czyż nie powiedziałam pani o tym już pierwszego dnia po jej przybyciu?

- Tak - przyznała Dorota pokornie.

- Dobrze, więc czesne płacą rodzice i pani musi myśleć o rodzicach. Proszę zrobić to, czego żądają rodzice. To nasza tutaj zasada. Mogę się zgodzić, że całe to śmiecenie plasteliną i wycinankami, do których jest pani tak przywiązana, nie wyrządzą dzieciom żadnej szczególnej szkody; ale rodzice tego nie chcą i trzeba z tym skończyć. Są dwa przedmioty, których się dla swoich dzieci domagają, to znaczy arytmetyki i pisania. Szczególnie pisania. To jest coś, w czym widzą sens. A więc pisanie jest tym, na co musi pani kłaść nieustanny nacisk. Dużo ładnych, schludnych przepisywań, które dziewczynki mogą zanieść do domów i które rodzice będą mogli pokazywać sąsiadom, a nam dadzą trochę bezpłatnej reklamy. Chcę, żeby pani kazała dzieciom przepisywać dwie godziny dziennie i nic poza tym.

- Dwie godziny dziennie na pisanie - powtórzyła Dorota posłusznie.

- Tak. A także dużo arytmetyki. Rodzicom bardzo zależy na arytmetyce: szczególnie na sumowaniu pieniędzy. Niech pani cały czas ma na oku rodziców. Jeśli spotka pani któreś z nich na ulicy, proszę podejść i zacząć mówić o ich własnej dziewczynce. Niech pani zapewnia, że jest to najlepsza dziewczyna w klasie i jeśli zostanie jeszcze na trzy semestry - będzie robiła cuda. Rozumie pani, co mam na myśli? Niech pani nie idzie i nie mówi, że ona nie rokuje nadziei na poprawę; ponieważ jeżeli im pani to powie, najpewniej zabiorą dziewczynki ze szkoły. Tylko trzy semestry dłużej, to jest to, co trzeba im wmawiać. A kiedy pani skończy wypisywanie okresowych świadectw, niech je pani przyniesie do mnie i pozwoli mi dobrze się przyjrzeć. Lubię osobiście stawiać stopnie.

Spojrzenie pani Creevy spotkało się ze wzrokiem Doroty. Prawdopodobnie miała właśnie zamiar powiedzieć, że zawsze stawiała stopnie w taki właśnie sposób, żeby każda z dziewcząt znalazła się w pobliżu klasowego szczytu, ale się powstrzymała. Przez chwilę Dorota nie potrafiła zabrać głosu. Zdawało się na pozór, że jest ujarzmiona. Była bardzo blada, ale jej serce wypełniał gniew i gwałtowna odraza, z którą, zanim zdołała przemówić, musiała stoczyć walkę. Nie myślała jednak sprzeciwić się pani Creevy. „Reprimenda” poważnie ją załamała. Opanowała głos i rzekła:

- Mam nie uczyć niczego poza pisaniem i arytmetyką, czy tak?

- No, nie wyraziłam się aż tak. Istnieje wiele przedmiotów, które dobrze się prezentują w prospekcie. Na przykład francuski - francuski bardzo dobrze prezentuje się w prospekcie. Ale to nie jest przedmiot, na który by pani miała marnować zbyt wiele czasu. Niech się pani nie stara szpikować dzieci gramatyką i składnią, i czasownikami, i tym wszystkim. Ten rodzaj materiału, jak ja to widzę, nie prowadzi donikąd. Niech im pani da co nieco z „parley vous francey” i „passey moi le beurre” i tak dalej; to o wiele pożyteczniejsze od gramatyki. No i jest jeszcze łacina - zawsze umieszczam w prospekcie łacinę. Ale nie przypuszczam, żeby pani była bardzo obyta z łaciną, mam rację?

- Nie - przyznała Dorota.

- Cóż, to bez znaczenia. Nie będzie jej pani uczyła. Żadne z naszych rodziców nie życzy sobie, żeby ich dziecko traciło czas na łacinę. Ale lubią widzieć ją w prospekcie. To wygląda szykownie. Oczywiście jest wiele przedmiotów, których nie możemy uczyć, ale musimy je przy tym ogłaszać. Bibliotekarstwo i maszynopisanie, i stenografia na przykład; obok tego muzyka i taniec. Wszystko to dobrze wygląda na prospekcie.

- Arytmetyka, pisanie, francuski - czy coś jeszcze? - spytała Dorota.

- Och, zgoda, historia i geografia, i literatura angielska, oczywiście. Ale niech pani 2 miejsca da sobie spokój z tym robieniem map - to tylko strata czasu. Najlepiej uczyć geografii, wyliczając stolice. Niech im pani każe wyklekotać stolice wszystkich angielskich hrabstw, tak jak tabliczkę mnożenia. Wtedy mogą się popisać, czego się nauczyły, tak czy owak. A co do historii, niech się pani trzyma *Historii Brytanii na stu stronicach*. Nie chcę, żeby się uczyły z tych wielkich ksiąg historycznych, jakie pani stale przynosi z biblioteki. Otworzyłam wczoraj jedną z nich i pierwsze co zobaczyłam, to że tam piszą, iż Anglicy zostali pobici w takiej czy innej bitwie. Ładne mi rzeczy do uczenia dzieci! Rodzice nie zechcą tolerować podobnych rzeczy, mogą panią zapewnić.

- A literatura? - spytała Dorota.

- Cóż, oczywiście, muszą trochę czytać, nie potrafię się domyślić dlaczego pani kręci nosem na te nasze miłe czytanki. Niech pani przerabia czytanki. Są może nieco przestarzałe, ale dość dobre dla garstki dzieci. I sądzę, że mogą się nauczyć na pamięć kilku kawałków poezji. Niektórzy z rodziców lubią słuchać, kiedy ich dzieci deklamują jakieś wierszyki. *Chłopiec stał na pływającym pokładzie* - to bardzo dobry kawałek. Albo taki *Wrak parowca...* - ale jakże się ten statek nazywał? *Wrak parowca Hesperusa*. Mały wiersz od czasu do czasu nie szkodzi. Ale proszę, nie wracajmy już nigdy do Szekspira.

Tego dnia Dorota nie otrzymała herbaty. Było już dawno po czasie, gdy pani Creevy skończyła swoją orację, lecz odesłała Dorotę ani słowem nie wspomniawszy o herbacie. Być może była to mała dodatkowa kara za aferę z *Makbetem*.

Dorota nie poprosiła o zezwolenie na wyjście, ale nie była też w stanie zostać w tym domu ni chwili dłużej. Wzięła kapelusz i płaszcz, i poszła, słabo oświetloną ulicą, do biblioteki publicznej. Był późny listopad. Mimo iż dzień przesiąkł wilgocią, przez niemal nagie drzewa wiał ostro - niczym groźba - wieczorny wiatr, sprawiając, że latarnie gazowe mrugały mimo szklanych kloszy, podrywając zaśmiecające chodniki przemokłe liście platanów. Dorota drżała z lekka. Surowy wiatr przenikał ją do szpiku kości wspomnieniem zimna na Trafalgar Square. I choć właściwie o tym nie pomyślała, to utrata pracy byłaby równoznaczna z powrotem do podświata, z którego tu przyszła. Może by to, zresztą, nie było aż tak straszne; w najgorszym razie jej kuzyn albo ktoś inny mógłby pomóc. A jednak „reprimenda” pani Creevy sprawiła, że Trafalgar Square nagle wydał się jej o wiele bliższy. Doprowadził do znacznie głębszego, niż miała kiedykolwiek przedtem, rozumienia wielkiego współczesnego przykazania - jedenastego przykazania - jakie zagłuszyło wszystkie pozostałe: „Nie będziesz tracił pracy swojej”.

To zaś, co pani Creevy powiedziała o „nauczaniu praktycznym” nie było niczym innym, jak realistycznym widzeniem rzeczywistości. Ona po prostu głośno wypowiedziała to, co myśli większość ludzi w jej sytuacji, nigdy się z tym nie zdradzając. Często powtarzane zdanie „interesuje mnie czesne”, stanowiło motto, jakie mogło - albo raczej powinno - być wypisane na drzwiach wszystkich prywatnych szkół w Anglii.

Nawiasem biorąc istnieje w Anglii olbrzymia ilość szkół prywatnych. Dru-gorzędnych, trzeciorzędnych i czwartorzędnych. (Ringwood House należała do kategorii czwartorzędnych.) Są ich dziesiątki na każdym londyńskim przedmieściu i w każdym prowincjonalnym mieście. W każdej chwili można gdzieś w sąsiedztwie znaleźć jedną z tych dziesięciu tysięcy, z których ledwie tysiąc poddawanych bywa kontroli rządowej. I choć niektóre wydają się lepsze od innych, a pewna liczba, jak można przypuszczać jest lepsza od szkół municypalnych, z którymi rywalizują, to jednak we wszystkich tkwi to samo fundamentalne zło: nie mają żadnego innego celu, poza robieniem pieniędzy. Często, wyjąwszy fakt, że nie ma w tym nic nielegalnego, zakłada się je w tym samym duchu, w jakim powstają burdele albo sklepy z wiadrami. Jakiś zatabaczony mały człowieczek interesu (zazwyczaj bywa z tymi szkołami tak, że należą do ludzi, którzy w nich nie uczą), powiada do swojej małżonki: „Emmo, mam

pomysł! Co byś powiedziała, gdybyśmy tak we dwoje trzymali szkołę, he? W takiej szkole jest masa forsy, wiesz, a robota nie taka sama jak w sklepie czy w barze. Poza tym niczym nie ryzykujesz; o nic cię głowa nie boli, nie licząc komornego, paru ławek i tablicy. Ale my to zrobimy z fasonem. Bierzesz kogoś z tych facetów po Oxfordzie czy Cambridge, co akurat łązi bez roboty, przyjdzie tanio, ubierzesz go w pelerynę - i w ten, no, jak się nazywają te jeich kwadratowe kaszkiety z pomponami na czubku? To zwabi rodziców, nie? Ty tylko masz oczy otwarte i tylko wybierasz dobrą dzielnicę, gdzie jeszcze nie ma za dużo takich samych cwaniaków".

Wybiera lokalizację w jednym z obszarów zamieszkałych przez klasę średnią, gdzie ludzie są zbyt ubodzy, by sobie moc pozwolić na solidną szkołę i zbyt dumni, by posyłać dzieci do szkół municypalnych, i „sprawa chwyta”. Stopniowo nawiązuje kontakty tym samym sposobem co mleczarz czy zieleniarz i jeśli jest bystry, a przy tym taktowny, i nie ma zbyt wielu rywali, robi na tym kilkaset funtów rocznie.

Oczywiście, nie wszystkie szkoły są do siebie podobne, nie każdy pryncypał jest takim pazernym prymitywem i złośliwcem jak pani Creevy, istnieje wiele szkół, w których atmosfera bywa sympatyczna, a nauczanie tak dobre, jak można zasadnie oczekiwać płacąc pięć funtów za semestr. Z drugiej strony, niektóre to krzyczące skandale. Nieco później, Dorota poznawszy pewnego nauczyciela z innej prywatnej szkoły w Southbridge, usłyszała opowieści o szkołach znacznie gorszych od Ringwood House. Usłyszała o taniej szkole z internatem, w której umieszczali swoje dzieci wędrowni aktorzy tak, jak się wrzuca bagaż do przechowalni kolejowej. Dzieci zwyczajnie wegetowały tam i, nie robiąc absolutnie nic, dożywały szesnastego roku życia, nie nauczywszy się nawet czytać. Usłyszała też o innej szkole, gdzie dni upływały na nieustającym buncie uczniów, ze złamanym, starym, zaharowanym wychowawcą uganiającym się za chłopcami w górę i w dół, i siekącym ich trzcina, który się nagle załamuje i łka z głową na katedrze, podczas gdy chłopcy się zeń śmieją. Tak długo, jak długo będą istnieć szkoły prowadzone głównie dla pieniędzy, podobne zjawiska będą się powtarzać. Drogie szkoły prywatne, do których bogaci posyłają dzieci, z pozoru nie są tak złe jak reszta, ponieważ stać je na właściwy personel, a system egzaminacyjny tych „public schools” zmusza je do utrzymywania się na poziomie; ale wszystkie mają tę samą podstawową skazę.

Dorota odkrywała właściwości szkół prywatnych stopniowo. Przeżywała zrazu absurdalny strach, że pewnego dnia pojawią się w Ringwood House inspektorzy szkolni, wykryją jaka panuje tam blaga i jakim to wszystko jest

oszustwem, i stosownie wymiotą cały ten kurz. Jednakże później przekonała się, że to się zdarzyć nie może. Ringwood House nie został „uznany”, a przeto nie podlegał inspekcjom. Wprawdzie pewnego dnia odwiedził szkołę inspektor rządowy, ale poza zmierzeniem powierzchni klasy, by stwierdzić, czy na każdą dziewczynkę przypada właściwa liczba stóp kubicznych, nie zrobił nic; nie miał upoważnienia, by zrobić coś więcej. Jedynie drobna mniejszość szkół „uznanych” - mniej niż jedna na dziesięć - bywa oficjalnie wizytowana w celu ustalenia, czy zachowują przyzwoity poziom nauczania. Inne zaś mają swobodę uczenia lub nie uczenia, wedle wyboru. Nikt - wyjąwszy rodziców dzieci - ich nie kontroluje, ani nie dokonuje inspekcji - prowadzi więc ślepy ślepego, Marcin uczy Marcina...

5.

Następnego dnia Dorota zaczęła zmieniać swój program zgodnie z rozkazami pani Creevy. Na pierwszej lekcji było pisanie, na drugiej geografia.

- Tyle na dziś, dziewczynki - powiedziała Dorota, kiedy zegar wybił żalobnym tonem dziesiątą. - Teraz zaczniemy lekcję geografii.

Dziewczęta z trzaskiem otworzyły ławki i z głośnym westchnieniem ulgi wrzuciły zniecierpliwione zeszyty do przepisywań. Rozległy się pomruki w rodzaju: „o, geografia! dobra!” Była to jedna z ulubionych lekcji. Dwie dziewczynki, które pełniły w tym tygodniu funkcje pomocnic nauczycielki (do ich obowiązków należało czyszczenie tablicy, zbieranie zeszytów do ćwiczeń klasowych i temu podobne - dzieci lubią walczyć o przywileje wykonywania zajęć tego rodzaju), podskoczyły ze swoich miejsc, by przynieść na poły skończoną mapę i stanęły pod ścianą. Ale Dorota je zatrzymała.

- Zaczekajcie chwilę. Siadajcie obie. Dziś nie będziemy pracować z mapą.

Rozległy się okrzyki protestu. - Och, psz'pani! Dlaczego nie możemy, psz'pani! Proszę, róbmy jom dali!

- Nie. Obawiam się, że ostatnio marnujemy nad mapą trochę za wiele czasu. Teraz zaczniemy się uczyć nazw stolic angielskich hrabstw. Chcę, żeby wszystkie dziewczynki nauczyły się tego do końca okresu.

Twarze dzieci posmutniały. Widząc to, Dorota dodała, usiłując mówić głosem jasnym - pustą, nie skłamaną jasnością - nauczyciela próbującego tak zaszachrować, by z przedmiotu nudnego uczynić zajmujący:

- Pomyślcie tylko jak ucieszą się rodzice, kiedy spytają was o stolicę jakiegoś hrabstwa w Anglii, a wy ją wymienicie!

Dzieci wcale nie dały się nabrać. Skrzywiły się na tę przyprawiającą o mdłości perspektywę.

- Och, stolice, uczyć się stolic! To jes to, cośmy robiły z panną Strong, psz'pani, dlaczego nie możemy robić dali mapy?

- Dość tego. Wyjmijcie zeszyty i zapisujcie tak, jak wam podyktuję. Potem powtórzemy wszystkie razem.

Dzieci niechętnie wyciągnęły zeszyty, nadal pojękując.-Prosimy, psz'pani, czy nie możemy dalej robić mapy następnym razem?

- Nie wiem. Zobaczymy.

Tegoż popołudnia mapa została zdjęta ze ściany, a pani Creevy zdarła z dykty plastelinę i wyrzuciła. To samo spotkało resztę innowacji, jedną po drugiej. Wszystkie wprowadzone przez Dorotę zmiany zostały zaniechane. Dziewczynki wróciły do rutyny trwającego, zda się bez końca, „kopiowania” i nie kończących się „ćwiczeń” z dodawaniem sum, do nauki papuzim sposobem „*pasez-moi le beurre*” i „*le fils du jardinier a perdu son chapeau*”, do *Historii na stu stronkach* i nieznośnych małych „czytanek”. (Pani Creevy skonfiskowała Szekspiry rzekomo po to, by spalić. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że je sprzedała...) Dwie godziny dziennie zostały wyłączone na lekcje kaligrafii. Dwa przygnębiające arkusze czarnego papieru, które Dorota zdjęła ze ściany, zostały tam przypięte ponownie, z przysłowiami wypisanymi na nich powtórnie starannym, kaligraficznym pismem. Natomiast wykres historyczny pani Creevy zabrała i spaliła.

Dzieci spostrzegłszy, że znenawidzone lekcje, od których myślały, że są wolne na zawsze, wracają do nich jedna po drugiej, były najpierw zdumione, potem przygnębione, wreszcie nadaśane. Dorota znosiła to o wiele gorzej niż same dzieci. Po paru dniach paplanina, którą była zobowiązana zadreć klasę, przyprawiała ją o takie mdłości, że zaczęła wątpić, czy potrafi ciągnąć to dłużej. Raz po raz ulegała pokusie, sprzeciwienia się pani Creevy. Dlaczego nie, myślała - jeśli dzieci skamlały i jęczały, i pociły się pod swoim nieszczęsnym jarzmem zniewolenia - dlaczego nie przerwać tego i nie powrócić do lekcji właściwych, nawet gdyby miały trwać tylko jedną czy dwie godziny dziennie? Dlaczego nie odrzucić całego lekcyjnego udawactwa i po prostu pozwolić się dzieciom bawić? Dla nich byłoby to o wiele lepsze. Trzeba pozwolić im rysować obrazki albo lepić coś z plasteliny, albo zacząć układać bajki - robić cokolwiek realnego, cokolwiek, co je zainteresuje, zamiast tych przeraźliwych bzdur. Ale nie miała odwagi. Pani Creevy mogła w każdej chwili wejść, a gdyby znalazła dzieci „zajęte paćkaniem” zamiast rutynową pracą, byłyby straszliwe kłopoty. Przeto Dorota znieczuliła serce i stosowała

się do instrukcji pani Creevy co do litery. Wszystko wróciło więc dokładnie do stanu sprzed dnia, kiedy pana Strong „poczuła się niedobrze”.

Lekcje osiągnęły takie dno nudy, że najjaśniejszym punktem tygodnia stawał się w czwartkowe popołudnia tak zwany wykład z chemii, pana Bootha. Pan Booth - zawsze skacowany, drżący mężczyzna lat około pięćdziesięciu, z długimi wilgotnymi wąsami koloru krowiego łajna - w swoim czasie uczył w public school, ale ostatnio zarabiał tylko tyle, ile trzeba na życie w stanie chronicznego pół-opilstwa, dając lekcje po dwa i pół szylinga za godzinę. Lekcje te wypełniał monotony ślinotok. Nawet w swoich najlepszych dniach pan Booth nie był wykładowcą szczególnie błyskotliwym, teraz zaś, od kiedy po raz pierwszy popadł był w delirium tremens i żył w strachu przed następnym, cała wiedza chemiczna, jaką posiadał, jąła go pośpiesznie opuszczać. Stał przed klasą dygocząc i powtarzał tę samą myśl wielokrotnie, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie, o czym to miał mówić. - Pamiętajcie, dziewczynki - mawiał swoim schrypłym, tak zwanym ojcowskim głosem - liczba pierwiastków wynosi dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt trzy pierwiastki, dziewczynki wiecie wszystkie, co to jest pierwiastek, nieprawdaż? Jest ich dokładnie dziewięćdziesiąt trzy, zapamiętajcie tę liczbę, dziewczynki, dziewięćdziesiąt trzy, aż do chwili, gdy Dorota (musiała przebywać w klasie podczas lekcji chemii, ponieważ pani Creevy uznała, że nie uchodzi pozostawiać dziewczynek sam na sam z mężczyzną) poczuła się ostatecznie zgnębiona wstydem za pana Bootha. Wszystkie lekcje zaczynały się od dziewięćdziesięciu trzech pierwiastków i nigdy nie posuwały o wiele dalej. Była także mowa o „bardzo zajmującym małym eksperymencie, jaki mam zamiar dla was przeprowadzić w następnym tygodniu, dziewczęta - przekonacie się, będzie bardzo zajmujący, przeprowadzimy go w następnym tygodniu, niezawodnie - bardzo zajmujący mały eksperyment”, który - nie trzeba dodawać - nigdy nie został przeprowadzony. Pan Booth nie posiadał aparatury chemicznej, a jego ręce były zbyt drżące, aby mógł się nimi posłużyć, gdyby nawet takową posiadał. Dziewczęta siedziały na jego lekcjach w nudzie baraniego otępienia, ale nawet on był mile widzianą odmianą po nauce pisania.

Po wizycie rodziców stosunek dzieci do Doroty uległ całkowitej odmianie. Nie zmieniły się, oczywiście, w ciągu jednego dnia. Zdążyły polubić „dawną Millie” i oczekiwały, że po dniu czy dwu udęczonego przepisywania i „arytmetyki handlowej”, powróci do czegoś ciekawego. Ale przepisywanie i arytmetyka trwały, a popularność, jaką cieszyła się Dorota w roli nauczycielki, której lekcje nie były nudne i która nie biła, nie szczypała ani nie ścisnęła za uszy, stopniowo nikła. Co więcej, wkrótce pojawił się przeciek na temat

awantury z powodu *Makbeta*. Dzieci domyśliły się, że dawna Millie popełniła jakiś błąd - nie wiedziały dokładnie jaki - i otrzymała „burę”. To ją w ich oczach zdegradowało. Nie można kierować dziećmi, nawet dziećmi, które nas lubią, jeżeli nie umie się zachować prestiżu ludzi dorosłych; pozwólmy raz ten prestiż złamać, a odstąpią od nas nawet dzieci najlepiej usposobione.

Tak więc zaczęły być dokuczliwe zwyczajnym, tradycyjnym sposobem. Dorota wcześniej spotykała się jedynie ze sporadycznymi przejawami lenistwa, wybuchami hałasu czy napadami głupawego chichotu; teraz pojawiły się także niechęć i fałsz. Uczennice nie ustawały w buncie przeciw koszmarniej rutynie. Zapomniały o paru krótkich tygodniach, kiedy „dawna Millie wydawała się dosyć kława”, a sama „buda” - nawet zabawna. Teraz szkoła stała się tym, czym była zawsze i czego należało się po niej spodziewać - miejscem, w którym człowiek czuje się jak flak, ziewa i spędza czas na szczypaniu sąsiadki, i próbuje wyprowadzić swoją nauczycielkę z równowagi, i zwiewa od niej z wrzaskiem ulgi, jak tylko się kończy ostatnia lekcja. Czasem dąsały się i miewały ataki krzyku, czasem wyklócały w doprowadzający do szaleństwa, typowy dla dzieci uporczywy sposób: „Dlaczego nie możemy tego robić? Dlaczego każdy musi uczyć się czytać i pisać?” - bez końca, aż Dorota musiała stawać nad nimi i uciszać grożąc laniem. Ostatnio popadała w gniew niemal stale; tego się po sobie nie spodziewała, była wstrząśnięta, ale nie potrafiła temu zaradzić. Każdego ranka przysięgała sobie: „Dziś nie stracę panowania nad sobą” i każdego ranka, z przygnębiającą regularnością, traciła nad sobą panowanie, zwłaszcza o pół do dwunastej, kiedy dzieci stawały się najgorsze. Nic na świecie tak nie wścieka, jak praca ze zbuntowanymi dziećmi. Dorota wiedziała, że wcześniej czy później ostatecznie straci nad sobą panowanie i zacznie je bić. Bicie dziecka wydawało się jej czymś niewybaczalnym, ale w końcu wszyscy nauczyciele do tego dochodzą. Zmuszenie dziewcząt do pracy, gdy się je spuściło z oka, stawało się niemożliwe. Wystarczyło na chwilę odwrócić się plecami, a już zaczynała fruwać tam i sam bibuła do atramentu. Mimo wszystko niekończące się niewolnicze przepisywanie i „arytmetyka handlowa” wykazywały pewien postęp i rodzice mogli być niewątpliwie usatysfakcjonowani.

Fatalne wręcz wydawały się ostatnie tygodnie okresu. Od prawie połowy miesiąca Dorota była niemal bez grosza, ponieważ pani Creevy oświadczyła, że nie może zapłacić pensji za semestr dopóki „nie nadejdą wpłaty za czesne”. Tak więc pozbawiona sekretnych tabliczek czekolady, które utrzymywały ją przy życiu, cierpiała na chroniczne niedożywienie, przez co stała się ospała i podupadła na duchu. Trwały ołowiane poranki, kiedy minuty wlokły się niczym

godziny, kiedy walczyła ze sobą, by nie spoglądać na zegar, a serce przepelniało obrzydzenie na myśl, że po tej lekcji wynurzy się taka sama następna i jeszcze jedna, i jeszcze, rozciągając się w coś w rodzaju posępnej nieskończoności. Najgorsze ze wszystkiego bywały chwile, kiedy dzieci wszczynwały wrzask. Wymagało stałego, wyczerpującego wysiłku woli, by w ogóle nad nimi zapanować - za ścianą, oczywiście, buszowała pani Creevy, zawsze podstuchująca, zawsze gotowa spaść na klasę, szarpnąć drzwi, obrzucić izbę taksującym spojrzeniem z: „Ależ! O cóż ten cały harmider, proszę?”, z wymówieniem pracy w oczach.

Dorota widziała już całą ohydę mieszkania w domu pani Creevy. Paskudne jedzenie, chłód, brak łazienki wydawały się znacznie ważniejsze niż jakiś czas temu. Co więcej, zaczęła sobie zdawać sprawę - czego sobie nie uświadamiała, gdy radość pracy była jeszcze świeża - ze stanu swego zupełnego osamotnienia. Ani ojciec, ani pan Warburton nie napisali do niej, a w ciągu dwu miesięcy nie zawarła ani jednej przyjaźni. To niemożliwe, by ktoś w jej sytuacji, zwłaszcza kobieta, mógł zawierać przyjaźnie. Nie miała pieniędzy, nie miała własnego domu, a poza szkołą jedyne miejsca schronienia stanowiły biblioteka publiczna - w owe nieliczne wieczory, kiedy mogła się tam wybrać - oraz kościół - w niedzielne poranki. Oczywiście chadzała do kościoła regularnie - wymagała tego pani Creevy. Kwestię przekonań religijnych Doroty rozstrzygnęła podczas śniadania, raniem, pierwszej niedzieli.

- Zastanawiam się właśnie do jakiej świątyni winna pani uczęszczać - rzekła.
- Odnoszę wrażenie, że została pani wychowana w kościele angielskim, prawda?

- Tak - powiedziała Dorota.

- Hm, dobrze. Nie potrafię wpaść na pomysł, dokąd by tu panią posłać. Kościół świętego Jerzego należy do K A*, ale jest też kaplica baptystów, do której ja chodzę. Większość naszych rodziców to odszczepieńcy i nie wiem, czy zaakceptują nauczyciela z K A. Nigdy nie ma dość ostrożności przy tych rodzicach. Pani sobie wyobraża, jak się obrazili przed dwoma laty, kiedy wyszło na jaw, że nauczycielka, którą wtedy zatrudniałam, była rzymską katoliczką! Oczywiście trzymała to w sekrecie tak długo, jak potrafiła, ale w końcu wyszło na jaw i troje rodziców wycofało swoje dzieci. Oczywiście pozbyłam się jej tego samego dnia.

Dorota milczała.

KA - Kościół Angielski (anglikański).

- Jednakże - ciągnęła pani Creevy - mamy trójkę uczennic należących do K A i nie wiem, czy nie można by nieco popracować nad powiazaniami z kościołem. Może więc pani spróbuje zaryzykować i pójdzie do Świętego Jerzego. Ale, pani rozumie, trzeba zachować nieco ostrożności. Słyszałam, że Święty Jerzy to jeden z tych kościołów, do którego ludzie idą, żeby się nazginać do woli, zebrać do kupy, żeby się żegnać i takie tam. Mamy dwoje rodziców, którzy należą do Bractwa Plymouth i szlag by ich trafił, gdyby usłyszeli, że widziano, iż pani się żegna. Niech więc pani tego nie robi, nawet jeśli pani tam pójdzie.

- Jak pani uważa - powiedziała Dorota.

- I niech pani podczas mszy ma oczy szeroko otwarte. Niech się pani rozejrzy dokoła i zobaczy, czy nie ma tam wśród wiernych młodych dziewcząt, które mogłybyśmy pozyskać. Jeśli pani zobaczy kogoś tak wyglądającego, niech pani zajdzie potem do proboszcza i spróbuje dowiedzieć się o adresy.

Tak więc Dorota poszła do Św. Jerzego. Był on odrobinę „wyższy” od Św. Athelstana, miał fotele zamiast ław, nie stosował natomiast kadzideł, zaś wikary (nazywał się Gore-Williams) w dni powszednie wdziewał zwykłą sutannę i komżę, ale nabożeństwa były tak podobne do tamtych, domowych, że Dorota mogła w nich uczestniczyć w stanie najzupełniejszego roztargnienia i powtarzać odpowiedzi we właściwych momentach.

Nigdy już nie odczuła po dawnemu potęgi religii. Prawdę powiedziawszy samo pojęcie kultu straciło teraz dla niej wszelkie znaczenie; jej wiara szczyła, całkowicie i nieodwołalnie. Utrata wiary to coś wielce tajemniczego - równie tajemniczego jak sama wiara. I podobnie jak wiara, nie ma korzeni w logice; jest to zmiana w klimacie umysłu. Ale choć nabożeństwa kościelne mogły mieć teraz znaczenie tylko niewielkie, nie żałowała godzin spędzanych w kościele. Przeciwnie, oczekiwała niedzielnych poranków niczym błogosławionych interludii spokoju; nie tylko dlatego, że niedzielne poranki dawały wytchnienie od wścibskich oczu pani Creevy i jej łającego głosu. W innym, głębszym sensie atmosfera kościoła uspokajała i przywracała wiarę w siebie. Dorota dochodziła do wniosku, że we wszystkim, co dzieje się w kościele (jakkolwiek absurdalne i tchórzliwe można w tym podejrzewać cele), jest coś, trudno to określić, ale coś z przyzwoitości, z duchowego piękna - co niełatwo znaleźć w zewnętrznym świecie. Odnosiła wrażenie, że choć już nie wierzy - lepiej pójść do kościoła niż nie pójść; lepiej przestrzegać starych zwyczajów niż dryfować w pozbawionej korzeni wolności. Wiedziała bardzo dobrze, że nigdy już nie będzie zdolna do powtarzania modlitwy i przydawania jej znaczenia; ale wiedziała także, iż przez resztę życia musi wytrwać w posza-

nowaniu tego, w czym została wychowana. Tyle pozostało w niej z wiary, która niegdyś, niczym kościec w żywym ciecie, utrzymywała ją przy życiu.

Na razie nie przemyślała jeszcze zbyt głęboko problemu utraty wiary i jakie to mogło mieć dla niej znaczenie w przyszłości. Była zbyt zajęta samą egzystencją, samą walką o panowanie nad nerwami do końca obmierzłego semestru. Im bliższy był jego koniec, praca nad utrzymaniem klasy w ryzach stawała się coraz bardziej wyczerpująca. Dziewczęta zachowywały się skandalicznie i wszystkie były w stosunku do Doroty tym bardziej przykre, im *szczyrczej* kiedyś za nią przepadały. Uważały, że je zawiodła. Z początku była na poziomie, a teraz zmieniała się w ohydną starą nauczycielkę, jak wszystkie - w starą obrzydliwą bestię, która gnębiła potwornymi lekcjami pisania i waliła po łbach za byle kleks w zeszyt. Dorota przyłapywała niekiedy uczennice na wpatrywaniu się w jej twarz, z cofniętą w siebie, okrutną, dziecięcą przenikliwością. Uważały ją kiedyś za miłą, teraz miały za brzydką, starą i chudą. Prawdę powiedziawszy, od czasu przybycia do Ringwood House bardzo schudła. Teraz nienawidziły jej tak, jak nienawidziły wszystkich jej poprzedniczek.

Niekiedy przemyślnie ją dręczyły. Starsze i inteligentniejsze dziewczęta rozumiały sytuację wystarczająco dobrze, odgadły, że Millie znajdowała się pod butem starej Creevy, która wpadała zawsze, gdy robiły zbyt wiele hałasu; niekiedy wywoływały więc taki wrzask, na jaki było je stać, tylko po to, by zwabić starą Creevy i mieć przyjemność obserwowania twarzy Millie, podczas gdy stara Creevy ją besztala. Zdarzało się, że Dorota potrafiła zapanować nad sobą i wybaczać im wszystko, co wyrabiały, ponieważ zdawała sobie sprawę, że to tylko zdrowy instynkt każe im się buntować przeciw obrzydliwej monotonii zajęć. Ale zdarzało się też czasem, gdy jej nerwy były bliższe załamania, że patrzyła na tych dwadzieścia głupich małych twarzy, szczyrczących zęby albo zbuntowanych, stwierdzając, że może je znieawidzić. Dzieci są tak ślepe, tak samolubne, tak bezlitosne. Nie wiedzą, kiedy dręczą człowieka nie do wytrzymania, a nawet gdyby wiedziały, nie dbałyby o to wcale. Możesz dla nich uczynić wszystko co najlepsze, możesz panować nad sobą w sytuacjach, które stanowiłyby ciężką próbę dla świętego, mimo to, gdy jesteś zmuszony nękać je, znieawidzą cię nie zastanawiając się, czy to cię właśnie należy winić. Jakże prawdziwie - jeżeli tak się składa, że sam nie jesteś nauczycielem - jakże prawdziwie brzmią te często powtarzane wersy:

Pod okrutnym okiem wapniaka
Malcy spędzają swoje dni
Na wzdychaniu i w przerażeniu.

Ale jeśli sam jesteś tym okrutnym okiem wapniaka, uświadom sobie, że istnieje także druga strona medalu.

Nadszedł ostatni tydzień i zaczęto odgrywać odrażającą farzę „egzaminów”. Metoda, jak objaśniła pani Creevy, była dość prosta: Przerabiasz z dziećmi, na przykład, serię zadań arytmetycznych tak długo, aż się upewnisz, że potrafisz je same rozwiązać, a potem te same zadania każesz rozwiązać na papierze egzaminacyjnym, zanim zapomną wyników; tak samo postępujesz z każdym następnym przedmiotem. Prace dzieci, rzecz jasna, posyłano do domów, rodzicom do sprawdzenia. Dorota wypisywała świadectwa pod dyktando pani Creevy i musiała pisać „excellent”^{*} tak wiele razy, że - co się czasem zdarza, kiedy człowiek powtarza jedno słowo w nieskończoność - zapomniała jak się je literuje i zaczęła pisać „excelent”, „exsellent”, „ecsellent”, „eccel-lent”.

Ostatni dzień upłynął w straszliwym rozgardiaszu. Nawet pani Creevy nie potrafiła utrzymać wśród dzieci dyscypliny. W południe nerwy Doroty były w strzępach i pani Creevy zbesztła ją w obecności siedmiorga dzieci, które zostały na obiad. Po południu wrzask stał się okropniejszy niż kiedykolwiek i w końcu Dorota, krzycząc, niemal ze łzami w oczach, zaapelowała do dziewcząt, żeby przestały.

- Dziewczęta! - zawołała, podnosząc głos tak, by ją usłyszały poprzez własny wrzask. - Proszę, przestańcie, proszę! Zachowujecie się wobec mnie okropnie. Myślicie, że tak można postępować?

Było to, oczywiście, fatalne. Nigdy, nigdy, nigdy nie liczcie na miłosierdzie dziecka! Zapadła chwilowa cisza, a potem jedno dziecko wrzasnęło przeraźliwie i drwiąco: - Millieeee! - W następnej chwili podchwyciła to cała klasa, nawet imbecylna Mavis, skandując pospołu: - Mill-ieee! Mill-ieee! Millieeee! - Wtedy w Dorocie coś jakby pękło. Odczekała chwilę, wybrała dziewczynkę czyniącą największy hałas, podeszła do niej i chlasnęła ją w ucho tak mocno, jak tylko uderzyć mogła. Szczęśliwie była to jedna ze „średnich płaticzek”.

6.

Pierwszego dnia wakacji Dorota otrzymała list od pana Warburtona. „Moja Droga Doroto - pisał - albo może powinienem Cię nazywać Ellen, jak rozumiem to jest Twoje nowe imię? Musisz, jakże mi przykro, myśleć, że

^{*} Excellent - celująco.

to z mojej strony przejaw nieczułości, że nie napisałem wcześniej, ale zapewniam Cię, że dopiero przed dziesięcioma dniami usłyszałem coś na temat naszej domniemanej eskapady. Byłem za granicą, najpierw w różnych częściach Francji, potem w Austrii i wreszcie w Rzymie, a jak wiesz, w czasie takich wycieczek omijam najzawzięciej moich współkraj. Są wystarczająco odrażający w domu, a już w miejscach obcych ich zachowanie napawa mnie takim za nich wstydem, że zazwyczaj usiłuję uchodzić za Amerykanina.

Kiedy przyjechałem do Knype Hill, Twój ojciec odmówił przyjęcia mnie, ale udało mi się porozmawiać z Wiktorem S tonem, który podał mi Twój adres i nazwisko, jakiego używasz. Był temu raczej niechętny, pojąłem więc, że nawet on, podobnie jak wszyscy w tym zatrutym mieście, nadal wierzy, żeś się w jakimś stopniu źle prowadziła. Sądzę, iż poglądy, żeśmy uciekli gdzieś razem, upadł, ale Ty musiałaś, jak uważają, uczynić coś skandalicznego. Młoda kobieta nagle opuszcza dom, przeto musi w to być zamieszany mężczyzna; tak, widzisz, funkcjonuje prowincjonalna wyobraźnia. Nie muszę Cię zapewniać, że przeciwstawiłem się całej tej historii z bezwzględną stanowczością. Może się ucieszysz słysząc, że udało mi się zapędzić do kąta tę odrażającą wiedźmę, panią Semprill, by powiedzieć, co o niej sądzą; a zapewniam Cię, że to co myślę, jest naprawdę straszne. Ale ta kobieta jest zwyczajnie podczłowiekiem. Nie mogłem z niej wydobyć niczego poza hipokryckim pochliwaniem »biedna, biedna Dorota!«

Słyszę, że Twemu Ojcu bardzo Ciebie brakuje i chętnie widziałby Cię ponownie w domu, gdyby to nie wywołało skandalu. Wydaje się, że ostatnio jego posiłki nigdy nie są serwowane o czasie. Rozgłasza, żeś »wyjechała, by się wykurować z niegroźnej choroby i obecnie masz znakomitą posadę w szkole dla dziewcząt*. Zadziwi Cię, co mu się przydarzyło. Został zobligowany do zapłacenia wszystkich swoich długów! Powiedziano mi, że kupcy skrzyknęli się i zwołali w probostwie coś, co w praktyce było spotkaniem wierzycieli. Nie z rodzaju tych, jakie by się mogły zdarzyć w biskupstwie Plumstead, ale żyjemy w czasach demokracji, niestety! Byłaś bezsprzecznie jedyną osobą zdolną trzymać tych kupców w szachu.

A teraz muszę Ci donieść o czymś, co dotyczy mnie samego..." etc.

W tym miejscu Dorota podała list rozczarowana, a nawet zirytowana. Mógłby wykazać więcej współczucia! - myślała. To było bardzo podobne do pana Warburtona, po wpędzeniu jej w poważne tarapaty, bo przecież jego należało winić za to, co się stało, okazał się tak nonszalancki i nie zaangażowany. Ale przemyślawszy sprawę, uniewinniła go od zarzutu braku serca. Uczynił tylko tyle, bo niewiele mógł jej pomóc, ale nie należało oczekiwać,

że będzie się litował nad jej udrękami, o których przecież nie słyszał. Poza tym jego własne życie stanowiło serię głośnych skandali; prawdopodobnie nie potrafiłby pojąć, że dla kobiety skandal jest sprawą poważną.

Na Boże Narodzenie list napisał także ojciec Doroty, a co więcej, przysłał jej gwiazdkowy prezent w wysokości dwu funtów. Z tonacji listu mogła wnosić, że zdołał już jej przebaczyć. Co mianowicie przebaczył, nie zostało określone, ponieważ nie było określone, co takiego uczyniła; ale mimo to przebaczył jej. List zaczynał się od pewnych powierzchownych, ale dość przyjaznych zapytań. Pisał, że ma nadzieję, iż odpowiada jej nowa praca. I dopytywał, czy pokoje w szkole są wygodne, a reszta personelu sympatyczna? Słyszał, że teraz w szkołach postępuje się bardzo dobrze - zupełnie inaczej niż przed czterdziestu laty. Bo za jego czasów, etc., etc. Dorota zrozumiała, że nie miał najmniejszego pojęcia o jej aktualnych warunkach. Na wspomnienie szkoły myśl ojca frunęła do Winchester, jego starej uczelni; coś takiego jak Ringwood House nie mieściło się w ogóle w wyobraźni.

Resztę listu wypełniało gderanie na bieg spraw w parafii. Proboszcz narzekał, że ma liczne zmartwienia i jest przepracowany. Ci okropni członkowie komitetu parafialnego zanudzają go tym i owym, a on zaczyna odczuwać wielkie zmęczenie doniesieniami Proggetta o zapadającej się dzwonnicy, w dodatku ta dochodząca kobieta, którą najął do pomocy Ellen, okazała się wielce nieznośna, bo wsadziła kij szczotki w cyferblat dziadkowego zegara w jego gabinecie - i tak dalej, i temu podobne, na wielu stronicach. Powtórzył kilka razy, napomykając okrężną drogą, że pragnąłby, aby Dorota była z nim, by mu pomóc; ale nawet nie podsuwał myśli o powrocie do domu. Najwyraźniej nadal uważał za konieczne, aby pozostawała poza zasięgiem wzroku i pamięci - jak szkielet w odległej i dobrze zamkniętej szafie.

List przepelnił Dorotę niespodziewaną i bolesną nostalgią. Odkryła w sobie pragnienie powrotu do swoich parafialnych wizyt, do kursów gotowania dla skautek i zastanawiała się z rosnącym przygnębieniem, jak sobie ojciec radził bez niej przez cały ten czas i czy tamte dwie kobiety miały właściwe staranie. Lubiła ojca w sposób, jakiego nigdy nie ośmieliła się okazać; nie był osobą, w stosunku do której można przejawiać jakiegokolwiek uczucia. Zaskoczyło ją, albo raczej wstrząsnęło, odkrycie, że w czasie minionych czterech miesięcy tak małe zajmował w myślach miejsce. Zdarzały się całe tygodnie, kiedy zapominała o jego istnieniu. Działo się tak, ponieważ codzienna walka o przeżycie nie pozostawiała czasu na inne wzruszenia.

Jednakże teraz szkolne zajęcia się skończyły, czasu miała nadmiar, bo choć pani Creevy bardzo się starała, nie potrafiła wymyślić tylu prac domowych,

żeby zająć Dorotę dłużej niż przez część dnia. Dała Dorocie jasno do zrozumienia, że podczas ferii stanowi jedynie bezużyteczny wydatek i pilnowała podczas posiłków (oczywiście uznając za niegodziwość, że ktoś je, choć nie pracuje) w sposób, który w końcu stał się nie do zniesienia. Dorota przebywała tedy poza domem tak długo, jak to było możliwe, a czując się dość zamożną ze swoimi zarobkami (cztery funty i dziesięć szylingów za dziewięć tygodni) i dwoma funtami od ojca, zaczęła kupować sandwicze w sklepie wędliniarskim w mieście i jadać obiady poza domem. Pani Creevy przyzwoliła na to, na poły w dąsach, ponieważ lubiła mieć Dorotę w domu, by móc się nad nią znęcać, na poły rada ze sposobności zaoszczędzenia paru posiłków.

Dorota chadzała na długie samotne spacery, zwiedzając Southbridge i jego jeszcze bardziej zaniedbane sąsiedztwa: Dorley, Wembridge i West Holton. Zima ustępowała, wilgotna i bezwietrzna, bardziej ponura w bezbarwnych pogmatwanych przedmieściach niż na najpustszym bezludziu. Dwa albo trzy razy, choć podobna ekstrawagancja mogła niechybnie zapowiadać głód kilka dni później, kupiła tani bilet powrotny do Iver Heath i Burnham Beeches. Zagajniki były podmokłe i zimne, z wielkimi stertami nawianych bukowych liści, które w martwym, wilgotnym powietrzu promieniały niczym miedź, a dni tak ciepłe, że można było siedzieć na powietrzu i, jeśli się włożyło rękawiczki, czytać. W wigilię Bożego Narodzenia pani Creevy dobytek gałązki ostrokrzewu przechowane od poprzedniego roku, odkurzyła je i przybiła gwoździkami; ale - jak oznajmiła - nie miała zamiaru podawać wigilijnej wieczerzy. Nie przestrzega-powiedziała - tego całego bożonarodzeniowego nonsensu - jest to bowiem szarlataneria uprawiana przez właścicieli sklepów i jakże niekonieczny wydatek; w każdym razie nienawidziła indyka i wigilijnego budynku. Dorota została uwolniona; wieczerza wigilijna w pozbawionym radości „małym salonie” (ujrzała nagłe oczyma wyobraźni odrażający widok pani Creevy w papierowym, uzbrojonym w zimne ognie, kapeluszu) była czymś, o czym nie warto nawet myśleć. Zjadła wigilijną kolację - jajko ugotowane na twardo, dwie kanapki z serem i butelka lemoniady - w lasku nieopodal Burnham, pod olbrzymim gruzłowatym bukiem, na egzemplarzu George'a Gissinga *The Odd Women*.*

W dniach, kiedy było zbyt mokro na spacery, większość czasu spędzała w bibliotece publicznej, stając się jedną z bywalczyń biblioteki - razem z bezrobotnymi mężczyznami, siedzącymi tu i dumającymi ponuro nad ilustrowanymi pismami, których nie czytali, oraz starzejącym się spłowiełym kawa-

* *The Odd Women* - niepotrzebne, zbędny kobiety.

lerem, co mieszkał „w pokojach” za funta tygodniowo i przychodził do biblioteki studiować całymi godzinami książki o jachtingu. Koniec semestru przyniósł jej wielką ulgę, ale wkrótce uczucie to poczęło zanikać; bo w rzeczy samej, kiedy nie ma z kim zamienić słowa, dni wloką się jeszcze ospalej niż przedtem. Zapewne nie ma w zamieszkałym świecie ani skrawka ziemi, gdzie można się poczuć tak absolutnie samotnym, jak na londyńskich przedmieściach. W wielkim mieście ciżba i krzątania daje człowiekowi przynajmniej złudzenie towarzystwa, na wsi każdy interesuje się każdym - nawet zanadto. A w miejscowościach takich jak Southbridge, jeśli nie masz rodziny ani domu, który można by nazwać własnym, przeżyjesz pół życia nie zdoławszy zaprzyjaźnić się z nikim. Istnieją w takich miejscowościach kobiety, zwłaszcza porzucone panny z dobrych domów na licho płatnych posadach, które latami, do samego końca żyją w zupełnej niemal samotności. Niedługo trwało, nim Dorota zaobserwowała u siebie stały upadek ducha, stan znużenia, w jakim - mimo starań - niczym nie potrafiła się zainteresować. I właśnie w nienawistnej nudzie tego czasu - w rozkładającej nudzie, jaka czyha na każdego współczesnego człowieka - doszła do pełnego zrozumienia, co znaczy utrata wiary.

Próbowała leczyć się książkami, co skutkowało tydzień lub nieco dłużej. Ale wkrótce niemal wszystkie książki wydały się nużące i niezrozumiałe; ponieważ mózg, kiedy jest osamotniony, nie chce służyć żadnym celom. W końcu stwierdziła, że nie radzi sobie z niczym bardziej skomplikowanym niż powieść detektywna. Odbywała spacer, dziesięcio- i piętnastomilowe, z zamiarem zmęczenia siebie dla odzyskania lepszego samopoczucia; ale nędzne przedmiejskie drogi, błotniste podmokłe ścieżki przez przyłaski, nagie drzewa, mokry mech i wielkie gąbczaste grzyby przepełniały ją nieznośną melancholią. Potrzebowała ludzkiego towarzystwa, a zdawało się, że nie ma sposobu na jego pozyskanie. Wieczorami, kiedy wracając do szkoły widziała ciepło oświetlone okna domów i słyszała śmiejące się głosy, i grające gramofony, jej serce puchło z zazdrości. Ach, być taką jak ci ludzie - mieć wreszcie dom, rodzinę, garść przyjaciół, których obchodzą twoje sprawy! Bywały dni, kiedy zbierała się na odwagę, by zacząć obcych na ulicy. A także dni, kiedy rozważała symulowanie pobożności, w celu nawiązania stosunków z wikarym od Św. Jerzego i jego rodziną albo uzyskania możliwości zajęcia się małymi parafialnymi pracami; a nawet dni, kiedy była tak zdesperowana, iż myślała o wstąpieniu do Y W C A.* Aż nagle, pod koniec ferii zimowych, zaprzyjaźniła

* Y W C A (Young Women Christian Association) - Stowarzyszenie Młodych Chrześcijańek.

się z małą kobietką, panną Beaver, nauczycielką geografii w Szkole Handlowej Toofa, w innej prywatnej szkole w Southbridge. Szkoła Handlowa Toofa była znacznie większa i z większymi pretensjami niż Ringwood House. Liczyła około stu pięćdziesięciu uczniów dochodzących płci obojga i dorosła nawet do zaszczytu posiadania dwunastu bursantów. Program nauki zdawał się tu oszustwem nieco mniej rażącym. Szkoła należała do gatunku tych, które założono z myślą o rodzicach uprawiających czczą paplaninę na temat „zaprawy do nowoczesnego biznesu” i troszczących się o „produktywność”; oznaczało to paradę przerażających przepychanek i banicję wszelkich nauk humanistycznych. Jednym z tego przejawów był rodzaj katechizmu zwanego „Rytualem skuteczności”, którego wszystkie dzieci musiały się wyuczyć na pamięć natychmiast po wstąpieniu do owej szkoły. Skadały się nań pytania i odpowiedzi w rodzaju:

P.: Jaka jest tajemnica sukcesu?

O.: Tajemnicę sukcesu stanowi skuteczność.

P.: Jaki jest sprawdzian skuteczności?

O.: Sprawdzianem skuteczności jest sukces.

I tak dalej, i tak dalej. Mówiono, że całoszkolny spektakl-w czasie którego chłopcy i dziewczęta pod kierunkiem dyrektora recytowali „Rytuał skuteczności” - wywierał wielkie wrażenie, a odbywał się dwa razy w tygodniu zamiast modlitwy.

Panna Beaver była pedantyczną młodą kobietką o krągłym ciele, szczupłej twarzy, czerwonym nosie i chodzie perliczki. Po dwudziestu latach wyzysku dochrapała się pensji w wysokości czterech funtów i dziesięciu szylingów tygodniowo oraz przywileju mieszkania „poza szkołą”, co zwalniało ją od conocnego zapędzania bursantów do łóżek. Mieszkała w „pokojach umeblowanych” - to znaczy w pokoju pełniącym funkcje sypialni i salonu, do którego mogła niekiedy zapraszać Dorotę, jeśli obydwie miały wolny wieczór. Jakże Dorota tęskniła do tych odwiedzin! Były one możliwe jedynie w rzadkich odstępach czasu, ponieważ gospodyni panny Beaver „nie akceptowała gości”. Wprawdzie, kiedy się tam człowiek znalazł, nie miał nic innego do roboty prócz pomocy w rozwiązywaniu krzyżówek z „Daily Telegraph” i oglądania fotografii wykonanych przez pannę Beaver podczas wycieczki (a wycieczka owa stanowiła koronę i chwałę jej żywota) do austriackiego Tyrolu w roku 1913, to jednak wielkie znaczenie miał fakt, że można było posiedzieć i prowadzić przyjacielską rozmowę, i pić herbatę mniej wodnistą niż ta u pani Creevy! Panna Beaver posiadała lampę spirytusową w futerale pociągniętym czarnym japońskim lakierem (miała ją ze sobą w Tyrolu w roku 1913), na

której zaparzała sobie dzbanki herbaty czarnej jak smoła, łykając w ciągu dnia chyba wiadro tego płynu. Zwierzyła się Dorocie, że zawsze zabiera do szkoły termos, żeby mieć porządną gorącą herbatę podczas przerwy i następną w czasie obiadu. Dorota zrozumiała, że każda trzeciorzędna nauczycielka musi przemierzyć jedną z dobrze przetartych dróg: drogę panny Strong - poprzez whisky do przytułku, albo panny Beaver - poprzez mocną herbatę do zacnej śmierci w „domu dla podupadłych dam”.

Panna Beaver była w istocie małą, nudną kobietką. Dla Doroty stanowiła *memento mori* albo raczej *memento senescere*. Odnosiło się wrażenie, że jej dusza zwiędła zanim popadła w beznadzieją taką, jak zeschnęła kostka mydła w zapomnianej mydelniczce. Doszła do stanu, w którym życie w sypialnio-salonie pod okiem tyranizującej ją landlady i „skuteczne” wciskanie geografii handlowej w głowy rzygających już nią uczniów, stanowiły jedyne przeznaczenie, jakie potrafiła dla siebie wymyślić. Ale Dorota nauczyła się bardzo cenić pannę Beaver, a te sporadycznie razem w sypialnio-salonie spędzane godziny, rozwiązywanie krzyżówek z „Daily Telegraph” przy filizance świetnej herbaty, stanowiły w jej życiu coś podobnego do oaz.

Była rada, kiedy zaczął się semestr wielkanocny, ponieważ nawet całodzienny wyzysk wydawał się lepszy niż pusta samotność ferii. Co więcej, dziewczęta sprawowały się w tym okresie znacznie lepiej; ani razu nie poczuła się zmuszona do pamięcią którejś po łbie. Pojęła, że utrzymywanie dzieci w ryzach jest znacznie łatwiejsze, gdy się postępuje z nimi bezwzględnie od samego początku. W czasie ostatniego okresu dziewczęta zachowywały się źle, ponieważ zaczęła od traktowania ich jak ludzi, więc później, kiedy przzerwano interesujące zajęcia, zbuntowały się jak ludzie. Ale kiedy jest się zobowiązanym do uczenia dzieci bzdur, nie można traktować ich jak ludzi. Musi się je traktować jak zwierzęta - zmuszając, a nie tłumacząc. Przede wszystkim trzeba nauczyć, że bunt jest o wiele boleśniejszy niż posłuszeństwo. Przypuszczalnie ten rodzaj traktowania nie jest dla dzieci najlepszy, ale nie ulega wątpliwości, że go rozumieją i nań reagują.

Nauczyła się posepnych prawideł szkolnego nauczyciela. Nauczyła się impregnować swój umysł przed tymi niekończącymi się, nudnymi godzinami, oszczędzać nerwy, być bezlitosną i wiecznie czujną, doznawać rodzaju dumy i przyjemności widząc, że pusta gadanina została porządnie odbębniiona. Dość niespodziewanie stała się o wiele twardsza i dojrzała. Jej oczy utraciły na poły dziecięcy blask, jakim świeciły dawniej, jej twarz wychudła, sprawiając, że nos wydawał się dłuższy. Niekiedy była to twarz doskonale nauczycielska; można ją sobie wyobrazić z pince-nez. Ale nie stała się jeszcze cyniczna.

Nadal pamiętała, że dzieci są ofiarami ponurego oszustwa, nadal tęskniła, gdyby to było możliwe, do zrobienia dla nich czegoś lepszego. Nękała je i wypełniała ich głowy bzdurami, lecz działało się to z jednego, jedyne go powodu: bez względu na to, co miało się stać, musiała utrzymać posadę.

W tym okresie nie było w klasie wielkich hałasów. Pani Creevy, spragniona, jak zawsze, okazji do reprimendy, rzadko miewała powody do walenia w ścianę kijem szczotki. Pewnego ranka przy śniadaniu spojrzała na Dorotę raczej nieprzyjaźnie, wyraźnie wążąc jakąś decyzję, a potem popchnęła po stole w jej kierunku salaterkę z manneladą.

- Proszę wziąć trochę marmolady, jeśli pani chce, panno Millborough - powiedziała dość, jak na nią, łaskawie.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy weszła do Ringwood House, manneladą przesunęła się przez jej usta. Oblał ją lekki rumieniec. „A więc ta kobieta zdaje sobie sprawę, że starałam się dla niej jak najlepiej”, pomyślała.

Od tej pory dostawała na śniadanie marmoladę każdego ranka. A swoją drogą pani Creevy zaczęła się do niej odnosić - no może nie jowialnie, coś podobnego zdarzyć się nie mogło, ale - z mniej obelżywą brutalnością. Zdarzało się niekiedy, że robiła grymas mający być w zamierzeniu uśmiechem; odnosiło się wtedy wrażenie, że twarz marszczyła się z wysiłku. Mniej więcej w tym czasie, w jej słowach pojawiały się napomknienia o „następnym semestrze”. Brzmiało to zawsze „zrobimy tak w następnym semestrze” i „będę chciała, aby pani zrobiła to w następnym semestrze”, aż Dorota zaczęła domniemywać, że zdobyła zaufanie pani Creevy i jest traktowana raczej jak koleżanka niż niewolnica. Wtedy też zakorzeniła się w jej sercu mała, nieuzasadniona, lecz bardzo podniecająca nadzieja. Być może pani Creevy ma zamiar podnieść jej pensję! Było to całkowicie nieprawdopodobne i próbowała złamać w sobie tę złudę, ale się to nie udało. Gdyby pobory zostały podniesione bodaj o pół korony, jakże wielką stanowiłoby to różnicę!

Nadszedł ostatni dzień. Dorota przypuszczała, że przy odrobinie szczęścia pani Creevy mogłaby wypłacić jej pensję nazajutrz. Naprawdę, bardzo potrzebowała pieniędzy; w ciągu ostatnich tygodni pozostawała bez grosza przy duszy; bywała nie tylko nieznośnie głodna, musiała też kupić nowe pończochy, ponieważ wszystkie, jakie miała, były doszczętnie zdarte. Następnego ranka wykonała wszelkie przypisane jej prace domowe i zamiast wyjść, oczekiwała w „małym salonie”, podczas gdy pani Creevy robiła huk i łomot szczotką i szuflą na górze. Wreszcie zeszła na dół.

- Ach, pani tutaj, panno Millborough! - rzekła osobiwym, znaczącym tonem. - Domyślałam się w pewnym sensie, że dziś nie będzie pani tak

spieszno do wyjścia. No cóż, jeśli już pani tu jest, sądzę, że mogłabym pani wypłacić jej pensję.

- Dziękuję - powiedziała Dorota.

- A potem - dodała pani Creevy - miałabym pani coś do powiedzenia.

Serce Doroty uderzyło szybciej. Czy to „coś” oznaczało upragnioną podwyżkę poborów? To można było sobie wyobrazić. Pani Creevy wydobyła z zamykanej szuflady kredensu zniszczony, pękaty portfel, otworzyła go i pośliniła kciuk.

- Dwanaście tygodni i pięć dni - powiedziała. - Dwanaście tygodni i dość na tym. Nie trzeba być w dzisiejszych czasach drobiazgowym co do dnia. Czyni to sześć funtów.

Odliczyła pięć wyświechtanych papierowych funtów i dwa banknoty dziesięcioszylingowe; następnie uznała jeden z banknotów za zbyt czysty, włożyła go więc z powrotem do portfela i wygrzebała inny, rozdarty na pół. Odeszła do kredensu, wzięła pasek przezroczystego klejącego papieru i starannie zlepiła obie części. Wręczyła je wraz z sześcioma innymi banknotami Dorocie.

- To by było na tyle, panno Millborough - rzekła.- A teraz, czy zechce pani łaskawie natychmiast opuścić ten dom? Nie będę już pani potrzebować.

- Pani nie może...

Wydawało się Dorocie, że jej wnętrzności zlodowaciały. Cała krew odpłynęła z twarzy. Ale jeszcze teraz, w przerażeniu i rozpacz, nie była zupełnie pewna, co do niej powiedziano. Czepiała się nadal złudzenia, że pani Creevy miała na myśli, iż przez resztę dnia Dorota może pozostać poza domem.

- Pani mnie już nie potrzebuje? - powtórzyła złamanym głosem.

- Nie. Z początkiem następnego semestru biorę inną nauczycielkę. A chyba nie można oczekiwać, że zatrzymam panią przez wakacje bez zajęcia, nieprawdaż?

- Ale chyba nie chce pani powiedzieć, abym stąd wyszła, że pani mnie wyrzuca?

- Oczywiście, że chcę. Co jeszcze wedle pani mogłam mieć na myśli?

- Ale pani mnie nie uprzedziła! - powiedziała Dorota.

- Uprzedziła! - krzyknęła pani Creevy, wpadając w nagły gniew. - Co to ma do rzeczy, czy panią uprzedziłam, czy nie? Nie ma pani spisanej umowy, nieprawdaż?

- Nie, raczej nie.

- Cówi ! Niech pani teraz idzie na górę zacznie pakowarzewczy. Nie ma

Dorota poszła na górę i siadła na brzegu łózka. Nie potrafiła opanować dreszczy. Trwało kilka minut, nim zdołała pozbierać myśli i zaczęła się pakować. Czuła się oszołomiona. Katastrofa, która na nią spadła, była tak niespodziewana, tak jawnie bezprzyczynna, że trudno było uwierzyć, iż stało się to rzeczywiście. Ale powód, dla którego pani Creevy ją wyrzuciła zdawał się w istocie prosty i wystarczający.

Nieopodal Ringwood House znajdowała się biedna, konająca, mała szkółka pod nazwą The Gables, z siedmioma zaledwie uczniami. Nauczycielką była tu nieudolna stara wyrobnica, panna Allock, która w ciągu życia zmieniła trzydzieści osiem różnych szkół i która nie byłaby zdolna podjąć się obowiązków domowego kanarka. Ale panna Allock miała pewien wyjątkowy talent: potrafiła świetnie oszukiwać swoich chlebodawców. W tych trzecio- i czwartorzędnych prywatnych szkołkach stale uprawiano rodzaj piractwa. „Obchodzono” rodziców i podkradano uczniów z jednej szkoły do drugiej. Bardzo często za tym procederem kryła się sprzedajna nauczycielka. Obchodziła sekretnie rodziców, po kolei („Poślijcie swoje dziecko do mnie, a wezmę o dziesięć szylingów taniej”), a gdy skorumpowała wystarczającą ich ilość - nagle uciekała i zaczynała pracę na własną rękę, albo wyprowadzała dzieci do innej szkoły. Pannie Allock udało się podkraść trójkę z siedmiorga uczennic chlebodawczyni i zaoferowała je pani Creevy. Miała w zamian otrzymać miejsce Doroty i piętnastoprocentowy udział w czesnym przyprowadzonych dziewcząt.

Zanim ubito interes, tajemne targi trwały tygodniami, by ostatecznie obciąć udział panny Allock z piętnastu do dwunastu i pół procenta. Pani Creevy postanowiła skrycie wyrzucić pannę Allock natychmiast po upewnieniu się, że trójka dziewcząt przez nią przyprowadzonych pozostanie w jej szkole. Równocześnie panna Allock zaplanowała sobie, że gdy tylko postawi stopę w nowej szkole, zacznie podkradać uczennice starej Creevy.

Wyrzucając Dorotę, trzeba było, rzecz jasna, zadbać o to, by nie zorientowała się w czym rzecz. Ponieważ zapewne, gdyby wiedziała, co ma nastąpić, zaczęłaby sama kraść uczennice na własny rachunek, w każdym razie nie kiwnęłaby palcem w bucie do końca semestru. (Pani Creevy była dumna ze swojej znajomości natury ludzkiej.) Stąd właśnie owa marmelada, krzywe uśmiechy i cała reszta podstępów dla uspienia podejrzeń Doroty. Każdy kto się znał na takich chwytach, zacząłby myśleć o innej posadzie już w chwili, kiedy salaterka z marmelada została popchnięta przez stół.

Dokładnie w pół godziny po wyroku zwolnienia Dorota, niosąc torbę, otworzyła frontowe drzwi. Był czwarty kwiecień, jasny wietrzny dzień, zbyt zimny, by go łatwo znosić. Niebo stało błękitne niczym jajo płochacza-pokrzywnicy. Wiał jeden z tych dokuczliwych wiosennych wiatrów, jakie nadchodzą pędząc wzdłuż chodników w nagłych porywach i ciskają w twarz suchym żądlastym piaskiem. Dorota zamknęła za sobą bramę i bardzo powoli ruszyła w stronę stacji kolei żelaznej.

Powiedziała pani Creevy, że poda adres, pod który należy odesłać jej pudło; pani Creevy natychmiast ustaliła opłatę za tę usługę w wysokości pięciu szylingów. Tak więc Dorota miała w ręku pięć funtów i piętnaście szylingów, które przy roztropnej oszczędności mogły ją utrzymać przez trzy tygodnie. Miała też bardzo mgliste pojęcie o tym, co powinna zrobić, poza świadomością, że musi zacząć od wyjazdu do Londynu i znalezienia stosownego mieszkania. Gdy pierwszy strach ustąpił, stwierdziła, że położenie nie jest aż tak beznadziejne. Niewątpliwie zechce jej pomóc ojciec, co najmniej przez jakiś czas, a w najgorszym wypadku, choć nienawdziła nawet myśli o czymś podobnym, mogła po raz wtóry poprosić o pomoc kuzyna. Ponadto, szansę znalezienia pracy rysowały się przypuszczalnie nieźle. Była młoda, mówiła z eleganckim akcentem i była gotowa harować za pensję służącej - a to kwalifikacje wielce poszukiwane przez właścicieli czwartorzędnych szkół. Bardzo możliwe, że wszystko pójdzie dobrze. Ale to, że miała przed sobą podłą perspektywę - polowanie na pracę, niepewność, a być może i głód - w każdym razie wydawało się pewne.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1.

Jednakże stało się nieco inaczej. Dorota nie odeszła od bramy ani pięciu jardów, kiedy z przeciwka zjawił się jadący na rowerze posłaniec z telegramem, gwizdzący i patrzący na nazwy domów. Ujrzał nazwę Ringwood House, zatoczył rowerem koło, oparł go na krawężniku i zaczął Dorotę:

- Mieszka tu panna Millburrow? - spytał, skinąwszy głową w stronę Ringwood House.

- Tak, ja jestem Millborough.

- Zaczkam jał bee odpowiedź - powiedział chłopiec, dobywając zza pasa kopertę w kolorze pomarańczy.

Dorota odstawiła bagaż. Znowu dostała okrutnych dreszczy. Nie była pewna - z radości czy ze strachu. Jej wyobraźnię opanowały równocześnie dwie sprzeczne myśli. Jedna - „to jest jakaś dobra wiadomość!” Druga - „ojciec jest poważnie chory!” Udało się jej otworzyć kopertę i znalazła zajmujący dwie strony telegram, z rozumieniem którego miała poważne trudności. Brzmiał:

„cieszcie się w panu o wy sprawiedliwi wykrzyknik wielka wiadomość wykrzyknik twoja reputacja absolutnie przywrócona stop pani semprill wpadła w dół przez siebie wykopany stop pozew o zniesławienie stop nikt jej już nie wierzy stop twój ojciec życzy twego powrotu do domu natychmiast stop przyjeżdżam do miasta osobiście przecinek zabiorę cię jeśli zechcesz stop przyjeżdżam wkrótce potem stop czekaj na mnie chwalcie go głośnymi cymbałami wykrzyknik bardzo kocham stop”

Nie musiała patrzeć na podpis. Oczywiście wysłał to pan Warburton. Dorota poczuła się słabo i zaczęła drżeć bardziej niż kiedykolwiek. Niemal nie postrzegła, że posłaniec o coś ją pyta.

- Jakaś odpowiedź? - powtórzył po raz trzeci lub czwarty.

- Nie dzisiaj, dziękuję - powiedziała nieprzytomnie Dorota.

Chłopiec wsiadł znowu na rower i odjechał, gwizdząc dwa razy głośniej, by pokazać Dorocie, jak bardzo nią pogardza za to, że nie dała mu napiwku. Jedyne zdanie telegramu, jakie zrozumiała w pełni, brzmiało „twój ojciec życzy twego powrotu natychmiast”, a zaskoczenie pozostawiło ją w stanie całkowitego oszołomienia. Stała na chodniku - w zimnym wietrze - przez czas nieokreślony, snując najbardziej mętne domysły, jakie sobie można wyobrazić, gdy nagle wtoczyła się w ulicę taksówka z panem Warburtonem w środku. Ujrawszy Dorotę, zatrzymał taksówkę, wyskoczył i ruszył przez jezdnię na spotkanie, promieniejąc. Objął ją ramionami.

- Hallo! - krzyknął i natychmiast niby ojcowskim ruchem zarzucił na jej kark jedno ramię, przyciągnął, nie zważając na to, że ktoś mógłby patrzeć. - Jak się masz? Ale, na Jowisza, jakie ty wychudła! Czuję wszystkie zebra. Gdzie twoja szkoła?

Dorota, której nie udało się jeszcze uwolnić od jego ramienia, wykonała półobrot i rzuciła spojrzenie w kierunku ciemnych okien Ringwood House.

- Ależ! Coś takiego? Dobry Boże, co za buda! Co zrobiłaś z bagażem?

- Jest w środku. Zostawiłam im pieniądze, żeby mi odesłali. Myślę, że to zrobią.

- Och, nonsens! Dlaczego masz płacić? Zabierzemy ze sobą. Można go położyć na dachu taksówki.

- Nie, nie! Niech prześlą. Nie chcę tam wracać. Pani Creevy będzie potwornie zła.

- Pani Creevy? Kto to jest pani Creevy?

- Kierowniczka - co najmniej, właścicielka szkoły.

- A cóż to, jest smokiem? Zostaw to mnie, ja to z nią załatwię. Perseusz i megiera, co? Ty jesteś Andromedą. Hej! - zawołał taksówkarza.

Podeszli obaj do drzwi frontowych i pan Warburton zapukał. Dorota jednak nie wierzyła, że uda się im odebrać pani Creevy pudło. Wyobrażała sobie raczej, że zobaczy, jak ratując życie zmykają przed panią Creevy ze szczotką. Jednakże po kilku minutach pojawili się znowu, taksówkarz niósł pudło na ramieniu. Pan Warburton pomógł Dorocie wsiąść do taksówki, podawszy ramię, a kiedy usiedli, położył na jej dłoni półkoronówkę.

- Co za kobieta, co za kobieta! - powiedział domyślnie, kiedy taksówka ruszyła. - Jak do diabła mogłaś to tak długo znosić?

- Co to jest? - spytała Dorota, patrząc na monetę.

- Twoje pół korony, które zostawiłaś na opłatę za bagaż. Odzyskanie tego od tej starej wydry to wyczyn, nieprawdaż?

- Ale ja jej zostawiłam całą koronę! - powiedziała Dorota.

- Co?! Ta kobieta powiedziała mi, żeś zostawiła pół korony. Na Boga, co za tupet! Wrócimy i odbierzemy od niej te pół korony. Tak, żeby jej dokuczyc! - Zastukał w szybę oddzielającą taksówkarza od kabiny pasażerów.

- Nie, nie! - błagała Dorota, kładąc dłoń na jego ramieniu. - To w końcu nie ma znaczenia. Odjedźmy stąd, natychmiast odjedźmy. Nie potrafiłabym znieść powrotu do tego domu, nigdy!

Była to najpewniej prawda. Czuła, że wolałaby raczej poświęcić nie tylko marnie pół korony, ale wszystkie posiadane pieniądze, byle nie widzieć Ringwood House. Jechali więc, pozostawiawszy za sobą zwycięską panią Creevy. Ciekawe, czy była to druga sytuacja, kiedy pani Creevy wybuchnęła śmiechem.

Pan Warburton nalegał, by jechać taksówką do samego Londynu i w cichszych odcinkach ruchu ulicznego mówił tak rozlewnie, że Dorota z trudem mogła dojść do słowa. Dopiero gdy wjechali w obręb właściwego miasta, otrzymała wyjaśnienie nagłej odmiany swego losu.

- Powiedz mi - rzekła - co się właściwie stało? Nie rozumiem. Czemu nagle mogę spokojnie wracać do domu? Dlaczego ludzie nie wierzą już pani Semprill? Przecież na pewno się nie przyznała?

- Przyznała? To nie ona! To raczej zdemaskowały ją jej grzechy, zawsze takie same. To ten rodzaj okoliczności, jaki wy, ludzie wierzący, zwykliście przypisywać palcowi opatrności. Rzuć swój chleb na wodę i temu podobne. Popadła w paskudną breję - proces o zniesławienie. Od dwu tygodni w Knype Hill nie mówiliśmy o niczym innym. Myślałem, że przeczytasz coś o tym w gazetach.

- Od wieków prawie nie oglądam gazet. Kto wystąpił z oskarżeniem o zniesławienie? Oczywiście nie mój ojciec?

- Na litość boską, nie! Kler nie może występować z pozwami o zniesławienie. To dyrektor banku. Pamiętasz jej ulubioną historyjkę, że utrzymuje kobiety za bankowe pieniądze i temu podobne?

- Tak, sądzę, że tak.

- Kilka miesięcy temu była na tyle głupia, że coś o tym napisała. Pewien rodzaj przyjaciela - przyjaciela płci damskiej, jak przypuszczam - zaniósł ów Ust do dyrektora banku. Ten wniósł oskarżenie. Pani Semprill została skazana na zapłacenie stu pięćdziesięciu funtów odszkodowania. Nie przypuszczam, by zapłaciła poi pensa, ale mimo to, był to koniec jej kariery plotkarki. Możesz latami psuć ludziom reputację i wszyscy mniej lub bardziej będą ci wierzyć, nawet jeśli jest absolutnie oczywiste, że kłamiesz. Ale kiedy ci raz dowiodą kłamstwa na otwartej rozprawie sądowej, jesteś - żeby tak rzec -

zdyskwalifikowana. Pani Semprill, tak daleko jak sięga Knype Hill, jest załatwiona. W ciągu kilku dni opuściła miasto, praktycznie i faktycznie była to cicha wyprowadzka. Jestem przekonany, że obecnie jest utrapieniem w Bury St. Edmunds.

- Ale co to ma wspólnego z tym, co nagadała o tobie i o mnie?

- Nic, zupełnie nic. Ale czemu się martwisz? Rzecz w tym, że zostałaś oczyszczona i wszystkie te wiedźmy, które miesiącami wycierały tobą swoje ryje, mówią teraz: „Biedna, biedna Dorota, jak skandalicznie potraktowała ją ta ohydna kobieta”.

- One myślą, że skoro pani Semprill skłamała w jednym przypadku, musiała kłamać w innych, tak sądzisz?

- Niewątpliwie tak właśnie musiałyby myśleć, gdyby były zdolne wyciągać rozumne wnioski. W każdym razie pani Semprill znalazła się w niełasce, a więc wszyscy oszkalowani przez nią ludzie są z pewnością ofiarami. Nawet moja reputacja jest w tej chwili nieposzlakowana.

- I sądzisz, że to już naprawdę koniec? Jesteś pewien, że one wierzą szczerze, że to wszystko był tylko wypadek - że ja jedynie utraciłam pamięć i z nikim nie uciekłam?

- Och, zgoda, nie szedłbym aż tak daleko. W tych prowincjonalnych dziurach zawsze kołocze się pewna ilość podejrzeń. Podejrzeń o nic konkretnego, jak wiesz; po prostu podejrzeń uogólnionych. Jest to rodzaj instynktownej rustykalnej, sprośnej wyobraźni. Mogę sobie wystawić, jak za dziesięć lat w barze pod „Kompanem i Butelką” będą mamrotać, że w przeszłości miałaś jakiś paskudny romans-sekret, ale nikt nie potrafi sobie przypomnieć jaki. Mimo to twoje kłopoty się skończyły. Na twoim miejscu nie dawałbym żadnych wyjaśnień, chyba, że cię będą nagabywać. Wersja oficjalna głosi, że miałaś ostry atak grypy i wyjechałaś na leczenie. Ja bym się tego trzymał. Przekonasz się, że oni przyjmą to bez zastrzeżeń. Oficjalnie nikt nie ma przeciwko tobie nic.

Tymczasem dojechali do Londynu i pan Warburton zabrał Dorotę na lunch w restauracji przy ulicy Coventry, gdzie zamówili młode kurczę z różną ze szparagami i małeńkimi, białymi jak perły ziemniaczkami, które wydarto z matki-ziemi przed czasem oraz ciastko z owocami polane syropem i ładną ciepłą butelkę burgunda; ale największą przyjemność sprawiła Dorocie, po cienkiej lurze pani Creevy, czarna kawa, jaką pili na deser. Po lunchu wzięli następną taksówkę do stacji kolejowej przy ulicy Liverpool i wsiedli do pociągu o 14.45. Czekala ich czterogodzinna podróż do Knype Hill.

Pan Warburton dopiął swego, kupując pierwszą klasę i nie chciał słyszeć, żeby Dorota płaciła za przejazd; w dodatku - gdy była odwrócona - dał napiwek konduktorowi, by przydzielił im osobny przedział. Był to jeden z tych jasnych, zimnych dni, które można uznawać za wiosenne lub zimowe, w zależności od tego, czy jest się w jakimś wnętrzu, czy na wolnym powietrzu. Za zamkniętymi oknami przedziału zbyt błękitne niebo wyglądało ciepło i życzliwie. Cały ruderowaty, bałagański pejzaż, przez który klekotał pociąg - labirynt małych, odrapanych z farby domów, wielkich chaotycznych fabryk, mulistych kanałów i opuszczonych budynków zaśmieconych zardzewiałymi kotłami i poprzerastanych szerniałymi od dymu chwastami - przywracało do istnienia i wyzłacało - słońce. W ciągu pierwszej pół godziny podróży Dorota niemal się nie odzywała. Była jeszcze zbyt szczęśliwa, by mówić. Nie myślała o niczym szczególnym, ale po prostu rozkoszowała się patrzeniem w prześwietlone słońcem okno, w komforcie miękkiego fotela, tak jakby uciekła ze szponów pani Creevy. Ale była świadoma, że ten stan nie może trwać długo. Jej zadowolenie z losu, podobnie jak wino, które wypita podczas lunchu, słabło, a myśli bolesne i trudne do wyrażenia, zaczęły w mózgu nabierać kształtów. Pan Warburton obserwował jej twarz wnikliwiej, niż to miał w zwyczaju, usiłując oszacować zmiany, z dziewięciu ostatnich miesięcy...

- Wyglądasz starzej - powiedział w końcu. - Tak, wyglądasz - no cóż - znacznie doroślejsza. Twardsza. Coś zmieniło się w twojej twarzy. Wyglądasz, jeśli wybaczysz to porównanie, jakby raz na zawsze została z ciebie wyegzorcyzmowana skautka. Mam nadzieję, że na jej miejsce nie wstąpiło w ciebie siedem diabłów? - Dorota nie odpowiedziała, on zaś dodał: - Domyślam się, w rzeczy samej, że przeżyłaś diabelnie trudny czas.

- Och, potworny! Czasem zbyt potworny, żeby o nim mówić. Czy wiesz, że czasem...

Przerwała. Już była bliska opowiedzenia mu jak zebrała o jedzenie; jak sypiała na ulicach; jak została aresztowana za żebractwo i spędziła noc w celi komisariatu; jak znęcała się nad nią i głodziła pani Creevy. Urwała, ponieważ nagle uświadomiła sobie, że nie były to wydarzenia, o których pragnęłaby mówić. Takie sprawy, rozumowała, nie mają rzeczywistego znaczenia; są to zwyczajne przypadki oderwane od tematu, nieznacznie tylko różniące się od przebiegienia albo dwugodzinnego oczekiwania na przystanku kolejowym. Są one nieznośne, ale nie mają wagi. Truizm, że wszystkie wydarzenia rzeczywiste zachodzą jedynie w umyśle, uderzył ją o wiele silniej niż kiedykolwiek wcześniej, powiedziała więc:

- Tamto jest naprawdę bez znaczenia. Mam na myśli takie sprawy jak brak pieniędzy i niedostatek jedzenia. Nawet jeżeli się naprawdę głoduje - niczego to w człowieku nie zmienia.

- Istotnie? Wierzę ci na słowo. Ale byłoby bardzo przykro zaznać tego na własnej skórze.

- Och, zgoda, to jest koszmarnie, kiedy się zdarza, oczywiście; ale to nie robi żadnej rzeczywistej różnicy; liczy się to, co zachodzi w samym człowieku.

- To znaczy? - spytał pan Warburton.

- Och, zmiany zachodzą w naszym umyśle. A potem zmienia się cały świat, ponieważ patrzy się nań inaczej.

Cały czas patrzyła w okno. Pociąg wymknął się z obszaru ruderskich wschodnich przedmieść i biegł nabierając prędkości wśród obrosłych wierzbami potoków, nisko położonych łąk, gdzie na dzielących je żywopłotach pojawiały się pierwsze pąki, niczym obłok nieśmiałej, miękkiej zieleni. W polu niedaleko linii elektrycznej, miesięczny cielak, płaski jak zwierzę z Arki Noego, podążał na sztywnych nogach za matką, a w przydomowym ogrodzie stary robotnik, powolnymi zreumatyzowanymi ruchami przewaracał glebę pod gruszką pokrytą zjawiskowym kwieciami. Łopata, gdy mijał go pociąg, załśniła w słońcu. Przez myśl Doroty przeleciał przygnębiający wers z pieśni kościelnej „Zmiany i gnicie we wszystkim, co widzę”. Sprawdziło się to, co powiedziała przed chwilą. Coś zaszło w jej sercu i świat stał się nieco pusty, nieco uboższy. W taki dzień jak ten, ostatniej wiosny albo każdej dawniejszej wiosny, jakże radośnie, jakże bezmyślnie zwykła była dziękować Bogu za pierwszy błękit nieba i za pierwsze kwiaty odradzającego się roku! A teraz, najwyraźniej, nie stało Boga, któremu można by podziękować, nie stało kwiatu ni kamienia, ani żdźbła trawy - nie odnajdywała we wszechświecie niczego, co znowu mogłoby być takie jak niegdyś.

- Wszystko zmienia się w naszym umyśle - powtórzyła. - Straciłam wiarę - dodała, jakoś gwałtownie, ponieważ wypowiedziawszy te słowa poczuła się na poły zawstydzona.

- Straciłaś coś? - spytał pan Warburton, mniej niż ona obyty z tego rodzaju frazeologią.

- Wiarę. Och, przecież wiesz o czym myślę! Kilka miesięcy temu, jakoś tak nagle, wydało mi się, że zmianie uległa cała moja psychika. Wszystko, w co wierzyłam, wszystko, wydało mi się nagle bez znaczenia i niemal głupie. Bóg; to, co uważałam za Boga; nieśmiertelne życie; niebo i piekło; wszystko. Wszystko to odeszło. I nie dlatego, że to sobie wyrozumowałam; to mi się po prostu przydarzyło. Tak jak kiedyś, będąc dzieckiem, pewnego dnia, bez

szczególnej przyczyny, przestałam wierzyć w bajki. Po prostu nie mogłam nadal wierzyć.

- Nigdy w to nie wierzyłaś - powiedział spokojnie pan Warburton.

- Ależ wierzyłam, naprawdę wierzyłam! Wiem, że zawsze myślałeś, że nie - zawsze myślałeś, że udaję, ponieważ wstydziłam się do tej wiary przyznać. Ale tak wcale nie było. Wierzyłam, jak teraz wierzę, że siedzę w tym przedziale.

- Oczywiście, że nie wierzyłaś, moje drogie dziecko! Jakże byś mogła, w twoim wieku? Byłaś na to o wiele za inteligentna. Ale wychowano cię w tych absurdalnych wierzeniach, więc uważałaś, w pewien sposób, że jeszcze możesz je trawić. Zbudowałaś sobie pewien wzór życia - jeśli wybaczysz ten nieco psychologiczny żargon - jedyny, jaki był możliwy dla osoby wierzącej i naturalnie zaczynało ci to ciążyć. W istocie to, co się z tobą działo, było przez cały czas oczywiste. Mógłbym rzec, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, to był powód twojej utraty pamięci.

- Co masz na myśli? - spytała, dość zaintrygowana tą uwagą.

Spostrzegł, że nie zrozumiała, więc wyjaśnił, że utrata pamięci jest tylko sposobem, zastosowanym nieświadomie, ucieczki od nieznośnej sytuacji. Umysł, mówił, kiedy znajdzie się w ślepej uliczce, gotów jest stosować ciekawe sztuczki. Dorota nigdy wcześniej nie słyszała o czymś podobnym i zrazu nie mogła się zgodzić. Wszelako poddała to szybkiej analizie i pojęła, że nawet gdyby to była prawda - nie zmieniałaby faktu podstawowego.

- Nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło - zauważyła w końcu.

- Czyżby? Powiedziałbym raczej, że zmieniło w sposób niezmiernie istotny.

- Ale czy nie sądzisz, że jest bez znaczenia, jeśli moja wiara umarła, czy utraciłam ją teraz, czy przed laty? Wszystko co się Uczy to to, że umarła i że muszę zacząć swoje życie na nowo.

- Oczywiście, nie przypuszczam, że myślisz... - powiedział pan Warburton - ... że naprawdę żałujesz utraty wiary, jak to nazywasz. Równie dobrze można żałować utraty chorobliwego wola. Zważ, mówię jak człowiek, który nigdy nie miał do stracenia zbyt głębokiej wiary. Ta odrobina, jaką miałem, zniknęła dość bezboleśnie, kiedy liczyłem sobie lat dziewięć. Ale na pewno nie jest to coś, czego utraty, wedle mnie, ktokolwiek mógłby żałować. Nigdy nie przywykłaś, jeśli dobrze pamiętam, do wykonywania tych wszystkich koszmarnych czynności, jak wstawanie o piątej rano, żeby przyjmować komunię na pusty żołądek? Oczywiście nie tęsknisz do tego rodzaju atrakcji?

- Już w to nie wierzę, jeżeli to właśnie masz na myśli. I widzę teraz, że chyba wiele w tym było głupoty. Ale jakąż stąd pociecha? Rzecz w tym, że wszystkie przekonania, jakie miałam, znikły i nie mam nic w zamian.

- Ale na Boga! dlaczego chcesz mieć coś w zamian? Pozbyłaś się ładunku śmieciarskich zabobonów i powinnaś się cieszyć. Czy naprawdę nie jesteś odrobinę szczęśliwsza, nie drżąc ze strachu przed ogniem piekielnym?

- Czy jednak nie widzisz, musisz widzieć jak inne jest wszystko, kiedy tak nagle pustoszeje cały świat?

- Pustoszeje? - krzyknął pan Warburton. - Co masz na myśli mówiąc „pustoszeje”? U dziewczyny w twoim wieku muszę to nazwać skandalem do kwadratu. Wcale nie opustoszał, w oku diabła jest przepełniony, w tym cały kłopot. Dziś jesteśmy, jutro nas nie ma, nie mamy czasu nacieszyć się tym, co nam dano.

- Ale jak można się czymkolwiek cieszyć, kiedy to utraciło wszelki sens?

- Na litość boską! Co ci po sensach? Kiedy jem obiad - nie robię tego na większą chwałę bożą; robię, ponieważ to mnie zadowala. Świat jest pełen rzeczy rozkosznych - książek, obrazów, wina, podróży, przyjaciół - wszystkiego. Nigdy nie widziałem w tym żadnego sensu i żadnego widzieć nie chcę. Czemu nie brać życia takim, jakie jest?

- Ale...

Przerwała, zrozumiałszy wreszcie, że tylko trwoni słowa próbując mu cokolwiek wytłumaczyć. Nie był chyba zdolny do zrozumienia jej trudności - do wyobrażenia sobie, że umysł człowieka pobożnego z natury musi wzdragać się przed światem nagle zdemaskowanym i pozbawionym sensu.

Nawet obmierzłe komunały panteistów pozostawały poza jej możliwością rozumienia. Prawdopodobnie myślała, że życie jest w gruncie rzeczy jałowe, jeżeli w ogóle o tym myślała, rozbawiała go raczej, niż skłaniała do dalszych refleksji. A jednak mimo to był wystarczająco przenikliwy. Potrafił dostrzec całą złożoność jej osobistej i osobliwej sytuacji, i nawiązał do niej chwilę później.

- Oczywiście - rzekł. - Przewiduję, że kiedy wrócisz do domu, sprawy przybiorą dla ciebie nieco nieprzyjemny obrót. Będziesz jak ten, że tak powiem, wilk w owczej skórze. Zajęcia parafialne, spotkania Związku Matek, modlitwy za umierających i cała reszta - sądzę, że z czasem uznasz to za wstętne. Boisz się, że temu nie poddasz. Czy nie w tym kłopot?

- Och, nie. O tym nie pomyślałam. Mogę to robić dalej, tak samo jak przedtem. Do tego jestem najbardziej przyzwyczajona. Poza tym ojciec po-

trzeba mojej pomocy. Nie może sobie pozwolić na wikarego, a praca musi być wykonana.

- No więc, w czym rzecz? Obawiasz się hipokryzji? Obawiasz się, że ten poświęcony chleb utkwii ci w gardle, czy coś w tym sensie? Ja bym się tym nie zamartwiał. Połowa córki proboszczów w Anglii znajduje się prawdopodobnie w takich samych tarapatkach. A chyba mógłbym powiedzieć, że również dziewięciu na dziesięciu proboszczów.

- Tak, chyba tak, w pewnym sensie. Będę zawsze musiała udawać, och, nie możesz sobie tego wyobrazić! Ale nie to jest najgorsze. Być może ta strona sprawy w ogóle nie ma znaczenia. Być może lepiej być hipokrytką - tego rodzaju hipokrytką - niż czym innym.

- Dlaczego mówisz „tego rodzaju hipokrytką”? Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż udawanie wiary jest czymś w kolejności najlepszym po samej wierze?

- Tak... Sądzę, że tak właśnie myślę. To jest, przypuszczalnie, lepsze - mniej samolubne - udawanie, że się wierzy, gdy się nie wierzy, niż otwarte przyznawanie się do niewiary i prawdopodobne inspirowanie innych także do przejścia na stronę niewierzących.

- Moja droga Doroto - powiedział pan Warburton - twój umysł, jeśli wybaczysz mi to, co powiem, jest w stanie choroby. Nie, do diabła! to gorsze od choroby; to stan całkowitego zakażenia. Masz coś w rodzaju umysłowej gangreny przechowanej w twoim chrześcijańskim wychowaniu. Mówisz mi, żeś się uwolniła od tych cudackich przekonań, jakimi cię szpikowano od kołyski do dojrzałości, a jednocześnie zaczynasz przybierać taką postawę wobec życia, jakby bez tych przekonań musiało być zwyczajnie pozbawione sensu. I nazywasz to rozsądnym?

- Nie wiem. Nie, chyba nie. Ale sądzę, że to przychodzi do mnie w sposób naturalny.

- To, co próbujesz robić, najwidoczniej - ciągnął pan Warburton - to czerpanie z obu światów tego, co najgorsze. Trwasz przy chrześcijańskim porządku rzeczy, ale rajowi pozwalasz go opuścić. A przypuszczam, gdybyż znano tę prawdę, że po ruinach K A błąka się wielu podobnych do ciebie. Stanowicie w istocie sektę jedyną w swoim rodzaju - dodał w zamyśleniu - anglikańskich ateistów. Nie jest to sekta, do jakiej chciałoby mi się należeć, muszę przyznać.

Rozmawiali czas jakiś dłużej, ale bez większego pożytku. W rzeczywistości bowiem cały ów temat religijnych wierzeń i religijnych zwątpień był dla pana Warburtona nudny i niezrozumiały. Działał nań wyłącznie jako pretekst do

bluźnierstwa. Zmienił więc szybko temat, jakby rezygnując z prób zrozumienia poglądów Doroty.

- Opowiadamy nonsensy - rzekł. - Trzymasz się pewnych przygnębiających pojęć, ale wiesz, że z nich w końcu wyrośniesz. Chrześcijaństwo nie jest z pewnością chorobą nieuleczalną. Zresztą miałem ochotę powiedzieć ci o czymś zupełnie innym. Chcę, żebyś mnie przez chwilę posłuchała. Wracasz do domu po ośmiomiesięcznej nieobecności i mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż sytuacja będzie niekorzystna. Miałaś już przedtem twarde życie - łagodnie powiedziaławszy można je nazwać twardym - a teraz, gdy już nie jesteś tak dobrą skautką jak byłaś - zacznie być znacznie twardsze. No więc, czy myślisz, że powrót jest absolutnie konieczny?

- Ale ja nie wiem, co jeszcze mogłabym robić, chyba, że mogłabym dostać inną pracę. Naprawdę nie mam wyboru.

Pan Warburton, z głową przechyloną zawadiacko w jedną stronę, patrzył na Dorotę z pewnego rodzaju zaciekawieniem.

- W gruncie rzeczy - rzekł tonem znacznie poważniejszym niż zwykle - istnieje co najmniej jedna alternatywa, jaką mogę ci podsunąć.

- Myślisz, że mogłabym nadal być nauczycielką? Prawdopodobnie to jest właśnie to, co powinnam robić. Wrócę do tego w końcu, na pewno.

- Nie, nie sądzę, że to w ł a s n i e powinienem ci doradzić.

Przez cały ten czas pan Warburton, który zazwyczaj niechętnie odślaniał swoją łysinę, miał na głowie zawadiacki pilśniowy kapelusz z dość szerokim rondem. Jednakże teraz zdjął go i położył starannie na pustym fotelu obok siebie. Jego nagi czerep, z dwiema jedynie kepkami złotych włosów przylepionymi w sąsiedztwie uszu, wyglądał jak monstrialna różowa perła. Dorota patrzyła nań z pewnym zaskoczeniem.

- Zdejmuję kapelusz - powiedział - by ci dać się widzieć od najgorszej strony. Dlaczego - zrozumiesz za chwilę. Pozwól mi teraz zaproponować ci inną alternatywę niż powrót do twoich skautek i Związku Matek czy samouwięzienie w jakiejś śmierdzącej szkółce dla dziewcząt.

- Co masz na myśli? - spytała Dorota.

- Mam na myśli, czy zechcesz - pomyśl, zanim odpowiesz; przynajmniej, że są pewne oczywiste przeszkody, ale - czy zechcesz za mnie wyjść?

Usta Doroty rozwarło zdumienie. Może nawet nieco pobladła. Gwałtownym, niemal nieświadomym szarpnięciem ciała odsunęła się odeń tak daleko, jak na to pozwalało oparcie fotela. Ale nie uczynił w jej stronę żadnego ruchu. Powiedział z całkowitym spokojem:

- Wiesz, oczywiście, że Dolores - (Dolores była eks-kochanką pana Warburtona) - porzuciła mnie przed rokiem?

- Ale ja nie mogę, nie mogę! - krzyknęła Dorota. - Wiesz, że nie mogę! Ja nie jestem... taka! Myślałam, że zawsze wiedziałeś. W ogóle nie powinnam wychodzić za męża.

Pan Warburton zlekceważył tę uwagę.

- Zapewniam cię - rzekł, nadal z przykładowym spokojem - że nie należę do gatunku młodych mężczyzn poszukiwanych na mężów. Jestem od ciebie nieco starszy. Oboje zdajemy się dziś wykladać karty na stół, powiem ci więc w wielkim sekrecie, że liczę sobie lat czterdzieści dziewięć i że mam troje dzieci oraz paskudną reputację. Byłoby to małżeństwo, na które twój ojciec patrzyłby, no cóż, z dezaprobatą. A moje dochody wynoszą zaledwie siedemset funtów rocznie. A jednak, nie sądzisz, że to warte rozważenia?

- Nie mogę, wiesz dlaczego nie mogę! - powtórzyła Dorota.

Uznawała to za pewnik, że „wiedział dlaczego nie mogła”, choć nigdy nie wyjaśniła ani jemu, ani nikomu innemu, dlaczego zamążpójście jest dla niej niemożliwe. Prawdopodobnie, nawet gdyby to wyjaśniła, nie zrozumiałaby. Mówił więc dalej, zdając się nie zauważać tego, co powiedziała.

- Pozwól mi to wyłożyć - rzekł - w formie transakcji. Oczywiście nie muszę dodawać, że chodzi o coś znacznie ważniejszego. Nie należę do mężczyzn z gatunku żonkosiów, jak się to mawia i nie byłbym cię zachęcał do wyjścia za mnie, gdybyś mnie w jakiś szczególny sposób -nie pociągała. Ale pozwól mi najpierw wyłożyć sprawę interesów. Potrzebujesz domu i środków do życia; ja potrzebuję żony, która by trzymała mnie w ryzach. Mam dość tych okropnych kobiet, z którymi spędziłem całe życie - jeśli zechcesz mi wybaczyć, że o nich wspominam - i na dobrą sprawę chciałem się już ustatkować. Może troszkę za późno, ale lepiej późno niż wcale. Poza tym, potrzebuję kogoś do opieki nad dziećmi; nad tymi, jak wiesz, bękartami. Nie oczekuję, że znajdziesz mnie przemożnie atrakcyjnym - dodał przesuając w zamyśleniu dłonią po łysej koronie - ale z drugiej strony jestem bardzo łatwy w pożyciu. Zazwyczaj tacy, w gruncie rzeczy, są ludzie niemoralni. Również z twojego punktu widzenia ten układ niesie pewne korzyści. Czemuż miałabyś trawić życie na roznoszeniu parafiańskich pisemek i nacieraniu nóg obrzydliwych starych bab maścią Ellimana? Byłabyś szczęśliwa w małżeństwie, nawet z mężem o łysej głowie, z ciemną przeszłością. Jak na dziewczynę w twoim wieku, życie miałaś trudne, nudne, a i twoja przyszłość nie jest zupełnie różowa. Czy naprawdę zastanowiłaś się nad swoją przyszłością, jeśli nie wyszłabyś za męża?

- Nie wiem. Zastanawiałam się, do pewnego stopnia - powiedziała.

Ponieważ nie usiłował położyć dłoni ani nie próbował żadnych pieszczot, odpowiedziała na jego pytanie nie powtarzając poprzedniej odmowy. Patrzył przez okno i ciągnął głosem marzycielskim, w tonacji znacznie cichszej niż normalnie, tak że zrazu ledwie mogła słyszeć poprzez łoskot pociągu; ale potem jego głos się unióśł i przybrał nutę powagi, jakiej nigdy w nim nie wysłyszała, ani mogła sobie wyobrazić, że potrafiłby się na nią zdobyć.

- Zważ, jaka będzie twoja przyszłość - powtórzył. - Taka sama przyszłość, jaka leży przed każdą kobietą twojej klasy, bez męża i pieniędzy. Powiedzmy, że twój ojciec pożyje jeszcze dziesięć lat. Do tego czasu ostatni pens z jego kapitałów rozplynie się we mgłę. Pragnienie roztrwonienia ich utrzyma go przy życiu tak długo, jak długo istnieją, chyba nie dłużej. Cały ten czas będzie coraz bardziej grzybiał, będzie coraz bardziej męczący, życie z nim stanie się coraz bardziej niemożliwe; będzie cię coraz bardziej tyranizował, coraz bardziej ograniczał twoje środki, narażał na coraz poważniejsze konflikty z sąsiadami i kupcami. A ty nadal będziesz wieść niewolnicze, wyczerpujące życie, jakie prowadziłaś przedtem, walcząc o związanie końca z końcem, ćwicząc skautki, czytając powieści w Związku Matek, polerując mosiądże na ołtarzach, kwestując na fundusz organowy, wykonując z papieru pakowego buty rybackie na potrzeby szkolnych przedstawień, brnąc w nikczemne, małe yendetty i skandale parafialnego podwórka. Rok po roku, zimą i latem, będziesz pedałowac od jednej smrodliwej chałupy do drugiej, wygrzebując pensy z pustawej szkatułki i powtarzając modlitwy, w które już także nie wierzysz. Będziesz siedzieć na tych niekończących się nabożeństwach kościelnych, które w końcu zniszczą cię fizycznie swoją jednakowością i daremnością. Z każdym rokiem twoje życie będzie coraz bledsze, coraz szczelniej wypełniane tymi morderczymi, małymi robótkami, które się zwala na samotne kobiety. A pamiętaj, że nie zawsze będziesz mieć lat dwadzieścia osiem. Przez cały czas będziesz więdnąć, schnąć, aż któregoś ranka spojrzysz w lustro i stwierdzisz, że już nie jesteś dziewczyną, ale wyschlą starą panną. Oczywiście, będziesz z tym walczyć. Zechcesz zachować swoją energię i dziewczęcy sposób bycia, i zachowasz je odrobinę za długo. Znasz ten typ ruchliwej - zbyt ruchliwej - starej panny, która mawia „wdechowo”, „szczytowo” i „klawo” i obnosi się z tym, że taka rzeżka, a jest taka rzeżka, że każdy musi się czuć przy niej odrobinę niezdrów? Jest wspaniale sprawna w tenisie i taka zmyślna w amatorskich teatrowaniach, i rzuca się z pewnym rodzajem desperacji w swoje zajęcia ze skautkami i w parafiańskie wizyty, stanowi duszę kościelnych towarzystw, i zawsze, rok za rokiem, myśli o sobie

jak o młodej dziewczynie, i nigdy nie zdaje sobie sprawy, że za jej plecami wszyscy się z niej śmieją, jak z biednej, zawiedzionej starej panny? Oto czym się staniesz, czym musisz się stać, bez względu na to, co przewidujesz i jak będziesz próbowała tego uniknąć. Nie ma dla ciebie innej możliwej przyszłości, jeśli nie wyjdiesz za mąż. Kobiety, które nie wychodzą za mąż - usychają, usychają niczym żelazne liście aspidistry w oknach saloników od podwórza, a za sprawką diabła nawet nie wiedzą, że usychają.

Dorota siedziała w milczeniu, słuchając z przejęciem i przerażającym zafascynowaniem. Nie zauważyła nawet, że wstał, dla utrzymania równowagi w chwiejnym wagonie opierając jedną rękę na drzwiach. Była niemal zahipnotyzowana, nie tyle przez jego głos, ile przez wizje wywołane jego słowami. Opisywał życie takim, jakim musi być nieuchronnie, z tak przeraźliwą wiernością, że wydawało się, iż przesunął ją o dziesięć lat naprzód w groźną przyszłość i poczuła się już nie pełną młodą i energią dziewczyną, ale zdesperowaną, zużytą dziewicą lat trzydziestu ośmiu. Mówiąc dalej ujął ją za leżącą na oparciu fotela dłoń - nieomal tego nie spostrzegła.

- Po dziesięciu latach - ciągnął - twój ojciec umrze i zostawi cię bez pensa, a tylko z długami. Będziesz bliska czterdziestki, bez pieniędzy, bez zawodu, bez widoków na małżeństwo; ot, opuszczona córka pastora, jak dziesięć tysięcy innych w Anglii. A potem, jak sądzisz, co się z tobą stanie? Będziesz musiała *znaleźć* sobie pracę - ten rodzaj pracy, jaki otrzymują córki pastorów. Wychowawczynie w przedszkolu, na przykład, albo opiekunki jakiejś chorej wiedźmy, która zajmie się obmyśleniem sposobów znęcania się nad tobą. Albo wrócisz do nauczania w szkole; angielska nauczycielka w jakiejś przerażającej szkółce dla dziewcząt, za siedemdziesiąt pięć funtów rocznie plus utrzymanie, plus dwa tygodnie w nadmorskim pensjonacie każdego sierpnia. Przez cały czas usychając, gasnąc, kwaśniejąc, stając się coraz bardziej kanciastą i coraz bardziej samotną. A wskutek tego ...

Powiedziawszy „wskutek tego” pociągnął Dorotę tak, że wstała. Nie stawiała oporu. Była pod urokiem jego głosu. Ponieważ jej wyobraźnię zajęła perspektywa ponurej przyszłości, z pustki której mogła sobie zdać sprawę lepiej niż on, taka narosła w niej rozpacz, że gdyby teraz w ogóle przemówiła, powiedziałaby: „Tak, wyjdę za ciebie”. Objął ją bardzo delikatnie ramieniem i nieco ku sobie przyciągnął; nadal nie usiłowała się opierać. Jej oczy, na poły zahipnotyzowane, wpatrywały w jego. Objął ją ramieniem jakby bronił, dawał schronienie, odciągał od krawędzi szarej, morderczej biedy ku rzeczom pożądanym i przyjaznym - ku bezpieczeństwu i spokojowi, ku przytulnym domom i ładnym strojom, ku książkom i przyjacielom, i kwiatom, ku letnim dniom i

odległym krajom. I tak przez minutę tłusty, rozwiązły kawaler i chuda, starzejąca się dziewczyna stali twarzą w twarz patrząc sobie w oczy, przytuleni ciałami, pociąg kołysał ich swoim ruchem, a chmury i słupy telegraficzne, i omglone pąkami żywopłoty, i pola zielieniejące młodym żytem, umykały wstecz niedostrzegane.

Pan Warburton wzmocnił uścisk i przycisnął Dorotę do siebie. Czar prysł. Wizje, które ją obezwładniły, wizje biedy i ucieczki od biedy, znikły nagle pozostawiając jedynie szokującą świadomość tego, co dzieje się z nią samą. Była w ramionach mężczyzny! Przebiegła nią fala wstretu i śmiertelnego strachu, a wnętrzności zdawały się kurczyć i zamarzać. Jego masywne męskie ciało popychało ją w tył i w dół, jego wielka różowa twarz, gładka, lecz w oczach Doroty stara, pochylała się nad jej własną twarzą. W nozdrza wciskał się przykry odór męskości. Szarpnęła się. Włochate uda satyrów! Jęła walczyć zaciekłe, choć doprawdy nie uczynił niemal żadnego wysiłku, by ją zatrzymać, po chwili wywinęła się i ponownie opadła na fotel, biała i drżąca. Patrzący nań oczyma, które - ze strachu i awersji - zdały się, przez chwilę, oczyma osoby obcej.

Pan Warburton stał nadal, obserwując jaz wyrazem zrezygnowanego, niemal ubawionego rozczarowania. W najmniejszym stopniu nie czuł się strapiiony. Odzyskawszy spokój, doszła do wniosku, że wszystko co mówił, było jedynie podstępem, chciał zagrać na jej uczuciach i przymilić się, by obiecała, że zań wyjdzie; a co jeszcze dziwniejsze, powiedział to, nie dbając poważnie czy wyjdzie zań, czy nie. Zapewne bawił się tylko jej kosztem. Bardzo prawdopodobne, że cała ta gra była zaledwie kolejną z ponawianych przezeń co jakiś czas prób jej uwiedzenia.

Usiadł, ale znacznie ostrożniej niż ona, dbając - kiedy już siedział - żeby nie pognieść spodni.

- Jeśli chcesz pociągnąć hamulec bezpieczeństwa - powiedział łagodnie - najpierw pozwól mi sprawdzić, czy mam w portfelu pięć funtów.

Potem znowu był sobą albo niemal sobą, tak jak prawdopodobnie każdy po takiej scenie; opowiadał coś bez najmniejszego przejawu zafrasowania. Jego poczucie wstydu, jeżeli takie miał kiedykolwiek, szczęło przed wielu laty. Przypuszczalnie zostało unicestwione przez nadmierny wysiłek w życiu trawionym na plugawych aferach z kobietami. Dorota czuła się skrepowana. W końcu pociąg dotarł do Ipswich, gdzie zatrzymał się na kwadrans, nadarzyła się więc okazja do zmiany nastroju przez wyjście do poczekalni na filiżankę herbaty. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu mil rozmawiali ze sobą dość przyjaźnie. Pan Warburton nie nawiązywał już do swojej propozycji małżeń-

stwa, ale gdy pociąg zbliżał się do Knype Hill - wrócił mniej serio, niż poprzednio, do kwestii przyszłości Doroty.

-A więc naprawdę masz zamiar-rzekł-wrócić do swoich parafiańskich zajęć? W „trywialny kierat pospolitych udruk”? Do reumatyzmu pani Pither i plastra na odciski pani Lewin, i całej tej reszty? Czy taka perspektywa cię nie przeraża?

- Nie wiem, czasem przeraża. Ale oczekuję, że mi to przejdzie natychmiast po powrocie do pracy. Mam to, rozumiesz, we krwi.

- I naprawdę godzisz się na lata wyrachowanej hipokryzji? Bo jak wiesz, na tym się skończy. Nie boisz się, że wpadniesz? Jesteś pewna naprawdę, że nie znajdziesz się w szkółce niedzielnej ucząc dzieci *Ojciec nasz* na wrywki albo czytając piętnasty rozdział Gibbona Związkowi Matek, zamiast Gene'a Strattona Portera?

- Nie sędzę. Bo, rozumiesz, czuję, że ten rodzaj pracy, nawet jeśli to zmusza do odmawiania modłów, w które się nie wierzy i nawet jeśli oznacza uczenie dzieci czegoś, o czym się nie zawsze jest przekonany, że jest prawdziwe - ja naprawdę czuję, że to jakoś pozytywne.

- Pozytywne? - spytał pan Warburton z niesmakiem. - Zbyt sobie cenisz to przygnębiające słowo „pozytywne”, hipertrofia poczucia obowiązku - oto z czym masz do czynienia. Co do mnie, sędzę, że to przejaw zwykłego zdrowego rozsądku umieć się odrobinę bawić, gdy wszystko idzie dobrze.

- To jest właśnie hedonizm - sprzeciwiła się Dorota.

- Moje drogie dziecko, czy możesz mi pokazać filozofię życia, która nie jest hedonistyczna? Twoi zawszeni chrześcijańscy święci są największymi hedonistami ze wszystkich. Uganiają się za wieczną rozkoszą, podczas gdy my, biedni grzesznicy, nie mamy nadziei na więcej niż kilka jej lat. Ostatecznie wszyscy usiłujemy zaznać odrobiny radości; ale niektórzy ludzie korzystają z niej w sposób perwersyjny. Twoje wyobrażenie radości mieści się w masowaniu nóg pani Pither.

- Niezupełnie, ale - och! jakoś nie umiem tego wytłumaczyć!

A chciała powiedzieć, że choć opuściła ją wiara, ona sama nie zmieniła, nie mogła zmienić, nie chciała zmienić duchowego tła swoich wyobrażeń; że jej kosmos, choć teraz wydawał się pusty i pozbawiony znaczeń, pozostawał w pewnym sensie kosmosem chrześcijańskim; że chrześcijański styl życia musiał nadal pozostawać stylem dla niej oczywistym. Ale nie potrafiła tego wysłowić i czuła, że gdyby się o to pokusiła, prawdopodobnie zaczęłby z niej kpić. Podsumowała więc nieprzekonująco:

- Jakoś mi się wydaje, że będzie dla mnie lepiej zostać tym, czym byłam przedtem.

- Dokładnie tym samym, czym przedtem? Z całym tym menu? Ze skautkami, ze Związkiem Matek, z Orkiestrą Nadziei, ze Stowarzyszeniem Małżeństw, z odwiedzinami parafian i szkółką niedzielną, komunią świętą dwa razy w tygodniu, skąd już wpadamy w gąszcz doksolologii, śpiewając pieśni gregoriańskie? Jesteś naprawdę pewna, że cię na to stać?

Dorota uśmiechała się wbrew swemu samopoczuciu. - Nie pieśni gregoriańskie. Ojciec ich nie znosi.

- I sądzisz, że z wyjątkiem skrytych myśli, twoje życie będzie dokładnie takie samo jakim było, zanim utraciłaś wiarę? Nie zajądą zmiany w twoim stylu bycia?

Dorota pomyślała. Tak, mogą zajść zmiany w jej stylu bycia; ale większość z nich pozostanie w ukryciu. Przeleciało przez jej mózg wspomnienie dyscyplinujących uszczypnięć. Zawsze utrzymywała je w tajemnicy przed wszystkimi z wyjątkiem samej siebie i zdecydowała o tym nie wspominać.

- No cóż - powiedziała w końcu - być może do komunii świętej uklęknę po prawej stronie panny Mayfill, zamiast po lewej.

2.

Minął tydzień.

Dorota wyjechała z miasta na wzgórze i wprowadziła rower w bramę probostwa. Był ładny wieczór, czysty i chłodny, słońce nie przesłonięte chmurami, tonęło w odległym zielonkawym niebie. Spotrzęła, że jesień u wrót zakwitł kępkami ciemnoczerwonych kwiatków przypominających strupy na ranie.

Była dość zmęczona. Miała za sobą tydzień wypełniony kolejnym odwiedzaniem kobiet ze swojej listy i próbami ponownego doprowadzenia spraw parafii do jakiegoś takiego porządku. Po jej zniknięciu wszystko się straszliwie rozprzęgło. Kościół był brudny ponad wszelkie wyobrażenie - w rzeczy samej Dorota musiała trwonić większą część dnia uzbrojona w szczotki ryżowe, miotłę i śmietniczkę, a złoza mysich kupek, jakie znalazła za organami sprawiły, że krzywiła z obrzydzenia twarz na samo ich wspomnienie. (Powodem, dla którego weszły tam myszy, były biskwity, które w paczuszkach po pensie, przynosił do kościoła kalikator Georgie Frew, by zjadać je w czasie nabożeństwa.) Wszystkie stowarzyszenia kościelne uległy zaniedbaniu z takim skutkiem, że Orkiestra Nadziei i Stowarzyszenie Małżeństw wyzionęły ducha,

frekwencja w szkółce niedzielnej spadła o połowę, a w Związku Matek trwała mordercza wojna na skutek nietaktownej uwagi wyrażonej przez pannę Foote. Dzwonnica znajdowała się w stanie gorszym niż kiedykolwiek. Pism parafialnych nie rozprowadzano regularnie, więc pieniądze za nie nie zostały zebrane. Żaden z rachunków Funduszu Kościelnego nie był prowadzony właściwie, a dziewiętnastu szylingów w ogóle nie zaksiegowano; nawet do księgi parafialnej zakradł się bałagan - i tak dalej, i tak dalej, *ad infinitum*. Proboszcz zaniedbał wszystko.

Od chwili wejścia do domu, Dorota miała roboty po uszy. I rzeczywiście, sprawy z zadziwiającą łatwością potoczyły się starą koleiną. Było tak, jakby wyjechała wczoraj. Teraz, kiedy skandal przebrzmiał, powrót do Knype Hill wzbudził bardzo niewielkie zainteresowanie. Niektóre z kobiet z listy odwiedzin, zwłaszcza pani Pither, były jej powrotowi szczerze rade, Wiktor Stone wydawał się być może nieco zawstydzony, że pewien czas wierzył w oszczerstwa pani Semprill; ale szybko o tym zapomniał opowiadając Dorocie o swoim najnowszym triumfie w „Church Times”. Różne kawiarniane paniusie, zatrzymywały oczywiście Dorotę na ulicy swoim „moja droga, jakże to bardzo miłe, widzieć cię znowu! Tak długo cię nie było! A wiesz, moja droga, my tu wszystkie myślałyśmy jakie to haniebne, że ta koszmarna kobieta roznosiła takie historie o tobie. Ale mam nadzieję, rozumiesz, moja droga, że cokolwiek mógł myśleć ktokolwiek inny, ja nigdy nie wierzyłam w ani jedno ich słowo!” etc., etc., etc. Nikt jednak nie zadawał jej niewygodnych pytań, których się obawiała. „Uczyłam w podlondyńskiej szkole” - zadowalało wszystkich; nie pytali nawet o nazwę szkoły. Uznała, że nigdy nie będzie zmuszona spowiadać się z sypania na Trafalgar Square i z aresztowania za żebranię. Jest faktem, że ludzie mieszkający w małych prowincjonalnych miasteczkach mają jedynie mętne pojęcie o czymkolwiek, co dzieje się dalej niż dziesięć mil od ich własnych drzwi. Świat zewnętrzny stanowi *terra incognita* zamieszkałą, bez wątpienia, przez smoki i antropofagi, ale także niezbyt interesującą.

Nawet ojciec Doroty pozdrowił ją tak, jakby jej nie było jedynie w czasie weekendu. Kiedy przybyła, siedział w gabinecie delektując się fajką przed dziadkowym zegarem, którego szkło przed czterema miesiącami zmiażdżone przez sprzątaczkę kijem od szczotki, dotychczas nie zostało wymienione. Gdy Dorota weszła do gabinetu, wyjął fajkę z ust i bezmyślnym ruchem starca wsadził ją do kieszeni. Dorota stwierdziła, że wyglądał starzej.

- No więc jesteś nareszcie - powiedział. - Dobrą miałaś podróż?

Dorota objęła ramieniem jego kark i musnęła wargami srebrnobłady policzek. Gdy się odsunęła poklepała ją po ramieniu z wyczuwalnie większym niż zazwyczaj uczuciem.

- Co ci strzeliło do głowy z tą - ni stąd ni zowąd - ucieczką? - spytał.

- Powiedziała ci, ojczy, straciłam pamięć.

- Hm - rzekł Proboszcz i Dorota spostrzegła, że jej nie wierzy, nigdy nie uwierzy i że przy wielu, bardzo wielu okazjach w przyszłości, kiedy będzie w mniej sympatycznym niż w tej chwili nastroju, tamta eskapada zostanie przeciw niej wyciągnięta. - Cóż - dodał - kiedy zaniesiesz na górę swój bagaż, znieś tu maszynę do pisania, dobrze? Chcę, żebyś mi przepisała kazanie.

W mieście zdarzyło się niewiele godnego uwagi. „Stara Herbaciarnia” została rozbudowana ku dalszemu zeszczeniu ulicy Głównej. Reumatyzm pani Pither ustępował (dzięki herbacie Angelica, bez wątpienia), ale pan Pither pozostawał „pod doktorem” i obawiano się, że ma kamień w pęcherzu. Pan Blifil-Gordon był już w Parlamencie, posłuszny figurant z ostatnich ław partii konserwatywnej. Stary pan Tombs umarł zaraz po Bożym Narodzeniu, zaś panna Foote przejęła siedem spośród jego kotów i czyniła heroiczne wysiłki poszukując domu dla pozostałych. Ewa Twiss, kuzynka pana Twissa, kupca towarów żelaznych, urodziła nieślubne dziecko, które zmarło. Progett skopał przydomowy ogród i wysiał trochę nasion, gdy wykiełkowały już pędy fasoli i grochu. Długi sklepowe, po spotkaniu wierzycieli, zaczęły znowu narastać, z czego sześć funtów przypadało na Cargilla. Wiktor Stone miał na łamach „Church Times” spór z profesorem Coultonem na temat Świętej Inkwizycji i zdruzgotał go doszczętnie. Egzema doskwierała Ellen bardzo przez całą zimę. „London Mercury” przyjął do druku wiersze (dwa) Walpha Blifil-Gordona.

Dorota weszła do ciepłarni. Miała do wykonania wielką robotę - kostiumy do żywego obrazu, jaki dzieci szkolne chciały wystawić w dniu świętego Jerzego, na rzecz Funduszu Organowego. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy nie zapłacono za organy ani pensa, a działo się tak przypuszczalnie również dlatego, że Proboszcz wyrzucał rachunki od ludzi, którzy je wykonali, bez otwierania kopert, ponieważ pisywali w coraz gwałtowniejszym tonie. Dorota łamała sobie głowę nad sposobami zebrania jakichś pieniędzy i w końcu zdecydowała się na obrazy historyczne, poczynając od Juliusza Cezara, a kończąc na księciu Wellingtonie. Mogły przynieść po dwa funty od obrazu, myślała, a przy odrobinie szczęścia i pogodzie - nawet po trzy funty!

Przyjrzała się ciepłarni. Wróciwszy do domu niemal tu nie zaglądała, a najwyraźniej podczas jej nieobecności nie tknięto niczego. Jej rzeczy pozostały tam, gdzie je rozstawiła; ale na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu.

Maszyna do szycia stała na stole pośród znajomych stert ścinków materiału, arkuszy szarego papieru, szpulek bawełny i kubków farby, i choć igła zardzewiała, tkwiła w niej nic. Nawet - tak! - leżały tu buty, które robiła tamtej feralnej nocy. Podniosła jeden z nich i obejrzała. Coś drgnęło w jej duszy. No tak, mówcie co chcecie, ale to porządnie wykonane buty rybackie! Jaka szkoda, że nigdy nie zostały użyte! Ale przecież mogą się przydać do żywego obrazu. Na przykład dla Karola n, albo nie, lepiej nie mieć Karola II; zamiast niego weźmie Olivera Cromwella, ponieważ kiedy się ma Olivera Cromwella, nie musi się dlań robić peruki.

Dorota zapaliła oliwny kaganek, znalazła nożyce, dwa arkusze szarego papieru i usiadła. Miała do wykonania górę kostiumów. Najlepiej, pomyślała, zacząć od napierśnika Juliusza Cezara. Zawsze miała problemy z tymi przekłętymi pancerzami! Jak wyglądał pancerz rzymskiego żołnierza? Dorota skupiła się i przywołała w pamięci statuetkę wyidealizowanego, krętobrodego cesarza z rzymskiej sali Muzeum Brytyjskiego. Można wykonać coś w rodzaju półpancerza z kleju i pakowego papieru, potem nakleić nań wąskie paski, żeby udawały blachy zbroi, potem pomalować na srebrno. Chwała Bogu, nie trzeba robić hełmu! Juliusz Cezar zawsze nosił wieniec laurowy - niewątpliwie wstydząc się swej łysiny, jak pan Warburton. Ale co z nagolennikami? Czy w czasach Juliusza Cezara noszono nagolenniki? A buty? Czy caligum* to był but, czy sandał?

Przerwała po kilku chwilach, odkładając nożyce na kolana. Myśl, która ją w każdej wolnej chwili ostatniego tygodnia prześladowała niczym nie dający się egzorcyzmować duch, powróciła raz jeszcze, by ją wytrącić z równowagi. Była to myśl o tym, co mówił w pociągu pan Warburton - o tym, jakie będzie jej dalsze życie: kobiety niezamężnej i bez pieniędzy.

Nie miała specjalnych wątpliwości co do zewnętrznych symptomów swojej przyszłości. Widziała ją przed sobą dość wyraźnie. Dziesięć, przypuszczalnie, lat w roli nieopłacanego wikarego, potem powrót do uczenia w szkole. Niekoniecznie w takiej szkole, jak zakład pani Creevy - bez wątpienia może sobie sama znaleźć coś lepszego - ale w końcu w jakiejś szkółce mniej lub bardziej nędznej, mniej lub bardziej przypominającej więzienie; albo trzeba będzie podjąć się jakiejś jeszcze smętniejszej, jeszcze mniej godnej człowieka harówki. Cokolwiek się stanie, w najlepszym razie, musi stawić czoła pospolitemu przeznaczeniu wszystkich samotnych i pozbawionych grosza kobiet.

* Caligum - sandał rzymskiego żołnierza.

„Starych panien starej Anglii”, jak je ktoś nazwał. Miała lat dwadzieścia osiem - dość, by wstąpić w ich szeregi.

Ale to nie ma znaczenia, nie ma znaczenia! Było to coś, czego nie można wbić do głów panów Warburtonów tego świata, nawet jeśli im to wmawiać w ciągu tysiąca lat; że zwykle otaczające nas zjawiska, takie jak nędza i harówka, a nawet samotność, same w sobie nie mają znaczenia. Liczy się to, co zachodzi w sercu. Przez chwilę - złą chwilę - podczas gdy pan Warburton mówił do niej w pociągu, doznała strachu przed nędzą. Ale zapanowała nad nim; nie było to coś, czego należało się bać. I nie dlatego musiała wzmocnić w sobie odwagę i przebudować całą strukturę myślenia.

Nie, to coś o wiele bardziej zasadniczego - zabójcza pustka, jaką wykryła w sednie wszelkich spraw. Przypomniała sobie, jak przed rokiem siedziała na tym krześle, z tymi nożycami w rękę, robiąc dokładnie to samo, co teraz; a mimo to czuła się tak, jakby wtedy i teraz stanowiła dwie różne istoty. Gdzie się podziała tamta dobrze ułożona, cudaczna dziewczyna, która modliła się ekstazyjnie wśród pachnących latem pól i kłuta w ramię wymierzając sobie karę za świętokradcze myśli? I gdzie jest każdy z nas sprzed choćby roku? A mimo wszystko - i w tym cały kłopot - była tą samą dziewczyną. Zmieniają się poglądy, zmieniają się myśli, ale jakaś wewnętrzna część duszy pozostaje niezmienna. Czeźnie wiara, ale jej potrzeba pozostaje taka sama jak przedtem.

Kiedy się posiada wiarę, co jeszcze może mieć znaczenie? Co może cię przerazić, jeśli jest na świecie jakiś cel, któremu zechcesz służyć? i który potrafisz - służąc mu - rozumieć? Całe twoje życie rozjaśnia poczucie celu. Nie ma w twym sercu miejsca na znużenie, nie ma wątpliwości, nie ma uczucia daremności, nie ma Baudelaire'owskiego *ennui* oczekującego na godziny niestrzeżone. Każde zdarzenie jest istotne, każda chwila uświęcona, utkana przez wiarę we wzór, w tkaninę niekończącej się radości.

Zaczęła medytować nad naturą życia. Wyloniłaś się z łona, żyłaś sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat, potem zmarłaś i zgniłaś. A w każdym szczególe twego życia, jeśli nie odkupił go końcowy cel, zawarty się cechy szarzyzny, pustki, niemożliwe do opisanego, które odczuwasz jak fizyczny w sercu ból. Życie, jeśli naprawdę kończy je grób, jest koszmarnie i przerażające. Nie ma sensu się z nim chandryczyć. Trzeba myśleć o życiu takim, jakim ono jest w swej istocie, a nie o szczegółach życia; o tym, że ono nie ma znaczenia, nie ma celu, nie ma mety - z wyjątkiem grobu. Doprawdy, chyba tylko głupcy i samooszuści albo ci, których życie jest wyjątkowo pomyślne, mogą się mierzyć z tą myślą bez mrugnienia okiem?

Zmieniła pozycję na krześle. Mimo wszystko, musi być w nim jakiś sens, jakiś w tym wszystkim cel! Świat nie może być dziełem przypadku. Wszystko co się zdarza - musi mieć przyczynę - przeto w końcu i cel. Istniejesz - musiał cię stworzyć Bóg, a ponieważ stworzył cię istotą świadomą - On musi być świadom. Większe nie pochodzi od mniejszego. On cię stworzył i On cię zabije, dla własnego celu. Ale cel jest nieodgadniony. Leży w naturze rzeczy, której nigdy nie odkryjesz, a przypuszczalnie nawet gdybyś ją odkryła - poczułabyś do niej wstręt. Może być tak, że twoje życie i śmierć stanowią pojedynczą nutę w orkiestrze wieczności, grającej dla Jego rozrywki. Założmy, że ci się nie podoba ten ton? Pomyślała o koszmarnym, pozbawionym godności kapłańskiej klesze z Trafalgar Square. Czy śniło się jej to, co powiedział, czy powiedział naprawdę? „Przeto z demonami i arcy-demonami i z całą piekielną kompanią”. To było głupie, doprawdy. Bo nielubienie tonu jest także częścią tonu.

Umysł jej zmagał się z tym problemem, chociaż zdawała sobie sprawę, że rozwiązania nie ma. Nie istniał-widziała to jasno - żaden możliwy substytut wiary; ani pogańska akceptacja życia jako istotnego samo przez się, ani panteistyczny, pusty nad nim zachwyty, ani pseudoreligia „postępu”, z wyobrażeniami przeblyskujących przezeń utopii, ni mrowiska ze stali i betonu. Wiara jest wszystkim albo niczym. Życie na ziemi jest albo przygotowaniem do czegoś większego i trwającego dłużej, albo nie ma znaczenia, jest mroczne i przerażające.

Przejął ją dreszcz. Z garnka z klejem dobiegał skwierczący dźwięk. Zapomniała dolać wody do rondla i klej zaczął się palić. Zdjęła rondel, pobiegła do zlewu, potem przyniosła na powrót i znów postawiła nad kagankiem. Muszę po prostu zrobić ten półpancerz przed kolacją! - myślała. Po Juliuszu Cezarze należało pomyśleć o Wilhelmie Zdobywcy. Więcej panczerzy! A teraz musi iść do kuchni i przypomnieć Ellen, by ugotowała na kolację ziemniaki do siekanego wołowego kotleta; miała także przygotować na jutro „spis czynności”. Uformowała dwie półowki napierśnika, wycięła otwory na ramiona i szyję, przerwała znowu.

Do czego doszła? Powtarzała, że jeśli śmierć kończy wszystko, to w niczym nie ma nadziei ani sensu. No tak, cóż więc?

Czynność odejścia do zlewu i napełnienia rondla zmieniła bieg jej myśli. Spozrzęła, że co najmniej przez chwilę pozwoliła sobie popaść w przesadę i rozczulenie nad własnym losem. Ostatecznie, cały ten rwetes o nic! Jakby nie było nieprzeliczonych ludzi w sytuacji takiej samej jak ona! Na całym świecie tysiące, miliony ludzi, którzy utracili wiarę, nie tracąc potrzeby wiary.

„Potowa córek pastorów w Anglii”, jak powiedział pan Warburton. Miał prawdopodobnie słuszość. I nie tylko córek pastorów; ludzi wszelkich wyznań - ludzi w chorobie i samotności, w klęsce, ludzi wiodących zwichrowane, zniechęcające życie - ludzi potrzebujących wiary, która by ich podtrzymała, choćby jej nie zaznali. Chyba nawet zakonnice w klasztorach, szorujące podłogi i śpiewające *Ave Maria* - w skrytości ducha nie wierzą.

Jakież to, mimo wszystko, tchórzliwe ubolewać nad przesądami, od których się uwolniłaś, a równocześnie pragnąć wierzyć w coś, o czym wiesz na pewno, że jest nieprawdziwe!

A mimo to ...!

Dorota odłożyła nożyce. Nieomal siłą nawyku, jak gdyby powrót do domu, nie odbudowawszy w niej wiary, odbudował zewnętrzny nawyk pobożności, uklękła przy krześle. Ukryła twarz w dłoniach. Zaczęła się modlić. „Panie, wierzę, że poratujesz mnie w niewierze. Panie, wierzę, wierzę, poratuj mnie w niewierze”.

Było to daremne, całkowicie daremne. Już w chwili wymawiania słów wyczuwała ich bezużyteczność i była jakby zawstydzona tym, co czyni. Podniosła głowę. W nozdrza wkraść się jej ciepły, brzydki zapach, zapomniany w ciągu tamtych ośmiu miesięcy, ale niewystawienie znajomy - zapach kleju. Woda w rondlu bulgotała hałaśliwie. Dorota skoczyła na równe nogi i wymacała pędzel. Klej miękł - w ciągu pięciu najbliższych minut zamieni się w płyn.

Zegar dziadka w gabinecie ojca wybił szóstą. Dorota drgnęła. Zdała sobie sprawę, że straciła dwadzieścia minut i sumienie ugryzło ją tak silnie, że wszystkie dokuczliwe pytania umknęły z myśli. Co u licha robię tu przez ten cały czas? - zastanawiała się. W owej chwili rzeczywiście odniosła wrażenie, że nie wie, co tu robi. Skarciła się: Dalej, Doroto! Nie leńcie się, proszę! Musicie zrobić ten półpancerz przed kolacją. Usiadła, napełniła usta szpilkami i zaczęła spinać dwie połówki napierśnika, by nadać mu kształt, zanim klej będzie gotów.

Odpowiedzią na modlitwę był zapach kleju. Nie wiedziała o tym. Nie dopuszczała do świadomości, że wyjście z dylematów zależy od pogodzenia się z tym, że wyjścia nie ma; że gdy ktoś wykonuje robotę, która mu odpowiada - ostateczny jej cel traci na znaczeniu; że wiara i niewiara są tym samym, przyjmując iż człowiek robi to, co jest zwyczajowe, pożyteczne i do przyjęcia. Jeszcze nie potrafiła sformułować tych myśli, mogła je tylko przeżywać. Być może mogłaby je sformułować znacznie później i czerpać z nich zadowolenie. Brakowało minuty albo dwu, zanim klej będzie gotów do użycia. Dorota ukończyła spinanie połówek napierśnika i zaczęła w wyobraźni szkicować

niezliczone kostiumy, jakie jeszcze pozostały do wykonania. Po Wilhemie Zdobywcy - czy w czasach Wilhelma Zdobywcy znano kolczugi? - był Robin Hood, Lincoln Green oraz łuk i strzała, i Tomasz a Becket w kapie i mitrze, i kreza Królowej Elżbiety I, i trójgraniasty kapelusz księcia Welling-ona. Pomyślała: muszę iść, dopatrzeć ziemniaków o pół do siódmej. A potem „spis czynności”, do napisania na jutro. Jutro środa - nie można zapomnieć o nastawieniu budzika na pół do szóstej. Wzięła arkusz papieru i zaczęła układać „spis czynności”:

7 godz. Kom. Św.

Pani J. niemowlę następnym miesiącem iść odwiedzić.

Śniadanie. Bekon.

Przerwała, by pomyśleć o nowych punktach. Pani J. czyli pani Jowett, żona kowala, do kościoła przychodziła tylko czasem, po urodzeniu kolejnego dziecka i tylko wtedy, kiedy się do niej wcześniej taktownie przymiliło. I muszę zanieść parę tabletek uśmierających starej pani Frew, myślała Dorota, wtedy chyba przemówi do Georgie'go i każe mu przestać jeść te bikswity podczas mszy. Do swojej listy dopisała panią Frew. Wreszcie, co z jutrzejszym obiadem? Po prostu, myślała, musimy coś Cargillowi zapłacić! A jutro jest herbatka Związku Matek, ukończyły właśnie powieść, którą czytała im panna Foote. Pytanie, co dać teraz? Chyba nie było więcej książek Gene'a Strattona Portera, ich ulubieńca. Może Warwicka Deepinga? Zbyt chyba przeintelektualizowany? I muszę, pomyślała na koniec, prosić Proggetta, żeby zdobył dla nas rozsady jakichś młodych kalafiorów.

Klej się rozpuścił. Dorota wzięła dwa nowe arkusze pakowego papieru, pocięła je na wąskie paski i - raczej niezgrabnie ze względu na trudność z utrzymaniem wypukłości napierśnika - przykleiła paski poziomo w poprzek na wierzch i od spodu. Stopniowo sztywniał w jej dłoniach. Wzmocniwszy go ze wszystkich stron, postawiła na sztorc, by się przyjrzeć. Był rzeczywiście całkiem niezły! Jeszcze jedna warstwa papieru i będzie niemal jak prawdziwy pancerz. Żywe obrazy muszą się nam udać, myślała. Jaka szkoda, że nie możemy od kogoś wypożyczyć konia i dać Boadicei rydwanu! Moglibyśmy zarobić nawet i pięć funtów, gdybyśmy mieli dobry rydwan, z kosami na osiach kół. A gdyby się pojawili Hengist i Horsa? Owijacze i uskrzydłone hełmy? Dorota pocięła na paski dwa jeszcze arkusze pakowego papieru i podniosła napierśnik, by nakleić nań ostatnią warstwę. Sprawa wiary i niewiary całkowicie znikła z jej myśli. Pracowała, naklejając pasek po pasku, z pełnym przejęciem nabożnym skupieniem, w przenikliwym zapachu kleju, zbyt zajęta, by przerwać i zapalić lampę. Zapadał zmierzch.

OD TŁUMACZA

Tłumacząc *Córke Proboszcza*, czułem jak powieść ta chwilami zmienia się we wspaniałą poemat prozą, kiedy indziej zgrzyta mową słyszalną tylko na społecznym dnie. George Orwell bywał także na dnie. *Córka Proboszcza* jest jego kryptoautobiografią. Bez tej powieści o autorze *Folwarku zwierzęcego* i *Tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego* nie wiemy nic.

Był synem niskopłatnego celnika z Indii, nie mógł więc liczyć na żadną karierę. Wedle własnej, krytycznej samooceny, prócz tego, że nie miał pieniędzy, »był brzydki, słaby, nielubiany, tchórzliwy, miał chroniczny kaszel i cuchnął«. Szczęśliwie dostrzeżono jego inteligencję i talent, przyznano stypendium na naukę w szkole dla lepiej urodzonych - w Eton. Powiada, że się tam do nauki nie przykładał, ale to kokieteria. Ukończył Eton i otrzymał jeszcze bardziej prestiżowe stypendium, na studia w Cambridge. Tego już nie przyjął! Poznawszy w szkole średniej stosunki panujące wśród wybrańców losu, nie chciał być wśród nich - w wyższej. Świadomie nie wszedł do klanu absolwentów Cambridge i Oxfordu, wiedząc, że traci wszelkie szansę. Albowiem w społeczeństwie brytyjskim tamtych czasów obie te uczelnie, jak żartował potem pewien ich wychowanek, »przesądzały nie tylko o charakterze i poglądach człowieka, ale także o jego religii i... płci...«

W powieści *Keep the aspidistra flying* z 1936, /polskie wydanie pt. *Wiwat aspidistra*, 1985./ bohater-Gordon - będący alter ego Orwella, tak jak Dorota Hare z *Córki Proboszcza*, pisujący wiersze i usiłujący je drukować, taką otrzymuje odpowiedź z pewnego pisemka: „...nie chcemy twoich wszawych wierszyków. Bierzemy wiersze tylko od facetów, z którymi kolegowaliśmy w Cambridge. Wy, proleci, trzymajcie się od nas z dala.” Orwell przeżył dość dużo, by opisywać to, co poznał osobiście. Krytyk mógł więc mniemać, że pozbawiony był wyobraźni. Poznał nędzę, więc został socjalistą. Walczył w Hiszpanii po stronie Republiki, nie mógł więc nie rozczarować się do komunistów, których widział z bliska. Napisał książkę */Homage to Catalonia/*, która nie mogła zadowolić ani komunistów, ani faszystów. Był obiektywny, a obiektywnych stronniczy nienawidzą. Walcząc został ciężko ranny w krtani. Stracił siłę głosu, zyskał siłę sądenia. Po klęsce Republiki uciekł z żoną do Francji. Mawiał potem, że jest rad z tamtego doświadczenia, ponieważ wojna, choć straszna, pozwoliła mu uwierzyć w ludzką uczciwość i męstwo. Jego biograf, Tom Hopkins, uważa - zapewne trafnie - że to sam Orwell uwierzył tam we własną uczciwość i własne męstwo. A więc wojna przywróciła go sobie samemu.

Hopkins uważa też, że „skupienie całej uwagi Orwella na sobie, prowadzi do widzenia świata zewnętrznego jako powiększonej projekcji własnych jego problemów”. Być może ma rację. Być może Orwell „nie miał perspektywy historycznej” /czego dowodem ma być 1984/; być może miewał kłopoty z ciałem jak Gordon z *Aspidistry* i Dorota z *Córki Proboszcza*. Z pewnością biedził się ze swoją duszą jak tamci oboje, skoro „życie bez protekcji zwraca się do wiary, jakiegokolwiek wiary”. Orwell wolał nędzę niż protekcję. Na pewno też, tym razem wbrew sugestii Hopkinsa, rozumiał stosunki międzyludzkie. Bo, że „miał dystans w stosunku do siebie” i „uprawiał prozę nerwową, giętką, jasną”, zgadzają się liczni lub wszyscy.

Córka Proboszcza jest taką właśnie prozą. To Dorota Hare pierwsza miała okazję poznać, że „wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre równiejsze”..., choć zdanie pochodzi z najsłynniejszej książki Orwella, napisanej dziesięć lat później, w czasie n Wojny Światowej, z *Folwarku zwierzęcego*, którego nie chciano mu wydać, żeby nie obrażał Stalina, bo był to cenny sojusznik w walce z drugim mordercą milionów - Hitlerem. Dopiero gdy Churchill ogłosił „zimną wojnę”, *Folwark...* przyniósł Orwellowi sławę i pieniądze. Bo w naszych czasach sława pisarza na politycznym koniu jeździ...

*

Córka Proboszcza jest powieścią napisaną niezwykle obrazowo. Każda pojawiająca się w niej postać ma charakter, cechy własne, styl bycia i - język. Jakaż to galeria typów! Od stetryczalego Proboszcza, który traktuje świat jako niekonieczny i uciążliwy dodatek do własnego, złamanego losu, po wyrzutek społeczeństwa z plantacji chmielu i Trafalgar Square, gdzie w kupie zmarzniętych ciał szukają ciepła ludzie z różnych sfer - od ulicznika, po byłego księdza, wyrzuconego z posady za zbyt frywolne traktowanie harcerek... Orwell sam pracował na plantacji chmielu, nocował na kamiennej ławie tego placu, bywał bezdomny i głodny. Uczył także w podłych szkółkach prywatnych, jak Dorota Hare. Jego proza daje świadectwo prawdzie.

Język Nobby'ego, pani McElligot i całej reszty tej ludzkiej zbieraniny, był dla mnie w wielu miejscach niezrozumiały. Mimo iż spędziłem szereg lat w Anglii i Londynie, co dzień stykając się z dozorcą domu, listonoszem, gazeciarszym ulicznym, zacząłem go rozumieć dopiero pod koniec pobytu. Ludzie ci mówią straszliwym dla ucha akcentem, połykają słowa, kaleczą gramatykę; ale straszliwym tylko z punktu widzenia BBC-English czy Orford-English, które dla nich stanowią coś właśnie obrzydliwie sztucznego. Własny żargon mają za język Anglii prawdziwej. Nie jest to odpowiednik naszego języka przedmieść warszawskich. Przekładać go można stylizując na coś równie pokracznego, ale nie da się stworzyć mowy równorzędnej. Pytałem różnych Anglików, jak rozumieć ten i inny zwrot, nie wiedzieli. Pomógł mi były dyrektor British Council w Warszawie, Pan Charles Chadwick, któremu w tym miejscu składam podziękowanie.